

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYZ



LITERACKI  
1980





ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1980

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 314

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poisy Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Adam CIOŁKOSZ

## KARTKI Z PRZESZŁOŚCI

Jest to ostatnia większa praca, jaką śp. Adam Ciołkosz napisał przed śmiercią, przeznaczając ją dla *Zeszytów Historycznych*. (R e d.).

Sprawa podstaw prawnych najwyższych organów państwowych na uchodźstwie wojennym w Paryżu i Angers, potem w Londynie, nie budziła namietności w kraju okupowanym przez najazd z Zachodu i Wschodu. Podana przez zagraniczne rozgłoszenie radiowe wiadomość o odtworzeniu tych organów na obczyźnie w zmienionym składzie personalnym wywołała zadowolenie, była bowiem iskrą nadziei wśród bezmiaru narodowego nieszczęścia, tym niemniej nikt nie oczekiwał proklamacji o wygaśnięciu mocy obowiązującej konstytucji z dnia 23 kwietnia 1935 roku — moralnie i politycznie przeszła ona w stan niebytu. Były ważniejsze sprawy na porządku dziennym polskiego życia.

Jak dopiero co wykazały wybory do ciał samorządu terytorialnego, odbyte na przełomie lat 1938 i 1939, konstytucję kwietniową jako istotny element przedwrześniowego systemu rządzenia potępiała i odrzucała powszechna opinia publiczna, z wyjątkiem tylko „sanacyjnej” mniejszości; można się sprzeczać co do odsetka, jaki mniejszość ta sobą przedstawiała, lecz nie podlega wątpliwości, że była to tylko mniejszość — i to mniejszość bez programu i bez przyszłości, skazana jako prąd polityczny na zagładę. Przeciętny obywatel nie wdaje się w subtelnosci prawa konstytucyjnego i nie studiuje tekstu konstytucji. Dwa elementy utkwily jednak w zbiorowej pamięci narodu. Po pierwsze, oburzenie wywoływało brzmienie art. 2, stanowiącego, iż na Prezydencie Rzeczypospolitej „spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa”. Artykuł ten ustanawiał nieodpo-

wiedzialność organów państwowych, pozostających pod zwierzchnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej. W zestawieniu ze znaną maksymą Marszałka Piłsudskiego, głoszącą, że demokracja to odpowiedzialność, artykuł 2 konstytucji kwietniowej jawnie i głośno proklamował jej nie- i anty-demokratyczny charakter. Drugim elementem ustrojowym, budzącym powszechne oburzenie, była ordynacja wyborcza do Sejmu. Spontaniczną reakcją wszystkich ugrupowań opozycyjnych na zarządzenie wyborów sejmowych w roku 1935 była decyzja ich zbojkotowania, za którą wedle oficjalnej statystyki poszło 53,5 % uprawnionych do głosowania. Nie jest jednakże prawdą, jakoby polityka polska znalazła się w zaułku bez wyjścia, wyjście rysowało się wcale wyraźnie. Gdyby w myśl wierszowanych zapowiedzi („Zapamiętaj cztery słowa, Sejm to ordynacja nowa”, autorem wierszyka był Minkiewicz) Sejm o większości ozonowej odważył się uchwalić demokratyczną tj. pięcioprzymiotnikową ordynację wyborczą do Sejmu i gdyby na jej podstawie przeprowadzono uczciwe, jak się to wtedy mówiło — czyste wybory sejmowe, stanęłaby otworem droga do stopniowego przeobrażenia ustroju państwa i przejścia do demokracji politycznej, bez gwałtownych wstrząsów. W okresie po zgonie Marszałka Piłsudskiego państwem rządziło *de facto* pięciu ludzi: Mościcki, Rydz-Śmigły, Składkowski, Beck i Kwiatkowski. Żaden z nich nie widział możliwości dokonania zmiany sejmowej ordynacji wyborczej, chociaż Kwiatkowski w akcji przedwyborczej roku 1938 głosił taką zmianę — w nowym Sejmie, po wyborach; czterej inni dygnitarze potrzebę takiej zmiany negowali. Więc ta możliwość wejścia na drogę pojednania narodowego w obliczu niewątpliwej już groźby najazdu niemieckiego została zmarnowana.

Gdy z początkiem roku 1939 narosła sytuacja gardłowa, konieczne pojednanie mogło być przybrać postać utworzenia w krótkiej drodze rządu obrony narodowej, to jest rządu jedności narodowej z udziałem przedstawicieli stronnictw lewicy, centrum i prawicy oraz osób, związanych z obozem pomajowym. Nie żądano ustąpienia ani Prezydenta Mościckiego, ani Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych marszałka Rydza-Śmigłego, ani żadnego innego konkretnie określonego dygnitarza, sytuacja wymagała bowiem szybkich decyzji. Była to postawa, jeśli chodzi o stronnictwa opozycyjne, kompromisowa, ale ta gotowość do kompromisu była ofiarą na rzecz zagrożonego w swym bycie państwa. Na ostatnim przed wojną posiedzeniu Centralnego Komitetu Wykonawczego (CKW) PPS, odbytym w dniu 28 sierpnia 1939 roku, postanowiliśmy wysłać w tej sprawie delegację do marszałka Rydza-Śmigłego jako człowieka ponoszącego faktyczną

i w owym momencie już niepodzielną odpowiedzialność za obronę kraju. Lecz Rydz-Śmigły odmówił spotkania się z delegacją PPS. Skład rządu uległ rozszerzeniu przez zamianowanie członkami rządu wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego oraz b. komendanta oddziału specjalnego twierdzy brzeskiej, pułkownika Wacława Kostka-Biernackiego. Kierownictwo państwowe brnęło uporczywie po drodze wyłączności jednego obozu i jednego ośrodka politycznego.

Kłęska militarna była zarazem kłęską całego aparatu rządzenia. To co z niego pozostało, a mianowicie policja tzw. granatowa, przeszła na służbę niemieckiego okupanta, pogłębiając tym kompromitację aparatu. Wiadomość o przekroczeniu granicy rumuńskiej i uratowaniu się czołowych osobistości systemu rządzenia nie wzbudziła radości, przyjęto ją obojętnie, ze wzruszeniem ramion. Jakikolwiek byłyby losy osobiste tego zespołu, dla nikogo z tych ludzi nie było miejsca w prognozach przyszłości, nad którą zaczęto — w szczupłym co prawda gronie, ale inaczej być nie mogło — zastanawiać się jeszcze przed kapitulacją Warszawy. W owym ostracyzmie nie było szukania zemsty za 13 lat gnębienia i likwidowania w Polsce demokracji, była natomiast dobrze zasłużona pogarda dla ludzi, którzy nie wykazali się tzw. rozumem stanu i umiejętnością przewidywania, czego się wymaga od polityków, a co dopiero od mężów stanu. Postawa ta nie wykluczała prawa do służby w odtwarzanych na obczyźnie Polskich Siłach Zbrojnych i w wojsku podziemnym, wykluczała jednakże jakiegokolwiek przywileje i szaczytne a odpowiedzialne stanowiska. Wydawało się, że ciężar politycznej odpowiedzialności za odzyskanie wolności kraju przesuwają się wyraźnie w kierunku lewicy, to jest Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Ludowego, co zresztą nie wykluczało współpracy tych dwóch stronnictw z innymi kierunkami i ugrupowaniami — na gruncie demokracji.

Rzeczywistość nie odpowiedziała oczekiwaniom. Byli wprawdzie politycy, jak Herman Lieberman w Paryżu, którzy utrzymywali, że ważne jest jedynie odtworzenie wojska polskiego na obczyźnie i kontynuowanie walki z Niemcami i że Polska pozostaje bez żadnej konstytucji, marcowa została uchylona jeszcze w 1935 roku, zaś kwietniowa załamała się pod ciężarem kłęski wojennej i siłą faktu przestała istnieć. Znaczenie tego problemu wydawało się jednak niewielkie, generał Sikorski był pewny, że wojna zakończy się wkrótce — oczywiście kłęską Niemiec, i że powrócimy rychło do kraju. Z drugiej strony, konieczne było podtrzymanie form państwowych, choćby ze względu na konieczność zawarcia z sojusznikami umów dyplomatycznych i konwen-

cji wojskowych; w zbyt świeżej pamięci tkwiły jeszcze przeżycia okresu pierwszej wojny światowej, by uważać formy komitetu narodowego i legionów polskich za stojące wyżej od form międzynarodowo uznanej państwowości własnej. Może najbardziej zawążyło stanowisko rządu amerykańskiego, który jako warunek przeniesienia uznania na nowy reżym emigracyjny stawiał przekazanie mu władzy w formach konstytucyjnych, z zachowaniem porządku prawnego. Tak się też stało.

Początkowo Prezydent Mościcki wyznaczył swym następcą z mocy art. 24 konstytucji generała Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, lecz nominacja ta napotkała na zdecydowany sprzeciw zebranych w dniu 27 września w Paryżu przedstawicieli przedwojennej opozycji, wobec czego Prezydent Mościcki wyznaczył swym następcą b. marszałka Senatu, b. wojewodę pomorskiego i przewodniczącego „Światopoli” Władysława Raczkiewicza, który też w dniu 30 września 1939 roku rano został w ambasadzie polskiej w Paryżu zaprzysiężony i objął czynności Prezydenta. Następcą swym, na wypadek opróżnienia się urzędu w czasie wojny, wyznaczył generała Kazimierza Sosnkowskiego.

Tegoż dnia przed południem Prezydent Raczkiewicz powierzył prof. Stanisławowi Strońskiemu zadanie utworzenia rządu, lecz po południu desygnat zawiadomił Prezydenta, iż prosi o zamianowanie prezesem Rady Ministrów generała Władysława Sikorskiego. Wyjątkowy taki wypadek wskazania nowego desygnata przez desygnata składającego misję zdarzył się już raz, w listopadzie 1918 roku, gdy Ignacy Daszyński wskazał tymczasowemu szefowi państwa Józefowi Piłsudskiemu w swe miejsce Jędrzeja Moraczewskiego jako kandydata na prezydenta Rady Ministrów. Raczkiewicz i Stroński prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy z tego precedensu i analogii, tak samo jednak jak w roku 1918, szef państwa zastosował się do udzielonej mu rady. W dwie godziny później rząd został zaprzysiężony w następującym składzie: gen. Władysław Sikorski — prezes Rady Ministrów i minister Spraw Wojskowych (później także minister Sprawiedliwości), prof. Stanisław Stroński — zastępca prezesa Rady Ministrów, August Zaleski — minister Spraw Zagranicznych, płk Adam Koc — minister Skarbu (później także minister Przemysłu i Handlu). W dniach następnych, do 16 października 1939 roku, w skład rządu weszli ponadto inni rozbitkowie katastrofy wrześniowej, którzy przybywali na własną rękę, każdy z osobna, do Paryża: Jan Stańczyk — minister Opieki Społecznej, gen. Józef Haller, Aleksander Ładoś, gen. Kazimierz Sosnkowski i dr Marian Seyda — ministrowie bez teki. Podsekretarzami stanu mianowani zostali: dr Henryk Strasburger w Prezydium

Rady Ministrów, Alfred Falter w Ministerstwie Skarbu, Karol Popiel w Ministerstwie Opieki Społecznej, dr Zygmunt Graliński w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Skład rządu wywołał w kraju zdziwienie. Był to rząd o zdecydowanej przewadze elementów prawicowych i centrowych, z tym, że duża część rządu zaliczała się do pilsudczyków o takim czy innym odcieniu. Najbardziej zdumiewające było powołanie w skład rządu płk. Adama Koca, twórcy Obozu Zjednoczenia Narodowego czyli „Ozonu”. Nominację Augusta Zaleskiego tłumaczono sobie względem na rządy sojusznicze, być może ich naciskiem, Zaleski uważany był bowiem za zwolennika polityki Ligi Narodów a przede wszystkim sojuszu polsko-francuskiego, w przeciwstawieniu do Becka, któremu musiał w roku 1932 ustąpić swój fotel ministerialny. Gen. Sosnkowski był w całym okresie pomajowym w niełasce, a ponadto bił się dobrze pod Lwowem. Ale inni? Przeważał konglomerat „frontu Morges”, Lewiatana, Banku Handlowego i masonerii, lewicę reprezentował jedynie Jan Stańczyk, który zresztą fatalnie zadebiutował przemówieniem radiowym do kraju, napuszonym i pozbawionym jakichkolwiek akcentów społecznych, oraz Zygmunt Graliński, poniekąd także Karol Popiel, jeden z najbardziej sponiewieranych więźniów brzeskich. Niekwestionowany był gen. Sikorski; wiadano co prawda, że związany był z „frontem Morges”, którego papiery nie były w polskim życiu politycznym notowane zbyt wysoko, lecz liczone na inteligencję Sikorskiego, że mu wskaże właściwą drogę, jak to było na przełomie lat 1922 i 1923; jego główny posag i legitymację — obok bezsprzecznych zdolności wojskowych — stanowiła nienawiść, jaką go otaczał rządzący do września obóz pilsudczyków. Trzeba było czekać na zmiany, lecz zmiany niewiele wniosły nowego. W miejsce Ładosia, mianowanego posłem polskim w Bernie, ministrem bez teki mianowany został prof. Stanisław Kot, ludowiec, najbliższy doradca i osobisty przyjaciel gen. Sikorskiego, wyjątkowych talentów uczony a zarazem polityczny antytalent, intrygant i dezorganizator. Henryk Strasburger został ministrem Skarbu oraz Przemysłu i Handlu, podczas gdy płk Koc został zdegradowany do stopnia podsekretarza stanu przy Strasburgerze. Już w okresie londyńskim podsekretariaty stanu zostały zlikwidowane, co zresztą nie wpłynęło ani dodatnio ani ujemnie na szaro-bury koloryt rządu. Dodajmy, że w dniu 7 listopada 1939 roku Prezydent Raczkiewicz zwolnił marszałka Rydza-Śmigłego z zajmowanych wciąż formalnie stanowisk i zamianował gen. Sikorskiego także Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych i Naczelnym Wodzem. Jednomyślną uchwałą rządu z dnia 2 grudnia 1939 roku Ignacy



Paderewski, znakomity pianista i wielki patriota, zaproszony został na pierwszego członka Rady Narodowej, ciała doradczego Prezydenta i rządu, swoistej namiastki parlamentu, w dniu 23 stycznia 1940 roku Rada Narodowa jednogłośnie uchwaliła wybrać Paderewskiego swym przewodniczącym; nominalnie piastował ten urząd aż do swego zgonu. Tym samym ustabilizował się system rządu, a raczej system politycznego przewodnictwa, związany z dwoma nazwiskami: Władysława Sikorskiego i Ignacego Paderewskiego. To ostatnie nazwisko było tylko symboliczne, natomiast Sikorski był pełen werwy i brał sobie odwet za długie lata przymusowej bezczynności i stania na uboczu. Kraj był w stosunku do niego dobrze usposobiony i czekał na czyny nowego premiera, który w swym ręku skupił pełnię władzy cywilnej i wojskowej: wszystko mu pod tym względem sprzyjało. Poza tą zmianą, wielką — jeśli zważyć nieuzasadnione lecz potężne animozje piłsudczyków do Sikorskiego — nowy system nie miał ani wyglądu ani charakteru rewolucyjnego, był raczej konserwatywny ponad dopuszczalną miarę.

Mechanizm funkcjonowania nowego systemu w ramach konstytucji kwietniowej ustaliły cztery dokumenty: (1) przemówienie Prezydenta Raczkiewicza do kraju z polskiej rozgłośni radia paryskiego 30 listopada 1939 roku, (2) odezwa premiera Władysława Sikorskiego imieniem rządu do ogółu społeczeństwa polskiego w kraju, wydana w Angers 18 grudnia 1939 roku, (3) opinia stronnictw Jedności Narodowej w sprawie wzajemnego stosunku władz naczelnych i wewnętrznej organizacji prac rządu, z daty Londyn 27 lipca 1940 roku, (4) list Hermana Liebermana w imieniu zespołu stronnictw Jedności Narodowej do Prezydenta Raczkiewicza, również w sprawie wzajemnego stosunku władz naczelnych i wewnętrznej organizacji rządu, z daty Londyn 22 października 1940 roku. Wedle tych dokumentów, Prezydent Rzeczypospolitej wykonuje te przepisy konstytucji, które uprawniają go do samodzielnego działania (art. 13), w ścisłym porozumieniu z prezesem Rady Ministrów; w razie potrzeby zamianowania nowego prezesa Rady Ministrów, nastąpić ono powinno po przeprowadzeniu przez Prezydenta konsultacji z ustępującym premierem i stronnictwami celem wypośrodkowania i ustalenia linii polityki państwowej i dobrania na tej podstawie odpowiedniej osobistości jako wyraziciela tej linii; zasada rozdziału władzy cywilnej od wojskowej jest oczywistością, lecz realizację tej zasady należy odłożyć ze względu na przeżywany okres wojny i polityki międzynarodowej, który nie dopuszcza zmiany na stanowisku premiera. Jak zapewniał Stanisław Stroński w broszurze „Spór o dwie konstytucje 1921 i 1935”, Glas-

gow 1944, str. 14, ustrój władz państwowych w wyżej przedstawionym trybie działania konstytucji z 1935 roku, był „jeszcze bardziej demokratyczny niż według przepisów konstytucji roku 1921”. Nie da się jednak zaprzeczyć, że w istniejącym w owym czasie układzie stosunków na wojennym uchodźstwie ustrój ten składał pełnię władzy w ręce generała Sikorskiego, zapewniał mu nieusuwalność i zabezpieczał go przed wszelkimi zmianami, które by nie odpowiadały jego życzeniom. Było tedy rzeczą nieuchronną, że z chwilą tragicznego zgonu gen. Sikorskiego w Gibraltarze, 4 lipca 1943 roku, system ten zarysował się i pozwolił Prezydentowi Raczkiewiczowi o tyle skorzystać z uprawnień wypływających z art. 13 konstytucji, że zamianował nowego Naczelnego Wodza w osobie gen. Sosnkowskiego bez uprzedniego przeprowadzenia konsultacji z premierem, którego nie było, bo nie żył. Potem jednak system ten funkcjonował — chociaż nie bez zacięć i zgrzytów — aż do dnia 9 czerwca 1947 roku, kiedy to August Zaleski po zgonie Władysława Raczkiewicza objął urząd Prezydenta z naruszeniem postanowień tzw. umowy paryskiej z roku 1939, i w ogóle otrząsnął się z tych zobowiązań jako stanowiących swoiste i jego zdaniem niedopuszczalne *pacta conventa*.

Powróćmy jednak do sprawy składu i kolorytu rządu. W okresie po klęsce Francji i ustabilizowaniu się rządu gen. Sikorskiego w Londynie zaszły w nim daleko idące zmiany na tle sprawy umowy polsko-sowieckiej z dnia 30 lipca 1941 roku, tzw. paktu Sikorski - Majskij. Jeszcze w czasie toczących się rokowań ustąpili z rządu ministrowie August Zaleski, gen. Sosnkowski i Marian Seyda, w dniu 3 września Prezydent Raczkiewicz na wniosek prezesa Rady Ministrów zamianował Stanisława Mikołajczyka — ministrem Spraw Wewnętrznych, dr. Hermana Liebermana — ministrem Sprawiedliwości, Karola Popiela — ministrem stanu. Chodziło o wzmocnienie rządu w oczach zdezoriantowanego dymisjami kraju, a właściwie o wzmocnienie pozycji gen. Sikorskiego. W ten sposób produktem pierwszego większego i poważniejszego przesilenia rządowego było upolitycznienie rządu, co jednak nie okazało się równoznaczne z jego przesunięciem się na lewo. Był to bardziej niż dotychczas rząd przyboczny gen. Sikorskiego, z przerzuceniem znacznej części odpowiedzialności na emigracyjne stronnictwa polityczne. Także prof. Kot, który udał się do Kujbyszewa na stanowisko ambasadora polskiego w wojennej stolicy sowieckiej, nie przestał wchodzić w skład rządu jako minister stanu, podnosiło to jego rangę dyplomatyczną. Ponadto Mikołajczyk uzyskał dla siebie zastępstwo prezesa Rady Ministrów. Edward Raczynski objął kierownictwo Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pozostając jed-

nocześnie ambasadorem polskim w Londynie. Dalsze zmiany: w dniu 21 października 1941 roku zmarł dr Herman Lieberman, w dniu 21 stycznia 1942 roku powrócił w skład rządu Marian Seyda, ponadto weszli do rządu jego nowi członkowie: prof. dr Wacław Komarnicki jako minister Sprawiedliwości i Jan Kwapiński jako minister bez teki, później minister Przemysłu, Handlu i Żeglugi. Jeszcze później wszedł do rządu gen. Marian Kukiel jako minister Obrony Narodowej, wyszedł zaś z rządu Stanisław Stroński, by zrobić miejsce na fotelu ministra Informacji i Dokumentacji dla prof. Kota, który powrócić musiał (w dniu 13 lipca 1942 roku) z Kujbyszewa do Londynu.

Przetasowania w składzie rządu nie zmieniały jednak jego politycznego charakteru, był to wciąż rząd gen. Sikorskiego i frontu Morges, z tym tylko, że jako trzon owego „frontu” zagospodarowywało się coraz wyraźniej Stronnictwo Ludowe z Mikołajczykiem na czele. Adam Romer w broszurze „Z Sikorskim i Mikołajczykiem”, Lens 1949, str. 23, zgodnie z prawdą tak charakteryzuje współpracę premiera z wicepremierem: „Generał był, jak wiadomo, z usposobienia konserwatystą przy całym swoim postępowym demokratyzmie. Toteż i Mikołajczyk swoim rozumnym stanowiskiem w sprawie reform społecznych i gospodarczych bardzo mu odpowiadał. W opozycji wobec skrajnych socjalistycznych tendencji nacjonalizacyjnych obaj byli zgodni... Generał i Mikołajczyk byli szczególnie zgodni w przeciwstawianiu się lewicowym tendencjom do zrównania w dół, żądając podnoszenia całego społeczeństwa do najwyższego szczebla kultury i wzorując się na przykładzie angielskim”. Generałowi — wciąż wedle Romera — chodziło o taką przebudowę gospodarczo-społeczną, „która by zapewniła Polsce oparcie o silny stan średni i zamożne włościństwo”. Ani jeden ani drugi nie mogli tedy być zaliczani do radykałów społecznych.

Jeśli słuszna była zasada, że rząd nie jest komitetem porozumiewawczym stronnictw, winien natomiast być zespołem zdolnym do harmonijnej wspólnej pracy, to niestosowna była zasada, przyznająca premierowi prawo dobierania sobie członków rządu z poszczególnych stronnictw wedle swego uznania, co wreszcie w praktyce przerodziło się w arogowane prawo premiera do wyznaczania przedstawicieli stronnictw, a więc do ingerowania w ich sprawy wewnętrzne. Jeszcze bardziej irytowały poczynania rządu na terenie podziemia w okupowanym kraju. Przed wyjazdem z Warszawy gen. Sikorski pozostawił za sobą związaną z nim embrionalną konspirację wojskową i polityczną; ani jedna ani druga nie odegrały właściwie żadnej roli, gdyż po klęsce wrześniowej wyłoniły się podziemne czynniki kierownicze, mogące

liczyć na zaufanie w szerszym zasięgu przedwojennych stronnictw politycznych i porządkujące — wśród nieopisanych trudności — ustrój podziemnego państwa polskiego. Najbardziej podrażniły podziemne życie polityczne i sprowokowały nieufność do rządu na dalekiej obczyźnie dokonane na terenie kraju nominacje oraz terytorialne podziały organizacyjne, sprawiające wrażenie, jakoby rząd chciał stosować zasadę *divide et impera*, zresztą bez żadnej potrzeby, gdyż pomimo niezadowolenia z niezrozumiałego składu personalnego i kolorytu politycznego rządu niemal nikt nie kwestionował jego prawowitości; żądano jedynie uzgodnienia poczynań, rezerwując dla czynników krajowych głos decydujący w momencie wyzwania się kraju i zastrzegając dla nich decyzje najbardziej zasadniczej natury. Przyjęcie założenia, że najważniejszym i właściwie jedynym zadaniem, stojącym przed Polską, jest zrzucenie jarzma obcej okupacji i odbudowanie własnego państwa niepodległego, a o wszystkim innym zadecyduje po zwycięstwie wynik demokratycznych wyborów sejmowych, powinno by pozwolić na skierowanie wszystkich energii we właściwym kierunku. Dużo jednak wody w Wiśle upłynąć musiało, zanim założenie to zwyciężyło w postaci uzgodnionej w podziemnej Warszawie deklaracji stronnictw z dnia 15 sierpnia 1943 roku, zaś do tego czasu toczyła się w kraju i na emigracji walka o władzę w państwie, a także o władzę w poszczególnych stronnictwach politycznych. Walkę tę skomplikowała i zaogniła ingerencja czynnika obcego, zewnętrznego, a mianowicie rządu sowieckiego, postępującego się na terenie Polski własną agenturą, jaką była Polska Partia Robotnicza i ciążące ku niej odpryski stronnictw i ugrupowań politycznych. W tych warunkach określenie się rządu emigracyjnego stawało się postulatem czynników krajowych, przede wszystkim PPS, wysuwany i ponawiany z coraz to większą natarczywością.

Odezwa premiera Sikorskiego z Angers 18 grudnia 1939 roku stawiała poprawnie chociaż ostrożnie ogólne zasady, którymi rząd miał się kierować, nie przesądzając zresztą w niczym „przyszłego ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego państwa, o którym zadecyduje Kraj po odzyskaniu wolności”. Generał Sikorski mówił imieniem rządu:

„Polska będzie państwem stojącym nadal na gruncie kultury i zasad chrześcijańskich.

Polska będzie państwem demokratycznym, opartym o najszerze warstwy Narodu. Swoboda jednostki i prawa obywatelskie zespolą się w niej w zapewnieniu rządów sprawnych, odpowiedzialnych i kontrolowanych przez rzetelne przedstawicielstwo narodowe, wybrane w uczciwych wyborach, dokonanych na podstawie demokratycznej ordynacji wyborczej.

W stosunkach społeczno-gospodarczych Polska urzeczywistni zasadę sprawiedliwości, prawo wszystkich do pracy, ze szczególnym uwzględnieniem praw rzesz pracujących do ziemi i do warsztatów pracy.

Mniejszościom narodowym, które wraz z Narodem Polskim wzięły udział w walce i pozostały wierne państwu polskiemu, zapewni sprawiedliwość, swobodny rozwój narodowy i kulturalny oraz opiekę prawa.

Wpatrzony w teraźniejszość i w przeszłość, rząd pozostawia Narodowi osąd nieszczęsnego ostatniego okresu przeszłości zapewniając, że ze swej strony pragnie uczynić wszystko, ażeby raz na zawsze uniemożliwić nawrót do tych stosunków, które doprowadziły Polskę na skraj przepaści...

Oto jest droga, którą idziemy, wierząc, że musi nas ona doprowadzić do całkowitego wyzwolenia Ojczyzny i odrodzenia się Rzeczypospolitej, wielkiej nie tylko obszarem i liczbą obywateli, ale i potęgą ducha...

W ręce wyzwolonego Narodu pragniemy złożyć władzę. Nie użyjemy jej inaczej, jak w Jego służbie. Pragniemy z czystym sumieniem stanąć przed Jego sądem...

Uczynimy wszystko, by zasłużyć na Wasze zaufanie. Tak nam dopomóż Bóg!”.

Mniej nie można było powiedzieć. Jakkolwiek rząd, stojący w owej chwili przed narodem polskim i przed całym światem demokratycznym, musiałby powiedzieć co najmniej to samo. Odezwa z dnia 18 grudnia była typową wypowiedzią frontu Morges, za wypowiedź lewicy społecznej i politycznej uznać jej niepodobna. Jeszcze mniej powiedział złotousty mistrz Paderewski, gdy otwierał inauguracyjne posiedzenie Rady Narodowej w Paryżu 23 stycznia 1940 roku:

„... Nie walczymy o Polskę szlachecką, ludową czy robotniczą, o Polskę kapitalistyczną czy socjalistyczną, o Polskę panów czy o Polskę chłopów, walczymy o Polskę całą, jedyną, wielką, niepodległą, o Polskę-Matkę dla swych wiernych dzieci, o taką Polskę, o jakiej śnili i jaką przepowiadali nasi wieszczki, o Polskę Chrobrych i Jagiellonów, o Polskę, za którą poległy tysiące nieznanymi bohaterów, za którą dalsze tysiące każdej chwili zginąć gotowe!”.

Były to słowa natchnione, niewątpliwie pomyślane szczerze, lecz w kraju przyjęto je z gniewem, jaki odczuwają żołnierze, gdy się im nakazuje wysłuchiwać patriotycznych przemówień — a przecież cały naród był wówczas narodem żołnierzy stojących na froncie w nierównej walce na śmierć i życie.

Do pierwszych dni grudnia 1939 roku przebywałem w Polsce, utrzymując kontakty z tymi działaczami PPS, z którymi mogłem się zetknąć, członkami Rady Naczelnej i przywódcami miejscowymi, ale także z „szeregowcami” ruchu robotniczego. Decydujące dla mych dalszych poczynąń było spotkanie we Lwowie i narada z Mieczysławem Tyllem z Warszawy, wysłannikiem Kazimierza Pużaka, sekretarza generalnego PPS. W dniu 8 grud-

nia 1939 roku udało mi się przekroczyć pod Śniatyniem granicę rumuńską, to jest Czeremosz, w bardzo trudnych pod każdym względem warunkach, boso na trzaskającym mrozie i po szyję w lodowatej wodzie. Z początkiem lutego 1940 roku byłem w Paryżu i bezzwłocznie skontaktowałem się z przebywającym tam od sześciu lat z górą Hermanem Liebermanem. Już ta pierwsza rozmowa, niespodziewanie ostra w formie i gwałtowna w treści, dała mi orientację co do odmienności postaw. Kto chce sprawdzić, na czym polegał konflikt, niech zajrzy do książki Wacława Zagórskiego „Wolność w niewoli”, Londyn 1971, str. 148. Mojej — śmiem twierdzić — skromnej, nawet pokornej postawie dzielenia się z czynnikami krajowymi ocenami i poglądami na sytuację nie w sposób autorytatywny, lecz z wyraźną tendencją skontrolowania ich zgodności z poglądami czynników krajowych, przeciwnostawia Zagórski przemówienia, enuncjacje i audycje radiowe „ludzi nabrzmiałych przekonaniem o własnej ważności” i o bezradności, na jaką czynniki krajowe byłyby skazane, gdyby oni za te czynniki nie myśleli. Ja przybyłem do Paryża z tym, że kierownictwo partii zostaje odtworzone w kraju i że zastrzega sobie wszystkie większej wagi decyzje polityczne, a tymczasem zastałem utworzony w Paryżu w dniu 22 stycznia 1940 roku Centralny Komitet Wykonawczy (CKW) Zagranicą. Jego przewodniczącym wybrany został Herman Lieberman, dla mnie zarezerwowano stanowisko sekretarza generalnego PPS za granicą. Również zastałem wychodzącego w Paryżu od 15 stycznia 1940 roku *Robotnika we Francji*, z tradycyjną winietą pod redakcją Jerzego Szapiry. Wychodzący początkowo co pół miesiąca, później co tydzień, *Robotnik* uznany został uchwałą paryskiego CKW za organ PPS. Lieberman był zawsze skłonny do patosu, lecz patos ten miał nieznośny wydzźwięk, gdy w jednej z rozmów postawił mi zapytanie retoryczne, czy do prawdy nie wolno emigrantom podnieść do góry sztandar PPS, który zrządem losu znalazł się na obczyźnie? Byłem zdania, że rzeczywiście nie wolno nam tego uczynić, albowiem sztandar PPS znajduje się w kraju, w Warszawie. Równie nieudane było pierwsze spotkanie z generałem Sikorskim na zamku Pignerolles w pobliżu Angers, dokąd zaprosił mnie Prezydent Raczkiewicz; mówiąc o kraju, zająłem w stosunku do Sikorskiego postawę życzliwości i uszanowania, lecz bez czołobitności, do której zdążył się już przyzwyczać. W gruncie rzeczy nabrzmiewał — utajony przed wojną — konflikt, a co najmniej wzajemna niechęć pomiędzy frontem Morges a polską lewicą, w każdym razie — krajowym kierownictwem PPS. Stosowaną z reguły we wszelkich za targach bronią ze strony stronników frontu Morges było zali-



czanie mnie i moich mocodawców w kraju do „sanacji” czy też do piśsudczyków, chociaż właśnie w zasięgu takich „morżowców” jak prof. Kot aż roiło się od „sanatorów”, np. w tzw. akcji kontynentalnej. Była to więc przystawiona murzyńska moralność.

Wspomniałem o moich mocodawcach — i tu pora wyłuszczyć funkcje, jakie mi partia powierzyła na terenie emigracyjnym. Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących Polski (CKR MPP) „Wolność - Równość - Niepodległość” (WRN) wyznaczyło mnie swym przedstawicielem na obczyźnie, co nakładało na mnie trudny i uciążliwy obowiązek informowania CKR o sytuacji na emigracji i informowania emigracji o postawie i sposobie myślenia kraju. Przez „kraj” rozumieć tutaj należy PPS i jej kierownictwo, przez emigrację — rząd i Radę Narodową, a przede wszystkim socjalistów polskich, którzy znaleźli się na obcej ziemi. Trudność mego zadania polegała na znalezieniu sposobów systematycznego kontaktowania się wzajemnego w stworzonych przez wojnę warunkach — w tej materii raz jeszcze odsyłam czytelników do książki Wacława Zagórskiego. Uciążliwość polegała na niechęci czynników emigracyjnych do liczenia się z głosem krajowego kierownictwa PPS, którego linia polityczna nie zawsze była dogodna i przyjemna dla tych czynników, włącznie z niektórymi wybitnymi członkami PPS, uważającymi się za bardziej miarodajnych rzeczników socjalizmu polskiego, niż późny przybysz zza Czeremoszu. Nie mogła jednak zachodzić w tej sprawie żadna nieświadomość, gdyż wątpliwości rozproszył list Zygmunta Zaremby skierowany do mnie w imieniu całego centralnego kierownictwa (w skrócie: CKR albo CKW) partii. List ten, datowany w Warszawie 10 lutego 1940 roku, przywiózł do Paryża kurier por. Jerzy Feliks Szymański, późniejszy skoczek spadochronowy tzw. cichociemny, zamieszkały po wojnie w Londynie. List został mi doręczony 28 marca 1940 roku w Paryżu. Kluczowe były w nim zdania:

„Życzymy Ci powodzenia i stwierdzamy, że my tu w kraju będziemy całym sercem z Tobą. Pamiętaj o tym, a jeśli potrzeba — niechaj ten list służy Ci jako oficjalne stwierdzenie naszego do Ciebie stosunku. Myślimy, że może Ci się to przydać wobec pewnych rozdzwieków między nami a naszymi współnikami, a raczej między nami i filią zagraniczną naszej firmy”.

Wspólnicy to inne stronnictwa Jedności Narodowej, nasza firma to Główna Rada Polityczna, która właśnie w owym czasie ulegała przekształceniu na Polityczny Komitet Porozumiewawczy, filia zagraniczna to rząd przebywający na obczyźnie. List



wywodził, że według opinii wszystkich poważnych stronnictw, chociaż skala działalności została ograniczona, to jednak „ciężar spraw pozostał i pozostanie tutaj”, to znaczy w kraju.

W załączonym do listu i ujętym w ośmiu punktach *Pro memoria* CKR uzasadnił wejście w porozumienie także ze Stronnictwem Narodowym:

„Mimo niechęci, zgodziliśmy się tutaj wejść w kompanię z trzecim czynnikiem nam obcym tylko dlatego, aby stworzyć dostateczny dla każdego autorytet jedności i uniemożliwić gierki ludzi, usiłujących jakoś wypłynąć metodą plotek o rozdźwiękach”.

PPS (WRN) wysunęła przy tym zasadę przeniesienia do Warszawy ekspozytury rządu czy też pewnych jego agend i ulokowania ich w aparacie wytworzonym przez trzy stronnictwa. Koncepcję ekspozytury rządu jako czynnika niezależnego a nawet nadrzędnego uważała PPS, wobec koncentracji trzech stronnictw, za koncepcję nie do przyjęcia. Stąd informacja i wniosek. Informacja:

„Jesteśmy zaniepokojeni tymi koncepcjami jako wyrazem określonych tendencji i nastrojów”. *Wniosek*: „Uważamy za konieczne wzmocnienie akcji informacyjnej na zewnątrz, do czego niezbędne jest publiczne sformułowanie zasadniczych tez”.

CKR przyjął do wiadomości, że razem z Liebermanem reprezentując partię w Radzie Narodowej, a jednocześnie przekazał dyrektywę, niepokojącą rząd — list z Warszawy do mnie był bowiem rządowi znany: „Prosimy Jana, aby nie używał naszej firmy na zewnątrz”, co znaczyło, iż partia nie delegowała Stańczyka do rządu, nie uznaje go za swego przedstawiciela w rządzie, i w ogóle nie jest w rządzie reprezentowana. W rzeczy samej, Stańczyka delegowali do rządu Alojzy Adamczyk i Frąckowiak, którzy go pilotowali od samych Katowic przez Warszawę aż do Paryża. Pierwotnie miał wejść do rządu Tadeusz Tomaszewski, lecz Adamczyk i Frąckowiak przekonali generała Sikorskiego, że nazwisko Stańczyka będzie wymowniej przemawiało do robotników całego świata. Tomaszewski poprzestał na stanowisku prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

To samo, tylko w formie bardziej brutalnej, mówił wysłannik Pużaka w osobie dr. Józefa Frejlicha (pseudonim Most), który opuścił Warszawę 12 kwietnia 1940 roku i przeprowadził w siedem tygodni później, w dniach 30 maja i 2 czerwca tegoż roku w Angers rozmowy z kilkoma osobami, tymi samymi, którym miałem przekazać treść listu do mnie z daty 10 lutego; oprócz mnie byli to: Herman Lieberman, Jan Stańczyk i Tadeusz To-

maszewski. Przywiezione wskazówki określił Frejlich — zgodnie z otrzymanym poleceniem — jako instrukcję CKR, a więc nie materiał do wzięcia pod uwagę, lecz nakaz kierownictwa partyjnego. Wedle tej instrukcji, towarzysze z ciał kierowniczego w Warszawie żądają, aby nie powoływać do życia żadnych instancji, które by stwarzały nawet pozory, że kierownictwo partii przeniosło się za granicę i nie czynić żadnych posunięć, które by angażowały całą partię. Zadania PPS na obczyźnie: skupianie sił, propaganda i organizacja zagraniczna. „Musicie mieć wpływ na ogólną politykę rządu w tym kierunku, aby rząd i Rada Narodowa nie przesądzały żadnych spraw na przyszłość, jak konstytucja, ordynacja wyborcza itd.”. Partia żąda, by zwiększyć wpływ PPS na rząd. Partia jest przerażona tym, że ludzie z grupy Paderewskiego obleźli wszystko. Mowa Paderewskiego na otwarciu Rady Narodowej wywarła fatalne wrażenie. Większość mów Sikorskiego tak samo, to są tylko frazesy, a tam tj. w kraju sytuacja jest taka, że frazesów mieliśmy dosyć. „Dla rządu nie ma zachwytu”. Były tam jeszcze życzliwe słowa o Stronictwie Ludowym: „Z ludowcami kontakt jest bliski, wiele rzeczy robi się wspólnie”; było ostrzeżenie przed poczynaniami Barlickiego, który „idzie ręka w rękę z morżowcami” i „absolutnie nie reprezentuje partii”; był stanowczy zakaz wydawania *Robotnika* za granicą, gdyż *Robotnik* ma wychodzić w Polsce; było wreszcie polecenie, by na wydawnictwach zagranicznych używać godła WRN a jednocześnie surowy zakaz, by w tych wydawnictwach nie wypowiadać się w imieniu kraju.

W sumie sprowadzało się to wszystko do organizacyjnego i politycznego podporządkowania sekcji zagranicznej PPS jej krajowemu kierownictwu. Zasada ta była zgodna z całą historią i tradycją PPS, była także zgodna ze zdrowym rozsądkiem, mianowicie z myślą o sytuacji, która wytworzy się w chwili wyjrzmania się kraju, i w której krajowe czynniki organizacji partyjnej na pewno nie zgodzą się na objęcie przewodnictwa nad nimi przez czynniki przybyłe z emigracji. Właściwie nikt tej zasady w paryskim, później londyńskim gronie PPS nie kwestionował, lecz łatwiej było ją postawić niż wyegzekwować. Bądź co bądź, w konsekwencji rozmów z Frejlichem udało mi się przeprowadzić zmianę nazwy Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS na skromniejszą: Komitet Zagraniczny PPS.

Za powszechną zgodą komitetu PPS, przypadły mi od chwili mego przybycia do Paryża funkcje jego sekretarza oraz — już w okresie londyńskim — redaktora ukazującego się wśród dużych trudności organu prasowego PPS, któremu ku nieukrywanemu

gniewowi Liebermana nadałem nazwę *Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii*, bez tradycyjnej winiety, za to z godłem WRN w nagłówku. Trudności wynikały częściowo z nieszczęśliwego wypadku, z którego ledwo wyszedłem z życiem i który mnie na jakiś czas unieruchomił, częściowo zaś z uchwalonego przez rząd zakazu wydawania pism frakcyjnych: chodziło o zlikwidowanie endecko-oenerowskiego *Jestem Polakiem*, który rozbrzmiewał nieprzyjemnymi w ogóle dla Polaków echemi w Izbie Gmin, w praktyce jednak zakaz skrupić się miał na organie PPS, zgodnie z zasadą „ślusarz zawinił, kowala powiesili”. Oczywiście nie zamierzałem zastosować się do tego obmyślonego przez prof. Kota zakazu, miałem w tej sprawie poparcie ogółu członków PPS, lecz przez dłuższy czas władze brytyjskie nie przyznawały nam papieru i musiałem poprzestać na powielanym i nieregularnie wychodzącym *Przedświcie*.

W dniu 4 marca 1940 roku, a więc jeszcze w Paryżu, zostałem mianowany członkiem Rady Narodowej, w dniu 8 listopada tegoż roku także zastępcą członka Komitetu dla Spraw Kraju (KSK). Członkiem Komitetu był minister Stańczyk; on też a nie ja uczestniczył w posiedzeniach Komitetu, aż do dnia 28 stycznia 1941 roku, kiedy to zostałem mianowany członkiem Komitetu w miejsce Stańczyka. Tymczasem jednak, w dniu 28 maja 1940 roku, KSK uchwalił zasady organizacyjne pracy w kraju, w myśl których rząd miał powołać w kraju trzech głównych delegatów, po jednym na tereny inkorporowane do Rzeszy, Generał-Gubernatorstwo i okupację sowiecką. Uchwałę tę zatwierdziła w dniu 11 czerwca 1940 roku Rada Ministrów. Nic o tej uchwale nie wiedziałem, jak się okazało, nie wiedział o niej — a raczej nie zdawał sobie sprawy z jej znaczenia — również Stańczyk, chociaż powinien był wiedzieć; niestety myśli jego w czasie ważnych debat rządowych i komisyjnych bujały zazwyczaj w obłokach marzeń o własnej, wielkiej i sławnej przyszłości. Wobec załamania się Francji i przeniesienia siedziby rządu polskiego do Londynu, wykonanie uchwały uległo zwłoce, rząd jednak, a w szczególności minister do spraw kraju prof. Kot, myśli tej nie porzucił. Emisariusz rządowy, który wyruszył z Londynu 5 grudnia 1940 roku do Warszawy, zabrał z sobą utrwalone na filmie nominacje dwóch delegatów głównych: Cyryla Ratajskiego (pseudonimy: Wartski, Wrzos) w Warszawie i Adolfa Bnińskiego (pseudonim: Białoń) w Poznaniu. W kraju nominacje te wywołały niezadowolenie i oburzenie, niemal wściekłość.

Oliwy do ognia dołała radiodepesza gen. Sikorskiego z dnia 13 stycznia 1941 roku do nowomianowanego delegata Rataj-

skiego. Wspólna opinia całego Centralnego Kierownictwa Ruchu MPP uznała ten dokument za „proklamację wojny Rządu emigracyjnego z krajowymi organizacjami chłopów i robotników” i nasunęła mu wniosek, że stworzona sytuacja wymaga zasadniczej rewizji stosunku PPS do Rządu. AC (Andrzej Czarski tj. Zygmunt Zaremba) pisał do mnie pod datą Warszawa 22 stycznia 1941 roku: „Jasne jest, że zrobimy wszystko, aby ujawnione w tej depezy tendencje unicestwić i doprowadzić do jedynie rozsądnego załatwienia sprawy przez przyjęcie naszych postulatów... Nie zależy nam na wojnie z Rządem i chcemy jej uniknąć, ale nie możemy dopuścić do polityki, która w efekcie musi dać biurokratyczne zagmatwanie stosunków, szerokie pole dla intryg kanapkowych grup i odskocznię dla faszystowskich planów endeckich”. Co do ujemnej roli Ratajskiego — pisał dalej Zaremba — nie ma tutaj tj. w kraju najmniejszej różnicy zdań. „Jego cechy osobiste również czynią go niezdatnym do tej funkcji i na pewno wywołają szereg kompromitacji”. Uwagi CKR co do treści depezy gen. Sikorskiego z dnia 13 stycznia 1941 roku ujęte były w sześciu punktach. Oto one:

1) Charakter Delegatury ujęty został w depezy inaczej niż dotychczas. Delegat miał we wszystkich sprawach opierać się na opinii czterech stronnictw. Obecnie o tym ani słowa. Z tego wnioskujemy, że zwyciężyła tendencja uczynienia z Delegatury biurokratycznego czynnika, oderwanego od krajowych sił, a stanowiącego narzędzie niezależnej od kraju polityki Rządu, przekreślającej podstawową zasadę o całkowitej samodzielności kraju. W praktyce oznacza to bezkontrolną działalność nieodpowiedzialnej kliki, jaka tworzy się przy Delegacie. Nawet sprawy finansowe usunięte są spod kontroli społecznej. Wszystko to przypomina naśladownictwo metod 'Ozonu' i stwarza obawy uzasadnione innymi jeszcze przejawami, iż 'realna praca' Delegata w kraju może pójść po drodze efemerydy partii rządowej. (Zwraca uwagę, że w punkcie tym mowa jest o zasięgnięciu opinii czterech stronnictw, podczas gdy poprzednio, np. w liście z dnia 10 marca 1940 roku, mowa była o porozumieniu trzech stronnictw. W tym czasie zgodzono się jednak rozszerzyć tę współpracę na czwarte stronnictwo, tj. Stronnictwo Pracy — i tak już pozostało do samego końca zorganizowanej współpracy stronnictw Polski Podziemnej).

2) Zatrącenie prawdziwej miary znaczenia Rządu i Delegatury ujawniają dwa dalsze zdania depezy generała Sikorskiego; jedno, mówiące że jedność państwową reprezentuje Prezydent R.P., a broni jej stale Rząd; i drugie, nadające Delegatowi Ratajskiemu „w razie potrzeby” prawo decyzji w sprawach całego terytorium Polski. Zdaniem CKR, jedność państwową stwarza przede wszystkim jedność myśli politycznej i społecznej państwa i siła zorganizowanych w nim najbardziej aktywnych elementów, wszystko inne jest stroną formalną i uzależnioną od tego, kto i jak spełnia funkcje reprezentacyjne. Delegatura, jeśli ma być narzędziem spójni wewnętrznej kraju, musi być dostosowana do form organizacji politycznej kraju i dlatego stawiamy żądanie Delegatury Centralnej. Frazes „w razie potrzeby” ujawnia duże lekceważenie tej podstawowej zasady.

3) Polecenie Delegatowi „nadesłania sprawozdań o organizacjach poli-

tycznych, wniosków dotyczących samodzielnych organizacji wojskowych, sprawozdań o sprawach finansowych oraz specjalnego naświetlania ruchu młodych w kraju i opinii jak ustosunkować się do organizacji „Muszkietierów”, w sytuacji wytworzonej odrzuceniem naszych propozycji prowadzi od razu na tory najbardziej fałszywe. Wymienione sprawozdania, opracowane przez otoczenie p. Ratajskiego, muszą dać obraz zupełnie fantastyczny. Jednym z zadań Delegatury miało być bezstronne informowanie Rządu. Jest to możliwe tylko w warunkach rzeczywistej współpracy Delegata ze stronnictwami. Teraz będą to elaboraty jednej grupki, związanej z p. Ratajskim, pozbawionej zresztą jakiegokolwiek wpływu w kraju i orientującej się na „dynamizm” endeków. Rozumiemy, że ten ustęp depeszy sygnalizuje także możliwość powrotnej fali planowego proszkowania życia politycznego kraju i tworzenia różnych fikcyjnych organizacji, które swą liczbą będą miały zastąpić treść masowego ruchu robotników i chłopów. Od listopada-grudnia 1939 roku przeżywalimy już takich prób kilka. Możemy zapewnić, że całe to politykierstwo i znów przejmowanie od „Ozonu” metod „ruchu młodych” nie da żadnych efektów, nawet gdy organizacja „Muszkietierów”, licząca kilka komórek, zostanie całkowicie wraz z innymi podobnymi pozyskana.

4) Ubolewanie Rządu z powodu czynienia „niezrozumiałych trudności” przez „te same stronnictwa, które zgodnie zaproponowały” kandydaturę p. Ratajskiego, swoją metodą przypomina istnienie w Londynie współautorów zalecania zmiany konstytucji. W rzeczywistości p. Ratajski był zaproponowany na zastępcę tymczasowego Delegata. Dzięki intrydze wypłynął jako Delegat normalny. Różnica jest dość jasna, by ubolewania Rządu traktować tylko jako zwrot retoryczny.

5) Nie można jednak tak spokojnie potraktować następnego zwrotu depeszy, kiedy w związku z opozycją stronnictw czytamy: „Widocznie niektórzy nie zdają sobie dotąd sprawy z ogromu klęski, jaka spadła na Polskę”. Musimy stanowczo wyprosić sobie podobne nauki. Przede wszystkim nie mają ich udzielać członkowie Rządu na emigracji pod adresem tych, którzy w kraju bili się do ostatka, w warunkach jakie tu istnieją objęli i prowadzą pracę, klęski zaś jakie spadły na Polskę znają nie tylko z listów i raportów, ale z codziennego krwawego doświadczenia. Tak samo zupełnie nie na miejscu jest führerowski zwrot: „Obecnie oczekuję, że patriotyzm weźmie górę nad względami osobistymi czy partyjnymi”. Pomiając już posmak tego zdania, przypominający czasy sanacyjnej walki z partyjniactwem, stronnictwa pracujące w kraju nie przyjmą od nikogo lekcji patriotyzmu, a funkcji Delegata nie uważają za zaszczyt czy synekurę.

6) Historia Delegatury wreszcie jest również przedstawiona w depeszy fałszywie. Jeszcze latem 1940 roku z inicjatywy stronnictw lewicy powstała krajowa reprezentacja Rządu na obczyźnie i rozpoczęła działalność, którą uniemożliwił nie kto inny, jak Rząd i endeckie warcholstwo. Przyjście czas również na oświetlenie tych metod „normalizacji prac krajowych”, które wyraziły się w podsygnięciu jednostkowych ambicji i gwałtownym poszukiwaniu sił odśrodkowych w stronnictwach, by stworzyć pustkę pozwalającą właśnie na zastosowanie w praktyce takiej jak dziś koncepcji biurokratycznego rządu krajem z Londynu. Nie rozwijamy tego teraz, pozostawiając ten temat historii. Wobec powyższego wymaganie „jak najszerszej współpracy wszystkich czynników politycznych z p. Wartskim (Ratajskim) na podstawie lojalności obustronnej” jesteśmy zmuszeni odwrócić, gdyż tego właśnie wymaga sprawa polska. Na szerszą i szerołą współpracę rzeczywistych czynników politycznych w Polsce pozwoli właśnie mianowanie Delegata Centralnego i jego zastępcy, związanych z ruchami mas chłopskich i robot-

nicznych. Urzeczywistnienie tego postulatu będzie probierzem istotnej lojalności Rządu wobec roli czynników politycznych w kraju.

Takie więc było brzmienie sześciu uwag CKR. Jak w dalszym ciągu powiadał mnie Zaremba w swym liście, z rozmów przeprowadzonych z ludowcami wynikało, „że i oni mają opinię podobną”. Istotnie, w depeszy z dnia 5 lutego 1941 roku kierownictwo Stronnictwa Ludowego równie gwałtownie jak kierownictwo PPS zaprotestowało przeciwko depeszy gen. Sikorskiego, podtrzymując swoje stanowisko wyrażone we wspólnym z PPS oświadczeniu z dnia 18 grudnia 1940 roku, że podział kraju na trzy delegatury był błędem Rządu, a powołanie na delegata Ratajskiego będzie funkcją tylko reprezentacyjną; oba stronnictwa zapowiedziały utrzymanie kontaktu z delegatem tylko w zakresie spraw wojskowych i walki z okupacją.

Niezależnie od oświadczenia CKR z dnia 21 stycznia 1941 roku, Kazimierz Pużak (pseudonim: Bazyli) zdecydował się na krok wyjątkowy, a mianowicie skierował pismo osobiste z naświetleniem sytuacji wprost do premiera gen. Sikorskiego. W liście z daty Warszawa 3 marca 1941 roku uzasadnił koncepcję jednego centralnego delegata rządu, któremu podlegają wyznaczeni w miarę potrzeby delegaci poszczególnych okupacji i terytoriów. „Tak uppełnomocniony delegat winien sprawować swe funkcje w ścisłym porozumieniu i w lojalnej współpracy stronnictw na zasadach *primus inter pares*. Stronnictwa ze swej strony, niosąc wspólnie z delegatem odpowiedzialność, powinny pełnić rolę nie tylko doradczą, ale też kontrolującą czynności delegata”. Kto zatem ma być delegatem i jego zastępcą? — zapytywał Pużak w dalszym ciągu swego listu. Odpowiedź brzmiała: reprezentanci masowych ruchów chłopów i robotników, delegatem winna być osoba wskazana przez Stronnictwo Ludowe, jego zastępcą osoba wskazana przez PPS. „Zapewne wywoła to sprzeciw kół prawicowych”, lecz rząd „zobowiązany jest kierować się interesem Polski jako całości”. Nie wolno nam zapominać — pisał Pużak — „że w momencie rozstrzygających walk o naszą niepodległość między totalizmem wschodu i zachodu, Polska, jeżeli ma się ostać wolną, musi być elementem zwartej siły ludowej z wyraźną symboliką własnej władzy, bo tylko ten układ, a nie chytra budowa biurokratyczna, społecznie i politycznie neutralna, na wszystkich się opierająca a nikogo w istocie nie obchodząca, ostoi się w tej dziejowej próbie polskiej”. Taki był pogląd Pużaka i taka była polityka PPS, a nie wyssany z palca spisec socjalistów z czynnikami kierowniczymi rodzącej się armii podziemnej, skierowany jakoby przeciwko rządowi w

Londynie, w szczególności przeciwko Sikorskiemu i jego poplecznikom. W tym miejscu należy dodać, że na delegata centralnego upatrzony był prof. Julian Piekalkiewicz (pseudonimy: Juliański, Wernic), na jego zastępcę — Antoni Pajdak (pseudonimy: Okrzejski, Traugutt). Roman Buczek w książce „Stronnictwo Ludowe w latach 1939-1945”, Londyn 1975, str. 192, w ślad za prof. Kotem wyjaśnia, że niefortunna nominacja Ratajskiego nastąpiła przez nieporozumienie, ale i on nie zaprzecza, że depe-sza PKP wyrażała zgodę na propozycję emisariusza i tymczasowego delegata rządu, płk. Jana Skorobohatego-Jakubowskiego, by w razie jego aresztowania przez Niemców Cyryl Ratajski spełniał li tylko rolę zastępcy tymczasowego delegata. Depeszę tę — jak podaje Buczkowi Karol Popiel — „wykorzystał Kot dla przekonania Sikorskiego, iż należy z tego skorzystać, aby rozstrzygnąć przewlekającą się sprawę uzgadniania kandydatury i zamianować Ratajskiego delegatem”. Również wedle listu Popiela do Buczka, prof. Kot „widząc coraz bardziej przewlekającą się sprawę powołania Delegata przez kraj, zaproponował gen. Sikorskiemu mianowanie ponad stronnictwami inż. Tadeusza Sławińskiego”, powiązanego przed wojną z Lewiatanem i najbardziej zaufanego człowieka gen. Sikorskiego w kraju (Buczek, *op. cit.*, str. 192). Tym mniej mogłem w tych sprawach uczynić, że prof. Kot przestał w ogóle zwoływać posiedzenia KSK, czyżby także przez nieporozumienie? W okresie, w którym byłem członkiem tego komitetu, odbyły się tylko trzy posiedzenia: w dniach 10 lutego, 21 lutego i 13 marca 1941 roku, a od tego czasu aż do dnia 18 marca 1942 roku czyli przez cały rok nie odbyło się ani jedno jego posiedzenie. W dniu 16 czerwca 1942 roku premier gen. Sikorski odwołał mnie ze stanowiska członka komitetu.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, w trakcie rokowań o umowę Sikorski - Majskij, doszło do ostrego konfliktu w gronie Komitetu Zagranicznego PPS. Po raz pierwszy i jedyny wystąpiłem wówczas jako pełnomocnik CKR i złożyłem w dniu 30 lipca 1941 roku Prezydentowi Raczkiewiczowi i premierowi gen. Sikorskiemu pisma identycznej treści: „Wobec uchwalenia przez Radę Ministrów R.P. tekstu umowy polsko-sowieckiej w brzmieniu, moim zdaniem, nie czyniącym zadość interesom Polski, uważam za konieczne stwierdzić, iż umowa ta doszła do skutku tak co do treści jak i co do formy bez udziału Polskiej Partii Socjalistycznej i że stronictwo to za ustalone brzmienie umowy odpowiedzialności nie przyjmuje i nie ponosi”. Od prezesa Rady Ministrów otrzymałem w odpowiedzi oficjalny list z daty Londyn 1 sierpnia 1941 roku, zawiadamiający, że nie może przyjąć



treści mego pisma do wiadomości: „Uchwała Rady Ministrów, przyjmująca do zatwierdzającej wiadomości treść umowy polsko-sowieckiej i wyrażająca zgodę na podpisanie tej umowy, doszła do skutku z udziałem Pana Ministra Stańczyka, reprezentującego PPS w Rządzie Jedności Narodowej oraz za wiedzą i zgodą Prezesa PPS p. Hermana Liebermana, Wiceprzewodniczącego Rady Narodowej. Zarówno Prezes Lieberman, jak Minister Stańczyk są ze mną w ciągłym kontakcie i podtrzymują swoje stanowisko w imieniu PPS. Równocześnie stwierdzam, że nie mogę uznać zdania Pana Pośta za wyraz opinii centralnego kierownictwa PPS, jak to Pan Poseł usiłuje wykazać w swym piśmie”. Z artykułu Judexa (Tadeusza Rozmanita) w wychodzącym w Linköping w Szwecji czasopiśmie *Nasz Znak*, nr 6 (97) z czerwca 1960 roku dowiedziałem się ponadto, że dyrektor biura prezydialnego Rady Ministrów Adam Romer zaopatrzył moje pismo do premiera gen. Sikorskiego w następujący dopisek: „P. Prezes Lieberman określił treść tego pisma jako 'kłamstwo'. Przeciwno układowi głosowali tylko p. Ciołkosz i jego żona, po czym ustąpili z Zarządu. Treść odpowiedzi uzgodniłem z Prezesem Liebermanem”. O dopisku tym dowiedziałem się dopiero z *Naszego Znak* po niespełna dwudziestu latach. Grubiańskie pominięcie w liście do mnie najprostszycy formuł grzecznościowych uznałem za przejaw podenerwowania gen. Sikorskiego i pokwitowałem wzruszeniem ramion. Pozostałem przy moim zdaniu, sprowadzającym się do dwóch tez: po pierwsze, że brzmienie umowy otwarło na nowo problem granicy polsko-sowieckiej; po drugie, że za treść i formę umowy odpowiedzialność wzięł na siebie osobiście gen. Sikorski. Nie zmieniłem też zdania do dnia dzisiejszego. Nigdy jednak nie twierdziłem, że umowa jest nieważna i że nie obowiązuje, chociaż byłem pewny, że jej brzmienie obróci się przeciwko nam od chwili, gdy zmieni się szczęście wojenne i Armia Czerwona przejdzie do ofensywy. Poglądom swym na całość zagadnienia dałem wyraz w przemówieniu na XLII-gim posiedzeniu Rady Narodowej w Londynie w dniu 15 lipca 1941 roku — było to ostatnie posiedzenie pierwszej Rady Narodowej, w dniu 3 września uległa ona rozwiązaniu.

Oczywiście, żadnego kłamstwa z mej strony nie było. Jak widać z dopisku Adama Romera i z listu gen. Sikorskiego do mnie, Lieberman uważał, że kierownictwo PPS znajduje się w Londynie i że decyzja, powzięta przez Liebermana, Stańczyka, Grosfelda i Adamczyka, jest decyzją PPS. Ja zaś byłem zdania, że PPS jest w Polsce i że jej kierownictwo znajduje się w Warszawie. Radiodepeszą z dnia 12 sierpnia 1941 roku złożyłem Bazylemu (Pużakowi) sprawozdanie z sytuacji w Londynie i po-

wiadomiłem o stanowisku zajęтым przeze mnie w sprawie umowy polsko-sowieckiej, prosząc o decyzję. Zwracam uwagę na datę mej radiodepeszy, obala ona bowiem legendę, jakoby decyzje powzięte przez partię w Warszawie zapadły za moją radą i pod moim wpływem — Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących Polski już w dniu 7 sierpnia 1941 roku wydało „oświadczenie w sprawie paktu sowiecko-polskiego”, złożyło je na ręce Delegata Rządu i przesłało drogą oficjalną do Rządu w Londynie, gdzie w krótkiej drodze powędrowało do Prezydium Rady Ministrów, zatajone przede mną, przed Komitetem Zagranicznym PPS i w ogóle przed polskimi czynnikami politycznymi w Londynie. Ten wielkiej wagi dokument publikuję w całości jako załącznik 1.

Na decyzje z Warszawy musiałem czekać długo. Wprawdzie w dniu 3 września 1941 roku otrzymałem krótką radiodepeszę Marcina (Zaremby), nie miała ona jednak charakteru oficjalnego i nie mogłem się na nią powoływać. Jej brzmienie: „Wobec umowy z Sowietami ustosunkowaliśmy się krytycznie. Postawiliśmy warunki, od ich wykonania uzależnimy stosunek do rządu. Tekst warunków przesłany drogą oficjalną”. Dopiero w dniu 3 grudnia 1941 roku nadeszło do Londynu zaszyfrowane pismo CKR z daty Warszawa 7 września 1941 roku, adresowane do Sekcji Zagranicznej PPS na ręce Ciołkosza i Liebermana (w tej kolejności), podpisane przez Tomasza Arciszewskiego, Kazimierza Pużaka i Zygmunta Zarembę (w tej kolejności). Kwitowało ono odbiór radiodepesz: Liebermana i mojej. Potwierdzało udzielone mi pełnomocnictwo do reprezentowania PPS na terenie emigracji tym bardziej, że Stańczyk i Lieberman zajęli stanowiska ministerialne, a ponadto wyrażało pogląd, że winienem pozostać członkiem Komisji do Spraw Krajowych „i czuwać nad całokształtem spraw Sekcji Zagranicznej PPS”. Co do umowy Sikorski-Majskij, pismo CKR oświadczało: „Stanowisko Kremerowskiego (tj. Ciołkosza) pokrywa się zasadniczo z naszą deklaracją w sprawie umowy. Umowa była pożądana, lecz jej brzmienie nie odpowiada interesom Polski i stwarza wielkie niebezpieczeństwa”. W dalszym ciągu CKR wskazywał, co należy czynić, by grożące niebezpieczeństwa odwrócić i wzywał „do jak najszybszego skierowania całego wysiłku polskiego ku odrobieniu błędów i zapobiegnięciu dalszemu wpadaniu w zależność od aliantów, i odbudowania w pełni samostannego znaczenia sprawy polskiej jako zupełnie odrębnej od spraw imperium rosyjskiego”. Pismo to uważał CKR za tak ważne, że skierował je do Londynu trzema różnymi drogami. W liście z daty Warszawa 19 września 1941 roku Andrzej C. (Zygmunt Zaremba) raz jeszcze potwierdził stanowisko CKR, pisząc: „Kochany Adamie, w odpowiedzi na

Twoją depeszę i depeszę wuja Przemyskiego (tj. Liebermana) odpowiedzieliśmy również depeszą, w której w imieniu rodziny (tj. partii) 1) stwierdziliśmy naszą zasadniczą zgodność z Twoim stanowiskiem, 2) podkreśliliśmy, że wobec faktu dokonanej umowy należy skoncentrować siły dla niedopuszczenia jej ewentualnych złych skutków, i wezwaliśmy Was do pogodzenia się i zjednoczenia wysiłków w tej tak poważnej chwili. Platformę akcji obszernie nakreśliśmy w depeszy. Jednocześnie przestaliśmy Ci upoważnienie do reprezentowania interesów całej rodziny (tj. partii)”. Do listu załączone były: raz jeszcze tekst depeszy CKR oraz mikrofilmy z fotograficznymi odbitkami Programu Polski Ludowej i prasy WRN, m.in. numeru „WRN” zawierającego oświadczenie w sprawie paktu sowiecko-polskiego. Cała ta wymiana zdań była o tyle ważna, że wytyczała taktykę PPS w kraju i na emigracji, także i mój sposób postępowania, odmienny od sposobu postępowania londyńskiego środowiska Narodowej Demokracji z Tadeuszem Bieleckim na czele oraz ministrów, którzy wystąpili z rządu gen. Sikorskiego.

W dniu 19 grudnia 1941 roku osobiście wręczyłem wicepremierowi Mikołajczykowi rozszyfrowany tekst pisma CKR z daty 7 września, streszczającego oświadczenie CKR z dnia 7 sierpnia i określającego taktykę partii. Odpis części politycznej wręczyłem w dniu 20 stycznia 1942 roku także ambasadorowi Edwardowi Raczyńskiemu, p.o. ministra Spraw Zagranicznych. Mikołajczyk milczał w czasie naszego spotkania, lecz nie osmieleł się zaprzeczyć autentyczności dokumentu, zaś ambasador Raczyński był z niego zadowolony, powiedział mi, że dokument ten jako głos z kraju wzmocni go w rozmowach z sojusznikiem brytyjskim na tematy stosunków polsko-sowieckich. Liebermana nie mogłem powiadomić o treści szyfru, gdyż zmarł w dniu 21 października 1941 roku, natomiast odpis otrzymał ode mnie Ludwik Grosfeld, wybrany po mym ustąpieniu sekretarzem Komitetu Zagranicznego PPS. Jeszcze przed doręczeniem mu pisma CKR, zaraz po zgonie Liebermana, Grosfeld poprosił mnie o rozmowę i zaproponował moje wejście do rządu na miejsce opróżnione przez Liebermana. Nie miałem wątpliwości, że za propozycją tą stoi gen. Sikorski, tym bardziej, że Grosfeld postawił mi warunek przyłączenia się do interpretacji umowy Sikorski - Majskiej jako przywracającej przebieg linii granicznej z traktatu ryskiego. Była to interpretacja zupełnie błędna, więc nie mogłem jej przyjąć. Zaproponowałem natomiast wskazanie przez Komitet Zagraniczny PPS Jana Kwapińskiego jako kandydata na opróżniony urząd (myli się Olgierd Terlecki w książce „Generał ostatniej legendy”, Chicago 1976, str. 178, gdy twierdzi, że Kwapińskiego

powołał do rządu gen. Sikorski dla przeciwstawienia mnie i Pra-  
gierowi „innego socjalisty z autorytetem”, albowiem nie gen.  
Sikorski, lecz ja byłem sprawcą wejścia Kwapińskiego do rządu).  
Uczyliem to, gdyż byłem pewny, że Kwapiński nie zakwestionuje  
roli Arciszewskiego, Pużaka i Zaremby jako kierownictwa PPS  
— i pod tym, ale tylko pod tym jednym względem nie zawio-  
dłem się na nim. Sprawa ta nabierała coraz większego znaczenia  
wobec uformowania się w kraju z dniem 1 września 1941 roku  
rozłamowej grupy Polskich Socjalistów na czele z Adamem Próch-  
nikiem, który też został wkrótce potem przyjęty w skład Politycz-  
nego Komitetu Porozumiewawczego w miejsce Pużaka, gdy WRN  
tj. autentyczna PPS uchwałą plenum CKR z dnia 5 września  
postanowiła wstrzymać się od udziału w PKP do czasu załatwie-  
nia jej postulatów. Jak się zdaje — pisał do mnie Marcin  
(Zaremba) w liście z daty Warszawa 27 listopada 1941 roku —  
„front Morges doszedł do szczytowego punktu swojej intrygi.  
Osiągnął pozór rozbitcia ruchu robotniczego... Jak się zdaje,  
ludowcy poszli po linii frontu Morges i również robią minę,  
jakoby nie wiedzieli, gdzie rzeczywiście znajduje się partia”.  
Partia — w tym wypadku PPS.

Jak widać, konflikt był dawniejszy, niż data wybuchu wojny  
niemiecko-sowieckiej i zatarg o interpretację brzmienia umowy  
Sikorski - Majskij. Toteż z kompleksem zagadnień, wynikających  
z tej umowy, skumulowały się cztery kwestie: po pierwsze, gdzie  
jest i w kim uosobiona jest PPS w kraju i na emigracji; po drugie,  
gdzie zapadają zasadnicze i przesądzające przyszłość Polski decyzje,  
w kraju czy na wojennej emigracji; po trzecie, jaka ma być orga-  
nizacja podziemnej Polski i sposób działania tej organizacji i jej  
ciał kierowniczych; po czwarte, jakie jest oblicze Polski walczą-  
cej, włącznie z przebywającym na obczyźnie rządem i z kierow-  
niczymi czynnikami podziemia. Już w pierwszym oświadczeniu  
w sprawie paktu Sikorski - Majskij, z daty Warszawa 7 sierpnia  
1941 roku, stwierdzało Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pra-  
cujących Polski: „Umowa polsko-sowiecka nie gwarantuje całości  
Rzeczypospolitej Polskiej i nie rozwiązuje najważniejszych spraw  
stanowiących treść stosunków polsko-sowieckich, lecz dopiero  
otwiera drogę do ich uregulowania. Nakłada to na lud pracujący  
Polski obowiązek stworzenia warunków zabezpieczających przed  
tym, by umowa polsko-sowiecka nie stała się tylko świstkiem  
papieru, jak inne traktaty przedwojenne i wojenne, zawierane  
z Sowietami... W interesie zarówno Polski jak i Rosji leży, by  
umowa polsko-sowiecka w swym wykonaniu nabrała tej wyrazis-  
tości i wymowy, jaka winna cechować wejście dwóch narodów na  
drogę szczerego porozumienia. Tylko czujność ludu polskiego i wy-

raźne jego stanowisko we wszystkich sprawach — przede wszystkim w sprawie całości i niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej — może przewyższyć dyplomatyczne niejasności umowy polsko-sowieckiej. Konieczne też jest najściślejsze zespolenie się rządu z opinią mas ludowych w kraju, bowiem odrywanie się od podłoża krajowego grozi coraz bardziej pogorszeniem się naszej pozycji międzynarodowej”.

W szyfrowanym piśmie z dnia 7 września 1941 roku do Komitetu Zagranicznego PPS w Londynie CKR alarmował: „...nie wtrącając się do waszej decyzji o rozszerzeniu udziału w rządzie, podkreślamy tylko odpowiedzialność tow. ministrów wobec kraju i partii, które nie rozumieją udziału socjalistów w rządzie nie posiadającym wyraźnej linii polityczno-społecznej, tym bardziej, gdy dotąd rząd nie spełnił naszych postulatów zawartych we wspólnej ze Stronnictwem Ludowym deklaracji i naszych deklaracjach samodzielnych... Nasze postulaty co do określenia platformy politycznej rządu i uregulowania spraw krajowych podtrzymujemy w pełni, składając je delegatowi dla zakomunikowania rządowi i od spełnienia ich uzależniamy swój przyszły stosunek do rządu i do delegatury w kraju”. Na zapytania, skierowane przez rząd w Londynie za pośrednictwem delegata rządu w Warszawie do PPS, CKR Mas Pracujących Polski dał w dniu 10 września 1941 roku następującą odpowiedź: „Nie występowaliśmy z PKP ostatecznie, bowiem istnienie tej instytucji w zasadzie uważamy za pożyteczne, lecz tylko czasowo i warunkowo powstrzymaliśmy się od uczestniczenia w jego obradach wobec daremnego dobijania się o urzeczywistnienie naszych najskromniejszych postulatów i wytworzenia się warunków nie dających nadziei na ich zrealizowanie. Gotowi jesteśmy powrócić do PKP z chwilą, gdy a) demokratyczna deklaracja Rządu stanie się platformą dla wszystkich członków PKP, b) osoba delegata i jego zastępcy będzie uzgodniona również i z nami, c) poniechana zostanie robota prowadząca do biurokratyzacji życia krajowego i dywersji w organizacjach, np. wprowadzania przedstawiciela tak zwanych „Polskich Socjalistów” do PKP, natomiast czynniki miarodajne oprą się całkowicie na siłach zorganizowanej demokracji, d) PKP stanie się rzeczywistym organem opiniodawczym i kontrolującym w stosunku do przedstawicieli Rządu w kraju”.

Po związanych z zawarciem umowy Sikorski - Majskiej zmianach w składzie rządu, wicepremier Mikołajczyk wystąpił do ministrów: Liebermana (PPS) i Popiela (Stronnictwo Pracy) z wnioskiem o opracowanie zasad mających być podstawą dalszych prac rządu. Wniosek został przyjęty, obrady nad dekla-

racją zasad toczyły się pod przewodnictwem Liebermana, przyjęta w tym gronie deklaracja zasad brzmiała:

„Głównym celem Jedności Narodowej jest wyzwolenie niepodległej Polski i wprowadzenie w niej ustroju demokratycznego po ukończeniu wojny. Rząd jest narzędziem władzy i woli ogółu obywateli Rzeczypospolitej Polskiej i jej dobru winien służyć. Wykluczony jest na przyszłość tryb rządów jednostki, klik oraz wszelkich grup oligarchicznych, do jakiegokolwiek klasy ludności by one nie należały. Wykluczony jest wszelki rząd nieodpowiedzialny i niekontrolowany przez przedstawicielstwo narodowe.

Rząd uznaje za naczelne swoje zadanie przez najwydatniejszy udział w wojnie i w konferencjach pokojowych, zabezpieczenie bezpośredniego i rozległego dostępu do morza oraz granic dających rękojmię trwałego bezpieczeństwa Rzeczypospolitej Polskiej.

Nie przesądzając w niczym przyszłego ustroju politycznego i gospodarczego państwa, o którym zdecyduje kraj po odzyskaniu wolności, Rząd stwierdza:

Państwo Polskie stać będzie na gruncie kultury i zasad chrześcijańskich.

Polska będzie państwem demokratycznym, opartym na równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości wobec prawa i przed urzędami, na poszanowaniu wolności jednostki i praw obywatelskich, wreszcie na poszanowaniu praw narodowych mniejszości narodów słowiańskich, litewskiej i żydowskiej.

Polska przestrzegać będzie zasady rządów prawnych, odpowiedzialnych i kontrolowanych przez przedstawicielstwo narodowe, wybrane w uczciwych wyborach, dokonanych na podstawie tajnego, równego, powszechnego i bezpośredniego głosowania.

W stosunkach społeczno-gospodarczych Polska urzeczywistni zasadę sprawiedliwości, prawo wszystkich do pracy ze szczególnym uwzględnieniem prawa rzesz włościańskich do ziemi i jej sprawiedliwego między nie podziału oraz praw rzesz robotniczych i pracowników umysłowych do wpływu na produkcję i do sprawiedliwego udziału w jej owocach, tudzież do ochrony pracy przed wyzyskiem, celem ugruntowania racjonalnej wytwórczości społecznej w interesie całej ludności i sprawiedliwego zabezpieczenia zdrowia ludzkiego przed ruiną”.

Była to — przeważnie dosłowna — powtórka odezwy generała Sikorskiego z dnia 18 grudnia 1939 roku. Pod jednym tylko względem była bardziej od niej konkretna, a mianowicie precyzowała zapowiedzianą wówczas demokratyczną ordynację wyborczą jako opartą na tajnym, równym, powszechnym i bezpośrednim prawie głosowania, pomijała tym samym piąty przymiotnik, tj. proporcjonalność podziału mandatów w przedstawicielstwie narodowym, co w stosunkach polskich miało ostrze skierowane przeciwko opartym o klasę robotniczą ugrupowaniom z programem socjalistycznym. Pod pewnym względem nowa deklaracja zasad stanowiła wyraźne uwstecznienie w zestawieniu z odezwą z 18 grudnia 1939, tamta bowiem zapowiadała m.in. szczególne uwzględnienie prawa pracujących do warsztatów pracy, co załamywało uspołecznieniem środków produkcji, nowa deklaracja

zasad była bardziej precyzyjna ale też społecznie mniej postępową czy lewicową.

Druga część deklaracji zasad zajmowała się organizacją Jedności Narodowej. Trzy człony — mówiła deklaracja — składają się na Jedność Narodową: Rząd, Rada Narodowa i organizacja polityczna kraju. Jedność Narodowa jest nierozdzielna i obejmuje współdziałanie stronnictw w rządzie, Radzie Narodowej i organizacji politycznej kraju. Prezes Rady Ministrów jako ponoszący główną odpowiedzialność za konstrukcję i bieg pracy rządu, przed przedstawieniem Prezydentowi R.P. wniosku o nominację Rady Ministrów, porozumiewa się ze stronnictwami Jedności Narodowej co do jego składu. Rada Narodowa ma w swoim składzie po czterech (*de facto* było ich po pięciu) członków każdego ze stronnictw Jedności Narodowej, przy czym prezes Rady Ministrów przedkłada Prezydentowi kandydatury, podane przez prezesów stronnictw Jedności Narodowej i powołania członków spoza stronnictw. I na koniec: „Prezes Rady Ministrów porozumiewa się ze stronnictwami Jedności Narodowej”.

Deklaracja zasad została przez podziemną publicystykę WRN przyjęta życzliwie jako dostateczna podstawa dla stworzenia koalicji demokratycznej, która by stanęła na czele powstania przeciwko najęźdźcom i okupantom i poprowadziła harmonijną akcję zarówno w kraju jak i za granicą. Na razie jednak sformułowania deklaracji zasad wysuwały na naczelne miejsce czynniki przebywające na obczyźnie i usuwały w cień czynniki podziemnego życia politycznego w kraju. Postanowienie o porozumiewaniu się premiera — desygnała ze stronnictwami co do składu rządu, a więc o uzgadnianiu tego składu, okazało się po tragicznym zgonie gen. Sikorskiego kompletną fikcją; Mikołajczyk narzucił wówczas skład rządu stronnictwom, a w każdym razie narzucił go komitetowi PPS. Dodatkowym elementem zakłamania było potraktowanie *per non est* Stronnictwa Narodowego pod przewodnictwem Tadeusza Bieleckiego i zamianowanie w to miejsce przedstawicieli „Obozu Narodowego”, pozostającego pod przewodem Seydy i prof. Komarnickiego; dla życia polskiego byłoby lepiej i zdrowiej zrezygnować w ogóle z udziału „narodowców” w Rządzie i w Radzie Narodowej; produktem ubocznym takiej decyzji musiałyby jednak być nabranie przez Rząd i Radę Narodową kolorytu zbliżonego do Centrolewu, czego nie chciał ani gen. Sikorski ani Mikołajczyk ani prof. Grabski, który w połowie października 1941 roku pojawił się w „polskim” Londynie i zaczął w nim odgrywać coraz to większą rolę.

Napływ do Londynu działaczy politycznych, uwolnionych



z więzień i łagrów sowieckich, wzmocnił środowisko polskie w Londynie, a jednocześnie zorientował je bardziej w stronę osoby gen. Sikorskiego wielbionego jako ten, który ich wyprowadził z domu niewoli. Wymienić tu należy przede wszystkim Władysława Zarembę i Franciszka Wilka ze Stronnictwa Ludowego, Mieczysława Mastka i Jana Szczyrka z Polskiej Partii Socjalistycznej, oraz bezpartyjnego prof. Stanisława Grabskiego ze Lwowa. Prof. Grabski zadeklarował wobec Mikołajczyka zamiar przystąpienia do Stronnictwa Ludowego, ale mu to Mikołajczyk wyperswadował. Gen. Sikorski — jak to określa Adam Romer w swej relacji „Z Sikorskim i Mikołajczykiem”, str. 30 — predestynował Grabskiego na przewodniczącego drugiej Rady Narodowej, którą Prezydent Raczkiewicz zamianował w dniu 3 lutego 1942 roku w składzie 31 członków, i której inauguracyjne posiedzenie odbyło się w dniu 24 lutego. Z Polskiej Partii Socjalistycznej członkami Rady mianowani zostali Alojzy Adamczyk, Adam Ciołkosz, Mieczysław Mastek, Adam Pragier i Jan Szczyrek. Ten ostatni był z partii usunięty przez CKW jeszcze w roku 1936 za politykę „jednolitego frontu” z komunistami, nie da się jednak zaprzeczyć, że był pod okupacją sowiecką prześladowany i więziony na równi z socjalistami takimi jak Bronisław Skalak, a co najważniejsze, zjednał sobie całkowicie Kwapińskiego, który z niego uczynił swego głównego doradcę w sprawach polskich, podobnie jak z Jerzego Szapiry uczynił swego głównego doradcę w sprawach polityki międzynarodowej; trzeba więc było — co prawda z ciężkim sercem — rzucić zasłonę na przeszłość Szczyrka i traktować go jako członka partii. Na wspólnych konferencjach przedstawiciele SL i PPS w dniach 22 i 23 lutego Mikołajczyk usiłował nakłonić socjalistów do udzielenia poparcia kandydaturze prof. Stanisława Grabskiego na przewodniczącego Rady Narodowej, jako kandydaturze cieszącej się życzliwością gen. Sikorskiego, jednakże PPS wysunęła moją kandydaturę, a wobec sprzeciwu ludowców oświadczyła ustami Adamczyka, że w głosowaniu odda białe kartki i w ogóle nie weźmie udziału w prezydium Rady. Przemawiając na jej inauguracyjnym posiedzeniu, premier gen. Sikorski wyraził imieniem Rządu „szczerze zadowolenie” z wyboru „tak wybitnego i zasłużonego męża stanu”, jak prof. Stanisław Grabski, wyraził też przekonanie, że prof. Grabski będzie „głosem obywatelskiego sumienia” i że dopilnuje, „aby tak pożądane porozumienie polsko-rosyjskie zostało w pełni zrealizowane”. Niezależnie od tego przemówienia, można powiedzieć, że prof. Grabski stał się politycznym mózgiem gen. Sikorskiego, potem zaś jego następcy, Mikołajczyka, a jednocześnie profesor Kot wypadł z łaski.

Stanisław Grabski nie cieszył się dobrą opinią na lewicy. Wprawdzie w swych młodych, szwajcarskich latach był socjalistą, a nawet brał udział w założycielskim zjeździe PPS w Paryżu w 1892 roku, ale potem dokonał obrotu o 180 stopni i przeszedł do czołowych szeregów Narodowej Demokracji, należał do pierwszych organizatorów tego stronnictwa w Galicji i przez pewien czas był naczelnym redaktorem dziennika *Słowo Polskie* we Lwowie. Koło Polskie w I-szej Dumie powołało go na rzeczoznawcę zagadnień konstytucyjnych i eksperta przy opracowywaniu projektu autonomii dla Królestwa Polskiego. W czasie pierwszej wojny światowej prof. Stanisław Grabski znalazł się pod okupacją rosyjską we Lwowie, gdzie prowadził pertraktacje z rosyjskim generał-gubernatorem hr. Bobrinskim, który ogłosił wcielenie Galicji wschodniej wraz z Bukowiną i Łemkowszczyzną do „jednej i niepodzielnej” Rosji; tematem rozmów mogły więc być tylko przyszłe losy terytoriów polskich, położonych na zachód od narzuconej w ten sposób linii granicznej; Grabski wprawdzie zjednał sobie zaufanie Bobrinskiego, lecz rokowania nie dały żadnego wyniku. Po rewolucji tzw. lutowej w 1917 roku Grabski udał się do Moskwy, gdzie wziął udział w zjeździe polskiego Zjednoczenia Międzypartyjnego i objął kierownictwo wydziału spraw zagranicznych tegoż Zjednoczenia. Po przewrocie bolszewickim przedostał się przez Murmańsk do Paryża i odegrał tam dużą rolę jako jeden z najwybitniejszych członków Polskiego Komitetu Narodowego, może najwybitniejszy po Romanie Dmowskim. W latach 1919-1920 był przewodniczącym komisji spraw zagranicznych Sejmu Ustawodawczego, w kwietniu 1920 roku złożył to stanowisko na znak protestu przeciwko polityce oswabadzania Ukrainy, pozostał jednak w tym i w następnym Sejmie członkiem owej komisji. Odegrał bardzo dużą rolę w rokowaniach pokojowych z rządem sowieckim w Rydze. W roku 1921 był w pewnym momencie kandydatem prawicy na urząd premiera. W rządach: Wincentego Witosa w roku 1923, Władysława Grabskiego w roku 1925 i Aleksandra Skrzyńskiego w latach 1925-1926, był ministrem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Jego dziełem był konkordat z Watykanem, jego również dziełem była niewydarzona ugoda polsko-żydowska, jego dziełem były wreszcie ustawy: o języku urzędowania i o organizacji szkolnictwa, wprowadzające utrakwizm pojmowany jako instrument polonizacji w województwach wschodnich. W ostatnim okresie przedwojennym prof. Grabski działał na rzecz sklecenia w wyborach samorządowych w województwach południowo-wschodnich porozumienia elementów endeckich z „sanacyjnymi” celem zapewnienia polskości w ciałach samorządu terytorialnego.

Po przybyciu do Londynu rozwinął niezwykle — jak na człowieka 70-letniego — ożywioną działalność polityczną. M.in. założył dwutygodnik polityczny *Jutro Polski*, objął jego redakcję i pisał w nim artykuły programowe. Swe poglądy na zagadnienia społeczno-gospodarcze utrwalił w rozprawie pt. „Upaństwowienie czy uspołecznienie i unarodowienie”, ogłoszonej w londyńskim *Ekonomiście Polskim* z IV kwartału 1942 roku. Wypowiedział się w niej za szybkim uprzemysłowieniem Polski i za gospodarką planową, wiążącą szczególnie silnie dążenia i rozwój kluczowych przemysłów z ekspansją eksportową kraju. Zarazem wypowiedział się jednak przeciwko upaństwowieniu kluczowych i zbrojeniowych przemysłów jako dającym zmniejszenie przychodów skarbowych, organizację pracy gorszą od dotychczasowej i wyższe a nie niższe koszty wytwarzania narzędzi i środków dalszej produkcji, do czego — wciąż wedle Grabskiego — dodać należy, że dalsza rozbudowa tych przemysłów przez państwo pochłaniałaby nieproporcjonalnie wielką część dochodu społecznego, odbijając się ujemnie na skali życiowej warstw pracujących. Uspołecznienie i unarodowienie kopalń, hut, wielkich akcyjnych fabryk metalurgicznych, chemicznych itp. kluczowych zakładów przemysłowych — pisał Grabski — jest nieodzowne, lecz ich nowa forma organizacyjna winna je uchronić od zbiurokratyzowania i nadmiernej centralizacji. Ta nowa forma miałaby polegać na przekazaniu 40 % udziałów robotnikom pracującym w wielkich przedsiębiorstwach kluczowych; mieliby oni delegować do rady nadzorczej 4/10 jej członków, drugie 4/10 delegowałiby inni udziałowcy, zaś 2/10 powinien delegować minister przemysłu i handlu. Rada nadzorcza mianowałaby dyrekcję, przy czym zawsze powinien wchodzić do niej delegat korporacji robotniczej, posiadającej owe 4/10 udziałów. W obu grupach-korporacjach udziały miałyby być imienne i sprzedażne tylko w ramach odnośnej korporacji, za zgodą jej zarządu. Reforma ta — zastrzegając się Grabski — powinna jednak objąć nie ogół przedsiębiorstw pracujących dla obrony państwa czy też wytwarzających narzędzia dalszej produkcji i siły pędne, lecz tylko wielkokapitalistyczne akcyjne kopalnie, huty i fabryki o charakterze kluczowym, których kapitał w większości był w posiadaniu Niemców. Tym bardziej oczywiste było, że przedsiębiorstwa nie zaliczające się ani do pracujących dla obrony państwa ani też do wytwarzających narzędzia dalszej produkcji lub siły pędne, pozostaną w koncepcji prof. Grabskiego w ręku prywatnych właścicieli i nie ulegną nawet tak specyficznemu pomyślanemu „uspołecznieniu i unarodowieniu”.

Deklaracja rządowa, odczytana przez generała Sikorskiego na

inauguracyjnym posiedzeniu drugiej Rady Narodowej, składała się z dwóch części: część pierwsza określała cele wojenne Polski, część druga — główne zasady powojennego ustroju politycznego i gospodarczo-społecznego Polski. W obu tych częściach deklaracja nawiązywała tak biegiem myśli jak i ich sformułowaniem do odezwy gen. Sikorskiego w imieniu rządu do narodu polskiego z dnia 18 grudnia 1939 roku oraz do Deklaracji Zasad trzech stronnictw Jedności Narodowej z października 1941 roku. Część I-sza brzmiała:

„Rząd Jedności Narodowej, powołany legalnie przez Prezydenta R.P. stanowi wraz z nim o ciągłości konstytucyjnej państwa i jest pełnoprawną władzą wykonawczą Państwa Polskiego. A uważając się za narzędzie woli ogółu obywateli Rzeczypospolitej oraz mając na celu jedynie Jej dobro, stwierdza:

1. Naczelnym zadaniem Rządu R.P. jest wyzwolenie Ojczyzny i uzyskanie należnego Jej miejsca w rodzinie wolnych narodów. Dąży on do tego celu przez najwydatniejszy udział wojenny Polski i Jej Siły Zbrojnej w obozie walczącej demokracji oraz przez zapewnienie Polsce, obok bezpośredniego i rozległego dostępu do morza, granic, dających pełną rękojmię bezpieczeństwa i dobrobytu Rzeczypospolitej.

2. Rząd R.P., biorąc czynny udział w pracach nad przygotowaniem powojennego porządku światowego, kieruje się zasadą, że musi on zapewnić trwałą i sprawiedliwy pokój. Oparty na wzajemnej współpracy wolnych narodów i na uprawnieniu każdego z nich do swobodnego bytu, ochraniający on być powinien zorganizowaną siłą pozostającą w służbie prawa. Bloki federacyjne narodów, stworzone racjonalnie i celowo na terenie Europy, wprowadzą i zabezpieczą nowy porządek oraz uchronią świat przed niebezpieczeństwem wojny.

Rząd domagać się będzie zupełnego i skutecznego, wykluczającego na przyszłość agresję, rozbrojenia napastników oraz surowego ukarania winnych obecnej wojny Niemiec i ich sojuszników. Za wyrządzone przez siebie krzywdy, za dokonane zbrodnie i zniszczenia, ponieść oni muszą całkowitą karę, dając równocześnie poszkodowanym całkowite zadośćuczynienie materialne i moralne: jest to nakaz elementarnej sprawiedliwości dziejowej, która panować musi w stosunkach międzynarodowych”.

Jedynym nowym elementem w tej części deklaracji była zasada bloków federacyjnych. Nie stanowiła ona jednak zaskoczenia, gdyż jeszcze dnia 11 listopada 1940 roku rządy: polski i czechosłowacki oświadczyły uroczyście, że zamierzają wejść z sobą po zakończeniu wojny w ściślejszy związek polityczny i gospodarczy, zdefiniowany w rok później jako federacja, zaś deklaracją z dnia 24 stycznia 1942 roku określony jako konfederacja państw Europy Środkowej. W tym samym czasie, bo 15 stycznia 1942 roku, rządy: grecki i jugosłowiański podpisały z sobą układ o utworzeniu unii bałkańskiej. Zasada ukarania zbrodni niemieckich przyjęta została w deklaracji rządów: polskiego, brytyjskiego i francuskiego z dnia 20 kwietnia 1940 roku,

oraz w deklaracji dziewięciu państw sojusznicych z dnia 13 stycznia 1942 roku. Uderzało natomiast całkowite pominięcie czynników krajowych jako elementów ciągłości państwowej i władzy wykonawczej w Polsce, lecz reklamacje z tego powodu nie napłynęły, sprawa organizacji władz podziemnych w kraju daleka jeszcze była w owym czasie od uregulowania, inne sprawy zaprzętały wówczas uwagę podziemia.

Część II-ga deklaracji brzmiała:

„O przyszłym ustroju politycznym i gospodarczym Państwa Polskiego zadczyduje ostatecznie Sejm Wolnej Polski, w którego ręce Rząd odda władzę ustawodawczą bezwzględnie po zakończeniu działań wojennych. Dziś jednak, kiedy zbliża się chwila decydowania o powojennej organizacji świata i Europy a kiedy opinia międzynarodowa chce wiedzieć jaka będzie przyszła Polska, by na tym oprzeć swoje do Niej zaufanie, Rząd Jedności Narodowej stwierdza:

1. Polska stać będzie na gruncie kultury i zasad chrześcijańskich.

2. Polska będzie państwem demokratycznym i republikańskim, przestrzegającym ściśle zasady rządów prawnych, odpowiedzialnych przed rzetelnym przedstawicielstwem narodowym, reprezentującym w pełni wolę całego społeczeństwa i wybranym w powszechnym, równym, bezpośrednim i tajnym głosowaniu. Naród polski odcina się bezwzględnie od wszelkich, sprzecznych z zasadami demokratycznymi, totalitarnych systemów rządzenia i jakiegokolwiek formy dyktatury.

3. Polska zapewni poszanowanie wolności i praw obywatelskich wszystkim wiernym Rzeczypospolitej obywatelom, bez względu na różnice narodowości, wyznania i rasy. Mniejszościom narodowym spełniającym swoje obowiązki obywatelskie wobec państwa, Polska zapewni przy równych obowiązkach równe prawa oraz da im możliwość swobodnego rozwoju politycznego, kulturalnego i społecznego.

Wolność wyznania, sumienia i słowa, stowarzyszenia i zgromadzania się będzie wszystkim w pełni zapewniona. Wymiar sprawiedliwości będzie niezależny od jakichkolwiek wpływów administracji państwowej.

4. Polska powojenna dążyć będzie do zagwarantowania całej swojej ludności zatrudnienia i godziwego zarobku, usuwając w ten sposób ze swych ziem klęskę bezrobocia. Każdy obywatel mieć będzie prawo do pracy i obowiązek pracy przy zachowaniu swobody wyboru zatrudnienia. Całość gospodarki narodowej prowadzona będzie w myśl powyższego założenia i podporządkowana zostanie ogólnym wytycznym, zgodnie z koniecznością planowej odbudowy zniszczeń wojennych, uprzemysłowienia Kraju oraz wydobycia wszystkich sił wytwórczych, nieodzownych dla pomyślności ogółu obywateli.

Racjonalna reforma rolna, gwarantując masom włościańskim dalszy sprawiedliwy podział ziem, stworzyć powinna, poza nielicznymi gospodarstwami wzorowymi i doświadczalnymi, niewielkie, obsługiwane w zasadzie przez rodziny właścicieli, lecz samodzielne warsztaty rolne, opłacalne i posiadające zdolność produkcyjną.

Opierając się na tych założeniach prawno-politycznych i społeczno-gospodarczych podniesiemy poziom bytu mas pracujących — włościan, robotników i inteligencji — zapewniając im współdziałanie należyte w rozwoju własnej kultury narodowej.

5. Naród polski poczyni wszelkie wysiłki, ażeby w jak najkrótszym

czasie podnieść ogólny stan gospodarczy Polski, opóźniony w swym rozwoju z powodów politycznych w czasie zaborów i cofnięty w czasie okupacji, do stanu narodów zachodnio-europejskich, pragnąc w dziedzinie tej współpracować z innymi narodami demokratycznymi.

6. Ofiarny patriotyzm i zdrowy zmysł polityczny, którego tyle dowodów składa nasz naród w tej wojnie, nakazuje oprzeć całość życia publicznego w Polsce na inicjatywie i działalności samego społeczeństwa, a w szczególności pozostawić jak największy zakres spraw życia publicznego do swobodnego rozstrzygnięcia i załatwiania samorządom terytorialnym, gospodarczym i zawodowym.

7. Polska mieć będzie silną i sprężystą władzę wykonawczą, zdolną do działań szybkich i stanowczych, celem uprzedzenia wrogich wobec Polski zamierzeń, oraz skupiającą całą energię narodu w chwilach niebezpieczeństwa”.

Jak wiemy od Adama Romera z cytowanej już relacji, str. 38, gen. Sikorski brał intensywny udział w dyskusjach Rady Ministrów nad projektem powyższej deklaracji, „starając się o uchronienie jej treści przed zbyt radykalnymi tendencjami społeczno-gospodarczymi”, zaś Mikołajczyk miał poglądy bardzo do Sikorskiego zbliżone. Toteż w punkcie 4 zabrakło jakiegokolwiek wzmianki o przejściu przynajmniej kluczowych gałęzi przemysłu na własność publiczną. Pozostało jednakże prawo do pracy i zasada gospodarki planowej. Streszczona poprzednio praca prof. Grabskiego w *Ekonomiście Polskim* pozwala przypuszczać, że punkty: 4, 5 i 6, a także 7 sformułowane zostały w dużej mierze pod wpływem prof. Grabskiego. Nic też dziwnego, że w swym przemówieniu po objęciu urzędu przewodniczącego Rady Narodowej sławił tę deklarację, zaś cele w niej wymienione określił jako „naprawdę wielkie”. Całość deklaracji, umiarkowanej w zakresie problematyki społeczno-gospodarczej oraz wiążącej zasadę rządów prawnych, i odpowiedzialnych przed rzetelnym przedstawicielstwem narodowym, z zasadą silnej i sprężystej władzy wykonawczej, oddawała dobrze sposób myślenia frontu Morges, znany z przedwojennych wystąpień publicystycznych tej formacji. Dla oceny deklaracji adekwatne byłyby słowa Pużaka, przekazane nam przez Frejlicha w Angers — „nie budziła zachwyty”, ale też nie wywoływała sprzeciwu. Przywódcy i działacze PPS w kraju uznali ją za wystarczającą od biedy sprawdzian demokratycznego charakteru rządu.

Rzecz jednak nie skończyła się na deklaracji rządu. Jeszcze w październiku 1941 roku rząd powołał do życia Komisję Spraw Ustrojowych przy Prezesie Rady Ministrów; jej przewodnictwo gen. Sikorski powierzył prof. Stanisławowi Grabskiemu, ponadto w skład komisji weszli Władysław Banaczyk (Stronnictwo Ludowe), ks. Zygmunt Kaczyński (Stronnictwo Pracy), prof. Wacław

Komarnicki (fronda Stronnictwa Narodowego) i Mieczysław Mastek (Polska Partia Socjalistyczna). Ich przynależność do wymienionych stronnictw była niewątpliwa, natomiast wątpliwe było, czy ich te stronnictwa desygnowały, na pewno ani Mastek ani Komarnicki nie byli wyznaczeni przez swe stronnictwa. Pracowała ona w tempie bardzo szybkim i zakończyła swe prace w dniu 21 stycznia 1942 roku, a więc w terminie wcześniejszym niż deklaracja rządu. Wygotowany przez nią dokument nosił nazwę: „Zasady przyszłego ustroju państwowego Polski” i wszedł na porządek dzienny V-tego posiedzenia Rady Narodowej w dniu 19 marca 1942 roku razem z listem, którym prezes Rady Ministrów gen. Sikorski prosił Radę Narodową o zaopiniowanie projektu „Zasad”. „Wyjaśniając sprawę” — jak to wedle stenogramu posiedzenia określił wicepremier Mikołajczyk — rząd powiadomił Radę, że jego deklaracja „jest tą zasadniczą linią, która — jeśli chodzi o oblicze Rządu — będzie przyświecać pracom Rady Narodowej, natomiast opinia Rady Narodowej na podstawie studiów i projektów Komisji Spraw Ustrojowych będzie tą wytyczną, która będzie przyświecać Rządowi przy opracowywaniu ostatecznego projektu ustrojowego przyszłej Polski”. Nie było to zbyt jasne wprowadzenie w sedno sprawy, jasno jednak z niego wynikało, że wprawdzie rząd zamierza opracować ostateczny projekt ustrojowy powojennej Polski, lecz nie identyfikuje się z projektem komisji Grabskiego. „Nie przesądzając niczego ani nie bawiąc się w prorocтва”, zwrócił Mikołajczyk Radzie Narodowej uwagę, że „jednak świat zmierza w kierunku końca wojny. Z tego wynika wniosek przygotowania się do przyszłości... Zarówno potrzeba określenia swego oblicza, jak również — bez przesadzania na emigracji, jednak konieczność przygotowania planów przyszłościowych, by kraj nie miał pretensji, że mając możliwość pracy nie przygotowaliśmy niczego — zmuszają nas do myśli o przyszłości”. Wskazując na trudności natury zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej, z którymi trzeba się liczyć przy opracowywaniu zagadnień przyszłości, powołał się Mikołajczyk na pewniki i na dylematy. Jako pewnik uznał, że w przyszłości nie będzie w Polsce obowiązywał kapitalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy, działający przy całkowitej wolności bez kontroli państwa i uwzględnienia interesu społecznego, ale też nie będzie nam wytyczną fatalny państwowy system społeczno-gospodarczy, który wytworzył się na Wschodzie — na Radzie Narodowej nie padło tym razem żądanie upaństwowienia wszystkiego, „jak to często słyszeliśmy dawniej”; trudno było odgadnąć, co Mikołajczyk miał tu na myśli, może odezwę rządu gen. Sikorskiego z dnia 19 grudnia 1939 roku, zapowiadającą m.in. szczególne

uwzględnienie prawa pracujących do warsztatów pracy? Mikołajczyk wskazał na dwa przykłady dylematów: ustrój rolny oparty o prywatne władanie i pracę właściciela czy też kołchoz, na innym zaś odcinku — daleko idące zakusy wniknięcia w życie wewnętrzne robotniczych związków zawodowych, niewątpliwie po to, by w przyszłości wyrzucić nacisk na ustrój, nie zawsze może idąc po linii interesów mas robotniczych. Po tym niezbyt jasnym wyjaśnieniu, wiceprzewodniczący Rady Banaczyk wniósł o odesłanie projektu do komisji prawno-politycznej w myśl regulaminu obrad Rady. I wtedy rozpuściła się burza.

Wiedzieliśmy od Mastka, że powołana została do życia komisja przyszłego ustroju państwowego Polski, nie wiedzieliśmy jednak nic a nic o projekcie, przedłożonym jej przez prof. Grabskiego. Tekst projektu otrzymaliśmy w przeddzień posiedzenia Rady, razem z zaproszeniem na posiedzenie. To jednak wystarczyło, by zwołać na poczekaniu posiedzenie komitetu PPS i ustalić zdecydowanie negatywne stanowisko wobec projektu. Okazało się, że nie znali go nawet członkowie rządu, projekt został skierowany do Rady Narodowej przez prezesa Rady Ministrów, gen. Sikorskiego, który na posiedzenie Rady osobiście nie przybył, szykował się w tym czasie do mającej lada dzień nastąpić drugiej podróży do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Projekt Grabskiego, ujęty w 74 artykułach, był skandaliczny i budził odrazę przede wszystkim swym zakłamaniem. Za naczelną zasadę powojennego życia państwa polskiego projekt komisji Grabskiego bez zastrzeżeń przyjmował wzajemne zaufanie władzy państwowej i społeczeństwa, jak i najszerszy współdziałanie obywateli w kształtowaniu życia publicznego Polski i odpowiedzialności za jej losy. „Państwo polskie musi oprzeć się na patriotyzmie szerokich mas swych obywateli, na ich udziale w życiu publicznym i tą drogą wyrabianym i utrwalanym w nim poczuciu odpowiedzialności za losy państwa”. W dalszym jednak ciągu okazać się miało, że ten udział szerokich mas w życiu publicznym ma się ograniczyć do ciał samorządowych: wydziałów i sejmików wojewódzkich, wydziałów i rad państwowych, zarządów i rad gminnych, magistratów i rad miejskich, izb rolniczych, przemysłowo-handlowych, rękodzielniczych oraz robotniczych, towarzystw rolniczych i szeregu już istniejących i specjalnie do tego powoływanych stowarzyszeń spółdzielczych. „Szeroki i naprawdę wolny samorząd — to najlepsza szkoła kultury obywatelskiej. ... Im żywszy będzie udział ogółu ludności w życiu organizacji samorządowych — tym szybciej podnosić się będzie ich kultura obywatelska. A będzie tym żywszy, im szerszy będzie zakres spraw załatwianych przez samorządy, i im ciała samorządowe



będą bardziej niezależne w swych decyzjach od wskazań czy nacisków administracji państwowej”. Brzmiałoby to nawet dość obiecująco, gdyby nie trzy wtrącone w ten bieg myśli zdania: „O losach Polski będą coraz bardziej decydować masy ludowe. Więc naczelnym zagadnieniem naszej przyszłości jest sprawa możliwie szybkiego postępu prawno-politycznego, wyrabiania się warstwy włościańskiej i robotniczej. Postępu tego jednak nie zapewnią same wybory parlamentarne i sprawozdania z obrad Sejmu”.

Tymi trzema zdaniem wychodziło szydło z worka, w tych trzech zdaniach mieściła się patronacka myśl o rzekomym niewyrobieniu „warstwy włościańskiej i robotniczej”, której trzeba dopiero dopomóc w podnoszeniu jej kultury obywatelskiej, kierując ją do przedszkola samorządów terytorialnych i zawodowych oraz spółdzielczości. Wprawdzie — wciąż wedle projektu komisji Grabskiego — ustrój Polski nie może być ustrojem państwa totalnego, „totalizm bowiem nie odpowiada naszej tradycji narodowej ani naszemu charakterowi narodowemu, nie ma również dla niego odpowiednich warunków w naszym państwie”. Z drugiej jednak strony, ustrój Polski nie może być ustrojem „państwa, rządzonego przez parlament”, albowiem zarówno wewnętrzne jak i zewnętrzne warunki, w jakich szczególnie znajdzie się Państwo Polskie po wojnie, będą wymagały „silnej władzy wykonawczej, mającej możliwość szybkich decyzji i skutecznych zarządzeń, zwłaszcza w chwilach niebezpieczeństw, i posiadającej dostateczny autorytet dla przeprowadzenia programu odbudowy kraju i skierowania go na drogę rozwoju gospodarczego i kulturalnego”. Z tych względów Państwo Polskie posiadać musi (światek było to: musi) ustrój reprezentacyjny (parlamentarny), ale nie rządu parlamentu. Myśl ta nie była nowością, chociaż członkowie komisji Grabskiego zapewne nie zdawali sobie sprawy z tego, czym echem rozbrzmiewał ich elaborat. Ojcem koncepcji ustroju reprezentacyjnego, parlamentarnego lecz wykluczającego rządu parlamentu, był mianowicie Bismarck, gdy tworzył Drugą Rzeszę Niemiecką po zwycięstwie nad Francją, odniesionym w roku 1870: Reichstag pochodził z wyborów powszechnych, nie mógł jednak obalić rządu, powoływanie rządu było wyłącznie uprawnieniem cesarza, które mu odebrała dopiero klęska wojenna i rewolucja roku 1918, gdy zlikwidowała po 50 latach cesarstwo.

Analogia słała niestety bardzo daleko. Nieodzowną konsekwencją koncepcji Grabskiego: ustrój parlamentarny ale nie rządu parlamentu, było przyznanie Prezydentowi R.P. uprawnień, czyniących zeń nie tylko reprezentanta majestatu państwa, lecz i

„istotnego naczelnika”. Prezydentowi, albo też królowi Polski. Projekt komisji Grabskiego przewidywał bowiem możliwość przyjęcia przez Polskę ustroju monarchicznego.

Sprawa pozostawała przez lat trzydzieści ostonięta woalem tajemnicy. Przełamał ją dopiero Nicholas Bethell, autor niezbyt udanej książki „Gomułka, His Poland and His Communism” i znakomitej książki „The War Hitler Won”. Bethell opublikował w londyńskim *Sunday Times* z dnia 5 listopada 1972 roku artykuł pt. „When Kent nearly went to Poland” („Gdy książę Kentu niemal udał się do Polski”). Artykuł zaczynał się od słów: „Z początkiem ostatniej wojny śp. książę Kentu niemal został królem Polski na zaproszenie generała Sikorskiego, emigracyjnego premiera. Osobliwy ten fakt ujawniły ostatnio udostępnione dokumenty *Foreign Office*’u”. Podczas oficjalnej rewii polskich i brytyjskich okrętów wojennych w Rosyth w pobliżu Edynburga w dniu 17 listopada 1939 roku Sikorski zjadł śniadanie razem z księciem Kentu; książę siedział przy stole pomiędzy Sikorskim a urzędnikiem ambasady polskiej Stefanem Litauerem, po południu księstwo Kent podejmowali Sikorskiego w swej pobliskiej siedzibie. W tydzień później Litauer rozmawiał z pewnym dyplomatą brytyjskim na temat planowanej przez Sikorskiego federacji Polski i Czechosłowacji. Zapis *Foreign Office*’u brzmi: „Jak się zdaje, Sikorski hołubi obecnie myśl o jakimś widzialnym i symbolicznym wiązadłe pomiędzy nimi w postaci monarchii. Jak się zdaje, dobre wrażenie, jakie książę Kentu wywarł na Sikorskim w czasie jego pobytu w Szkocji, nasunęło na myśl jego nazwisko jako możliwego kandydata”. William Strang, późniejszy szef *Foreign Office*’u, dodał do sprawozdania powyższego swój komentarz: „Polacy są nieuleczalnymi romantykami”. Powinien był napisać: Sikorski, a nie Polacy. I powinien był napisać: jest fantastą. W ciągu dwóch lat pomiędzy katastrofą Francji a tragedią gibraltarską Sikorski spotkał się z księciem Kentu dziesięć razy. Z dokumentów wynika, że zainteresowania księcia nie ograniczały się do przejawów sympatii dla Polski i Polaków i do ceremoniału. Interesował się też najdelikatniejszymi sprawami państwa i polityki międzynarodowej. Sikorski był do księcia głęboko przywiązany, lecz — pisze Bethell — nie da się powiedzieć jak daleko zapędził się w swym pomysle uczynienia go królem. Najprawdopodobniej jego pierwsze tentatywne sondże zostały szybko ze strony brytyjskiej ukrócone”.

W każdym razie — w czasie, gdy komisja Grabskiego wypracowywała swój projekt, kandydatura księcia Kentu do tronu i korony polskiej była wciąż aktualna. Jego to ponad wszelką wątpliwość miała ta komisja na myśli, gdy kreśliła artykuł 2

„ogólnych zasad ustroju państwowego”, a w nim klauzulę: „Gdyby względy polityki międzynarodowej uczyniły aktualnym i potrzebnym przyjęcie przez Naród Polski ustroju monarchicznego...”. Projekt komisji Grabskiego nie był pomyślany jako przyczynek do teorii prawa politycznego, lecz jako konkretna propozycja, dla konkretnego kraju, w konkretnym czasie, trzeba więc przyjąć, że komisja miała rzeczywiście na myśli wprowadzenie w Polsce ustroju monarchicznego. Dla oceny jej zamierzeń i przewidywań ma też znaczenie używana w projekcie terminologia — nie ma w nim mowy o Rzeczypospolitej Polskiej, mowa jest z reguły o Państwie Polskim, co może oznaczać równie dobrze republikę jak i monarchię. Bez znaczenia były natomiast dalsze słowa teże klauzuli stanowiące, że w wypadku wprowadzenia w Polsce monarchii wszystkie pozostałe tezy dotyczące ustroju „zostają niezmienione, w szczególności nie może ulec jakimkolwiek ograniczeniu charakter państwa demokratycznego i praworządnego”. W naszej części Europy żadne państwo o ustroju monarchicznym nie zachowało charakteru demokratycznego i praworządnego, sam fakt istnienia monarchii musiałby także w Polsce wzmocnić tendencje reakcyjne, antydemokratyczne i autokratyczne — bez względu na brzmienie przepisów konstytucji. Książę Kentu zginął w katastrofie lotniczej 25 sierpnia 1942 roku. Gen. Sikorski był tą śmiercią do głębi poruszony i wydał rozkaz dzienny, do odczytania przed frontem wszystkich jednostek Polskich Sił Zbrojnych, opłakujący zgon oddanego sprawie Polski przyjaciela. „Reakcja — zauważa Bethell — niezwykła ze strony jakiegokolwiek kraju na zgon cudzoziemskiego księcia”.

Projekt komisji Grabskiego zaczynał się w artykule 1 zdumiewającym sformułowaniem, które u profesora uniwersytetu nie mogło być ani przypadkiem ani pomyłką. Artykuł ten oznajmiał mianowicie, że „władza zwierzchnia w Państwie Polskim pochodzi od Narodu”. Nie „należy do narodu”, lecz „pochodzi od narodu”, co mogło mieć tylko jedno znaczenie, a mianowicie iż naród polski może jemu jedynie przysługującą władzę suwerenną przekazać komuś innemu, konkretnie — królowi. Poza tym jednym artykułem, zastrzegającym możliwość przyjęcia ustroju monarchicznego, wszędzie dalej mowa była o Prezydencie, w tym jednak kontekście nie byłoby nic łatwiejszego, jak zastąpić wyrazy „Prezydent Rzplitej” wyrazem „król”. Prezydent tedy reprezentuje Majestat Państwa (przez duże M i duże P), on jest zwierzchnikiem Sił Zbrojnych Państwa, on też jest najwyższą władzą w Państwie i sprawuje zwierzchnie kierownictwo władz państwowych: ustawodawczej, wykonawczej i sądowej.

Nie będzie to jednak naczelnik samowładny, w uzasadnieniu projektu czytamy bowiem, że Prezydent musi mieć co prawda duże uprawnienia, „nie sposób jednak jest wynaleźć system, który zapewni wybór najodpowiedniejszego zawsze na kierownika władz państwowych Prezydenta”. O ile nie będzie on dość silną indywidualnością, grozi niebezpieczeństwo „wyzyskiwania wielkich jego uprawnień przez klikę ludzi, którzy opanują swymi wpływami Prezydenta”. Zapobiec temu może jedynie stworzenie przy Prezydencie stałego ciała doradczego — Rady Stanu, której współdziałanie byłoby niezbędne przy aktach, przeciwstawiających wolę Prezydenta postanowieniom Sejmu (założenie umotywowanego sprzeciwu przeciwko uchwaleniu przez Sejm ustawy lub przez Izbę Senatorską dekretu); przy ogłaszaniu w dowolnej chwili orędy do Sejmu, zawierających wskazania programowe, dotyczące najważniejszych w tym czasie spraw państwowych oraz ocenę ogólnego wewnętrznego i zewnętrznego położenia Państwa; przy wydawaniu w chwilach grożących wybuchem wojny jak również zaburzeń wewnętrznych, a także na podstawie upoważnienia Sejmu, dekretów wprowadzających nowe normy prawne przy ogłaszaniu stanu wyjątkowego i wojennego. We wszystkich tych wypadkach, oprócz wysłuchania opinii czy też uzyskania zgody Rady Stanu, wymagana być miała także kontrasygnata Prezesa Rządu. W razie ponowienia powziętej uchwały przez Sejm czy też Izbę Senatorską większością swego składu, uchwała ta stać się miała ustawą czy też dekretem pomimo sprzeciwu Prezydenta. Dekrety z mocą ustawy, wydane w chwilach grożących wybuchem wojny lub zaburzeniami wewnętrznymi, miałby Prezydent przedłożyć następnie w razie wybuchu wojny w ciągu 4 tygodni do zatwierdzenia wybranej na czas trwania działań wojennych przez Sejm, i posiadającej jego uprawnienia, „Radzie Obrony Państwa”, zaś w razie dalszego trwania pokoju — Sejmowi, który powinienby zwołać również w ciągu 4 tygodni.

Uprawnienia Prezydenta szły więc wedle projektu komisji Grabskiego dalej, niż uprawnienia, wynikające z konstytucji kwietniowej. Tamta konstytucja stanowiła (art. 55), iż ustawa może upoważnić Prezydenta do wydawania dekretów w czasie i zakresie, przez nią oznaczonym; upoważnieniem nie mogła być objęta zmiana konstytucji. Dekrety takie mogły być jednak wydawane tylko na wniosek Rady Ministrów i mogły być zmienione lub uchylone zwykłym aktem ustawodawczym, podczas gdy projekt komisji Grabskiego nie wymagał dla wydania dekretu wniosku Rządu, wymagał tylko w niektórych wypadkach wysłuchania opinii Rady Stanu, w innych — wyjednaną jej zgody. Uprawnienia wnioskodawcze Rady Ministrów w stosunku do Prezy-

denta Rzplitej znikły w tym projekcie całkowicie i bez śladu, pozostał tylko obowiązek uzyskania pod dekretami kontrasygnaty Prezesa Rządu — i to z wyjątkiem mianowania Prezesa Sądu Najwyższego i Prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa, do czego wymagany był jedynie wniosek (przedstawienie) i kontrasygnata Prezesa Rady Stanu. W projekcie tym Rada Stanu wyrsała tedy na ciało ważniejsze i potężniejsze niż Rząd i Prezes Rządu. Takie tedy miał mieć uprawnienia i tak miał funkcjonować „istotny naczelnik” Państwa Polskiego. Wprawdzie wedle art. 2 (4) konstytucji kwietniowej, w osobie Prezydenta skupiała się jednolita i niepodzielna władza państwowa, natomiast wedle art. 3 projektu Grabskiego ustrój Państwa Polskiego miał się oprzeć na zasadzie podziału władz: ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Tym niemniej wedle art. 11 konstytucji kwietniowej Prezydent Rzeczypospolitej miał „harmonizować działania naczelných organów państwowych”, wedle art. 4 projektu Grabskiego miał „sprawować zwierzchnie kierownictwo władz państwowych”. Trudno byłoby dopatrzeć się w tym nowym sformułowaniu zmiany na lepsze, słowa były inne lecz istota rzeczy ta sama.

Sposób wybierania Prezydenta określony został dostatecznie szczegółowo: wybiera go na lat 7 Zgromadzenie Narodowe, złożone z wszystkich członków Rady Stanu, delegatów Izby Poselskiej i Senatorskiej, wybranych w liczbie równej połowie ustawowego ich składu oraz delegatów sejmików wojewódzkich i rad miejskich Warszawy, Łodzi, Lwowa, Krakowa, Poznania, Wilna i Katowic (uderza pominięcie miast pomorskich) w łącznej liczbie nie większej od połowy delegatów izb ustawodawczych; ponowny wybór jest dopuszczalny bez ograniczenia. Zastępstwo Prezydenta Rzplitej sprawuje Prezes Rady Stanu, który na ten czas oddaje przewodnictwo w Radzie Stanu w ręce wiceprzewodniczącego. Jeżeli urząd Prezydenta Rzplitej zostaje opróżniony w czasie wojny, wyboru Prezydenta Rzplitej dokonuje Rada Stanu i Rada Obrony Państwa na wspólnym posiedzeniu. Mandat w ten sposób wybranego Prezydenta trwa do upływu dwóch miesięcy po zawarciu pokoju.

Przechodzimy do — obok Prezydenta czy też króla — najważniejszej instytucji w projekcie komisji Grabskiego. Jest nim Rada Stanu. Składa się ona z 21 osób, a mianowicie z Prezesa Rządu, Ministrów Wojny, Spraw Zagranicznych, Spraw Wewnętrznych i Gospodarki Narodowej, z 5 członków wybranych przez Izbę Poselską, 4 członków wybranych przez Izbę Senatorską, 4 osób mianowanych przez Prezydenta Rzplitej oraz 3 osób kooptowanych przez poprzednio wymienionych. Tak pomyślany

skład Rady Stanu zapewniać miał ogromną przewagę czynnikom pochodzącym z nominacji lub elitarnej selekcji, tylko 5 członków wybranych przez Izbę Poselską i 2 wybranych przez Izbę Senatorską miałyby pochodzić z głosowania wprawdzie pośredniego, tym niemniej powszechnego. Rada Stanu wybiera ze swego grona Prezesa, jego zastępcę i sekretarza. Po nowych wyborach do Sejmu (co lat 5) i zmianie na stanowisku Prezydenta Rzplitej (co lat 7) skład Rady Stanu ulega odnowieniu. Jest to zatem instytucja nieustająca, jedyna w tym ustroju permanentna instytucja konstytucyjna. Formalnie — w ręku Prezydenta, faktycznie — w jej ręku miałyby się znaleźć klucze do życia państwowego.

Artykuł 19 projektu komisji Grabskiego opiewał: „Władzę ustawodawczą sprawuje przedstawicielstwo narodowe, wybrane na podstawie demokratycznego prawa wyborczego. Równocześnie wykonywuje ono kontrolę polityczną nad Rządem i uchwała budżet”. Z wyjątkiem postanowienia o budżecie, wszystkie inne zapowiedzi tego artykułu znajdowały w artykułach dalszych swe zaprzeczenie. Sejm miał się składać z dwóch Izb: Poselskiej i Senatorskiej, przy czym Izba Senatorska miała być uprzywilejowana. Posłowie do Izby Poselskiej mieli być wybierani w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, równym i tajnym względną większością w okręgach 2-mandatowych, przy czym każdy wyborca miał głosować na jednego kandydata; projekt odrzucał system proporcjonalnego podziału mandatów. Czynne prawo wyborcze miało przysługiwać obywatelom polskim, liczącym ukończone 22 lata życia, prawo bierne — 30 lat. Nie biorą udziału w głosowaniu obywatele znajdujący się w czynnej służbie wojskowej, nie mogą kandydować urzędnicy administracji. Izba Senatorska ma być w połowie wybierana w głosowaniu powszechnym, równym, tajnym i pośrednim tj. dwustopniowym, przy czym zaznaczono tylko ale nie określono dokładniej, na czym ma polegać i jak ma być zorganizowana pośredniość głosowania. Druga połowa Izby Senatorskiej miałaby się składać z delegatów sejmików wojewódzkich oraz rad miejskich siedmiu uprzednio wymienionych miast i okręgowych organów samorządu gospodarczego, a także Polskiej Akademii Umiejętności i polskich szkół akademickich. Czynne prawo wyborcze miało przysługiwać obywatelom polskim, mającym ukończone 30 lat życia, bierne prawo wyborcze — 40 lat życia, a ponadto dla wybieralności wymagane być miało wykazanie się czynnym udziałem w życiu publicznym w ciągu co najmniej 5 lat: sprawowanie co najmniej przez jedną kadencję mandatu do Sejmu, członka zarządu i rady gminnej, magistratu i rady miejskiej, rady powiatowej, sejmiku wojewódz-

kiego, izby rolniczej, rzemieślniczej, przemysłowo-handlowej, robotniczej, zarządów i rad stowarzyszeń gospodarczych i kulturalnych, związków zawodowych i instytucji naukowych.

Inicjatywa ustawodawcza miała przysługiwać Rządowi i Sejmowi, w ramach jednak Sejmu Izba Senacka miała być — jak już wspomnieliśmy — uprzywilejowana: miałyby ona nie tylko „korygować uchwały pierwszej Izby”, ale ponadto jej tylko miało przysługiwać prawo normowania spraw „natury specjalnej, o charakterze raczej organizacyjnym, niż materialnie ustawowym”, jak np. organizacja Siły Zbrojnej Państwa, organizacja administracji rządowej, podział administracyjny państwa, organizacja sądownictwa, wyższego szkolnictwa i instytutów badań naukowych. Izba Senatorska miałyby sprawy normować, wydając dekrety senackie z mocą ustawy. Kontyngent rekruta oraz budżet państwowy uchwalają corocznie obie Izby, obie też wykonują kontrolę nad rządem. Tu miejsce na omówienie procedury powoływania i odwoływania Rządu. Prezydent Rzplitej mianuje i odwołuje według własnego uznania Prezesa Rządu oraz na jego wniosek poszczególnych ministrów, zaś Sejm może odmówić zaufania Premierowi i Rządowi albo gdy Premier stawia kwestię zaufania w jednej lub drugiej Izbie, albo też z inicjatywy jednej z Izb, przy czym przewidziana została szczególna procedura, a mianowicie wniosek może być postawiony w którejkolwiek Izbie przez co najmniej czwartą część członków danej Izby; wniosek ten dyskutują i głosują nad nim obie Izby na posiedzeniu wspólnym; dla przyjęcia wniosku wymagana jest absolutna większość ustawowego ich składu; w razie uchwalenia votum nieufności Rządowi — Prezydent Rzplitej obowiązany jest albo odwołać rząd i mianować nowego Premiera i Rząd, albo też rozwiązać Sejm i rozpisać nowe wybory; lecz jeśli nowy Sejm uchwali ponownie votum nieufności dla Rządu, Prezydent Rzplitej obowiązany jest definitywnie mianować nowego Premiera i nowy Rząd, zawsze jednak — wedle ustalonej w artykule 7 a) procedury, to jest Prezesa Rządu — według własnego uznania, zaś poszczególnych ministrów — na wniosek Prezesa Rządu. Nie mógłby jednak być stawiany, dyskutowany i głosowany w Izbach wniosek o wyrażenie votum nieufności poszczególnym ministrom, odpowiedzialność za działalność każdego ministra miał w tym systemie ponosić Premier i Rząd w całości — i w ogóle był to system kanclerski. Także przyznanie Izbie Senackiej prawa inicjatywy jeśli chodzi o postawienie wniosku o votum nieufności dla Rządu stanowiło w projekcie komisji Grabskiego krok wstecz w zestawieniu z konstytucją kwietniową. Również jeśli chodzi o zasięg i warunki korzystania z nietykalności poselskiej miało



nastąpić pogorszenie. Pozytywnie natomiast należy ocenić brzmienie art. 14, wedle którego rząd jest ogólnopaństwową władzą wykonawczą, są jej podporządkowane „wszelkie organy wykonawcze, zarówno cywilne jak i wojskowe”. Postanowienia o władzach sądowych budzą mało wątpliwości, poza uprawnieniem Prezesa Rady Stanu do stawiania kandydata na Prezesa Sądu Najwyższego i poza niepotrzebną i być może nawet szkodliwą „autonomiczną korporacją sędziowską”; można zrozumieć troskę o niezależność sądownictwa, w żadnym jednak wypadku nie powinna przerodzić się ona w swoistą satrapię.

Rozdział VII, poświęcony władzom wojskowym, znosi dualizm naczelnych władz wojskowych i już przez to jedno należy go ocenić dodatnio. Co prawda zmiana ta była ułatwiona przez fakt kumulacji władzy cywilnej Prezesa Rady Ministrów z władzą wojskową Naczelnego Wodza, przez pewien czas także Ministra Spraw Wojskowych, w osobie gen. Sikorskiego. Rozdział VIII, Administracja państwowa i samorządowa, pomyślany został — z jednym wyjątkiem, o którym mowa będzie później — dobrze, zakres działania ciał samorządu terytorialnego zakresłony jest szeroko, co należy zaaprobować, wątpliwości budzi tylko Państwowa Rada Samorządowa, jeszcze większe wątpliwości budzi zniesienie autonomii Śląska. Trzeba też wytknąć, że katalog miast, których radom miejskim przysługiwać miały uprawnienia sejmików wojewódzkich, jest inny i szerszy w artykule 47 niż w artykułach 8 i 24; katalog jest tu pełniejszy i już przez to lepszy, wytknąć trzeba tylko nieporządek redakcyjny w całości projektu. Zasada obsadzania stanowisk w administracji państwowej, wojewódzkiej i powiatowej przede wszystkim ludźmi związanymi z miejscowym społeczeństwem i zamieszkałymi w danym województwie zalatuje rekryminacjami z początków odrodzonej Rzeczypospolitej. Nawet i wtedy była ona jednak niewykonalna, teraz była także i niepotrzebna, bardziej pożądanymi byłby wymóg obsadzania stanowisk w drodze konkursu. Ale to były problemy dziesięciorzędne w porównaniu z problemem narodowościowym, wielkim i niestety do końca okresu międzywojennego nie rozwiązany problemem. Jak ten problem chciała rozwiązać komisja prof. Grabskiego w okresie, w którym Moskwa coraz natarczywiej zgłaszała swe roszczenia do obszarów, zagarniętych z mocy umowy Ribbentrop - Mołotow?

Powiedzmy od razu, że usiłowała rozstrzygnąć go jak najgorzej, w sposób, którego nie wahał się określić jako zbrodniczy. Po raz pierwszy z problemem narodowościowym spotykamy się w projekcie komisji prof. Grabskiego w artykule 22, gdzie mowa o systemie wybierania do Izby Poselskiej: system wybor-



czy — czytamy — „powinien na terytoriach narodowo-mieszanych zapewniać przedstawicielstwo zarówno ludności polskiej jak niepolskiej, dając tym wyraz równouprawnieniu obywateli, bez względu na narodowość, jako współgospodarzy Kraju... Ordynacja wyborcza określi, w których okręgach w województwach wschodnich, ze względu na mieszany skład narodowościowy, jeden mandat przypadnie kandydatowi polskiemu, a drugi — niepolskiemu”. Jak stąd widać, koncepcja współgospodarzy Kraju ma się odnosić tylko do województw wschodnich, w województwach centralnych i zachodnich ma być tylko jeden gospodarz: polski. Wypada w tym miejscu przypomnieć zawartą w artykule 19 zapowiedź, wedle której przedstawicielstwo narodowe tj. władza ustawodawcza wybierana będzie „na podstawie demokratycznego prawa wyborczego”. Za starożytnymi powtórzyć więc tutaj należy, że *difficile est satiram non scribere*. Zdumienie i oburzenie rośnie w miarę czytania postanowień o administracji samorządowej. Organizacja administracji państwowej ma być nadal jednolita, „łączenie kilku województw w prowincje nie jest wskazane”, tym samym autonomia terytorialna dla ziem o większości ukraińskiej lub białoruskiej nie wchodzi w rachubę, natomiast, artykuł 43 przewiduje, iż organizacja samorządów lokalnych, a mianowicie samorządu gminnego, powiatowego i wojewódzkiego musi być w województwach wschodnich odmienna. Uzasadnienie rzekomej konieczności tej odmienności brzmi tonem pozornej życzliwości dla ludności ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej: ludności tej — czytamy — „będzie dane prawo samodzielnego decydowania o swych sprawach narodowo-kulturalnych na warunkach usuwających możliwość majoryzowania jednej narodowościowej grupy przez drugą, a tym samym łagodzących walki narodowościowe o przewagę w życiu cywilizacyjnym i gospodarczym kraju, które najbardziej zaogniają antagonizmy”. Tak jak gdyby antagonizmów jeszcze bardziej nie zaogniało sztuczne uprzywilejowanie mniejszości polskiej tam, gdzie Polacy stanowili mniejszość. I tak, sejmiki wojewódzkie miałyby składać się z członków wybranych w połowie w głosowaniu czteroprzymiotnikowym w dwumandatowych okręgach w ten sam sposób, co i połowie sejmowi, czyli co najmniej połowa mandatów z głosowania powszechnego zastrzeżona jest w województwach wschodnich dla Polaków, drugą zaś połowę wybierają w tych województwach względną większością głosów znowu po połowie: oddzielnie polscy, oddzielnie zaś niepolscy członkowie rad powiatowych i rad miast wydzielonych, przy czym każdy z głosujących oddaje głos tylko na połowę kandydatów w swej narodowościowej grupie członków sejmiku. Ponadto wchodzi do sejmiku wojewódzkiego wiryliści, a mianowi-

cie prezesa Izby: Rolniczej, Przemysłowo-Handlowej, Rękodzielniczej i Robotniczej, względnie ich delegaci, o ile Izby te obejmują parę województw, oraz delegaci znajdujących się na terenie województwa wyższych zakładów naukowych, względnie delegaci zgromadzenia dyrektorów wszystkich istniejących w województwie średnich ogólnokształcących i zawodowych zakładów naukowych. Projekt nie zarysowywał ordynacji wyborczej do sejmików powiatowych i do rad gminnych, poprzestając na ogólnikowym postawieniu zasady odmiennej ich organizacji w województwach wschodnich, podobnie jak w samorządzie wojewódzkim, a więc z domniemaną zasadą zagwarantowanej strukturalnie przewagi polskiego czynnika etnicznego, co jednak łatwiej byłoby pomyśleć, niż oblec w normy prawa: wieś na Polesiu, Wołyniu, Pokuciu i Huculszczyźnie była czysto ukraińska i znalezienie tam polskich kandydatów na radnych gminnych było niepodobieństwem, bo z próżnego i Salomon nie naleje.

Tym niemniej sztuczne uprzywilejowanie polskiego żywiołu etnicznego w ciałach samorządu terytorialnego na obszarze województw wschodnich było tym bardziej nie do obrony, że projekt komisji Grabskiego głosił w swym uzasadnieniu: „Szeroki i naprawdę wolny samorząd — to najlepsza szkoła kultury obywatelskiej... Im żywszy będzie udział ogółu ludności w życiu organizacji samorządowych — tym szybciej podnosić się będzie ich kultura obywatelska”. Odmówienie ludności ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej prawa do udziału w życiu ciał samorządowych w stosunku wynikającym z rzeczywistego układu sił etnicznych, i jej upośledzenie na rzecz ludności polskiej, jak również konstytucyjne zagwarantowanie polskiemu elementowi etniczemu połowy miejsc w województwach wschodnich w wyborach do Izby Sejmowej, byłoby najsilniejszym jakie sobie można było w owym okresie wyobrazić uderzeniem w sprawę powojennego powrotu Polski do granic traktatu ryskiego. Najsilniejszym, bo wymierzonym polskimi rękami i zadającym kłam dopiero co opublikowanej deklaracji rządowej z dnia 24 lutego 1942 roku, rozreklamowanej jako „karta Polski”, a więc jako akt typu konstytucyjnego. Możemy już wobec tego zrezygnować z przytoczenia tutaj 23-ch artykułów rozdziału IX „Prawa i obowiązki obywateli”, między którymi art. 34 przynosił zasadę: „W państwie prawnorządnym nie ma miejsca na sztuczny podział obywateli na uprzywilejowanych i nieuprzywilejowanych. Wszyscy obywatele są równi wobec prawa”. Podobnie art. 68 przynosił zasadę: „Każdy obywatel ma prawo zachowania swej narodowości, pielęgnowania swej mowy i właściwości narodowych. Mniejszościom narodowym, lojalnie spełniającym swe obowiązki wobec Państwa

Polskiego, poręcza się swobodny rozwój ich życia i właściwości narodowościowych”. W państwie praworządnym — jak wiadomo — normy prawa karnego i procedury karnej ujęte są w odnośnych kodeksach, stosują je niezależne sądy; odpowiedzialność zbiorowa, w tym także odpowiedzialność grup etnicznych (tzw. mniejszości narodowych) jest państwu cywilizowanemu nieznaną. Komisja prof. Grabskiego poręczała mniejszościom swobodny rozwój życia i właściwości narodowościowych w zależności od lojalnego spełniania ich obowiązków wobec Państwa Polskiego, nie precyzując przy tym, kto i jak miał oceniać postawę tych mniejszości i wyciągać z niej wnioski. Na tle doświadczeń okresu międzywojennego, ten wymóg lojalności brzmiał w ogóle podejrzanie i wywoływał nieprzyjemne reminiscencje. Jednym słowem, było to horrendum. Odpowiedzialność za nie obciążała przede wszystkim Komisję Spraw Ustrojowych i jej przewodniczącego, prof. Stanisława Grabskiego, ale także premiera gen. Sikorskiego i wicepremiera Mikołajczyka. Rządowi jako kolegium projekt nie został przedstawiony, odpowiedzialność za projekt chciano przenieść na Radę Narodową z pominięciem rządu. Chodziło najwidoczniej o zachowanie tajemnicy aż do ostatniej chwili, po czym — wobec piastowania „laski marszałkowskiej” Rady Narodowej przez głównego autora projektu — spodziewano się, że uda się Radę sforsować. Postanowiłem zamiary te uniemożliwić, nawet kosztem gwałtownej i brutalnej awantury z wszystkimi jej konsekwencjami, tak aby nawet wiadomość o zamierzonym projekcie konstytucji nie wydostała się na zewnątrz. Postanowienie to udało mi się urzeczywistnić, projekt pozostał tajemnicą, po 35 latach sądzę jednak, że można uchylić jej zasłonę.

Po postawieniu przez Banaczyka wniosku o odesłanie wniesionego przez Rząd a opracowanego przez Komisję Ustrojową projektu do komisji prawno-politycznej, poprosiłem o głos i sprzeciwiłem się wnioskowi. Przewodniczący tj. prof. Grabski nie pozwolił mi na wdawanie się w dyskusję merytoryczną, musiałem więc poprzestać na stwierdzeniu, że projekt jest „niczym innym, jak niezwykłym skandalem”, który w moim przekonaniu może stać się „wyrokiem śmierci na Polskę”. Sprzeciwiłem się odesłaniu projektu do komisji ze względów regulaminowych:

„P. kolega Banaczyk przed chwilą powołał się na regulamin obrad Rady, ale ponad regulaminem w hierarchii norm prawnych stoi dekret p. Prezydenta z dnia 29 grudnia 1939 roku o Radzie Narodowej R.P. W artykule 4 dekret ten stanowi, iż Rada może opracowywać zagadnienia przyszłego ustroju państwa, zwłaszcza ordynacji wyborczej, zarówno na wniosek Rządu, jak z własnej inicjatywy. Zanim zatem poweźmiemy decyzję, odpowiadającą wymogom regulaminu Rady, na który się powołał p. Bana-

czyk, musimy zbadać, czy przedłożony nam projekt znalazł się na stole naszych obrad z inicjatywy Rady, czy też na wniosek Rządu, a twierdząc, że aczkolwiek projekt ten przewiduje na przyszłość inaczej, to do tej pory pomiędzy Rządem a p. Prezesem Rady Ministrów istnieje rozróżnienie i to dość ścisłe. Konstytucja nasza nie zna samodzielnie działającego urzędu Premiera i ten urząd kanclerski, na który kilkakrotnie powoływał się w pierwszej epoce 'sanacyjnych' rządów śp. Kazimierz Bartel, jest czymś nie do przyjęcia w rytmie państwowego życia Polski nie tylko w przyszłości, ale nawet i teraz. Pierwsze pytanie zatem, które musimy sobie postawić, to jest pytanie: kto przedłożył nam projekt zmian ustrojowych, czy to jest inicjatywa Rady Narodowej, która może się dokonać w warunkach określonych regulaminem, a więc w postaci wniosku, zaopatrzonego podpisami przynajmniej 1/6 części Rady Narodowej — a takiego wniosku nie ma — czy też jest to inicjatywa Rządu, powtarzam: Rządu, a nie Prezesa Rady Ministrów, albowiem inicjatywa Prezesa Rady Ministrów w świetle dekretu o Radzie nie jest wystarczająca... Panie Przewodniczący, wobec stanowiska Pańskiego jestem zmuszony wstrzymać się od rozpatrzenia merytorycznego tego projektu... ale ograniczę się do kwestii formalnej: sprzeciwiam się odesłaniu do komisji, albowiem projekt ten nie wpłynął z inicjatywy Rady, a mam wątpliwości co do tego, czy wpłynął z inicjatywy Rządu. Inicjatywa p. Prezesa Rady Ministrów tu nie wystarcza i proszę o autorytatywne oświadczenie Rządu, czy ten projekt wpływa z inicjatywy Rządu”.

Wątpliwości moje rozproszył minister Pracy i Opieki Społecznej Jan Stańczyk, który zapewnił Radę Narodową wyraźnie i stanowczo:

„Projekt, o którym tutaj mowa, nie jest projektem Rządu. Nie był przez Rząd rozpatrywany i może być traktowany tylko i wyłącznie jako prywatna inicjatywa jednego lub wielu członków tej Wysokiej Rady. Muszę oświadczyć, że gdyby ten projekt w tej formie był projektem Rządu, przyjętym przez Rząd, ja bym w takim Rządzie nie mógł zasiadać”.

Gdy w dalszej dyskusji wicepremier Mikołajczyk oświadczył: „Kiedy wczoraj mówiłem na Komitecie Politycznym Rządu przy obecności ministra Stańczyka o sposobie przekazania tego projektu, to nie spotkałem się z żadnym sprzeciwem”, Stańczyk zawołał: „Bo nie wiedziałem o co chodzi”, a następnie zabrał głos ponownie i poddał projekt merytorycznej krytyce, w czym już mu przewodniczący nie stawiał przeszkód. Stańczyk mówił:

„Przypadkowo z treścią projektu zapoznałem się dziś w nocy, albowiem dopiero wczoraj o godz. 9-tej wieczorem dostałem go do ręki. Nie jestem formalistą i nie spieram się tutaj o formę regulaminową, gdy ta lub inna droga prowadzi do uchwalenia pożytecznej dla kraju rzeczy, ale przy czytaniu tego projektu brał mnie — przyznam się — wstyd. W okresie, kiedy narody walczą o demokrację i wolność, w najtragiczniejszym okresie dziejów naszego narodu, przedstawiono nam projekt, który jest projektem, ustalającym w państwie dyktaturę Prezydenta i jakichś bubków, mianowanych w postaci Rady Stanu. Gdyby tego rodzaju projekt wyszedł na świat i zapoznała się z nim opinia publiczna świata, to nasza deklaracja demokratyczna byłaby potraktowana jako największe oszustwo. I z tych powodów

ja dziś tak energicznie przeciwko temu projektowi zaprotestowałem. Chcę, ażeby w Rządzie panowały dobre obyczaje, jeżeli Rząd coś wnosi, to ministrowie muszą się z tym przedtem zapoznać i przedyskutować. Wówczas każdy z ministrów będzie miał możność wyrazić swoją opinię. Oświadczam jeszcze raz, że gdyby ten straszny projekt stał się projektem rządowym, to ja w takim rządzie nie mógłbym brać udziału. P. Premier wyjechał w bardzo poważnej i odpowiedzialnej dla Polski misji. Sądzę, że dobrze będzie zaczekać z tym projektem..., bo trzeba się zapoznać z opinią Premiera Rządu, z jego stosunkiem do treści tego projektu, a wówczas gdy oświadczam: tak albo nie, będziemy się mogli zaleźnić od tego oświadczenia — przynajmniej ja osobiście — ustosunkować do mojej osobistej sytuacji w tym Rządzie”.

Stańczyk mylił się o tyle, że gen. Sikorski był w zasadzie zjednany dla projektu prof. Grabskiego i w ogóle był — jeśli tak można o starym człowieku powiedzieć — pod urokiem sędziwego profesora. Stańczykowi chodziło jednak po pierwsze, o zdjęcie z siebie samego nawet częściowej odpowiedzialności za projekt, po drugie, o uniemożliwienie odesłania go do komisji Rady Narodowej. To drugie udało się nam całkowicie. Piszę: nam, albowiem interweniowałem w tej debacie raz jeszcze, a mianowicie gdy Banaczyk podtrzymał swój wniosek o odesłanie projektu do komisji prawno-politycznej, zawołałem — jak stwierdza stenogram posiedzenia — waląc pięściami w stół: „Cóż to są za obyczaje! Mordują Polskę swoimi głupimi pomysłami!”. Zostałem za to przez prof. Grabskiego przywołany do porządku z zapisaniem do protokołu, co pociągnęło za sobą potrącenie 5 % z przysługującymi mi jako członkowi Rady Narodowej diet na następny miesiąc. Potrącenie wynosiło 3 funty 10 szylingów. Nie żałowałem jednak tej kwoty, albowiem mój przejaw oburzenia dał pożądane przeze mnie konsekwencje, o czym później. Mikołajczyka poparł w kilku przemówieniach Banaczyk, przeprowadzając analogię z pracami komisji kodyfikacyjnej „nad sprawami kodeksu karnego i innymi”, oraz zwracając się w stronę PPS z arogancką admonicją: „Jeżeli panowie w ten sposób chcą budować Polskę, to panowie nic nie wybudujecie”. W kilku słowach poparł Mikołajczyka również minister prof. Wacław Komarnicki, ksiądz prałat Zygmunt Kaczyński milczał, Mieczysław Mastek był z powodu ciężkiej choroby nieobecny. Za odesłaniem projektu do komisji wypowiedzieli się z taką czy inną motywacją, w krótszych lub dłuższych przemówieniach, Mieczysław Szerer, gen. Lucjan Żeligowski i Michał Kwiatkowski, moje stanowisko poparł prof. Adam Pragier.

Wynik debaty był przesądzony od chwili, w której Mikołajczyk oświadczył, że wniosek Prezesa Rady Ministrów — tak go określił — wycofuje i pozostawia Radzie Narodowej „całkowi-

cie wolną rękę”, ubolewając przy tym, że „dobra wola Rządu ułatwienia Radzie pracy i przekazania w tym celu materiałów została demonstracyjnie negatywnie przyjęta”. Było to już po oświadczeniu Stańczyka, który zaprzeczył, jakoby projekt był projektem Rządu, jako że nie był przez Rząd rozpatrywany. Tyle tylko udało się Mikołajczykowi wnieść do strony formalnej wypracowania owego projektu, że zastępca ministra Stańczyka był obecny na posiedzeniu Rady Ministrów, gdy uchwalany był regulamin Komisji Spraw Ustrojowych, dalej, że gdy on tj. Mikołajczyk na posiedzeniu Komitetu Politycznego Rządu mówił poprzedniego dnia w obecności ministra Stańczyka o sposobie przekazania tego projektu Radzie Narodowej, nie spotkał się z żadnym sprzeciwem, a wreszcie, że Rząd dał wyraz swej dobrej woli powołując w skład Komisji także Mastka, który był obecny przy obradach nad częścią polityczną projektu i bierze za nią taką samą odpowiedzialność, jak inni członkowie komisji. W rzeczywistości powołanie Mastka nie mogło być uważane za wyraz dobrej woli Rządu, gdyż nastąpiło bez wiedzy i zgody komitetu PPS.

Tak czy inaczej, przedmiot zatargu — i to ostrego zatargu — zniknął i sprawa poszła w zapomnienie. Sprawę deklaracji celów i zasad Polski Walczącej wzięły w swoje ręce czynniki krajowe. Należy tu wymienić trzy dokumenty: pierwszy, to deklaracja Armii Krajowej „O jaką Polskę walczymy” (*Biuletyn Informacyjny* z dnia 9 września 1943 roku); drugi, to deklaracja porozumienia politycznego czterech stronnictw, stanowiących Krajową Reprezentację Polityczną z dnia 15 sierpnia 1943 roku; trzeci, to deklaracja Rady Jedności Narodowej „O co walczy naród polski” z dnia 15 marca 1944 roku. Przebywającemu w Londynie rządowi pozostało tylko ujawnienie i upowszechnienie tych dokumentów. Podobnie załatwiły czynniki krajowe we własnym zakresie sprawę podziemnych organów państwowości polskiej, tworząc Krajową Radę Ministrów i Radę Jedności Narodowej; formalnie i organizacyjnie — były to ciała podporządkowane oficjalnej reprezentacji państwowej w Londynie, faktycznie — ciała stwarzające w zakresie spraw wewnętrznych fakty dokonane i narzucające je czynnikiem emigracyjnym. Stało się tak, jak tego od początku chciał Pużak i jak to proponował w swych listach z dni 22 lutego 1941 roku, 3 marca 1941 roku i 22 listopada 1943 roku. Nie tyle zresztą chciał, ile przewidział, inny rozwój wydarzeń był w zaistniałych warunkach niemożliwy; opory organizowane przez krajowe i emigracyjne ośrodki to Narodowej Demokracji i jej satelitów, to pogrobowców obozu „sanacyjnego”, to wreszcie Frontu Morges o nieuzasadnionych i przesadnych

ambicjach, mogły utrudnić i opóźnić przewidywany przez Pużaka i Centralne Kierownictwo PPS-WRN rozwój wydarzeń, nie potrafiły mu jednak zapobiec, gdyż leżał w naturze rzeczy. Przejmując w swoje ręce decyzje w zakresie kształtowania stosunków wewnętrznych kraju, Polska Podziemna pozostawiała rządowi w Londynie funkcje reprezentanta Polski w oczach świata, a więc kierownika jej polityki zagranicznej, oraz organizatora sił zbrojnych na obczyźnie — i w tym zakresie służyła rządowi całkowitym poparciem i wszelką pomocą, co więcej, uznawała Naczelne Dowództwo sił zbrojnych za jednolite i wspólne zarówno dla emigracji jak i dla kraju. Późniejszy bieg wydarzeń sprawił, że właśnie te funkcje polityki zagranicznej i obrony narodowej okazały się najistotniejsze i że podjęte w tym zakresie decyzje określiły losy Polski na cały otwierający się okres historyczny.

Na stosunek gen. Sikorskiego do mnie przebieg posiedzenia Rady Narodowej w dniu 19 marca 1942 roku nie wpłynął w żadnym sensie, dodatnim ani ujemnym. Gen. Sikorski nigdy nie potrafił mi wybaczyć, że odczytałem poprawnie brzmienie umowy Sikorski - Majskij: zdaniem gen. Sikorskiego, umowa gwarantowała powrót do granicy traktatu ryskiego, zdaniem moim, otwierała na nowo sprawę granicy polsko-sowieckiej; niestety, ja miałem rację. Poza tym, gen. Sikorski był w owym czasie zajęty innymi sprawami, jak już wspomniałem — gotował się do drugiej podróży do Ameryki i do rozmów z prezydentem Rooseveltem. Jeśli chodzi o Mikołajczyka, nigdy mi nie zapomniał obalenia projektu komisji Grabskiego, po katastrofie gibraltarskiej sprzeciwił się wysuniętej przez komitet PPS mojej kandydaturze na ministra w nowym rządzie (liczyłem na objęcie teki ministra obrony narodowej) i w moje miejsce narzucił Ludwika Grosfelda na urząd ministra Skarbu (myśl o Grosfeldzie jako moim kontrkandydacie podsunęła Mikołajczykowi p. Stefania Liebermanowa). Wreszcie co do Kwapińskiego, sprawdziły się moje przewidywania, że uzna Arciszewskiego — Pużaka — Zarembe jako bezsporne kierownictwo PPS, jeśli jednak chodzi o orientację polityczną — był echem i cieniem Sikorskiego i Mikołajczyka. Kwapiński kierował placówkami PPS w wolnym świecie metodą „listów pasterskich”, adresowanych do upatrzonych i zaufanych osób. W przekazanej mi w spadku po Komitecie PPS w Teheranie tece aktów znalazłem list Kwapińskiego z daty Londyn 30 marca 1943 roku, a w liście następującą ocenę sytuacji polskiej:

„... pomiędzy nami, którzy przeszli więzienia i pobyt w lagierach a panami którzy uciekli w limuzynach za granicę istnieje przepaść. Taki Ciołkosz w życiu nie miał tak dobrze jak tutaj w Anglii. Nie znał on głodu ani

naszej poniewierki. Może sobie mówić, że trzeba poświęcić nas i nie zawierać paktu z Rosją, jak gdyby napisanie takiego czy innego świstka było decydujące. Polityka — to jest ustosunkowanie sił. Rosja wnosi się do wojny wielki wkład. Nie czas, żeby Anglia i Stany Zjednoczone wymuszały na Rosji jakiś altruizm w stosunku do Polski. Gdy sytuacja wojenna zmieni się wówczas i polityka Rosji będzie inna. Trzeba przyznać, że tzw. opozycja z Mackiewiczem i Sosnkowskim na czele walcie przyczyniła się do tego, żeby komentowano pakt w myśl stanowiska Rosji. Oni to pierwsi zaczęli wskazywać jak należy tłumaczyć pakt. Propaganda sowiecka tylko z tego korzystała. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać lepszych czasów”.

Pominąwszy okoliczność, że to Kwapiński uciekał z Łodzi w limuzynie prezydenta miasta, ja zaś przeszedłem pieszo drogę z Krakowa do Kiwerców na Wołyniu, tekst powyższy świadczył o kwitnącej w londyńskim środowisku rządowym naiwności i prymitywizmie poglądów na sytuację, w jakiej znalazła się sprawa Polski. Gdyby o polityce decydował tylko stosunek sił, Polska — jak to stale utrzymywał Stanisław Mackiewicz — w ogóle nie powinna była wdawać się w wojnę, stosunek sił był bowiem we wrześniu 1939 roku dla nas beznadziejny. Więc Kwapiński się mylił, polityka to przede wszystkim umiejętność przewidywania — i tej umiejętności brakło i Kwapińskiemu i całemu środowisku rządowemu. Jeśli wśród rozwijającej się tragedii polskiej coś mogło dawać satysfakcję, uzyskałem ją w depeszy z daty Londyn 22 sierpnia 1944 roku, nadanej do Warszawy wkrótce po przybyciu Arciszewskiego do Londynu. Depesza adresowana była do CKW PPS tj. do Pużaka i Zaremby, podpisana była przez Arciszewskiego, Kwapińskiego i Ciołkosza. Zaczynała się od słów: „Stwierdziliśmy w rozmowach ze Stanisławem (Arciszewskim), że Kraj był dotąd w wielu najważniejszych sprawach informowany niezupełnie, albo wręcz nieprawdziwie”. Pozostaje mi dodać, że ogromna część odpowiedzialności za nieprawdziwe informowanie kraju, a jeśli chodzi o PPS — za uniemożliwianie mi prawdziwego informowania kierownictwa PPS, spada na Kwapińskiego, ministra a później także wicepremiera rządu oraz przewodniczącego Komitetu Zagranicznego PPS.

Pozostaje mi jeszcze wyjaśnić, dlaczego w sprawie projektu ustrojowego komisji profesora Grabskiego przyjąłem tempo — że to tak określe — szturmowe, zmierzające do rozegrania sprawy w jednym boju, krótkim i gwałtownym, a jednocześnie nie pociągającym za sobą rozgłosu. Wszelka inna taktyka, ostrożniejsza i spokojniejsza, prowadzić musiałaby, po pierwsze, do przyjęcia przez większość komisji prawno-politycznej a potem i plenum Rady Narodowej projektu prof. Grabskiego, być może w nieco — ale nie bardzo — zmienionej postaci: ostatecznie, projekt cieszył się życzliwością premiera gen. Sikorskiego i wice-



premiera Mikołajczyka, nawet jeśli pragnęli oni przerzucić na Radę Narodową odpowiedzialność za jego uchwalenie. Po drugie, wszelkie ślimaczenie się tej sprawy musiałyby pociągnąć za sobą jej ujawnienie i wykorzystanie do ataków na rząd polski w Londynie, coraz wyraźniej pomawiany w prasie i ośrodkach politycznych brytyjskich o pełnienie roli kwerulanckiej zawady w pomyslnym ułożeniu się stosunków brytyjsko-sowieckich. Najlepiej tedy było ukreślić całą sprawę łeb z miejsca, nie licząc się ze względami kurtuazji dla premiera i wicepremier, a przede wszystkim dla sędziwego lecz politycznie nieobliczalnego sprawcy i patrona całej awantury, profesora Grabskiego. Okazało się, że miałem rację i że wybrałem jedynie właściwą, bo prowadzącą prosto do celu taktykę. Gdybym był takim przeciwnikiem gen. Sikorskiego, za jakiego z dawien dawna poczytują mnie komunistyczna i komunizująca publicystyka i dziejopisarstwo, postąpiłbym wręcz odwrotnie: nadałbym projektowi ustrojowemu jak największy rozgłos, wykorzystując go w sensie dla gen. Sikorskiego niepomyślnym, bo w sensie skandalu. Lecz skandal taki przyniósłby nieopisaną szkodę nie tylko gen. Sikorskiemu, lecz w ogóle sprawie Polski. Zrozumiałe, że wolałem go uniknąć.

Czytelnik nie weźmie mi za złe, że powołałam się tutaj na odbytą w Londynie rozmowę, jaką miałem — ja i moja żona Lidia — ze szwagrem Staśka Dubois, Józefem Tadeuszem Mieszkowskim, któremu patronował prof. Kot i który zgodził się udać do Moskwy, by objąć w tamtejszej ambasadzie polskiej dział opieki społecznej. Wedle pamiętników Mieszkowskiego („Ze wspomnień podporucznika rezerwy 1939-1941”, Warszawa 1966, str. 312), na tle odmiennego stosunku do kwestii porozumienia polsko-sowieckiego mieliśmy po burzliwej wymianie zdań rozstać się z nim, nie podając mu ręki. Mieszkowski napisał prawdę, ale tylko połowę prawdy. W rzeczywistości stroną w tej rozmowie agresywną był Mieszkowski, który swe słuszne i niesłuszne skargi i żale na polskie środowisko rządowe w Londynie zakończył słowami: „Ma być Polska Sikorskiego, to już wolę Polskę Stalina”. Ja zaś, a tak samo moja żona, woleliśmy Polskę Sikorskiego. Gdyby nawet w Polsce Sikorskiego ujawnione zostały niewydarzone pomysły monarchiczne, ich los musiałyby być żaloszny, ich promotorzy mieliby bowiem w tej sprawie 99 % ludności Polski przeciwko sobie i musieliby walkę o swe anachroniczne koncepcje przegrać w Sejmie konstytucyjnym z kretesem. Ze Stalinem i jego koncepcjami ustrojowymi sprawa byłaby dużo poważniejsza i — jak się okazało — była bez porównania poważniejsza. Mieszkowski nie zasługiwał na to, by rozstać się z nim po przyjacielsku.

Na zakończenie winienem jeszcze podać bazę źródłową, na której oparłem się w niniejszej pracy. Było nią niemal wyłącznie moje prywatne archiwum, w którym najważniejsze pozycje stanowią mikrofilmy z zaszyfrowaną korespondencją z centralnym kierownictwem PPS w Warszawie. Na moich prywatnych archiwach opierali się w dużej mierze dwaj pamiętnikarze, Zygmunt Zaremba: „Wojna i konspiracja”, Londyn 1957 oraz Adam Pragier: „Czas przeszły dokonany”, Londyn 1966, lecz praca niniejsza dotyczy tematu, którego poruszania tak jeden jak i drugi nie widzieli potrzeby. Moje własne zbiory archiwalne kompletowane były zresztą wśród dziwnych okoliczności, wystarczy stwierdzić, że list Zaremby z daty Warszawa 19 września 1941 roku dotarł do moich rąk w Londynie dopiero w dniu 9 marca 1977 roku, a więc po 35 latach, tyle bowiem lat przeleżał w teczce Prezesa Rady Ministrów, zatajony przez niego, gdyż stwierdzał zasadniczą zgodność kierownictwa PPS-WRN z moim stanowiskiem w sprawie umowy Sikorski - Majskij i ponawiał udzielone mi upoważnienie do reprezentowania krajowego kierownictwa PPS na emigracji.

Z wydanych drukiem zbiorów dokumentów winienem przytoczyć dwa. Jeden, to opracowanie Michała Kwiatkowskiego „Rząd i Rada Narodowa R.P. w świetle faktów i dokumentów od września 1939 do lutego 1942 roku”, Londyn 1942. Drugi, to „Z pola walki, cele i drogi podziemnego ruchu robotniczego w Polsce 1939-1942”, Londyn 1943, zbiór przygotowany do druku przez Władysława Malinowskiego. Oba te zbiory są jednak niekompletne i urywają się na wczesnych datach, oba też pomijają kwestię, będącą tematem mojej rozprawy. Trzy listy Bazylego, tj. Kazimierza Pużaka z dn. 22 lutego 1941 r., 3 marca 1941 r. i 22 listopada 1943 r., mające podstawowe znaczenie dla ustalenia stosunku socjalistycznego podziemia w Warszawie do emigracyjnego rządu i dowództwa polskiego w Londynie, opublikowałem na łamach londyńskiego *Tygodnia Polskiego*, nr 18 z dn. 2 maja 1970 roku i do tych trzech listów odsyłam czytelników jako do materiału największej wagi. Inne źródła drukowane cytuję w tekście.

*Adam CIOŁKOSZ*

#### OSWIADCZENIE W SPRAWIE PAKTU SOWIECKO-POLSKIEGO

W związku z umową sowiecko-polską i deklaracjami, złożonymi w tej sprawie przez oficjalne czynniki polskie na emigracji stwierdzamy co następuje:

1) Umowa polsko-sowiecka przekreśla dotychczasowy stan wojny polsko-rosyjskiej, będącej następstwem sowieckiego napadu w dniu 17 września 1939 roku i unicestwienia ostatecznie akt czwartego rozbioru Polski, dokonany na mocy ugody sowiecko-hitlerowskiej, której zawarcie umożliwiło Niemcom rozpoczęcie wojny z Polską, Anglią i Francją, a później doprowadziło całą Europę do stanu niewoli, Rosję zaś do bezpośredniej inwazji niemieckiej.

2) Umowa polsko-sowiecka nie gwarantuje całości Rzeczypospolitej Polskiej i nie rozwiązuje najważniejszych spraw stanowiących treść stosunków polsko-sowieckich, lecz dopiero otwiera drogę do ich uregulowania. Nakłada to na lud pracujący Polski obowiązek stworzenia warunków zabezpieczających przed tym, by umowa polsko-sowiecka nie stała się tylko świstkiem papieru, jak inne traktaty przedwojenne i wojenne, zawierane z Sowietami.

3) Polska jako nierozdzielna część zachodnio-europejskiego obozu państw demokratycznych nie może zapomnieć o wspólnocie prowadzonej obecnie walki w obronie swej niepodległości z walką o wolność narodów sąsiadujących z Polską z północy i wschodu.

4) Stwierdzenie przez Anglię, jednocześnie z podpisaniem umowy polsko-sowieckiej, iż Anglia „nie uznaje żadnych zmian terytorialnych w stosunku do Polski od sierpnia 1939 roku”, i głosy prasy sowieckiej wskazują wyraźnie, iż nie jest przypadkiem brak w umowie polsko-sowieckiej ustępu, zawierającego wyrzeczenie się przez Rosję wszystkich ziem zabranych Polsce we wrześniu 1939 roku. Ujawnia to chęć Sowietów do ewentualnego podniesienia swoich pretensji terytorialnych względem Polski w chwili, gdy rozprawa orężna z Niemcami przybrała dla Sowietów pomyślniejszy obrót.

5) Samo użycie w oficjalnych enuncjacjach Sowietów terminu „amnesia” w stosunku do uwieczonych obywateli polskich, świadczy o przywłaszczeniu sobie przez Sowiety wobec obywateli polskich tytułów suwerenności i utrzymywania ich nadal.

6) Wyrażone przez gen. Sikorskiego i jego najbliższych współpracowników skłonności do szukania oparcia o Rosję i ubieranie tego we frazeologię słowianofilską stanowi przejaw niebezpieczny. Polska przyszłości, Polska Ludu Pracującego wsi i miast oprze swe istnienie nie na łasce któregoś sąsiadującego mocarstwa — łasce, która przyniosła nam poczwórny rozbiór dokonany zawsze pod pretekstem „obrony uciśnionych” — lecz na własnej sile i sile Związku Wolnych Ludów Europy, organizujących wspólną pracę i wspólną obronę. Wszelkie próby tworzenia prądów moskalofilskich i słowianofilskich, które zawsze były pretekstem do zaborczości rosyjskiej, muszą być jak najsilniej zwalczane.

7) Stojąc niezłomnie na stanowisku tworzenia polskiej siły zbrojnej przede wszystkim w kraju i w państwach sprzymierzonych uważamy, że postanowienia umowy i powołanie armii polskiej na terenie Rosji mogą mieć swoje pozytywne znaczenie tylko wówczas, gdy rząd dopilnuje, aby w armii tej nie znalazło się miejsce dla renegatów, którzy zdradzili Polskę w czasie najazdu bolszewickiego oraz by armia ta posiadała jak największą samodzielność i pozostawała rzeczywiście pod rozkazami Naczelnego Dowództwa polskiego. Dla zabezpieczenia zaś jednolitości dowództwa na wszystkich frontach, związania wszystkich kontrahentów wojny ogólnym planem operacyjnym i uchronienia armii polskiej przed niewłaściwym jej użyciem, konieczne jest stworzenie wspólnego dowództwa sprzymierzonych z udziałem Polski i Rosji.

8) Sprawa zwolnienia jeńców i więźniów politycznych, którzy za to tylko, że pozostali wierni Polsce, wypełnili sowieckie więzienia i pustynie Sybiru lub Kazachstanu, winna być oddana w ręce samorządnej organizacji społecznej polskiej, powołanej spośród więźniów i wygnańców. Władze

konsularne Polski winny wyżyć wszystkie siły w kierunku powołania takiej organizacji pomocy ofiarom najazdu i ściśle z organizacją tą współpracować.

W interesie zarówno Polski jak i Rosji leży, by umowa polsko-sowiecka w swym wykonaniu nabrała tej wyrazistości i wymowy, jaka winna cechować wejście dwóch narodów na drogę szczerego porozumienia. Tylko czujność ludu polskiego i wyraźne jego stanowisko we wszystkich sprawach — przede wszystkim w sprawie całości i niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej — może przewyciężyć dyplomatyczne niejasności umowy polsko-sowieckiej. Koniecznym też jest najściślej zespolecie się rządu z opinią mas ludowych w kraju, bowiem odrywanie się od podłoża krajowego grozi coraz bardziej pogorszeniem się naszej pozycji międzynarodowej.

Warszawa, dnia 7 sierpnia 1941 r.

*CENTRALNE KIEROWNICTWO RUCHU  
MAS PRACUJĄCYCH POLSKI*

Piotr WANDYCZ

## ORIENTACJA ROSYJSKA W POLSKIEJ WALCE NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Leży przede mną odbity na powielaczu esej pt. *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej 1795-1917*. Publikacja ta ukazała się w Kraju, w ramach Biblioteki Historycznej, a cel jej najlepiej oddaje słowo wstępne od wydawcy, które warto tutaj zacytować: „Jednym z ważnych zadań, stojących przed szeroko pojętym nurtem niepodległościowym demokratycznej opozycji w Polsce, jest inicjowanie poszukiwań dróg zmierzających do zlikwidowania podległości naszego kraju. Im szersza będzie dyskusja i im szersza gama poglądów zostanie w niej zaprezentowana, tym większa będzie szansa znalezienia właściwej płaszczyzny porozumienia i skonsolidowania rozproszonych wysiłków niepodległościowych. W dyskusji tej nie może zabraknąć głosów traktujących o historii polskich działań niepodległościowych. Co prawda grozi to pewną pokusą mechanicznego i uproszczonego przenoszenia doświadczeń historycznych do odmiennej przecież sytuacji obecnej, lecz jednocześnie stwarza też szanse uniknięcia popełnionych już raz błędów. Ponadto spojrzenie z dalszej, historycznej perspektywy na piętrzące się przed nami przeszkody, pozwala ujrzeć je we właściwych wymiarach”. W przedmowie czytamy dalej, że „istniejącego zapotrzebowania społecznego na problematykę niepodległościową nie może zaspokoić oficjalna, ocenizowana historiografia i publicystyka” i że publikacja ta „stanowi wyjście naprzeciw tym zapotrzebowaniom”.

Wydawca podkreśla, że opracowanie *Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej* pióra Łukasza Jodki może przez „ostrość i kontrowersyjność” swych ujęć budzić sprzeciw czytelników, ale równocześnie jest to argumentem za wydaniem jej, gdyż „budząc sprzeciw czy wątpliwości będzie jednocześnie

prowokować do myślenia i dyskusji — a o to przecież między innymi chodzi”.

Nazwisko autora niniejszej publikacji nie jest mi znane; nie wiem nawet czy jest to nazwisko czy pseudonim. Tym lepiej, ponieważ moje uwagi nie będą mogły w żadnym wypadku być potraktowane *ad personam*. Zanim jednak przedstawię główne tezy autora i zajmę wobec nich stanowisko, pragnąłbym podkreślić mój punkt widzenia na użyteczność odwoływania się do historii w publikacjach w gruncie rzeczy politycznych. Historia, w moim mniemaniu, nie jest *magistra vitae* w ścisłym tego słowa znaczeniu. Gdybyśmy potrafili uczyć się na błędach popełnionych w przeszłości i korzystać w pełni z lekcji (jakich?) naszych dziejów, nie byłibyśmy — przez my rozumieć ludzkość — w sytuacji w jakiej się dziś znajdujemy. Wydarzenia historyczne są jedyne i niepowtarzalne w sensie uwarunkowania ich przez konkretną sytuację. Równocześnie, występuje w nich niewątpliwie pewien element stały czy pół-stały wynikający z podobnych czy analogicznych form działania człowieka w społeczności, a wpływający z natury ludzkiej. Oczywiście i ta natura nie jest zawsze identyczna. Nie sposób odmówić wpływu pewnych czynników zmiennych jak: wychowanie, stopień rozwoju i charakter kultury, skala wartości, tzw. charakter narodowy i itd., kształtujących naturę człowieka. Cóż więc daje nam historia? Wydaje mi się, że pozwala nam zrozumieć lepiej nas samych poprzez studium człowieka w czasie i przestrzeni dające nam przegląd licznych wariantów jego motywacji, przywar, sposobu myślenia i działania. Oczywiście mam na myśli głównie człowieka w społeczeństwie.

Operując pojęciami takimi jak naród, stan, klasa itp. musimy pamiętać o tym, że są to w gruncie rzeczy pojęcia umowne i o zmiennej treści. Dlatego też chciałbym jak najmocniej ostrzec przed wzmiankowanym już przez wydawcę niebezpieczeństwem rozumowania przez analogię i przenoszenia pojęć i nastawień z jednej epoki do innej, nawet z jednej generacji do drugiej.

Jakkolwiek Jodko nie zajmuje się w swym opracowaniu szczególnie kwestią idealizmu i realizmu w polityce, zaznacza parokrotnie swój krytyczny stosunek do orientacji rosyjskiej kwestionując jej rzekomy realizm. Podobnie stosuje kryterium realizmu gdy mówi o zmarnowanych szansach powstań narodowych. W tym wypadku także chciałbym od razu wyjaśnić moje stanowisko w tej sprawie. W odróżnieniu od Adama Bromkego, który używa schematu realizm-idealizm w swych osądach historii w doskonałym zresztą artykule pt. (w polskim tłumaczeniu) *Polski idealizm i realizm w retrospekcji (Canadian Slavonic Papers*, marzec 1979) — terminologia ta odpowiada mi raczej w określeniu postaw a nie kierunków. Dla Bromkego idealizm i realizm są w pewnym sensie odpowiednikami romantyzmu i pozytywizmu, ale kryterium realizmu w zastosowaniu do nich może być kwestiono-

wane. Oba te pojęcia nie występują prawie nigdy w czystej formie. Jak pisał kiedyś E. H. Carr, idealizm pozbawiony realizmu jest naiwnością, realizm pozbawiony idealizmu jest jałowy. Próbując scharakteryzować postawę idealistyczną widziałbym w niej główny nacisk położony na imponderabilia; w postawie realistycznej główną troską zdaje się być wyważenie proporcji między zamierzeniami a możliwością ich realizacji. W tym sensie nie są to postawy wykluczające się nawzajem. W swym wielce interesującym i pobudzającym do myślenia artykule pt. *Czy geopolityka straciła znaczenie?* (*Res publica*, wydana na powielaczu w kraju, nr 1) Stefan Kisielewski widzi „możliwość podziału ról między rewolucyjnymi kontestatorami [idealistami? — P.W.] a kompromisowymi geopolitykami [realistami? — P.W.], tak jak istnieje podział na treść i na formę — w działaniu mogą się one wspierać, uzupełniać, zastępować. W tym sensie na pytanie: 'bić się czy nie bić? paść może odpowiedź trzecia — syntetyczna'".

Nawiązuję tutaj do Kisielewskiego nie tylko dlatego, że porusza on sprawy o których mówiłem powyżej, ale także ponieważ postuluje w swym artykule potrzebę rozpatrzenia możliwości autentycznego dialogu polsko-rosyjskiego. Krokiem wstępnym do takiego dialogu byłoby, moim zdaniem, przepracowanie raz jeszcze, *sine ire et studio*, stosunków polsko-rosyjskich w przeszłości. Wokół tych stosunków nagromadziło się zbyt wiele legend i mitów a zwalczanie ich poprzez nowe legendy i mity nie może dać nam prawdziwego rozeznania. Znane dzieło Jana Kucharzewskiego, *Od białego do czerwonego caratu* wniosło wprawdzie dużo cennego materiału, ale nie było pomyślane jako beznamiętna praca naukowa, mająca dostarczyć nam surowego materiału i faktów. Dla zilustrowania tego co mam na myśli, pozwolę sobie wspomnieć o pracy, której ukazania się oczekujemy już od pewnego czasu w Stanach. Dotyczy ona stosunków polsko-rosyjskich w ostatnich dekadach XVII wieku w oparciu o nigdzie dotąd nie ogłoszone raporty przedstawicieli dyplomatycznych Moskwy w Warszawie. Da nam ona wgląd w to, jak Rosjanie widzieli i oceniali ówczesną Rzeczpospolitą.

Mówiąc skrótowo, uważam, że obecnie najpotrzebniejsze jest dogłębne i możliwie bezstronne przebadanie tematyki polsko-rosyjskiej w przeszłości. Bez takiej bazy badawczej, dyskusje i polemiki, skądinąd interesujące i pobudzające do refleksji, będą z konieczności obracać się nadal w wąskim kręgu utartych pojęć czy ich negacji, nie spełniając istotnej roli w zrozumieniu całej tej złożonej i skomplikowanej problematyki.

Dwudziestosiedmiostronnicowy esej Jodki stanowi niewątpliwie ciekawą lekturę. Sprowadza się jednak w gruncie rzeczy do sprezentowania ściśle określonej postawy ideowej w oparciu o przykłady historyczne, których dość dowolny wybór irytuje przez uproszczenia i aprioryzm. Doskonale rozumiem, że autor nie zamierzał napisać rozprawy naukowej i że chodzi mu o sprowo-

kowanie dyskusji. W tym sensie esej ten spełnia swoje zadanie. Ale czy powracanie w nowej formie do starych sporów orientacyjnych jest aż tak ważne i celowe?

Mam nadzieję, że nie przeinaczę głównej myśli autora referując jego zasadniczą tezę. Jodko stara się wykazać, iż wysiłek Polaków zarówno w okresie tzw. pierwszej kampanii polskiej Napoleona w 1806-1807 r., podczas Powstania Listopadowego i podczas Powstania Styczniowego był w istocie rzeczy zbyt nikły, aby mógł osiągnąć zamierzone skutki. W pierwszym przypadku: „Czyn polski pozostawał wciąż w stanie potencjalnym, nie rzeczywistym. Tracono ogromną, niepowtarzalną szansę dziejową”. Kompromis Napoleona z Aleksandrem w Tyłży dał Polakom tak mało, ponieważ zabrakło czynu polskiego. „A czynu tego zabrakło... wskutek wahań, oportunistów, lenistwa i pseudo-rojalistycznego krytycyzmu”. Pisząc o Powstaniu Listopadowym, Jodko stwierdza kategorycznie, że wojnę w 1830-31 r. z Rosją można było wygrać „w oparciu o własne tylko siły — dziś wiemy [? — W.P.], że potencjalnie ogromne, a zupełnie w 1831 nie wyzyskane”. Za ten stan rzeczy autor wini ludzi stojących na czele Powstania, dla których „odzyskanie pełnej niepodległości nie było wcale celem, do którego chcieliby dążyć”. Co więcej ludzi tych przerażała rzekoma możliwość — w razie wygranej wojny i odzyskania własnej państwowości — iż „do władzy dojdą ludzie, którzy uprzednio nie mieli wpływu na losy narodu”. Podobne stanowisko Jodko zajmuje wobec Powstania Styczniowego, stłumionego „przy ogólnie bardzo nikłym (trzeba to jak najmocniej podkreślić) wysiłku społeczeństwa na rzecz sprawy narodowej, jeśli wziąć pod uwagę rzeczywisty potencjał ludnościowy i ekonomiczny kraju”.

Na argument, że przecież nawet półmilionowej Wielkiej Armii napoleońskiej nie udało się pokonać Rosji, autor odpowiada, że: „Mało kto zastanawia się nad bezsensownością takiego porównania. Walka polska nie miała przecież na celu całkowitego rozbicia rosyjskiego imperium [czyż zdaniem autora Napoleon do tego dążył? — P.W.] ... Chodziło *tylko* [podkreślenie moje — P.W.] o usunięcie wojsk i władz rosyjskich z terenu Polski, z obszaru Warszawy, Lublina, Białegostoku, najwyżej Wilna, Mińska, Żytomierza i Kamieńca Podolskiego — i nie wpuszczenia tu więcej nosicieli carskich ambicji terytorialnych”.

Do jakiego stopnia ten punkt widzenia jest do przyjęcia przez historyka? Pomimo niewątpliwych ościągania się ze strony części społeczeństwa z Warszawą włącznie, a także pomimo polityki Napoleona, który konsekwentnie zmierzał do uzyskania poparcia arystokracji i szlachty, osłabiając przez to bardziej radykalne czynniki polskie, wysiłek narodowy przekroczył liczbę wojsk, jakiej domagał się cesarz Francuzów. Pod broń powołano dość szybko 30.000 ludzi. Jak podaje Kukiel, w ciągu kampanii 1807 roku, około 50.000 „przeszło przez listy kontrolne”. Biorąc pod



uwagę ludność obszaru wyzwolonego przez Francuzów, trudno to uznać za nikły wysiłek. Jeśli chodzi o wojnę polsko-rosyjską z 1830-31 r. to muszę wyznać, że należę do tych historyków, którzy wciąż jeszcze nie wiedzą, iż siły polskie były w tym okresie tak wielkie, że mogły sprostać Rosji. Obawy przed zwrotem — klubiści, wypadki 15 sierpnia — nie były chyba decydującym powodem źle prowadzonej kampanii. By znów powołać się na autorytet Kukiela, stosunek obu armii w chwili wybuchu Powstania był 1 : 10. Stosunek ten zredukowano na polu bitwy, i to przy ogromnym wysiłku ze strony polskiej, do 1 : 2. Jeśli pamiętamy o tym, że Królestwo nie miało odpowiednich fabryk broni i amunicji, że jego potencjał gospodarczo-finansowy był niewspółmiernie mały (a do wojny trzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy) a geograficzna baza operacyjna była nieduża, trudno zrozumieć na czym autor opiera swoje głębokie przekonanie o realnych szansach zwycięstwa. Zdaje się, że ma przede wszystkim na myśli owe „potencjalne” siły narodu, ale do tej sprawy powrócimy za chwilę.

W Powstaniu Styczniowym przez oddziały walczące przewinęło się około 200.000 ludzi, co nie świadczy chyba o tym, że gros Polaków odniosło się do Powstania negatywnie. O zasięgu penetracji przez powstańców całego systemu komunikacji, poczty itp. najlepiej chyba świadczy opinia Berga. Powołany do zbadania jak daleko sięgają wpływy powstańców, Berg miał oświadczyć wielkiemu księciu, że doszedł do jednego tylko wniosku, a mianowicie, że on sam nie ma na pewno nic z Powstaniem wspólnego. Dodał następnie: „ani Wasza Cesarska Wysokość”.

Jodko operuje niesprawdzalnym i wysoce hipotetycznym pojęciem „potencjału narodowego”. Nie jest w tym zresztą oryginalny. Już w XIX wieku robiono niby prostą kalkulację: jeśli naród polski liczy około 20 milionów, a armie zaborcze zaledwie kilkaset tysięcy, to nawet bez odpowiedniej broni i amunicji Polacy posiadają druzgoczącą przewagę liczebną nad wrogiem. Rozumowanie takie wydaje mi się błędne już w samym założeniu. Po pierwsze, poza Żmudzią i rozrzuconymi ośrodkami na Białorusi, polskich Inflantach czy innych ziemiach zabranych, masa społeczeństwa nie była gotowa poprzeć „pańskiego” Powstania. Tragiczne wypadki na Ukrainie są dość dobrze znane, aby trzeba je raz jeszcze przypominać. Tak więc musimy zredukować, i to dość drastycznie, ową liczbę 20 milionów.

Ale nie chodzi tu tylko o liczby. Teza, że liczebna przewaga ludności cywilnej nad wojskiem zaborczym dawała szanse zwycięstwa, pomija fakt, że nie da się zmobilizować całego społeczeństwa. Trzeba też przygotować odpowiednie kadry, wyszkolić masy, zgromadzić broń i nauczyć powstańców jak mają się z nią obchodzić etc. W jaki sposób taka mobilizacja „narodowego potencjału” miała się odbyć pod okiem aparatu policyjnego, wojska, administracji i sądownictwa zaborczego, nie wy-

jaśniono ani wtedy ani dzisiaj. Teza autora jest więc porównywalna do utopijnej koncepcji Sorela strajku powszechnego, który musi przynieść nieuchronne zwycięstwo klasie robotniczej.

Chyba tylko zamiłowaniem do paradoksu tłumaczyć można konkluzję Jodki: „Biorąc pod uwagę całą liczebność narodu polskiego w XIX wieku i wpływy polskie na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, ogrom potencjału zdatego do przeciwstawienia zaborcom — i to wbrew naiwnym sugestiom niektórych historyków i publicystów, zaborców wcale nie połączonych rzekomą solidarnością — zdumiewać musi fakt, że naród polski nie odzyskał niepodległości w XIX wieku, choćby na części swych obszarów historycznych”. Przywołując znów magiczną liczbę 20 milionów Polaków, autor uważa „za swojego rodzaju 'cud historyczny' utrzymanie narodu polskiego bez własnego państwa przez 123 lat — w okresie, kiedy zasada samostanowienia narodów coraz bardziej dawała się odczuć w skali pojęć całej Europy...”.

Nie będę tutaj poruszał złożonego zagadnienia solidarności zaborców — Świętego Przymierza, Sojuszu Trzech Cesarzy itp. oraz więzi ideologiczno-monarchicznych — które dla autora jest nieistniejące. Ci, którzy tego nie widzą cierpią na „pomieszanie pojęć” i rozumują naiwnie. Nie jest to zresztą odosobniony przypadek, gdy Jodko w braku argumentów rzeczowych posługuje się metodą zarzucania głupoty czy niewiedzy tym, którzy mają inne poglądy niż on sam. Chwył tego typu, niewątpliwie użyteczny na wiecu, nie wydaje mi się na miejscu nawet w polemicznym artykule.

Jedną z głównych słabości eseju Jodki jest nieuwzględnianie aspektów, które nie pasują do jego tezy. Zbyt często Polska jest traktowana w izolacji od wydarzeń międzynarodowych, prądów ideowych i tendencji rozwojowych w Europie. Zapewne, zasada samostanowienia narodów — *principe des nationalités* — występowała coraz silniej w XIX wieku, ale obrona tezy o polskim „cudzie” historycznym wymaga porównania wysiłków i osiągnięć np. narodów bałkańskich, które w tym okresie odzyskiwały swą niepodległość, z sytuacją narodu polskiego. Trzeba wykazać różnice i analogie, co w efekcie końcowym na pewno nie podbuduje tezy autora.

W palecie autorskiej Jodki istnieją właściwie tylko dwa kolory — biały i czarny — a to nie tylko zuboża obraz, jaki stara się narysować, ale daje często obraz fałszywy. Zbyt często autor pomija lub przeinacza fakty. Rozwódzając się o klauzuli traktatu wiedeńskiego z 1815 roku według której Królestwo miało być związane z Rosją jedynie poprzez konstytucję, nie wspomina nic o tym, że konstytucja, tak jak ją ogłoszono 24 grudnia 1815 r., stwierdzała w artykule 1-szym, że królestwo będzie na wieki związane z Rosją. Tę niewątpliwą sprzeczność należało zasygnalizować. Obietnice Aleksandra „poszerzenia wewnętrznego” Kró-

lestwa, rozumiane słusznie jako zapowiedź połączenia z ziemiami zabranymi, nie można określać *ex cathedra* jako „taktyczne kłamstwo”. Sprawa jest bardziej złożona. Należy wyjaśnić jakie były cele Aleksandra w wymiarze ogólnoeuropejskim; jak reagowano w Rosji na idee odłączenia „zachodnich guberni” (np. wypowiedź Karamzina); co skłoniło Aleksandra do wycofania się z jego pierwotnych zamierzeń.

Wyraźne sympatie autora do Austrii habsburskiej, które zresztą w pewnej mierze podzielał, skłaniają go do wybielania polityki wiedeńskiej. Dwa zdania na tej samej stronie — Austria „nie zwalczała polskich aspiracji niepodległościowych” i „rzecz jasna, nie była skłonna do tolerowania na swoim terytorium polskiej irredenty” wydają mi się logicznie sprzeczne. Czyż Austria była aż tak jednoznacznie przychylna Powstaniu Listopadowemu? Autor nie wspomina o dualizmie Metternich-Kolowrat i o potępieniu przez Metternicha polskości jako synonimu rewolucji: „*Der Polonismus ist nur eine Formel, ein Wortlaut, hinter dem die Revolution in ihrer krassesten Form steht, er is die Revolution selbst*”.

Przypisywanie Stańczykom tezy, że „Polska niepodległości nigdy już odzyskać nie może” wydaje mi się nader ryzykowne. Uwaga na temat Endecji „odcinającej” od narodu polskiego dwie trzecie społeczeństwa dawnej Rzeczypospolitej jest tylko do pewnego stopnia słuszna. Jeśli uwzględnimy proces odrodzenia narodowego Ukraińców czy Litwinów, „odcinanie” nie było zabiegiem jednostronnym. Zapewne, postawa endecka zaostrzała konflikty we wschodniej Galicji a później utrudniała jeśli nie niweczyła, program federalistyczny, ale wydaje mi się, że nawet krótki stosunkowo artykuł wymaga większej precyzji i ścisłości. Jakkolwiek jestem bliski krytycznym poglądom Jodki na rolę Narodowej Demokracji, trudno mi przyjąć tezę, iż Dmowski odrzucał w ogóle myśl odzyskania niepodległości przed pierwszą Wojną Światową. W listach do Jeża, na przykład, pisze o niej wyraźnie. Nacjonalizm Dmowskiego nie powinien być też przedstawiony w oderwaniu od narastającej fali nacjonalizmu w ówczesnej Europie.

W eseju znajduje się więcej sformułowań budzących zastrzeżenia i tylko niektóre z nich chciałbym jeszcze tutaj poruszyć. Autor słusznie zauważa, że manifest W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza nie był dokumentem wiążącym Rosję, gdyż nie został podpisany przez cara. Jednocześnie przesadnie podkreśla znaczenie uznania niepodległości Polski przez Radę Deputatów Robotniczych i Żołnierskich w Petrogradzie, która też nie miała uprawnień organu rządowego, a pomija deklarację Rządu Tymczasowego. A przecież ta druga miała kapitalne znaczenie dla Polski, zwłaszcza jeśli chodzi o stanowisko Ententy. Twierdzenie, iż rewolucja w Rosji położyła kres orientacjom nie jest całkowicie zgodne z prawdą. Dualizm orientacyjny zaznaczył się bardzo

wyraźnie jeszcze w 1919-1920 r. choćby na konferencji pokojowej w Paryżu. Interpretacja unieważnienia aktów rozbiorowych przez rząd bolszewicki jest niezbyt przekonywująca z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Czy jednostronne wypowiedzenie umów multilateralnych przywraca automatycznie stan *status quo ante*? Zresztą Bolszewicy wyraźnie zaznaczali, że ich pretensje do wschodnich obszarów dawnej Rzeczypospolitej nie wypływają z praw historycznych, ale z zasady rewolucyjnego samostanowienia narodów.

Autora nie interesują wyraźnie te wszystkie subtelności i nie wyznaje on zasady, że *la verité est dans les nuances*. Gromi zatem ówczesne czynniki polskie za to, że nie doceniły wypowiedzenia przez Rosję traktatów zaborczych — „takich logicznych konsekwencji z radzieckich deklaracji politycznych oczywiście nie wyciągnięto...”. Uwaga autora o stosowaniu w okresie traktatu wersalskiego zasady prawa „wszystkich narodów do samostanowienia” i to „nawet przesadnie” nie odpowiada faktom. Zasady samostanowienia nie uwzględniono w stosunku do Austrii, której zabroniono połączenia się z Niemcami, nie podniesiono jej wobec narodów Rosji, a już mowy być nie mogło o zastosowaniu jej na przykład w stosunku do Irlandii. Dalsze wylizywanie nieściśłości i pewnej dezynwoltury Jodki wobec faktów historycznych nie jest już chyba potrzebne.

Zasadniczym celem Jodki jest potępienie rzekomej bierności Polaków, o czym już była mowa. Odpowiedzialnością za to obarcza orientację rosyjską, której odmawia wszelkich praw do realizmu. Autor stawia tu sprawę jasno: program kapitulacji nie jest programem realistycznym, a Rosja nie chciała rozmawiać z Polakami na innych zasadach. Jodko wyraża tę myśl następującymi słowami: „W praktyce 'realizm' ten polegał na prowadzeniu narodowej opinii publicznej na fatalne i szkodliwe dla sprawy manowce”.

Esej Jodki wywołał u mnie szereg sprzeciwów i zastrzeżeń, szczególnie przez swój apodyktyczny ton i nietolerancyjny stosunek wobec innych punktów widzenia. Jako historyka (deformacja profesjonalna?) rażą mnie uproszczenia, pominięcia i niewyważone sądy. Paradoksalnie, razi mnie może najbardziej to, iż w eseju Jodki widzę wiele własnych poglądów odbitych w krzywym zwierciadle. Orientację prorosyjską oceniam krytycznie, co nie oznacza, iż kwestionuję dobrą wolę jej wielu wyznawców. Program Dmowskiego uważam w szeregu miejscach za błędny a nawet szkodliwy, ale nie jestem gotów potępiać go w czambuł. Zgadzam się, że jego „realizm” był niejednokrotnie pozorny, a nowa fascynująca książka młodego uczonego duńskiego, Kay Lundgreen-Nielsena (*The Polish Problem at the Paris Peace Conference*, Odense, 1979) ukazuje niezbicie, że Dmowski nierealistycznie oceniał polskie szanse na konferencji paryskiej 1919 roku. Wydaje mi się, jednak, że wznawianie sporów orien-

tacyjnych jest w dzisiejszych warunkach pewnym anachronizmem. Nie chodzi tutaj o zamazywanie istotnych różnic i unikanie polemik, ale dyskusja na ten temat powinna przynajmniej wznieść się na inny poziom, oprzeć się na nowych osiągnięciach naukowych i szukać jakiejś nowej syntezy. Czy historia ma uczyć nas tego jak trudne i zawiłe były drogi polskie w przeszłości, czy też służyć tylko jako broń w polemikach? Ostatecznie z historii można zawsze wydobyć argumenty i cytaty na obronę swego stanowiska nie rozszerzając przy tym znajomości rzeczy i nie pogłębiając zrozumienia istoty spraw. Chyba nie tylko orientacja rosyjska, ale zaciekle i zacietrzewione spory orientacyjne przyniosły sporo złego naszemu narodowi.

Zapewne, różnice pomiędzy mną a autorem opracowania o *Orientacji rosyjskiej* wynikają do pewnego stopnia także z odmiennej perspektywy i kąta widzenia. Na te sprawy patrzę przecież z dystansu naukowego a także i geograficznego, który być może nie pozwala na dostatecznie ostrą wizję realii dnia codziennego. Dlatego też nie chciałym kończyć mych uwag akcentem negacji i krytyki. Przeciwnie życzę dalszego powodzenia inicjatywie podjętej przez Bibliotekę historyczną. Oby w toku dyskusji i polemik ukazała się prawdziwsza wizja przeszłości i lepsze rozeznanie wczoraj, dziś i jutra.

Piotr WANDYCZ

Karol KRACZKIEWICZ

## PRZYCZYNY DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ I ROLA POLITYKI POLSKIEJ W OSTATNICH LATACH PRZED JEJ WYBUCEM

(Próba syntezy)

Każdego Polaka tego pokolenia, które przeżywało drugą wojnę światową, nękały chyba — i jeszcze nękają — pytania co do przyczyn tego konfliktu, a zwłaszcza czy mogłoby to pokolenie jakoś inaczej pokierować losami swego kraju, by zaoszczędzić mu tych strasznych lat, a co najmniej uczynić je bardziej znośnymi. Pytania są tym bardziej dręczące dla tych z nas, którzy jako zawód obrali służbę Polsce w dziedzinie jej stosunków zagranicznych, a z jeszcze większą natarczywością domagają się odpowiedzi w moim przypadku, gdyż ruch służbowy w MSZ sprawił, że ostatnie dwa lata przed wybuchem wojny spędziłem w Berlinie, w Ambasadzie RP, kierowanej przez Józefa Lipskiego i mogłem z bliska obserwować rozwój wypadków, prowadzących do napadu niemieckiego na Polskę, a nawet w skromnej mierze w nim uczestniczyć.

Poniższe uwagi nie pretendują wcale do udzielenia na te dręczące pytania odpowiedzi, które mogłyby uchodzić za definitywne. Zadanie takie musi być pozostawione zawodowym historykom, badaczom źródeł, którzy z pewnością jeszcze przez długie lata prowadzić będą dyskusje na te tematy. Moim zamiarem jest sformułowanie moich osobistych poglądów, opartych na bogatej literaturze przedmiotu oraz poczynionych obserwacjach i wycieczkach, odniesionych w ciągu tych lat krytycznych, a potem wielokrotnie przemyślanych.

## *Znaczenie i geneza drugiej wojny światowej*

Znaczenie drugiej wojny światowej wybiega daleko poza ramy polityki i strategii, które zwykle bierze się pod uwagę przy rozważaniach konfliktów zbrojnych pomiędzy państwami, i ich skutków. Zresztą wojnę tę należy traktować jako kontynuację pierwszej wojny światowej, z którą stanowi ona ten sam cykl wydarzeń. Pierwsza wojna nie stworzyła podstaw dla trwałego pokoju gdyż, między innymi, dynamizm niemiecki nie akceptował jej wyniku jako definitywnego zwycięstwa aliantów zachodnich. Okres między dwoma wojnami był zatem raczej zawieszeniem broni, niż pokojem. U źródeł obu wojen, traktowanych jako całość, znajdują się liczne i złożone przyczyny, tkwiące głęboko w przeszłości. Kataklizm tych dwóch wojen można porównać do zjawiska trzęsienia ziemi, w którym ogromne masy materii tracą nagle, wskutek długotrwałych lecz mało znanych napięć wewnętrznych, równowagę w jakiej się dotychczas wzajemnie utrzymywały i ścierają się w apokaliptycznych zderzeniach, póki w końcu nie odnajdą jakiejś trwalszej, nowej równowagi opartej o inny od poprzedniego stosunek sił. Kataklizmy, które przeżyliśmy w pierwszej połowie XX wieku, odznaczały się jednak — jak się zdaje — wyjątkową mocą, gdyż miały cechy historycznego przełomu między epokami. By się o tym przekonać wystarczy skonstatować rewolucyjny charakter zmian, jakie nastąpiły w ciągu tego półwiecza, nie tylko w zakresie politycznym czy militarnym, ale również technicznym, naukowym, ekonomicznym, społecznym i moralnym, a które bądź zrodziły się z dwu wojen światowych, bądź dzięki nim skrytalizowały. Rozważanie głębokich przyczyn tych kataklizmów zaprowadziłoby nas jednak za daleko w dziedzinę spekulacji historiozoficznych. Ograniczę się zatem do poglądów na okoliczności prowadzące do wybuchu drugiej wojny światowej, tkwiące w międzywojennym dwudziestolecu.

## *Sytuacja polityczno-dyplomatyczna w Europie dwudziestolecia*

Pod względem polityczno-dyplomatycznym Europa, od wschodniej granicy Polski aż po Atlantyk, wydawała się nadal głównym ośrodkiem siły i potęgi w świecie. Dwie przyszłe „superpotęgi”: Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki pozostawały w praktyce poza nawiasem tego ośrodka. Stany Zjednoczone wycofały się z Europy zupełnie świadomie, odrzucając na razie rolę wielkiej potęgi, którą w rzeczywistości już się stawały;

głęboki kryzys gospodarczy — największe przeżycie narodu amerykańskiego od czasów wojny domowej — i wynikłe z tego kryzysu nastroje izolacjonistyczne dopełniały niesłusznego wrażenia, że w wielkich rozgrywkach tego świata, a więc przede wszystkim Europy, Ameryka nie liczyła się jeszcze jako jeden z czynników rozstrzygających. Rosja zaś wydawała się również osłabiona kolejnymi wstrząsami wewnętrznymi; zresztą sama polityka Stalina budowania socjalizmu „w jednym kraju” oznaczała wówczas odwrócenie się Związku Sowieckiego od udziału w polityce międzynarodowej w szerszym zakresie. Pomruki rewolucyjne, odzywające się od czasu do czasu na Zachodzie, w Chinach i koloniach, były nie tyle wynikiem podziemnej akcji Kominternu, co odzwierciedleniem rodzimych niepokojów o charakterze społecznym czy nacjonalistycznym. Wbrew powszechnemu wówczas przekonaniu na Zachodzie, poparcie udzielane tym ruchom przez Rząd sowiecki i rosyjską partię komunistyczną nie miało wpływu decydującego: jego znaczenie leżało głównie w dziedzinie propagandy ideologicznej, a celem tego poparcia było na ogół okazanie obowiązkowej solidarności, a tylko w wyjątkowo sprzyjających okolicznościach Moskwa decydowała się na pogłębianą ingerencję. Polityka sowiecka w tym okresie bynajmniej nie zmierzała do wypowiedzenia rozstrzygającej walki systemowi kapitalistycznemu czy państwowi burżuazyjnym. Mimo obaw co do ideologicznej ofensywy sowieckiej, na ogół nie doceniano na Zachodzie narastającej potęgi państwa sowieckiego. W tym okresie Europa była jak gdyby pozostawiona sama sobie, choć ten stan rzeczy nie odpowiadał już rzeczywistości układowi sił światowych. Był to więc niejako okres zawieszenia, w którym nowe „superpotęgi” jeszcze się nie ujawniły, a stare wielkie mocarstwa — choć mało kto zdawał sobie z tego sprawę — wiele już utraciły ze swych dawnych atutów. Chwilowo zapanowało coś, co można by nazwać „bezkrólewiem” wielkich mocarstw; przyczyniło się to może do stworzenia wrażenia, że niektóre mniejsze państwa — jak np. Polska — wywierały większy wpływ w Europie, niż ich istotne siły usprawiedliwiały.

### *Ostabilenie Francji i Anglii i chwiejność ich polityki*

Francja i Wielka Brytania, zwycięskie w pierwszej rundzie wojny światowej, po jej zakończeniu znalazły się pozornie u szczytu powodzenia. W rzeczywistości, niepomiernie wykrwawione, z poderwanym potencjałem gospodarczym, rosnącymi trudnościami wewnętrznymi i kłopotami w swych rozległych posiadłoś-



ciach zamorskich, pragnęły przede wszystkim normalizacji i spokoju, za które były gotowe z biegiem lat płacić coraz wyższą cenę. Upadek prężności i dynamiki, a co za tym idzie woli i jasnej myśli politycznej, w obu tych krajach jest jednym z najbardziej uderzających faktów historycznych tego okresu. W najistotniejszych zagadnieniach dotyczących jej własnego bezpieczeństwa, jak sprawa Nadrenii, Austrii, Czechosłowacji i wreszcie Polski, polityka francuska była chwiejna i z zasady gotowa do daleko idących ustępstw na rzecz Niemiec, a w praktyce rezygnowała ze swej niezależności, podporządkowując się coraz częściej stanowisku zadecydowanemu w Londynie; rządy brytyjskie były jeszcze bardziej ustępliwe od rządów francuskich, a co gorzej — nieraz same sugerowały Niemcom możliwość ustępstw. Wieloletnia polityka mocarstw zachodnich stałej ustępliwości wobec roszczeń niemieckich — od Locarno po Monachium — może więc być uważana za jedną z najważniejszych przyczyn wojny.

Punktem zwrotnym w tej polityce był niewątpliwie brak reakcji ze strony mocarstw zachodnich na jednostronną decyzję Hitlera remilitaryzacji Nadrenii w 1936 roku. Skoro Francja była gotowa akceptować tę decyzję tak bezpośrednio dotyczącą jej granic, nie było już podstaw na liczenie na jej opór wobec innych zakusów niemieckich. Z tą chwilą wojna stała się nieunikniona, gdyż mimo wszystko musiał nadejść moment, gdy ustępstwa przebiorą miarę i wypadnie bronić już nie tylko żywotnych interesów, ale po prostu własnej niezawisłości. Moment ten nastąpił bardzo późno, dopiero po zajęciu Pragi w marcu 1939 roku, a nawet i wtedy przebudzenie nastąpiło w Anglii, a nie we Francji i jeszcze potem tendencje ugodowe przejawiały się nieraz w obu krajach; we Francji wyraziły się — jak wiadomo — po klęsce 1940 roku, w reżymie Pétaina.

### *Niemiecki „Sturm und Drang Periode”*

Wśród sił napędowych, które doprowadziły do wybuchu, a raczej do wznowienia konfliktu zbrojnego w 1939 roku, trzeba niewątpliwie przyznać pierwsze miejsce dynamizmowi nacjonalizmu niemieckiego.

Zastanawiające jest jak los i rozwój narodów podobny jest do losu i rozwoju jednostek; tak jak ludzie — narody przeżywają dzieciństwo, młodość, okres dojrzałości, osiągają wiek starości, wreszcie chyłają się ku upadkowi. U wielu narodów historycznych Europy proces ten można dostrzec wyraźnie: w pewnym czasie, gdy rozwój wewnętrzny już dojrzał, a warunki

zewewnętrzne były przychylnie, narody te wykazały niebываły przy-  
pływ energii i niepowstrzymaną ekspansywność, mającą nieraz  
cechy agresywności zarówno ideologicznej, gospodarczej jak i mi-  
litarnej. Odzwierciedla najlepiej to zjawisko niemieckie wyra-  
żenie — *Sturm und Drang Periode*, co odpowiada okresowi  
wczesnej dojrzałości człowieka, gdy natężenie jego energii życio-  
wej, seksualnej, jego dynamiki jest najsilniejsze. Istotnie jest  
coś niemal seksualnego w tych okresach zrywów narodowych.  
Hiszpanie mieli taki okres w końcu XV i w XVI wieku, Fran-  
cuzi — od XVII do XIX wieku, poprzez czasy Ludwika XIV  
aż po Napoleona, Anglicy osiągnęli punkt szczytowy w XIX  
wieku, tworząc swe światowe imperium z istic rzymskim rozma-  
chem. Takie zrywy miały i mniejsze narody: Polacy za Jagiel-  
lonów aż po dwóch pierwszych Wazów, Szwedzi w XVII wieku.  
Amerykanie wydawali się przeżywać taki okres po zakończeniu  
drugiej wojny światowej, ale nie wiadomo jeszcze czy to nie  
był słomiany ogień. U Rosjan okres ekspansjonizmu narastał po-  
woli, ale wydaje się za to długotrwały; możliwe jednak, że apo-  
geum już zostało osiągnięte.

Otóż Niemcy, naród liczniejszy od Francuzów czy Anglików,  
co najmniej równie zdolny i energiczny, zamieszkujący samo cen-  
trum strategiczne Europy, pozbawiony był w czasach nowszych  
— może z powodu długotrwałego rozdrobnienia politycznego —  
okazji do takiego zrywu narodowego, do własnego *Sturm und  
Drang Periode*.

Okazja i warunki wybuchu mocarstwowej prężności niemieck-  
kiej ukazały się więc z pewnym opóźnieniem, bo dopiero w dru-  
giej połowie XIX i na początku XX wieku\*. Zryw niemiecki  
napotykał jednak wtedy na potężne przeszkody: inne mocarstwa  
europejskie, choć może przechodzące już na pozycje defensywy,  
stanowiły jednak jeszcze bardzo znaczną potęgę; świat poza Euro-  
pą był już wówczas podzielony między starsze mocarstwa kolo-  
nialne i Niemcom, w porównaniu z innymi, dostały się tylko  
ochłapy. Ekspansjonizm ich zatem musiał wyładować się przede  
wszystkim w Europie, gdzie przeszkody były największe. Niemcy,

---

\* Zadziwiające jest jak Niemcy, zmuszeni do ekspansji demograficznej,  
łatwo przez wiele wieków rozptywali się w otaczających społecznościach na-  
rodowych. Jeszcze przecież w połowie XIX wieku Niemcy, osiadający na  
ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim, ba, nawet austriackim, stawali się  
często już w drugim pokoleniu patriotycznymi Polakami i to w okresie, gdy  
spolszczenie trudno było wytłumaczyć ich własnym interesem. Wielki to  
zapewne komplement dla siły przyciągającej kultury polskiej, ale zarazem  
dowód braku w tym okresie wewnętrznej spistości w narodzie niemieckim.

spóźnione w wyścigu, nie dały jednak za wygraną. Porażka pierwszej wojny światowej tylko chwilowo powstrzymała ich pędy. Narodowy socjalizm Hitlera zmobilizował ich prężność i agresywność do maksimum. Proces ten może mógłby być zatrzymany w okresie pierwszych lat powojennych, a może jeszcze nawet i po dojściu Hitlera do władzy, gdyby Francja i Anglia miały wolę energicznego działania. Woli tej zabrakło w decydujących momentach i od chwili remilitaryzacji Nadrenii wypadki nieuchronnie potoczyły się ku wojnie.

### *Położenie państwa polskiego w okresie międzywojennym*

W wyniku pierwszej wojny światowej Polska odzyskała niepodległość, ale wydaje się, że — używając języka XIX-wiecznej dyplomacji — kwestia polska nie doznała wtedy ostatecznego rozwiązania. *Mutatis mutandis* było to odtworzenie sytuacji sprzed drugiego rozbioru, z tymi samymi zagrożeniami zewnętrznymi i podobnymi problemami wewnętrznymi wiszącymi nad krajem. Granice — zachodnia, wschodnia i północna — miały znamiona tymczasowości: wszystkie trzy były kompromisem niosącym w sobie zarodek śmiertelnych konfliktów.

Zachodnia — zarysowana jak najniekorzystniej pod względem obronności, pozostawiająca na wewnątrz poważne skupiska niemieckie, a na zewnątrz niemniej liczne ośrodki polskie. Wschodnia — zupełnie przypadkowa, uniemożliwiająca — a co najmniej utrudniająca — rozwiązania federalistyczne, o których marzyli niektórzy Polacy, ale które większość Narodu odrzucała i w rezultacie czyniąca z Polski państwo narodowościowe, a nie narodowe i kryjąca w sobie zarzewie irredenty. Północna — z nieuregulowanym stosunkiem do Litwy, z mieczem Damoklesa Prus Wschodnich zawieszonym nad sercem kraju, ze słabiutkim dostępem do morza, od początku zakwestionowanym przez utworzenie dwuznacznie pseudo-państwowego Wolnego Miasta Gdańska i przez nienormalną wężyznę tzw. korytarza. Kraj częściowo zniszczony, biedny — zwłaszcza ku wschodowi, obciążony przeszło 30 % mniejszości narodowych w warunkach, w których było bardzo trudno — nawet przy najlepszej dobrej woli, a tej na ogół brakło — ułożyć normalne współzycie choćby z jedną z nich, a cóż dopiero ze wszystkimi; obarczony nierozwiązanymi problemami społecznymi miast i wsi; wciśnięty między dwa, znacznie liczniejsze i silniejsze, narody i państwa, oba bynajmniej nie pogodzone z zaistniałym stanem rzeczy i oba oczekujące tylko sposobnej okazji do spełnienia kosztem Polski, albo przez

nią, swych celów państwowych, ideologicznych czy nacjonalistycznych; związany z Zachodem, który niejednokrotnie gotów był kosztem polskiego partnera zaspokoić, choćby chwilowo, pretensje dynamicznego niemieckiego sąsiada i w ten sposób zabezpieczyć się przed jego ekspansjonizmem.

Nie oznacza to, że osiągnięcia polskiego międzywojennego 20-lecia można było ocenić jako nieistotne, albo że nie pozostały one ważkiego i trwałego wkładu w historię narodu i państwa, oraz w ich przyszłe losy: szybkie zespolenie rozerwanych przez zabory połaci kraju, stworzenie z podziwu godną szybkością narodowych sił zbrojnych, przedstawiających na te czasy i okoliczności wcale pokazną siłę militarną, uformowanie i wyszkolenie wcale sprawnej administracji publicznej, przeprowadzona z rozmachem rozbudowa szkolnictwa, położenie podstaw polityki morskiej i rozbudowy przemysłu — wszystko to dowodzi, że instynkt państwowy Polaków nie zanikł w czasie długiego okresu niewoli. Na długą metę największym osiągnięciem 20-letniego niepodległego bytu państwowego było jednak — jak się później okazało — stworzenie pomyślnych warunków dla okrzepnięcia i zespolenia polskiej społeczności narodowej, co pozwoliło jej w późniejszych latach dać tyle dowodów swej żywotności. Powrócimy jeszcze później do tego motywu szczególnej dychotomii między słabością państwa, a siłą narodu w historii Polski co najmniej dwóch ostatnich stuleci.

Poważne osiągnięcia 20-lecia nie mogły jednak oddalić groźnych niebezpieczeństw, wynikających z nieszczęśliwego położenia geograficznego i złej struktury terytorialnej i narodowościowej ówczesnego państwa polskiego. W istocie jego bezpieczeństwo zewnętrzne opierało się głównie, w pierwszych latach, na względnej słabości obu mocarstw ościennych, a w późniejszych — po dojściu Hitlera do władzy — na antagonizmie dwóch panujących w nich systemów politycznych. Nie można było liczyć na to, że ten stan rzeczy mógł trwać w nieskończoność.

### *Polityka równowagi między Niemcami i Rosją i jej alternatywy*

W 1932 roku Marszałek Piłsudski przeprowadził analizę położenia Polski i wyciągnął z niej wnioski, które później okazały się prawidłowe: dojście do władzy w Niemczech nacjonal-socjalizmu stanowiło potencjalnie znaczne wzmoczenie zagrożenia naszej granicy zachodniej, sojusz z Francją stawał się coraz bardziej raczej papierowym niż rzeczywistym instrumentem politycznym, zainicjowane na Zachodzie próby zmontowania najpierw

Paktu Czterech, a potem Paktu Wschodniego nie dawały dostatecznych gwarancji dla żywotnych interesów Polski, a przeciwnie zdążyły do dalszego osłabienia zobowiązań sojuszniczych Francji, a pośrednio do ustawienia Polski jako głównego obiektu niemieckich rewindykacji i ustępstw ze strony partnerów zachodnich. Piłsudski postanowił w tych warunkach spróbować nawiązania bezpośrednich rozmów z nowym rządem Rzeszy i to dało początek tak zwanej polityce równowagi między stosunkami z rządem sowieckim (pakt o nieagresji z 1933 r.) i z Rzeszą niemiecką (deklaracja o nieagresji z 1934 r.).

Nawiasem mówiąc, termin „polityka równowagi”, używany w odniesieniu do polityki rządu polskiego po 1934 roku, nie jest precyzyjny i może prowadzić do błędnych wniosków. Tradycyjnie był on używany dla określenia stosowanej od kilku wieków polityki brytyjskiej wobec państw kontynentu europejskiego, polegającej na czynnym popieraniu państwa słabszego lub koalicji przeciwko temu państwu, które w danym okresie zdawało się dążyć do hegemonii na kontynencie europejskim. Polityka ta była dynamiczna, gdyż dopuszczała możliwość przerwania się z jednej strony na drugą, nie wahała się poprzeć partnerów zbrojnym sojuszem i w razie potrzeby zbrojną interwencją. Była oczywiście uwarunkowana faktem, że Wielka Brytania w tym okresie stanowiła wielkie mocarstwo światowe. W wypadku Polski polityka równowagi o takich założeniach nie była możliwa: Polska, nie będąc mocarstwem, nie mogła przerzucić się z bliskiej współpracy czy sojuszu z jednej strony na drugą, gdyż od razu popadłaby w daleko idące uzależnienie od jednego czy drugiego sąsiada. Przeciwnie, zasadą polskiej polityki równowagi była odmowa nawiązywania głębszej współpracy politycznej, a tym bardziej sojuszu, tak z jednym, jak i z drugim sąsiednim mocarstwem; była to zatem polityka w zasadzie statyczna, o wąskim marginesie możliwości odchyień.

Niemniej jednak polityka równowagi dała nam, na krótką metę, niewątpliwe korzyści: pretensje terytorialne Niemiec zeszyły z porządku dziennego bieżącej polityki międzynarodowej, dając Polsce na jakiś czas poczucie bezpieczeństwa; sytuacja w Wolnym Mieście Gdańsku, acz nadal zapalna, uległa pewnej poprawie; stosunki handlowe i finansowe z Rzeszą, do niedawna bardzo zaognione, co dotkliwie odbijało się na sytuacji gospodarczej kraju, uległy stopniowemu znormalizowaniu; działalność irredentystyczna wśród mniejszości niemieckiej znacznie przyćmiała; położenie mniejszości polskiej w Rzeszy na ogół się polepszyło; antypolska propaganda w prasie niemieckiej została przyhamowana. Wszystko to odbiło się korzystnie na sytuacji

międzynarodowej Polski i podniosło jej znaczenie w Europie, jako czynnika stabilizacji.

Błędne i niesłuszne były zarzuty robione tej polityce, że jakoby pod pokrywką równowagi kryła jakieś głębsze powiązania, czy nawet współpracę z Niemcami Hitlera. Aby zbić te zarzuty wystarczy przytoczyć dwa fakty: po pierwsze — złożoną w 1936 roku rządowi francuskiemu (z okazji sprawy remilitaryzacji Nadrenii) deklarację ministra Becka o gotowości Polski do wykonania jej zobowiązań sojuszniczych w razie wybuchu konfliktu francusko-niemieckiego; po drugie — konsekwentne, od chwili znegocjowania Deklaracji polsko-niemieckiej z 1934 roku aż do przedednia napadu niemieckiego na Polskę, uchylanie się rządu polskiego od rozmów czy współpracy z Niemcami w sprawach dotyczących Związku Sowieckiego — mimo licznych i wciąż ponawianych prób i sugestii. Odwrotną stroną medalu stosunków z Rosją była odmowa udzielenia z góry, na wypadek agresji niemieckiej, zezwolenia na przemarsz wojsk sowieckich przez terytorium Polski. Poza innymi, ważkimi i oczywistymi względami, odmowa ta była logiczną konsekwencją polskiej polityki równowagi.

Czy istniały w okresie od objęcia władzy przez Hitlera po kryzysowy rok 1938 jakieś realne możliwości innego wyboru polityki zagranicznej Polski, jakieś alternatywy polityki równowagi, biorąc oczywiście za punkt wyjścia wolę rządu polskiego i narodu utrzymania prawdziwej niepodległości?

Była już mowa o słabości i chwiejności polityki mocarstw zachodnich i o dążności Francji do rozwodnienia raczej niż wzmocnienia sojuszu z Polską, albo utopienia go w dość mgławicowych systemach bezpieczeństwa, których koszt mógł być zapewne później przedstawiony do zapłaty Polsce. Sojusz z Francją, popularny wśród większości Polaków niedostatecznie orientujących się w arkanach polityki międzynarodowej, został przecież utrzymany i stanowił reasekurację na wypadek załamania się odprężenia w stosunkach z Niemcami. Na bliższe powiązania z Anglią nie było w tym okresie żadnych możliwości, choć — jak się zdaje — wielu piśsudczyków o tym marzyło, przeceniając pewnie potęgę tego mocarstwa i jego realną zdolność przyjscia nam z pomocą. Tak więc nie można było ze strony Zachodu liczyć na umocnienie naszego bezpieczeństwa.

Bliższa polityczna współpraca, a tym bardziej sojusz ze Związkiem Sowieckim były w tym czasie dla Polski po prostu nie do pomyślenia zarówno ze względów historycznych, jak i ustrojowych. Historycznych — gdyż w kilkanaście zaledwie lat od od-

zyskania niepodległości Polacy odrzucali stanowczo możliwość przyjęcia od byłego zaborcy czegokolwiek, co mogłoby nawet z daleka przypominać „gwarancję” rosyjską z XVIII wieku. Ustrojowych — gdyż w ówczesnych latach ogromna większość Polaków, mimo występowania w szerokich masach oznak niezadowolonia z powodu zbyt powolnego postępu w realizowaniu koniecznych reform społecznych i gospodarczych, nie odczuwała żadnej sympatii do ustroju komunistycznego i jego doktryny — przeciwnie, żywiąc w stosunku do obu wiele nieufności jako do zjawiska obcego własnym tradycjom, i podejrzewając, że ich zwiększony wpływ prędzej czy później stanowiłby zamach na świeżo odzyskaną państwowość. Ci, którzy obecnie zarzucają polskiej polityce 20-lecia brak realizmu politycznego w stosunku do Rosji, rozumują w sposób typowo ahistoryczny, gdyż — świadomie czy nieświadomie — nie widzą rzeczywistej niemożności prowadzenia w danym okresie i w danej sytuacji polityki, której naród odmówiłby poparcia.

To samo dotyczy zresztą, w sposób równie oczywisty, innej alternatywy politycznej, którą tu — gwoli porządkowi logicznemu — wymienię, tj. związania się z Niemcami przez przyjęcie „gwarancji pruskiej” w nowym wydaniu. Wystarczy wspomnieć, że już nawet Deklaracja polsko-niemiecka z 1934 roku i związana z nią polityka odprężenia nie były w Polsce zbyt popularne i że stosowanie jej natrafiało na liczne trudności spowodowane oporami społecznymi, a nawet i organów administracji lokalnej.

Tak więc polityka równowagi, acz nie mogła Polsce zapewnić trwałego bezpieczeństwa, w danych warunkach była wyborem słusznym — przynajmniej na jakiś czas, a mianowicie do chwili, gdy Hitler w 1938 roku przystąpił do realizowania agresywnej polityki zaborczej. Wydawała się ona także odzwierciedleniem woli wszystkich chyba Polaków utrzymania kraju jako czynnika niezależnego w Europie i na świecie.

### *Szukanie oparcia w krajach Międzymorza*

W ciągu całego 20-lecia kolejne rządy polskie przywiązywały — i słusznie — wielką wagę do zacieśniania więzów z krajami położonymi między dwoma naszymi potężnymi sąsiadami, tj. do krajów skandynawskich i bałtyckich, poprzez Europę Środkową, aż po kraje bałkańskie. Program tej polityki pomyślany był w sposób dwojaki: na krótszą metę zmierzał do popierania zrozumienia i sympatii dla stanowiska Polski, a zwłaszcza dla jej

polityki równowagi, co mogłoby skłonić niektóre z tych państw do pójścia w ślady Polski tj. do unikania bliższych związków politycznych z oboma mocarstwami; na dłuższą metę celem było stworzenie — przynajmniej w Europie Środkowej — zwartego bloku państw wzajemnie gwarantujących sobie bezpieczeństwo i niezależność. W praktyce jednak osiągnięcie tych celów — a zwłaszcza drugiego z nich, znacznie ambitniejszego — napotykało na liczne trudności z powodu rozbieżności interesów, niezłatwionych wzajemnych konfliktów i krzyżujących się wpływów oraz ingerencji wielkich mocarstw. Poza tym nie wszystkie z tych krajów były zainteresowane w równym stopniu jak Polska w prowadzeniu niezależnej polityki zagranicznej.

Z punktu widzenia długofalowych interesów Polski największą słabością polityki dotyczącej Międzymorza była niezdolność rządów Polski i Czechosłowacji do osiągnięcia głębszego porozumienia. Z różnych względów Czechosłowacja zajmowała w Europie Środkowej położenie kluczowe i jedno spojrzenie na mapę wskazywało, że powinna być naturalnym partnerem Polski we wspólnej polityce w stosunku do Niemiec. Mimo różnych trudności, niesnasek i wzajemnych dąsów realizm polityczny winien być nakazać ich przewycięzenie, nawet dużym kosztem. Z tego punktu widzenia polskie flirt z Węgrami mającymi dla nas obiektywnie daleko mniejsze znaczenie, a uważanymi przez Czechów (i Słowaków) za wroga ich państwa, nie miały większego sensu, mimo tradycyjnej (ale mało efektywnej) przyjaźni obu narodów.

### *Kryzys polityki równowagi w 1938 roku*

Decyzja Hitlera zdynamizowania zaborczej polityki niemieckiej, przyjmującej ryzyko wywołania wojny, a w praktyce czyniącej wybuch wojny w Europie nieuniknionym, powzięta w końcu 1937 roku, a realizowana od początku 1938 roku, spowodowała radykalną zmianę sytuacji politycznej. M.in. zachwiała podstawami polskiej polityki równowagi i odprężenia, gdyż wprowadziła element niepewności co do prawdziwych zamiarów niemieckich i podważała, na razie potencjalnie, bezpieczeństwo Polski.

Spoglądając wstecz na te lata niepodobna nie stwierdzić, że czas grał na korzyść Niemiec, a nie Polski — jak to się niektórym zdawało — i to nie tylko od początku 1938 roku, ale już od 1932, od dojścia Hitlera do władzy. W ciągu tych pięciu lat Rzesza potrafiła dokonać ogromnego wysiłku zbrojeniowego, podczas gdy polskie postępy w tej dziedzinie były znacznie powol-



niejsze. W 1933 roku polskie siły zbrojne przedstawiały potencjał, z którym rząd niemiecki i Reichswehra musiały się jeszcze poważnie liczyć. Natomiast już na początku 1938 roku dysproporcja między potęgą militarną niemiecką a polską była wielka, a we wrześniu 1939 roku, pomijając już zmienioną sytuację strategiczną, stosunek sił był dla nas jeszcze mniej korzystny.

Ponadto każda z kolejnych akcji polityczno-militarnych, podejmowanych przez Hitlera od marca 1938 roku, pogarszała strategiczne położenie Polski. Aneksja Austrii szachowała Czechosłowację jako potencjalnego sojusznika Polski, gdyby oba kraje zostały zmuszone do prowadzenia wspólnej walki w wykonaniu ich sojuszów z Francją. Włączenie do Rzeszy pogranicza sudetkiego paraliżowało już niemal całkowicie obronność Czechosłowacji. Ogłoszenie protektoratu niemieckiego nad Czechami i Słowacją dokonywało okrążenia Polski z trzech stron i w istocie likwidowało możliwość skutecznej obrony jej terytorium.

Pocieszano się w Warszawie, że polska dyplomacja potrafiła, przy każdej z kolejnych rozgrywek niemieckich, uzyskać konkretne sukcesy: niemal równocześnie z wkroczeniem wojsk niemieckich do Wiednia zmusiliśmy upartych Litwinów do nawiązania z Polską stosunków dyplomatycznych; zaledwie los Czechosłowacji został przypieczętowany przez Monachium, wojska polskie objęły w posiadanie Zaolzie. W ślad za politycznym i wojskowym opanowaniem przez Rzeszę Pragi i Bratysławy przyszło upragnione uzyskanie wspólnej granicy polsko-węgierskiej. Ale tym ostatnim sukcesem nikt się już w Warszawie nie cieszył — był to dar niemiecki zrobiony nie Polsce, ale Węgrom jako rekompensata za nieuwzględnienie węgierskich rewindykacji w Słowacji. Zresztą oddziały Reichswehry okupowały już wyloty bramy morawskiej, Spiż i Orawę.

Kontynuowanie polityki równowagi w warunkach kolejnych *faits accomplis* Hitlera stawało się, jak to widać teraz, przedsięwzięciem bezużytecznym i od wiosny 1938 roku pozbawionym realnych podstaw.

### *Błędy polityczne Ministra Becka*

Dyplomacja polska, kierowana przez Ministra Becka, mogła i powinna była w okresie polityki odprężenia z Niemcami, a najpóźniej na wiosnę 1938 roku, przeprowadzić rozeznanie rzeczywistych motywów kierujących polityką Hitlera w stosunku do Polski. Rozeznanie takie powinno było doprowadzić do wniosku,

że z punktu widzenia Hitlera polityka odprężenia z Polską stanowiła manewr polityczny ograniczony w czasie, a zmierzający do zneutralizowania Polski na okres potrzebny do rozbudowy siły militarnej Niemiec i osiągnięcia innych celów w Europie, po czym musiałby nadejść moment rozgrywki z Polską. Rozgrywka ta niekoniecznie miałaby na celu zrealizowanie od razu rewindykacji terytorialnych, choć w sposobnym czasie zostałyby one na pewno wysunięte. Pierwszym zadaniem rozgrywki mogło być wciągnięcie Polski w niemiecką orbitę polityczną i wykorzystanie jej w akcji na wielką skalę, skierowanej przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Hitler, jak wiadomo, odznaczał się wielką giętkością w wyborze kolejności i czasu w jakich jego rozgrywki miały być podejmowane. W każdym razie należało dojść do wniosku, że rozgrywki z Niemcami nie da się uniknąć, chyba za cenę daleko idących ustępstw i całkowitego uzależnienia politycznego, to jest za cenę, której ani rząd ani naród nie były gotowe zapłacić.

Nie brakło przecież danych, włącznie z informacjami i nasświetleniami zawartymi w raportach polskich placówek dyplomatycznych, by móc przeprowadzić tego rodzaju rozeznanie i wyciągnąć zeń prawidłowe wnioski. Jednym z nich powinno było być przekonanie, że ewolucja wypadków nieuchronnie prowadzi do wojny, którą Polska, prędzej czy później, musi być ogarnięta z racji swego położenia geograficznego.

Rozeznanie, o którym wyżej mowa, nie zostało niestety przeprowadzone ani w latach wcześniejszych, ani nawet w 1938 roku, i Minister Beck nadal wierzył w możliwość kontynuowania polityki opartej o Deklarację polsko-niemiecką z 1934 roku. Od początku rozgrywki Hitlera o Czechosłowację zajął w tej sprawie stanowisko co najmniej dwuznaczne, nie biorąc pod uwagę faktu, że pomyślnie jej rozwiązanie dla Niemiec, radykalnie pogorszy sytuację polityczną i strategiczną Polski i że z punktu widzenia Hitlera polityka odprężenia z Polską straci ogromnie na wartości, gdyż już spełniła swoje zadanie; teraz miał nadejść czas rozgrywki z Warszawą. Nawet po zgłoszeniu przez Ribbentropa żądań w stosunku do Polski, w końcu października 1938, Minister Beck dalej myślał, że potrafi się wywikłać z tego, co uważał za *bluff* Hitlera. Tę wiarę zachował bodajże do późnej wiosny 1939. Obustronną gwarancję polsko-brytyjską, a później sojusz, przyjął z wielkim zadowoleniem, widząc w nich nie tylko bardzo cenną podporę na wypadek wojny, ale także — a może przede wszystkim — ważny atut w ewentualnych negocjacjach z Niemcami.

## Sprawa Zaolzia

Jak można wywnioskować z poprzednich uwag, zgłoszenie przez Polskę w 1938 roku rewindykacji w sprawie Zaolzia miało za tło — przy braku właściwego rozeznania — nieprawidłową ocenę zwrotu w polityce niemieckiej. Poza tym jednak sprawa Zaolzia zasługuje na osobny komentarz, gdyż stanowi przypadek, w którym stanowisko i działania rządu polskiego zbliżyły się najbardziej do tej linii granicznej — nigdy dokładnie nie sprecyzowanej, ale niemniej bardzo istotnej — jaka powinna była oddzielać stosowanie polityki odprężenia z Niemcami od polityki aktywnej z nimi współpracy.

Prawdą jest, że w czasie kolejnych stadiów akcji niemieckiej w stosunku do Czechosłowacji nie było ani wyraźnego porozumienia co do celów, jakie Niemcy czy Polska zamierzały osiągnąć, ani co do taktyki czy czasu poszczególnych posunięć; częściowym przynajmniej na to dowodem jest ambarasujący incydent dotyczący Bogumina, który Polacy chcieli włączyć do okupowanej przez nich zony Zaolzia, a który zagarnęli Niemcy, przy czym omal nie doszło do starcia zbrojnego.

Akcja polska była zamierzona jako działanie niezależne od posunięć niemieckich, choć z nimi równoległa i oparta o decyzję wykorzystania *fait accompli* niemieckiego — ale nie była wówczas uzgodniona. Niedopowiedzianym, ale ważnym elementem tej sytuacji była ewentualna postawa, jaką Warszawa byłaby zajęła, gdyby — mimo małego prawdopodobieństwa — Francja zdecydowała się jednak na wykonanie swoich zobowiązań sojuszniczych wobec Czechosłowacji.

Z drugiej strony rząd polski doskonale był poinformowany o zamierzonym przez Niemców wszczęciu ofensywy politycznej w sprawie Sudetów i nie zgłosił opozycji. Niemcy zaś wiedziały, że Polska zachowa w tej sprawie neutralność (choć nie mogły być pewne, co stałoby się, gdyby Francja przyszła z pomocą zbrojną) i wiedziały, że Polska skorzysta z tej sytuacji, aby zrealizować swoje rewindykacje w sprawie Zaolzia.

„Równoległe” zatem posunięcia obu rządów niewiele się różniły od pewnego rodzaju milczącej, a pełnej niedomówień współpracy *de facto*.

Pozostaje jeszcze aspekt moralny tej sprawy. Panuje powszechne przekonanie, że w polityce zagranicznej najwyższym, rozstrzygającym kryterium jest racja stanu i normalne kryteria moralności nie mają zastosowania. Jednak najbardziej pragmatyczny realizm polityczny powinien brać pod uwagę, że postępowanie

gwałcające zasady moralności w okolicznościach krytycznych może pociągnąć za sobą głębokie urazy w psychice narodów. Historia pełna jest przykładów długofalowych, zapiekłych uczuć i odruchów u narodów, które we własnym przekonaniu doznały niemoralnego, krzywdzącego potraktowania czy upokorzenia. Polityczny i historyczny rozsądek powinien być nas wówczas powstrzymać (choćby nawet merytorycznie słuszność była po naszej stronie) od dokonania aktu gwałtu na pobratymczym sąsiedzie — gwałtu równającego się udziałowi w jego rozbiórce i to przez nas, których największą dziejową tragedią był rozbiór własnego kraju. Psychiczne urazy Czechów w stosunku do Polski jeszcze długo będą się nam dawały we znaki\*, zwłaszcza że w trzydzieści lat później uległy pogłębieniu i utwierdzeniu przez udział wojsk Polski Ludowej w okupacji Czechosłowacji w 1968 roku.

### *Spekulatywna hipoteza wyboru innej alternatywy w czasie kryzysu czeskiego z 1938 roku*

W świetle poprzednio poczynionych uwag można sobie zadać kuszące pytanie, co by się stało gdyby rząd polski, mając prawidłowe rozeznanie sytuacji, nawiązał poufne kontakty z odpowiednimi przedstawicielami rządów czechosłowackiego i francuskiego\*\* i zadeklarował gotowość przyłączenia się do wspólnej akcji zbrojnego oporu w wypadku agresji niemieckiej na terytorium Czechosłowacji. Oczywiście nie była to decyzja łatwa do podjęcia: od lat stosunki z Pragą były bardzo oziębłe; Benes nie był partnerem, do którego można było mieć zaufanie, a jego intrygancka polityka w przeszłości wyrządziła Polsce znaczne szkody. Sytuacja była jednak obecnie zupełnie inna wobec zagrożenia integralności terytorium Czechosłowacji, która nadto czuła się bardzo osamotniona. Kto wie, czy zapewnienie udziału Polski w obronie Czechosłowacji nie przeważyłoby szali wahającej się Francji ku decyzji wykonania sojuszu z Pragą; kto wie, czy

---

\* Autor zapomina o zajęciu Śląska Cieszyńskiego przez Czechy w 1920, w okresie kiedy Polska prowadziła ciężką wojnę na wschodzie. To też zostawiło głębokie urazy u Polaków na Zaolziu, pogłębiane przez dyskryminacyjną politykę czeską wobec Polaków. Ta polityka jest prowadzona do chwili obecnej i nie uległa zmianie nawet w krótkim okresie „wiosny praskiej”. — *Red.*

\*\* Podobno jakieś kontakty polsko-czeskie miały miejsce we wczesnym stadium sprawy o Sudety, ale szczegóły są mało znane. Warto by historycy zajęli się wyjaśnieniem tej sprawy.

w takim wypadku Hitler nie odwołałby pogotowia wojennego. A nawet gdyby Francja odmówiła na razie współudziału, wspólny opór zbrojny Polski i Czech, w sytuacji strategicznej zupełnie innej niż w 1939 roku, pociągnąłby prawdopodobnie za sobą rychłe wejście w szranki Francji, a także Anglii. Poza tym takie odwrócenie linii politycznej rządu polskiego w 1938 roku mogłoby sprawić, że późniejszy pakt Ribbentrop - Mołotow, wraz z jego konsekwencjami, nigdy by nie doszedł do skutku: Stalin zająłby zapewne pozycję neutralną, co przecież było jego głównym zamiarem w przypadku wybuchu wojny w Europie, przynajmniej jeśli chodzi o jej początkową fazę.

Alternatywa dyplomatyczna, naszkicowana wyżej, nie zakłada bynajmniej, że Polska mogłaby uniknąć udziału w wojnie — przeciwnie — przewiduje możliwość uwikłania jej w konflikcie o rok wcześniej, niż to się w rzeczywistości stało; wysuwa natomiast przypuszczenie, że Polska mogłaby wejść do tej wojny w znacznie korzystniejszych warunkach politycznych i strategicznych. Wszystkie tego rodzaju spekulacje są oczywiście niezmiernie ryzykowne. Mogły przecież zajść okoliczności, które by sprawiły, iż tego rodzaju inicjatywa rządu polskiego spaliłaby na panewce, a nawet mogła obrócić się przeciwko Polsce. Poważny historyk nie mógłby sobie zapewne pozwolić na tak niepewne spekulacje, ale pamiętnikarz, stający się czasem historykiem-dyletantem, może korzystać z większej swobody. Nawet w spekulacjach należy jednak przestrzegać jakiejś miary: jakie byłyby konsekwencje na dalszą metę zmiany zarysowanej tutaj linii politycznej, niepodobna przewidzieć. Głównym celem tych spekulatywnych rozważań jest wykazanie, że niekoniecznie mają słuszność ci, którzy twierdzą, iż Polska nie miała wyboru i że wypadki musiały się potoczyć tak, jak się potoczyły.

### *Jeszcze o Ministrze Becku*

Zarówno historyk jak i pamiętnikarz korzystają z tego wielkiego przywileju, iż mogą spoglądać na wydarzenia i komentować je z perspektywy czasu przeszłego dokonanego. Przywilej ten niestety nie przysługiwał Józefowi Beckowi, tragicznemu kierownikowi polskiej polityki zagranicznej w ostatnim okresie 20-lecia. Miał on niewątpliwie jedno z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek przypadło w udziale szefowi dyplomacji jakiegokolwiek państwa. Przede wszystkim był on wiernym uczniem Marszałka Piłsudskiego, którego wskazania starał się wcielać w życie jeszcze długo po śmierci swego nauczyciela i bohatera, nawet w warun-

kach które uległy już radykalnej zmianie. Wynikało to zapewne z psychiki epigona, który instynktownie bywa skłonny do kontynuowania linii postępowania odziedziczonej po wielkim przywódcy, ograniczając się w ramach tej linii do zajmowania stanowiska wobec każdego nowego faktu lub sytuacji, nie mogąc natomiast wyzwolić się od dziedzictwa na tyle, by móc opracować samodzielną, twórczą politykę opartą o nowe warunki. Zasadniczo jest to postawa statyczna, choć nie wyklucza zręcznych, nieraz błyskotliwych rozgrywek w poszczególnych epizodach, mających jednak znaczenie drugorzędne. Sądzę, że Minister Beck popełnił w ostatnich latach swej służby kilka błędów. Czy błędy te w ostatecznym rachunku przyczyniły się do pogorszenia losu Polski, trudno jest powiedzieć. Nieszczęśliwe położenie geograficzne i niekorzystna struktura państwa, oraz rozwój wydarzeń politycznych w Europie i na świecie, na które nie mogliśmy mieć żadnego wpływu, zapędziły nas w niezmiernie ciężkie położenie, zdawało się niemal bez wyjścia. Najważniejszy nasz wkład na tym etapie historii polegał na nieugiętej odmowie kapitulacji przed zakusami niemieckimi na niepodległość naszej ojczyzny. Zawsze będę pamiętał przemówienie ministra Józefa Becka w dniu 5 maja 1939 roku przed Sejmem Rzeczypospolitej, w którym — w chwili gdy dzieło jego życia leżało zdruzgotane — potrafił w słowach tak godnych i umiarkowanych wyrazić w imieniu narodu prawdziwe jego uczucia i wolę.

### *Słabość państwa, siła Narodu*

Odrzucenie roszczeń niemieckich było nie tylko decyzją rządu, ale przede wszystkim decyzją całego narodu. Niestety państwo polskie było zbyt słabe, aby pomyślnie wywiązać się z nałożonego nań zadania. Nie pierwszy to raz w historii Polski występuje kontrast między siłą narodu, a słabością państwa. W ostatnich latach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej naród już się odrodził i odnowił, nabierał sił, ale państwo nie zdążyło wzmocnić się na tyle, by móc obronić się przed zaborczością sąsiadów. Przez cały długi okres niewoli naród, pozbawiony oparcia o własne państwo, mimo to krzepł i ciągle dawał dowody prężności, wykazując zadziwiająca żywotność. Bohaterskie zrywy, opłacane bezmiernymi cierpieniami i poświęceniami, to znów cierpliwa praca organiczna — postawy często przeciwstawne — były mu widocznie niezbędne do przeżycia. W ciągu dwudziestolecia naród polski dalej krzepł i znów odnowił swoją żywotność m.in. dzięki pełniejszemu uczestnictwu we wspólnocie narodowej polskich

chłopów i robotników. Tymczasem państwo polskie, hamowane trudnościami zewnętrznymi i wewnętrznymi, czyniło znacznie powolniejsze postępy. Wreszcie niespożyta siła narodu pozwoliła mu ocalić swą substancję poprzez piekło wojny i okupacji, odbudować kraj i trwać nadal w gorącym przywiązaniu do niezawisłości.

Czasy się zmieniły a z nimi również niektóre pojęcia o niezbędnych atrybutach państwa, jak np. tradycyjnie pojęta suwerenność. Wzajemna zależność wszystkich państw jest teraz niepomiaralnie większa, niż 40 lat temu. Ilość żywotnych problemów, których niepodobna rozwiązać w ramach poszczególnego państwa, choćby najpotężniejszego, wzrasta z roku na rok. Odzyskanie tego stopnia i zakresu niezawisłości, jakim Polska cieszyła się w okresie międzywojennego 20-lecia — po raz pierwszy zresztą nie tylko od czasów rozbiorów, ale nawet od końca XVII wieku — byłoby w obecnych czasach niemożliwe.

Problemem przyszłości jest znalezienie warunków bezpiecznego bytu państwowego w lepiej zorganizowanej Europie, na prawach równych z innymi historycznymi narodami kontynentu, przywiązanymi do swej odrębnej kultury, choćby to wymagało nieuniknionych przekształceń tradycyjnych pojęć o suwerenności, ale bez podpadania w nieusprawiedliwioną zależność od sąsiadów czy innych mocarstw.

*Karol KRACZKIEWICZ*

Andrzej KORASZEWSKI

## ZAPOMNIANY ROZDZIAŁ SPRAWY KATYŃSKIEJ

Zdawać by się mogło, że o Katyniu napisano już wszystko włącznie ze sporządzonym przez Adama Bromberga niewielkim przyczynkiem o historii niezamieszczenia hasła „Katyń” w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej oraz zamieszczonymi w „Czarnej Księdze Cenzury” obowiązującymi instrukcjami w tym przedmiocie.

Przeglądając licząc kilkanaście wydawnictw książkowych i niezliczoną liczbę artykułów literaturę katyńską, zauważa się, że nikt nie stawia pytania co się stało ze zbiorem dokumentów i dowodów rzeczowych zebranych przez Niemców w grobach katyńskich?

Z opisów pracy komisji wiemy, że dokumenty, rzeczy osobiste, naramienniki itp. pakowano do oznaczonymi numerami worków. Zbiory te przewieziono do Collegium Medicum w Krakowie przy ul. Grzegorzewskiej 12. Wydaje się, że dopiero tu niemieccy archiwiści przygotowali wydany później masowo zbiór pt.: „Amtliches Material zum Massenmord von Katyn”, wydrukowany w Berlinie w 1943 roku.

Nadzorcą tych materiałów w ostatnich miesiącach przed zakończeniem wojny był doktor Penker, historyk z Wiednia, który przewidując już dalszy bieg wypadków wszedł w kontakty z A.K. zamierzając przed przyjściem Rosjan przekazać te materiały polskiemu ruchowi oporu. Z ramienia A.K. z Penkerem pertraktował płk. „Szymon” (płk Stanisław Lewicki). Podobno jednak przyszedł z Berlina rozkaz przesłania owych dokumentów do Berlina i dowództwo krakowskiego okręgu A.K. podjęło decyzję odbicia archiwum katyńskiego. W sierpniu pułkownik Lewicki został aresztowany i wywieziony do Gross Rosen. Jego następcą „Lekarz” (nazwiska nie udało się ustalić), przygotował akcję, która odbyła się w nocy z 2 na 3 września 1944. Akcja zakończyła się pełnym powodzeniem. Skrzynie z dokumentami zostały wywiezione z Krakowa i ukryte. „Lekarz” zmarł w kilka miesięcy później.

Wkrótce po wkroczeniu Armii Czerwonej rozpoczęto poszukiwania, jednakże, o ile można to było ustalić, nigdy ani władzom sowieckim ani władzom PRL nie udało się trafić na ich ślad.

W roku 1947 minister Sprawiedliwości w rządzie Osóbki-Morawskiego — Świątkowski — polecił prokuratorowi Romanowi Martiniemu przygotowa-



nie „polskiego” procesu katyńskiego, który miał udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że sprawcami mordu byli Niemcy. Minister Świątkowski wydał również polecenie aby w trakcie śledztwa za wszelką cenę ustalić gdzie znajdują się przedmioty wydobyte z grobów katyńskich.

Roman Martini przeprowadził szereg przesłuchań. Wiadomo, że przesłuchiwano wówczas księdza Jasińskiego, który odprawiał mszę żałobną na miejscu mordu, profesora Olbrychskiego, który na polecenie władz niemieckich był obecny przy ekshumacji zwłok, trzech robotników polskich zawiezionych przez Niemców do Katynia. Ponadto przesłuchiowano kilkunastu członków rodzin zamordowanych w Katyniu.

Z początkiem marca 1946 roku prokurator Roman Martini został wezwany do Warszawy. Przedstawił on wówczas dotychczasowe wyniki śledztwa, z których wynikało, że ujawniona przez Niemców wersja wydarzeń była prawdziwa. W dwanaście dni po powrocie z Warszawy do Krakowa, 28 marca 1946, prokurator Roman Martini został zamordowany w swoim mieszkaniu w Warszawie przy ul. Krupniczej 10. Upozorowano mord rabunkowy, ale zniknęły również wszystkie akty prowadzonego przez Martiniego śledztwa w sprawie katyńskiej.

Podobnie jak 25 lat później w sprawie Gerharta, sprawców zbrodni ujęto. Oskarżono o nią 19-stoletniego Stanisława Wróblewskiego oraz jego narzeczoną, Jolantę Maklakiewiczównę, córkę działacza PPR oraz ówczesnego dyrektora krakowskiej Filharmonii. Wróblewski uciekł z więzienia, a następnie już po procesie Maklakiewiczówny został ponownie aresztowany. Proces przeciwko niemu nigdy się jednak nie odbył.

Jolanta Maklakiewiczówna była sądzona przez Sąd Powiatowy w Krakowie i skazano ją na 15 lat więzienia. Przewodniczył w tej sprawie sprowadzony z Warszawy sędzia Majewski, oskarżał prokurator Nowak a bronili mecenas Mięczysław Ettinger oraz Gürtler.

Oskarżona zeznała, że jej narzeczony był członkiem jakiejś organizacji politycznej, że zamordowali Martiniego na polecenie nieznanego jej „Franka”, a wreszcie, że był to mord polityczny. Więcej nie chciała niczego ujawnić, a sąd specjalnie nie naciskał. W kilka dni po procesie *Głos Podwawelski* rozpoczął gwałtowną kampanię nie tyle wokół procesu co przeciw zamordowanemu. Romana Martiniego oskarżono o przestępstwa pospolite, defraudację oraz o współpracę z faszystami.

Polski proces katyński ostatecznie nie odbył się, a w wydanej w PRL Wielkiej Encyklopedii Powszechnej brakuje hasła „Katyń”. Kiedy napisanie takiego hasła będzie możliwe znajdzie się zapewne również archiwum katyńskie.

Andrzej KORASZEWSKI

## WSPOMNIENIA

Jan ERDMAN

### WYROK NA BRATA

*Pptk dypl. inż. Maciej Kalenkiewicz jest jednym z bohaterów drugiej wojny światowej. Po Kampanii Wrześniowej i udziale w partyzantce mjr. Hubala przedostaje się do wojska polskiego na Zachodzie, stając się w sztabie Naczelnego Wodza w Londynie jednym z głównych promotorów wojsk spadochronowych i lotniczej łączności z krajem. Po urzeczywistnieniu tych projektów, Kalenkiewicz (pseud. Kotwicz) skacze w końcu 1941 roku do Polski i przez ponad dwa lata jest referentem operacyjnym w Komendzie Głównej AK w Warszawie. W początkach 1944 roku Komenda Główna powierzyła mu (był wówczas w stopniu majora) misję specjalną na kresach wschodnich. Sprawa ta jest właśnie przedmiotem poniższego opracowania.*

*W kilka miesięcy po opisanych tu wypadkach Kalenkiewicz, już jako komendant Okręgu Nowogródzkiego AK, ginie w walce z oddziałami sowieckimi, usiłującymi go rozbroić.*

*„Wyrok na brata” stanowi jeden z końcowych rozdziałów monografii o Kalenkiewiczzu przygotowywanej pod tytułem Droga do Ostrej Bramy.*



W ciągu dwóch lat, które Kotwicz spędził w sztabie wojskowej konspiracji, odmieniły się losy wojny.

● Sukcesy państw Osi (Niemcy - Włochy - Japonia) zostały zahamowane już w 1942 roku. Dwie bitwy morskie, rozegrane bez udziału artylerii okrętowej, tylko przez bombardowanie lotnicze (na Morzu Koralowym i w pobliżu atolu Midway), zatrzymały pochód Japończyków w Azji i uratowały Australię.

- Wojska brytyjskie rozbiły Niemców i Włochów pod El Alamein (jesień 1942). Jednocześnie Amerykanie i Anglicy lądują w Afryce północnej, chwytając Afrika-Korps w obcęgi.

- Stalingrad wstrzymał pochód wojsk niemieckich. Po 6 miesiącach oblegania miasta przez swastykę, role się zmieniają: oblegający są teraz obleżonymi. Od kapitulacji marszałka von Paulusa (luty 1943) datuje się powolne, ale stałe wypychanie Niemców z obszaru sowieckiego.

- Dostawy amerykańskie wyrównują straty materiałowe ZSSR. Lotnisko w Teheranie bije wszystkie rekordy produkcji sowieckich samolotów: sołdaci z kubłami czerwonej farby przemalowują pięcioramiennie białe gwiazdy amerykańskie na gołdo sowieckie.

- Mussolini obalony w lipcu 1943. W tym samym miesiącu — anglo-amerykańska inwazja Sycylii, a we wrześniu Włoch właściwych.

Na odcinku polskim też dzieją się ważne rzeczy.

- Wymiana not dyplomatycznych między rządami polskim i sowieckim w lutym 1943 roku usztywnia stanowiska obu stron w sprawie granicy: Polska obstaje przy Traktacie Ryskim (1921), Związek Sowiecki przy linii uzgodnionej przez Hitlera i Stalina 28 września 1939 roku.

- 13 kwietnia 1943 roku radio niemieckie ogłasza o znalezieniu w Katyniu zbiorowej mogiły tysięcy oficerów polskich, internowanych w ZSSR po kampanii wrześniowej. Polska zwraca się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie o przeprowadzenie dochodzeń w sprawie mordu. Z takim samym wezwaniem występuje Rzesza.

- W 12 dni po niemieckich rewelacjach, w dzień Wielkiej Nocy 1943, urzędnik Narkomindieła przerywa ambasadorowi Romerowi oklaskiwanie świetnie odtąnczonego poloneza (*Iwan Susanin*) w Teatrze Wielkim w Moskwie i szeptem zaprasza go na godz. 1-szą w nocy do komisarza Mołotowa. W czasie audjencji Mołotow odczytuje notę zrywającą stosunki dyplomatyczne i zarzucającą rządowi polskiemu w Londynie działanie w porozumieniu z hitlerowcami i podtrzymywanie ich oszczerstw.

- Gen. Grot, dowódca Armii Krajowej przez ubiegłe trzy lata, aresztowany 30 czerwca 1943 roku w Warszawie.

- Gen. Sikorski, Naczelnny Wódz i premier rządu, ginie cztery dni później w katastrofie samolotowej w Gibraltarze. Jego stanowisko w rządzie obejmuje Stanisław Mikołajczyk, w wojsku — gen. Kazimierz Sosnkowski.

● W Teheranie odbywa się w końcu listopada 1943 konferencja Churchilla, Roosevelta i Stalina. Mówią o drugim froncie w Europie i o przyszłym podziale świata na sfery wpływów; Polska należy do sfery sowieckiej. Przekładając na obrusie zapalki, mężowie stanu uradzili, że wschodnia granica Polski znajdzie się po wojnie z pewnymi odchyleniami tam, gdzie przebiegała granica sowieckiej okupacji 1939-41, a zachodnia zostanie przesunięta nad Odrę.

O ustaleniach Wielkiej Trójki za wysokimi murami ambasady brytyjskiej i sowieckiej w Teheranie nikt nie wiedział — poza kancelariami dyplomatycznymi tych mocarstw — aż do 22 lutego 1944 roku, kiedy to Churchill uchylił rąbka tajemnicy wobec Izby Gmin.

Konflikt o polskie kresy wschodnie stał się ropiejącą raną koalicji antyhitlerowskiej, był wobec tego na rękę państwowi Osi.

Rząd polski starał się rany nie jętrzyć, ale bronił się przed utratą terytorium i ludności. Wydawało się rzeczą absurdalną i krzywdą niepojętą, że zwycięska wojna może zakończyć się dla narodu polskiego — pierwszego który oparł się przemocy i poniosł największe ofiary — dalszymi stratami i cierpieniem. Ale wszystkie starania obrony wschodnich obszarów porównać można do prób zawracania Wisły kijem. Pomimo że argumenty historyczne, prawne i moralne (Karta Atlantycka) przemawiały za Polską albo za jakimś trzecim rozwiązaniem (federacja lub niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi), większość środków masowego przekazu i opinii publicznej w obozie alianckim wyraźnie sympatyzowała z żądaniami sowieckimi. Dlaczego? Bo Sowiety były potężnym sprzymierzeńcem, bo wojska ich były się teraz dzielnie z Niemcami i bo ciągle obawiano się, że w przystępie złego humoru Stalin gotów jest znowu pokumać się z Hitlerem.

Sytuacja wymagała akcji: walec rosyjski nieubłaganie zbliżał się do granicy Rzplitej i 4 stycznia 1944 roku już ją w rejonie Sarn przekroczył. W tym momencie rząd polski wystąpił z deklaracją o niezłomnej woli narodu „który nie wydał Quislinga” do walki z Niemcami aż do zwycięstwa. Walkę tę Polska prowadzi, mobilizując ruch oporu w kraju i siły zbrojne za granicą.

Naród polski ma prawo oczekiwać pełnej sprawiedliwości i zadośćuczynienia z chwilą wyzwolenia spod okupacji wroga. Jak najprędzej przywrócenie suwerennej polskiej władzy państwowej nad uwalnianymi ziemiami Rzeczypospolitej i zabezpieczenie życia i mienia Jej obywateli są nieodzownym tej sprawiedliwości warunkiem. (...)

Swym postępowaniem w ciągu tej wojny Naród polski wykazał, że rozwiązani narzuconych siłą nie uznał i nie uzna. (...)

W tym przeświadczeniu [że Związek Sowiecki uszanuje prawa i interesy Rzeczypospolitej i Jej obywateli] Rząd polski w instrukcjach dla podziemnych władz krajowych z dnia 27 października 1943 r. polecił im dalszy, nieprzerwany opór i wzmoczenie walki przeciw okupantowi niemieckiemu i unikanie konfliktów z wojskami sowieckimi, które wkraczają do Polski w boju z Niemcami oraz nawiązanie współdziałania z dowództwami sowieckimi w wypadku wznowienia stosunków polsko-sowieckich<sup>1</sup>.

Instrukcja, o której deklaracja wspomina dotyczy „Burzy”; do autorstwa jej poczuwa się gen. Tatar. Ponieważ jest ona ogólnie znana, ograniczę się do przypomnienia, że przewidziane w wypadku nienawiązania stosunków dyplomatycznych pozostanie AK i władz podziemnych w konspiracji<sup>2</sup>. Punkt ten został potem zmieniony na wyraźne życzenie nowego dowódcy AK gen. Bora (Tadeusza Komorowskiego), poparte przez delegata rządu i Krajową Reprezentację Polityczną.

Pojednawcze kroki rządu polskiego nie natrafiły w Moskwie na życzliwy grunt. Rząd sowiecki odmówił przystąpienia do zaproponowanych rozmów, odrzucił pośrednictwo sojuszników anglosaskich i bardzo starannie podkreślił, że jego wojska granicy jeszcze nie przekroczyły, ponieważ konstytucja ZSSR ustaliła w 1939 roku włączenie „Zachodniej Ukrainy” i „Zachodniej Białorusi” do ZSSR.

Moskwa nie spieszyła się do rokowań, bo wyciągnęła już z kieszeni drugą talię, od dawna przygotowywaną: nim pociąg ewakuacyjny ambasady dotarł do Aszchabadu, *Prawda* zamieściła pochwałę Związku Patriotów Polskich (Wanda Wasilewska-Korniejczuk) i wiadomość o tworzeniu w ZSSR „własnego” wojska polskiego (dywizja im. Kościuszki pod dowództwem generała Z. Berlinga).

W miarę zbliżania się Armii Czerwonej do Polski, Maciej coraz częściej myślał o pójściu w pole, o bardziej czynnym udziale w finałowej rozgrywce. Ale żadna instytucja nie kwapi się ze zwalnianiem dobrego współpracownika — i sztab AK nie był pod tym względem wyjątkiem. Na razie Kotwicz siedział nadal przy biurku w Komendzie Głównej.

Szef sztabu Okręgu Nowogródzkiego kpt. dypl. Warta (Stanisław Sędziak), też zrzutek, przybył w końcu czerwca 1943 roku do Warszawy na odpuszczenie.

Tak jak zawsze w oddziale III operacyjnym spotykałem się z majorem „Kotwiczem” Kalenkiewiczem. (...) „Kotwicz” wierzył, że moc moralna

1. Tekst według *Dziennika Polskiego* (Londyn) z 6. I. 1944.

2. *Armia Krajowa w dokumentach*, tom III, poz. 496.

naszych ludzi przyniesie nam i Polsce ostateczne zwycięstwo. Był sam wzorem tej mocy i wszędzie chciał ją budować. Żył nadzwyczaj skromnie, teraz w Warszawie i później, gdy w styczniu 1944 r. znalazł się na terenie naszego Okręgu<sup>3</sup>. Walczył ze mną, a później z „Ragnerem” o sposób życia żołnierskiego. Jako wzór żołnierza walczącego, stale wskazywał nam partyzantkę radziecką. Była ona — według niego jak się wyrażał — rasowa. Żołnierz jadł prażuchę, to jest gotowane zboże i spał często w lesie. Ja natomiast byłem zwolennikiem nadzwyczaj surowego trybu życia tylko w czasie szkolenia. W czasie wojny nie widziałem potrzeby szczególnego umartwiania się. Udawałem więc „Kotwiczowi”, że jeśli partyzanci radzieccy jedzą prażuchę, to sami sobie są winni, bo podpalili wszystkie młyny, podczas gdy my wzięliśmy je pod ochronę i pod swój zarząd. Do białej jak śnieg mąki, z której robi się chleb, dodajemy mięso i kiełbasę z nie popalonych majątków, których gospodarkę kontrolujemy i żyjemy nie tylko jako tako, lecz nawet porządnie, nie obciążając ciężarem utrzymania się miejscowej ludności.

Tym niemniej „Kotwicz” był niewzruszony. Jadłopis miał ustalony i jego sztab z kwaśną miną zasiadał zawsze do stołu. Potem było inaczej. „Kotwicz” wstawał od stołu zjadłszy swoje dwa talerze kaszy jęczmiennej z mlekiem rozcieńczonym wodą i szedł pracować, a współbiedniacy razem lub partiami szli sobie dobrze podjąć w inne miejsce, gdzie czekał z góry zamówiony posiłek. Wartości moralne, jakie reprezentował mjr „Kotwicz” [sprawiały] że był przyjacielem nas wszystkich. Choć nie wierzyłem w 50 % w to, co on wierzył, to jest w naszych sojuszników, politykę i polityków, uważałem go za swego najserdeczniejszego koleżę. (...)

[Kotwicz wystąpił z propozycją] skierowania do nas kilku oficerów spalonych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Przyjąłem ją z radością, gdyż przy tym braku kadry, jaki odczuwał nasz Okręg, każdy nowy oficer i podoficer przydzielony do nas witany był omal nie z entuzjazmem.

Moja radość była tym większa, że „Kotwicz” rekomendował mi ich jako doskonałych dowódców. Por. „Lech” był w latach 1939-1940 u majora „Hubala” (Dobrzańskiego) w partyzantce na terenie Gór Świętokrzyskich, por. „Kubuś”, przyjaciel por. „Lecha”, był oficerem dzielnym i rozważnym, ppor. „Bartek” był rzutki i inteligentny. Spotkałem się więc z por. „Lechem” następnego dnia na Żoliborzu i skontaktowałem go z naszą bazą. Wszyscy wyżej wymienieni jeszcze przed moim powrotem do Lidy znaleźli się na terenie naszego Okręgu<sup>4</sup>.

Nowo pozyskani oficerowie są do dzisiaj postaciami tajemniczymi. Ppor. Bartek nigdy nie został zidentyfikowany, skierowała go do Nowogródka centrala BIP-u. Wieść gminna głosi, że był to 50-letni literat warszawski, a może raczej dziennikarz, bo świadom był spraw politycznych; z wykształcenia był podobno prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nawet ostateczne jego losy są niepewne: podobno zginął w 1944 r.

3. Nieścisle: Kotwicz przybył tam pod koniec lutego 1944. (Przyp. J.E.).

4. Stanisław Sędziak, *Działalność Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej* (maszynopis odbity na powielaczu), 1962, cytowany dalej jako — Sędziak; str. 37-38. Lech nie przypomina sobie spotkania na Żoliborzu. „W Warszawie nie widziałem się z Wartą. Odprawiał mnie Izabela (płk Godlewski) w obecności Macieja w moim mieszkaniu na Pradze”.

Znane jest nazwisko por. Kubusia (T. Brykczyński), ale niewiele więcej. Zginął wkrótce po przybyciu na kresy. Śmierć jego z ręki partyzanta sowieckiego była tematem długich i gorzkich rozmów, a niektórzy nawet twierdzą, że zaważyła na dalszych decyzjach Lecha.

Lech — to Józef Świda. Pochodzi z kresów, z dużej rodziny, najmłodszy z sześciorga. Matka jego zmarła przy porodzie (1916); Julia Świdowa, z domu Zawadzka, była rodzoną siostrą Heleny Kalenkiewiczowej, matki Macieja. Czyli: Kotwicz i Lech są ciotecznymi braćmi. Znali się od dziecka, a majątek Świdów — Małecz na Polesiu — był przez kilka lat także domem Kalenkiewiczów.

Duża różnica wieku (10 lat) stała na przeszkodzie przyjaźni, łączyły ich tylko stosunki rodzinne. Maciek miał dla smyka opiekuńczą pobłażliwość, a Józek zapatrzony był w eleganckiego kadeta, gotowego do tańca i do różańca, laureata w każdym przedsięwzięciu, jakiego się podjął.

Szkoła średnia w Prużanie, podchorążówka rezerwy kawalerii w Grudziądzu, szkoła rolnicza w Cieszynie. Już jej nie skończył: w marcu 1939 roku zarządzono mobilizację jego pułku.

Kampanię wrześniową odbywa w 25 pułku ułanów jako wachmistrz podchorąży.

— To jest moje największe i najwspanialsze przeżycie: walka na rozkaz, wojna bez udręki i komplikacji — powie mi w 1975 r.

Grupa gen. Andersa, do której pułk należy, została pod koniec września otoczona na Lubelszczyźnie pierścieniem wojsk niemieckich. Droga na wschód zamknięta: bolszewicy. Patrole meldowały całkowite okrażenie. Świdzie udaje się z patrolem przedostać na tyły jakiejś wsi i sprawdzić, że linia nieprzyjaciela jest tutaj wątką — placówki, a potem pustka. Na podstawie meldunku Anders zarządza szarżę. Ułani rozpruwają worek niemiecki pod Krasnobrodem. Straty duże. Świda ranny, koń pod nim zabity. Ale to już koniec. Gorzki koniec.

Świda, odznaczony Krzyżem Walecznych, brnie przez wsie wrogo usposobionych Ukraińców, dostaje ubranie cywilne od życzliwego chłopca polskiego i jakoś dowleka się do kuzyna w Miechowskiem, gdzie przez dwa miesiące liże rany. Gdy wydobrzeał, znowu szuka guza: decyduje się iść przez Węgry do Francji. Po drodze zawadził o klasztor oratorianów w lasach spałskich i tam dowiedział się o Oddziale Wydzielonym mjr. Hubala. Postanawia wstąpić.

W pierwszych dniach stycznia 1940 roku w Stefanowie

Świda melduje się majorowi. Ma silne atuty: mundur, broń i ranę, a przede wszystkim pokrewieństwo z Kotwiczem, który przed miesiącem odszedł stąd do Francji<sup>5</sup>.

Świda jest z Hubalem do końca. Nie chce słyszeć o demobilizacji, którą nakazuje Komenda Główna ZWZ w Warszawie — chociaż do rozkazu stosuje się trzy czwarte żołnierzy i oficerów Hubala. Walczy pod Szałasami i Anielinem, a po śmierci majora usiłuje kontynuować partyzantkę pod nowym dowódcą. Nie wyszło.

Na jesieni 1941 roku, po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej, wynurza się w Mińsku Litewskim czyli sowieckim, wówczas pod niemiecką okupacją. Przybywa z ramienia wywiadu dalekiego zasięgu ZWZ-AK i nazywa się Justyn. Ma zbierać informacje o wojskach niemieckich i trzymać się z daleka od Wachlarza, nastawionego na dywersję. Jego kryptonim: WW-72.

W misji tej towarzyszy mu dawna łączniczka hubalowego oddziału Genia (Genowefa) Ruban. W lutym 1942 dołącza do nich Danuta (inż. Grażyna Lipińska), która dzięki znajomości z profesorem Politechniki Warszawskiej W. Iwanowskim, wybitnym członkiem Białoruskiej Uprawy (samorządu), otrzymała posadę w zarządzie Mińska; zacierając ręce władze AK zaaprobowały jej pracę na tym stanowisku. Danuta z początku pomagała Justynowi, a po jego aresztowaniu w kwietniu 1942 objęła kierownictwo całej placówki i prowadziła pracę wywiadowczą do lipca 1944, to znaczy do powrotu wojsk sowieckich. Więziono ją w głębi Rosji przez 12 lat<sup>6</sup>.

Genię Ruban Niemcy rozstrzelali w więzieniu w Białymstoku w 1942 roku.

— Był to dla mnie — mówi Lech/Justyn — okres ogromnego wysiłku nerwów i woli. Miałem 25 lat, żadnego doświadczenia. Z zadania ponad siły wyszedłem obronną ręką. Po miesiącu grałem na dwóch radiostacjach, miałem świetnego szyfranta, utrzymywałem łączność z Rygą, Sztokholmem i Warszawą, z naszym wywiadem i z Intelligence Service. Sztokholm wyróżnił przygotowany przeze mnie *ordre de bataille* odcinka od Mozyrza do Witebska jako najlepszy<sup>7</sup>.

Wraca do Warszawy. Szef Oddziału II Dzieciół (ppłk dypl. Marian Drobik) wita go entuzjastycznie. Justyn dostaje Krzyż Walecznych po raz drugi i nominację na porucznika, ale nie dostaje zwolnienia z misji szpiegowskiej, która mu ciąży.

5. Melchior Wańkiewicz, *Dwie prawdy*, wyd. PAX, 1974, str. 150.

6. Według pracy C. Chlebowskiego *Organizacja „Wachlarz”* (maszynopis), Warszawa, 1973.

7. Rozmowa z Lechem w 1975 roku w USA.



Wraca do Mińska. Po jakiejś wyspie Wachlarza, jego też aresztują — z poszlakami, ale bez dowodów. Siedzi w Gestapo 3 miesiące, pary nie puścił. Przekazano go Saugumie, litewskiej policji politycznej — też nic nie wskórała. Nie ma ani centymetra nie posiniaczonej skóry.

W więzieniu poznał wileńskiego aptekarza, oskarżonego o fałszerstwo dokumentów. Po namyśle Świda przyznaje się do współudziału w tej aferze. Zawsze to lepsze niż szpiegostwo. Ponieważ aptekarz miał chody i dużo pieniędzy, sprawę umorzono. Wobec tego współnik jego też odzyskał wolność.

Przyjeżdża do Warszawy. Teraz jest już na dobre spalony w konspiracji, więc idzie do lasu — będzie znowu Lechem. Nawiązuje kontakt z Maciejem, spotyka się na Żoliborzu.

— Maciej nie nadawał się do konspiracji. Dla niego była to harcerska zabawa, wyuczona na kursach. Z dumą pokazywał mi sznur przygotowany do ucieczki przez okno, Colta spoczywającego pod poduszką i cieszył się jak chłopiec.

Z protekcji Macieja, Lech i towarzysze otrzymują przydział do Okręgu Nowogródzkiego. Przed wyjazdem Lech melduje się przebijającym chwilowo w Warszawie dowódcy Obszaru II (okręgi: Białystok, Polesie, Nowogródek) Izabelle.

— Od Izabelki dostałem zadanie: zaktywizować Nowogródek. Oczyścić teren między Niemnem a Puszczą Rudnicką. Niech wreszcie będzie tam spokój i porządek. Ludność polska musi odetchnąć. Tych wytycznych się trzymałem<sup>8</sup>.

O Okręgu Nowogródzkim AK mamy dwa obszerne opracowania całościowe. W 1962 roku na zlecenie Wojskowego Instytutu Historycznego mjr dypl. Stanisław Sędziak (Warta), po 10½ roku w więzieniu — z tego sześć w izolatce — napisał pracę *Działalność Nowogródzkiego Okręgu Armii Krajowej*. Sędziak<sup>9</sup> był od początku 1943 roku do 21 sierpnia 1944 szefem sztabu, a potem do listopada 1944 p.o. komendanta okręgu.

W 1976 ukazała się książka komendanta okręgu (od 1 września 1941 do 12 czerwca 1944) ppłk. Janusza Prawdzic-Szlaskiego pt. *Nowogródzyczna w walce 1940-1945*, wydana nakładem Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie, cytowana dalej jako — Szlaski. Obie prace są wartościowe, a ze względu na piastowane przez autorów stanowiska powinny mieć wagę dokumentu. Będę do nich zaglądał często.

Książka Szlaskiego podaje obsadę personalną nie tylko komendy okręgu, ale również obwodów, baonów i kompanii, a tak-

---

8. Rozmowa z autorem (1975).

9. Zmarł 2 sierpnia 1978 roku w Toruniu, mając 65 lat.

że identyfikuje wiele konspiracyjnych pseudonimów. Pod względem narracyjnym opracowanie Sędziaka jest bardziej zwarte, przedstawia logicznie tok wydarzeń. Prawdopodobnie komendant zdawał sobie z tego sprawę, bo w wielu miejscach sięga po tekst szefa sztabu. Zważywszy, że praca Sędziaka pisana była w kraju przez byłego więźnia, trzeba różnie jej opinie traktować ostrożnie, chociaż autor zapewniał mnie w 1977 roku, że W.I.H. tekstu jego nie zmienił, ani nic z niego nie usunął. Oczywiście — otwarte pozostaje zagadnienie samocenzury. Mjr Sędziak przyznał zresztą, że zależało mu na upamiętnieniu dokonań AK na tym odcinku kresów i dlatego (a także żeby nie narażać innych osób) wiele rzeczy przemilczał.

Obie prace z dumą podkreślają osiągnięcia okręgu (i słusznie — bo są one znaczne, a teren nie był łatwy), obie narzekają na Komendę Główną i obie demonstrują niechętny, a miejscami nawet wrogi stosunek do kolegi i sąsiada — komendanta Okręgu Wileńskiego ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego (Wesołowski, Smętek, Dziemido, Wilk).

Nie ma zgody co do daty przybycia Lecha, Kubusia i Bartka do Okręgu Nowogródzkiego. Szlaski podaje w jednym miejscu (str. 74) lipiec 1943, w innym (str. 78) sierpień; Sędziak wymienia lipiec; a Lech upiera się, że był w miejscu już w połowie czerwca. Wszystkie źródła są natomiast zgodne, że do czasu przyjazdu Lecha nie było na Nowogródczyźnie żadnej partyzantki, żadnych walk. Komendę okręgu pochłaniały sprawy organizacyjne, które bardzo umiejętnie prowadzili szef sztabu i kpt. Sawa (Władysław Stawowski), były oficer Korpusu Ochrony Pogranicza z Wołozyna. Rozpoczęto również — na małą skalę — tworzenie oddziałów partyzanckich: powstał już nr 301 w pobliżu Szczuczyna pod dowództwem por. Puszczyka (Jan Skorb) i nr 312 w pobliżu Bielicy pod dowództwem ppor. Ragnara (Czesław Zajązkowski)<sup>10</sup>.

Szlaski pisze:

Zalążkiem oddziału partyzanckiego była grupa 18 ludzi, którą od lata 1942 roku prowadził por. „Puszczyk”. Był to oddział stworzony przez Obwód Szczuczynski i zarazem był to królik doświadczalny w Okręgu. (...) Licząc się z ewentualnością rozpoznania oddziału, a tym samym wykrycia działalności podziemnej polskiej, która zakładała fundamenty swej pracy, zamaskowano go umundurowaniem i mową rosyjską<sup>11</sup>. Działalność swą „Puszczyk” ogranicza do paru, na bardzo małą skalę, zasadzek oraz jednej potyczki z partyzantami bolszewickimi, wywołanej przez nich samych<sup>12</sup>.

10. Niektóre źródła nazywają go „Ragnerem”.

11. Szlaski, *op. cit.*, str. 115.

12. *Ibid.*, str. 78.

Zdaniem Sędziaka, pierwszym partyzantem Obwodu Lida był Krysia (ppor. Jan Borysewicz), który zaczął od 7 ludzi, a w sierpniu 1943 miał już całą kompanię<sup>13</sup>.

Dynamika tego narastania jest imponująca. Obserwujemy ją również u Ragnara, pporucznika rezerwy łączności, który z oporami otrzymuje od Prawdzica w lutym 1943 roku zezwolenie na zorganizowanie oddziału partyzanckiego, a już po kilku tygodniach dowodzi wcale grzecznym oddziałem w mundurach sowieckich.

Kamuflaż stosowano na wschodzie nagminnie. Uczestnicy „gry o życie” robili wszystko, żeby ukryć kim są i jakie mają zamiary; najczęściej udawali swoich przeciwników. Uderzenie AK przeprowadzone w mundurach bojów nie pociągało represji w stosunku do polskich wsi. Obfitość wojennych mundurów otwierała nieskończone możliwości forteli. Przydałaby się wypożyczalnia rekwizytów teatralnych, żeby ten sam oddziałek występował dziś jako SS-mani, a jutro jako litewskie „kałakutasy” („indyki” — przezwisko policji), albo czarni policjanci białoruscy na usługach Niemców.

O istnieniu polskich oddziałów partyzanckich ludność dowiedziała się dopiero 3 maja 1943 roku. Na rozkaz komendy okręgu żołnierze przestają udawać Rosjan, przyczepiają orzełki i przyszywają biało-czerwone proporczyki; w kilku wsiach odczytują okolicznościowe odezwy na wiecach. Mieszkańcy reagują entuzjastycznie, Niemcy są zaskoczeni. Ale żaden oddział walki z nimi na razie nie podejmuje.

Sytuacja zmieniła się dopiero po przyjeździe Lecha. Komentant okręgu, doceniając jego walory bojowe i doświadczenie partyzanckie, powierzył mu oddział nr 301 (poprzednio Puszczyka) i nr 312 (Ragnara), który rozrósł się tymczasem do rozmiarów dwukompanijnego batalionu. Nową formację nazwano Zgrupowaniem Nadniemieńskim. Lech mianował swoim zastępcą por. Kubusia, adiutantem i oficerem oświatowym ppor. Bartka, a ppor. Ragnar pozostał dowódcą swego baonu.

Zgrupowanie rośnie szybko, przyciąga jak magnes nie tylko pojedynczych żołnierzy, ale całe oddziały. Ppor. Michał (Kazimierz Bobkowski), nie mogąc się utrzymać w Baranowiczach między młotem partyzantki sowieckiej a kowadłem garnizonów niemieckich, przebija się przez Puszcę Lipiczańską (w widłach Niemna i Szczary) i z 30-osobowym oddziałem dołącza do Lecha.

Akcja zaczęła się nim nowe zgrupowanie zdołało okrępnąć.

---

13. Sędziak, *op. cit.*

Niemcy podejmują operację „Hermann”, zmierzającą do likwidacji partyzantki sprawiającej zamieszanie na liniach komunikacyjnych; chodziło w szczególności o linie kolejowe tworzące czworobok Baranowicze - Lida - Mołodeczno - Mińsk - Baranowicze. Głównym celem obławy było wykurzenie z Puszczy Nalibockiej skupiska partyzantów sowieckich, liczącego według obliczeń polskich ponad 10 tysięcy żołnierza, to znaczy więcej niż wynosił stan partyzantki polskiej w całym okręgu w okresie największego jej nasilenia<sup>14</sup>.

Oddziały sowieckie składały się z dwóch elementów. Pierwszy stanowili żołnierze Armii Czerwonej, którzy pozostali na Nowogródczyźnie od 1941 roku. Wśród nich byli ranni i kontuzjowani, ale — jak pisze Sędziak — przeważającą większość stanowili ci, którym tchórzostwo nie pozwoliło dołączyć nigdzie, nawet do organizowanej przez Niemców armii gen. Własowa. Wczesną wiosną 1942 roku Niemcy zarządzili rejestrację byłych żołnierzy sowieckich. Wtedy wśród Rosjan nastąpił podział: ci, co spodziewali się zwycięstwa Niemiec, zarejestrowali się i zostali zamknięci w obozach, inni poszli do lasu.

Drugą grupę stanowili desantowcy sowieccy albo oddziały dywersyjne przetrucane przez luki w linii frontowej, żołnierze doskonali, specjalnie szkoleni i doskonale uzbrojeni. Przez cały czas trwania wojny Okręg Nowogródzki AK nie przyjął ani jednego zrzutu materiałowego z Anglii, na tutejszych „koszach” odbiorczych ani razu nie wylądował polski spadochroniarz. Różnica w traktowaniu Nowogródka przez oba ośrodki macierzyste wynikała przede wszystkim z odległości: teren ten znajduje się w wygodnym zasięgu Rosji, a Londynu stąd nie tylko nie widać, ale nawet nie zawsze dobrze go słychać.

Drugie skupisko partyzantki sowieckiej — poza Puszcza Nalibocką — stanowiła Puszcza Lipiczańska, znacznie szczuplejszy kompleks leśny; polskie źródła szacują siłę tego zgrupowania na 5.000 ludzi.

Wreszcie trzecia grupa sowiecka kryła się w Puszczy Rudnickiej (na południowy zachód od Wilna). Kpt. Stanisław Szabunia, który spędził kilka miesięcy na jej południowym skraju, utrzymuje, że tamtejszy oddział sowiecki liczył nie więcej niż 200 żołnierzy, z tym że przejściowo gościł transporty zdążające na Suwalszczyznę lub Prusy Wschodnie.

Dwa ruchy partyzanckie na tym samym terenie — to za dużo dobrego, zwłaszcza dla ludności miejscowej, która musiała

---

14. Szlaski oblicza, że w dniu 1 czerwca 1944 Okręg miał pod bronią 7.700 żołnierzy (*op. cit.*, str. 140).

te tysiące żołnierzy nakarmić i ubrać. Grupy sowieckie nachodziły biednych gospodarzy kilkanaście razy na miesiąc, zabierając to, co im było przydatne, bez oglądania się na potrzeby rolników. Wszystkie kolchozy tworzone przez władze sowieckie zostały po przyjsciu Niemców rozwiązane, majątki oddane pod zarząd byłych właścicieli. Próby osadzenia Holendrów nacjonal-socjalistycznej maści jako administratorów większej własności ziemskiej nie udały się. Nie znali języka i nie umieli gospodarować na wielkich obszarach<sup>15</sup>.

Żeby uniknąć konfliktów i starć, podjęto próby rozgraniczenia „sfer wpływów” partyzantki polskiej i sowieckiej. Według wersji Andrzeja Brochockiego, miejscowego ziemianina, mjr Borek (Tomasz Zan) udał się w końcu grudnia 1942 z ramienia Komendy Głównej do Stołpców i spotkał się w Puszczy Nalibockiej z komandirem Dubowym (Grigorij A. Sidoruk). Uradzono, że linią rozgraniczającą będzie Niemen.

Ppłk Szlaski utrzymuje, że wprawdzie bolszewicy zaproponowali podział terenu, ale komenda okręgu nie przyjęła oferty<sup>16</sup>. Nie ulega jednak wątpliwości, że z umową czy bez umowy wstęga Niemna stanowiła tutaj naturalną granicę wpływów — którą obie strony usiłowały poszerzyć.

Na jesieni 1942 roku rozeszły się po Nowogródzczyźnie wieści, że władze sowieckie poleciły swojej partyzantce niszczenie zbiorów. Brochocki opowiada, że 8 września 1942 roku naliczył w nocy 23 łuny pożarów na horyzoncie, a na terenie powiatu Szulczyńskiego spalono tego dnia 80 stodół. Może pożary osłabiały wysiłek wojenny Niemiec, ale na pewno rujnowały i skazywały na głód ludność, wyniszczoną rabunkiem i kontyngentami.

Los tej ludności był obojętny dla żołnierzy nasłanych ze wschodu, ale leżał na sercu partyzantce polskiej opartej o element miejscowy. Stąd też płynęły wskazania Izabelki, przekazane Lechowi. Opieka nad ludnością posunięta była tak daleko, że jeśli jakieś bandy porwały rolnikowi pod polskim patronatem krowę, to oddziały AK albo tę krowę natychmiast odbijały, albo dostarczały inną.

Podjęta przez Niemców blokada Puszczy Nalibockiej była dotkliwym ciosem dla partyzantki polskiej, która mimo życzliwej postawy ludności usadowiła się tam z trudem i dopiero po uzyskaniu zgody od dowództwa sowieckiego. Warunki zezwolenia były upokarzające: nie podejmować żadnej akcji bez ich wiedzy, nie przyjmować ludzi z innych terenów, nie utrzymywać łączności

15. Wspomnienia wojenne Andrzeja Brochockiego (maszynopis).

16. Szlaski, *op. cit.*, str. 109.

z Warszawą ani z Londynem itd.<sup>17</sup> Dowódca 1 baonu (Stołpeckiego) 78 pp. por. Waldan (inż. Walenty Parchimowicz) zebrał na pierwszą zbiórkę 4 czerwca 1943 roku 60 ludzi. Na ugodę poszedł, bo Komenda Główna przykładła olbrzymią wagę do dozorowania linii kolejowej Brześć - Stołpce - Mińsk, zwłaszcza w razie wybuchu powstania.

W pięć tygodni później (13 lipca 1943) Niemcy rozpoczęli oblławę, w której według Szlaskiego brało udział 5 dywizji SS.

Oblawa niemiecka wykazała perfidię sowiecką. Mimo uzgodnionego planu, w którym Sowietzi mieli na obydwóch skrzydłach polskich oddziałów stawiać opór Niemcom, nie zawiadamiając nikogo, po cichu wycofali się i pozwolili Niemcom oskrzydlić oddziały polskie, chowając się za Polaków i unikając walki z Niemcami. Oddziały nasze, po dość krwawych walkach, oderwały się od Niemców i po rozdzieleniu się na małe grupy, przez bagna puszczy wycofały się. Straty poniosły dość duże a mianowicie: około 25 zabitych, około 40 rannych i około 100 zaginionych<sup>18</sup>.

Produktem ubocznym blokady była próba osaczenia partyzantki polskiej w okolicach Lidy. Nowo mianowany dowódca stanął przed egzaminem i przyjął wyzwanie. Wokół Bielicy nad Niemnem Lech zgromadził około 350 żołnierzy własnych, Krysi i Ragnara, po czym wielkim sierpem ruszył na północ, kąsając z boku mniejsze oddziały niemieckie, a wymykając się trzem osaczającym kolumnom. Po przemarszu około 150 km dotarł do Białej Waki, niemal na przedmieściu Wilna, a potem skrył się w Puszczy Rudnickiej<sup>19</sup>. Po raz pierwszy ludność zobaczyła znaczny i uzbrojony oddział polski.

Wracając do swego rejonu, zgrupowanie zatrzymało się na noc w majątku Posolcz, na południowym skraju Puszczy Rudnickiej, i tam zostało znowu zaatakowane — tym razem przez partyzantów sowieckich. Po utarczce por. Kubuś poszedł obejrzeć pole walki: przechadzającego się zastrzelił ranny sowieciarz<sup>20</sup>.

Lech przeżył śmierć przyjaciela bardzo głęboko. Podstępny strzał i niesprobowany atak uważał za typowy przykład stosunku partyzantki sowieckiej do Polaków.

Ze swej strony też się z tymi oddziałami nie cackał. Patrole Lecha wyłapywały wypadki sowieckie na prawy brzeg Niemna. Na zagony takie pozwalali sobie zwłaszcza partyzanci stacjonowani w Puszczy Lipiczańskiej. Od czasu przydzielenia tego tere-

17. Szlaski, *op. cit.*, str. 98.

18. *Ibid.*, str. 204.

19. Relacja ppor. Lwa (inż. Jan Wasiewicz) z 12. XI. 1975 w posiadaniu autora.

20. Sędziak, *op. cit.*

nu Lechowi, wypadły zmniejszyły się, a w każdym razie nie uchodziły Rosjanom bezkarnie. Lech skrupulatnie wykonywał zadanie zlecone mu przez dowódcę obszaru: zapewnić mieszkańcom spokój. Wpłynęło to znakomicie na życzliwe nastawienie ludności.

Zgrupowanie Nadniemeńskie rosło w siłę. I nie tylko ono. Tam, gdzie był pluton — powstawała kompania, z kompanii tworzył się batalion. W październiku przyszła na teren okręgu gotowa formacja z Polski środkowej: Uderzeniowy Batalion Kadrowy (UBK), wojskowe ramię Konfederacji Narodu, organizacji narodowo-radykalnej Falanga. Dowódcą tego oddziału był por. Sablewski (Bolesław Piasecki), który hetmanił politycznie, ale w polu oddawał komendę por. Szczęsnemu (Stanisław Karolkiewicz).

UBK, który dopiero niedawno podporządkował się dowództwu AK, przyszedł na kresy wschodnie, żeby wzmocnić polskie siły zbrojne. Być może Piaseckiemu przyświecała myśl, którą pod pseudonimem „Andrzej z Płocka” sformułował już na początku 1942 roku:

Wszystko składa się na nagłą i nieuchronną konieczność prowadzenia systematycznej i planowej partyzantki, nastawionej w pierwszym rzędzie na likwidowanie band bolszewickich w Kraju<sup>21</sup>.

UBK przeważnie składał się z młodzieży warszawskiej i podlaskiej. Przed Nowogródkiem Piasecki poprowadził swój baon pod Johannsburg (Jańsbork) w Prusach Wschodnich, spalił wieś Mittelheide i krwawo rozprawił się z ludnością; był to odwet za zgładzenie przez Niemców kilkuset zakładników w Białymstoku. Przez pewien czas UBK należał do zgrupowania Lecha, ale w drugiej połowie stycznia komenda okręgu przesunęła go bardziej na wschód, w rejon Iwina.

W miarę wzrostu sił partyzantka polska coraz lepiej dawała sobie radę z Niemcami i coraz trudniejszą sytuację miała z Rosjanami.

W meldunku półrocznym na 1 marca 1944 dowódca AK gen. Bór pisze o Nowogródku m.in.:

W Okręgu na pierwsze miejsce pracy wysunęła się samoobrona przed wrogą partyzantką sowiecką i bandami żydowsko-komunistycznymi. W tym celu nasze oddziały zostały zmobilizowane i ugrupowane w trzech baonach: baony 77 pp. — Zaniemeński<sup>22</sup> i UBK, działające na prawym brzegu Niemna; baon 78 pp., Stołpecki, w rej. Stołpce.

21. *Nowa Polska* z 7. I. 1942. Cytuję za Andrzejem Micewskim: *Współrzędzić czy nie kłamać?*, wyd. Libella, Paryż, 1978, str. 25.

22. Omyłka: powinno być „Nadniemeński”.

Dnia 19. XI. 1943 pododdział baonu Zaniemeńskiego stoczył w rej. Żołudek całodzienną walkę z partyzantką sowiecką w sile ok. 1.500 ludzi. Oddział sowiecki zmuszony został do przeprawy na drugi brzeg Niema. Straty sowieckie w zabitych, utopionych i rannych — ok. 200 ludzi, oraz cały tabor i sporo uzbrojenia. Straty własne: 2 zabitych, 1 w niewoli i kilku rannych.

Baon Zaniemeński i UBK działały też częściowo na lewym brzegu rzeki. W rezultacie rej. Lidy, Szczuczyna, Wołożyna i płn. część Obwodu Nowogródek zostały oczyszczone z band sowieckich<sup>23</sup>.

Elementem najbardziej zniechęconym przez Polaków byli pracownicy NKWD, którzy po zmianie okupanta z zastanawiającą dezynwolturą przeszli na służbę niemiecką.

Wywiad niemiecki nie był zbyt udolny ani też niebezpieczny. Żandarmeria niemiecka płaciła konfidentowi 500 RM. miesięcznie, co stanowiło dużą kwotę, zważywszy, że moja gaża komendanta Okręgu wynosiła wówczas 200 RM. i kwota ta wystarczała wcale nieźle na zaspokojenie moich potrzeb osobistych. Nic więc dziwnego, że masa bolszewików i NKWD-zistów współpracowała z Gestapo, żandarmerią i policją oraz tendencyjnie niszczyła element polski<sup>24</sup>.

Metody walki o rząd dusz stosowane przez obie strony nie zawsze można nazwać rycerskimi. U Szlaskiego czytamy:

Przy jego pomocy [wyższego niemieckiego urzędnika wojskowego „N”, który współpracował z konspiracją polską] została zlikwidowana organizacja komunistyczna sowiecka, która przeszkadzała nam w pracy, podszywając się pod naszą organizację i przyczyniając się tym do masowego aresztowania Polaków przez Gestapo, które składało się w 90 % z byłych NKWD.

Zlikwidować taką organizację współpracującą z Gestapo było trudno. Stoczyć otwartą walkę też się nie opłacało. Należało więc szukać innej drogi. Początkowo dla próby oddaliśmy w ręce Gestapo kilku członków organizacji komunistycznej. Czekaliśmy na rezultat ale okazało się na próżno. Po paru dniach zostali oni wypuszczeni i przerzucili się na inny teren działania i wobec tego byliśmy bezradni. Pan „N” [wyższy urzędnik niemiecki] poradził nam poczekać a po paru dniach dał nam znać, że na nasz teren przybył oddział tajnej żandarmerii polowej niemieckiej nr 400. Doręczono mu listę około 40 członków organizacji komunistycznej. W przeciągu dwóch tygodni na skutek tego zostało aresztowanych 80 osób, część rozstrzelano, część zaś wywieziono. W ten sposób zostały częściowo zapłacone nasze krzywdy i mogliśmy pracować dalej<sup>25</sup>.

Dramatyczne przejścia przeżywał 1 baon 78 pp., potocznie zwany Stołpeckim.

Po blokadzie puszczy i znacznych stratach, baon odbudował się na nowo: liczył 3 kompanie piechoty i szwadron kawalerii.

23. *Armia Krajowa w dokumentach*, tom III, poz. 564.

24. Szlaski, *op. cit.*, str. 193.

25. Szlaski, *op. cit.*, str. 92-93.



W październiku 1943 Komenda Główna przysłała nowego dowódcę kpt. Waława (Waław Pełka); zastępcą jego był ppor. Góra (Adolf Pilch), cichociemny. Pod nowym zarządem stosunki z wielokrotnie liczniejszą partyzantką sowiecką znowu ułożyły się poprawnie, ba — prawie serdecznie: wymiana wizyt, wspólne plany, wspólna wódka.

1 grudnia 1943, gdy część oddziałów pod dowództwem ppor. Góry i chor. Noc (Zdzisław Nurkiewicz) wyszła w teren, reszta baonu została otoczona przez oddziały sowieckie, rozbrojona i wcielona do ich brygad. Oficerów i podchorążych odseparowano, pięciu z nich zawieziono do Moskwy i zamknięto na Łubiance.

Kiedy następnego dnia Góra wrócił, został ostrzelany przez żołnierzy w mundurach sowieckich. Nie wierzył własnym oczom — znając się dobrze na przebierance, Góra był przekonany, że ma do czynienia z prowokacją niemiecką, mającą na celu skłócenie zaprzyjaźnionych oddziałów.

Nie byli to jednak Niemcy. W trzy dni potem, przy zabitym komisarzu sowieckiego oddziału im. Czapaiewa znaleziono rozkaz na podstawie którego Rosjanie działali. Oto jego tłumaczenie:

Ścisłe tajne

Egzemplarz nr 7  
Wcześniejsze ujawnienie karalne  
Rozkaz bojowy

Do

Komendantów i Komisarzy  
Oddziałów Partyzanckiej Brygady im. Stalina

30 listopada 1943 r. — 15.00.

W wykonaniu rozkazu Naczelnika Głównego Sztabu Ruchu Partyzanckiego przy kwaterze Naczelnego Dowództwa Czerwonej Armii gen. lejtn. Ponomarenko<sup>26</sup> i upoważnionego Głównego Sztabu Ruchu Partyzanckiego na kwaterze Naczelnego Dowództwa jak WKP (B) B. sz. o. Baranowickiego Okręgu gen. mjr. Płatonowa.

W dniu 1 grudnia 1943 r. ogłosić punktualnie o godz. 7-ej rano, by we wszystkich zajętych punktach rejonów przystąpić do osobistego rozbrajania wszystkich polskich legionistów (partyzantów). Odebraną broń i dokumenty zarejestrować, a zespół legionistów razem z odebraną bronią dostarczyć do polskiego obozu Miłaszewskiego w rejonie wsi Niestrowicze, Iwienieckiego rejonu.

W razie oporu w czasie rozbrajania ze strony legionistów (partyzantów), rozstrzeliwać na miejscu.

Z chwilą otrzymania niniejszego rozkazu natychmiast należy go rozesłać ściśle poufnymi listami do wykonania w rejonu operacyjne waszych grup, kompanii i plutonów ze zleceniem wykonania niniejszego rozkazu.

---

26. Pantalejmon Ponomarenko, pierwszy sekretarz KC KP Białorusi (1938-47) i ambasador ZSSR w Warszawie (1955-57).

Rozkaz należy trzymać w ścisłej tajemnicy.  
Za ujawnienie tego rozkazu z jakich by nie było powodów, będą osobicie odpowiadać dowódcy oddziałów.

Komendant Brygady im. Stalina (—) płk Gulewicz  
Komisarz Brygady im. Stalina (—) ppłk Muranow  
Naczelnik sztabu Bryg. im. Stalina (—) ppłk Karpow.

Odbito 10 egzemplarzy.  
Rozdzielnik. Okrągła pieczęć brygady<sup>27</sup>.

Jeśli istnieją wątpliwości, czy nie mamy tu do czynienia ze sprytnym fałszerstwem, rozwieje je zaznajomienie się ze źródłami sowieckimi. Według dokumentu przechowywanego w Archiwum Historii Partii przy KC Komunistycznej Partii Białorusi, akcję zaplanowano na najwyższym szczeblu.

22 czerwca 1943 r. na plenum w Moskwie Komitet Centralny KP(b) Białorusi podjął uchwałę „O przedsięwzięciach w zakresie dalszego rozwijania ruchu partyzanckiego w zachodnich obwodach Białorusi” oraz rozesłał do wszystkich podziemnych komitetów obwodowych pismo okólne „O wojskowo-politycznych zadaniach pracy w zachodnich obwodach Białorusi”. W piśmie tym KC KP(b) Białorusi wskazywał, że „podziemne partyjne i komsomolskie organizacje w swojej polityce w stosunku do polskich burżuazyjnych nacjonalistów powinny kierować się następującymi ustaleniami:

1. Zachodnie obwody radzieckiej Białorusi stanowią integralną część Republiki Białoruskiej. Na zajętych przez Niemców terytorium Białorusi dopuszczalna jest tylko działalność grup, organizacji i oddziałów, które kierują się interesami mas pracujących państwa radzieckiego;

2. Istnienie różnorodnych organizacji, kierowanych przez polskie burżuazyjne ośrodki, należy traktować jako bezprawne wtrącanie się do spraw naszego kraju;

3. Nasze główne zadanie sprowadza się do tego, aby szerzej rozwinąć radziecki ruch partyzancki, wciągając do niego wszystkie warstwy ludności, w tym i Polaków. Nacjonalistyczne oddziały i grupy tworzone przez polskie koła reakcyjne należy izolować od ludności przez tworzenie radzieckich oddziałów i grup składających się z ludzi pracy narodowości polskiej.

4. Wszystkimi sposobami zwalczać oddziały i grupy nacjonalistyczne<sup>28</sup>”.

Uchwała ta głosi więc monopol partyzantki sowieckiej na obszarach północno-wschodnich między linią ustaloną w Traktacie Ryskim a umową Hitler-Stalin z 1939 roku oraz nakazuje

27. Szlaski, *op. cit.*, str. 111.

28. Cytuję według książki Mieczysława Juchniewicza *Polacy w radzieckim ruchu partyzanckim 1941-1945*, Wojsk. Instytut Historyczny, Zakład II Wojny Światowej, Warszawa, wyd. Min. Obrony Narod., 1975, wyd. II popr., uzupełn., str. 302-303. Ujęty w cudzysłów tekst Juchniewicz przytacza według dokumentu przechowywanego w Biał. Arch. Part., zesp. 4, inw. 3, t. 1243, k. 65 oraz 78-90.

bezwzględna walkę z oddziałami AK, lojalnymi w stosunku do rządu Rzplitej w Londynie.

O nadużyciu władzy i samowoli lokalnego dowódcy nie może więc być mowy. Juchniewicz stwierdza zresztą wyraźnie (str. 305), że Baranowicki Komitet Obwodowy KP(b) Białorusi i Iwieniecki Komitet Rejonowy podjęły decyzję rozbrojenia AK „zgodnie z dyrektywą (pismem okólnym) z 22 czerwca 1943 r.”.

Uchwałę moskiewską wprowadził w życie płk Dubow (Grigorij A. Sidoruk), pracownik NKWD, a po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej dowódca Zgrupowania Brygad Strefy Iwienieckiej i sekretarz Podziemnego Rejonowego Komitetu KP(b) Białorusi w Lidzie<sup>29</sup>.

Wśród oficerów Baonu Stołpeckiego wywiezionych do Rosji znalazło się dwóch cichociemnych — por. Grom-Rydzewski i por. Ikwa-Łoś; oficerów z Anglii władze sowieckie tępiły ze szczególną zjadłością.

Z chwilą przejęcia rozkazu Ponomarenki (okręg przesłał go natychmiast do Warszawy), polskie oddziały partyzanckie nie mogły już mieć wątpliwości, że została wypowiedziana im bezpardonowa walka. Stwarzało to sytuację bardzo poważną, a dla Baonu Stołpeckiego (którego dowództwo objął ppor. Góra) beznadziejną. Linie komunikacyjne obstawiali Niemcy, puszcza była nasycona partyzantką sowiecką, jak więc ten słaby oddział miał się uchronić między żarnami i wykonać zadanie „Burzy”?

Przepaść między rozkazami Komendy Głównej („uniknąć zadrażnień ze sprzymierzeńcem naszych aliantów”) a sytuacją w terenie zwiększała się z każdym tygodniem. Praktyka życiowa wskazywała, że teoria dwóch wrogów znajduje na tych obszarach potwierdzenie. Przekonać się o tym można sprawdzając statystykę utarczek i walk, stoczonych przez wszystkie oddziały Okręgu Nowogródzkiego w okresie od 1 stycznia 1942 do zajęcia terenów przez Armię Czerwoną (koniec lipca 1944):

Ogółem potyczek 185.

Z tego z Niemcami — 102.

Z partyzantami sowieckimi i bandami — 83<sup>30</sup>.

Procentowo: z Niemcami — 55 %; z oddziałami sowieckimi — 45 %.

Szef sztabu Okręgu Nowogródzkiego pisze:

Niemcy, dowiedziawszy się o wypadkach w puszczy, próbowali przez swój

---

29. Juchniewicz, *op. cit.*, str. 226.

30. Szlaski, *op. cit.*, str. 132-134. W zestawieniu tym nie uwzględniłem walk z Niemcami Zgrupowania Stołpeckiego po przybyciu do Polski środkowej.

wywiad nawiązać kontakt z oddziałami polskimi. Był to okres, w którym nie szukali już oni współpracy, płacąc dobrze za zwykłą deklarację lojalności. W Krakowie gubernator Frank w odezwie do Narodu Polskiego, nawołując do wspólnego frontu przeciw komunizmowi, zrezygnował nawet z wyższości rasy Herrenvolku, odwołując się do współpracy plemiennej obu narodów, Polaków i Niemców.

Zorientowawszy się doskonale w ciężkim położeniu oddziałów polskich, poszli oni tak daleko, że podrzucali żywność i amunicję w teren opanowany przez nasze oddziały, pozostawiając je bez opieki<sup>31</sup>.

Wkraczamy teraz w sferę wydarzeń nigdzie nierelacjonowanych, które doprowadziły do wydania przez sąd wojskowy wyroku śmierci na dowódcę Zgrupowania Nadniemeńskiego, Lecha. Jedną z przyczyn mroku otaczającego tę sprawę jest konsekwentna odmowa udzielania informacji przez główną osobę dramatu. Przez kilkadziesiąt lat dzielących nas od tych wydarzeń Lech stale odmawiał rozmawiania z dziennikarzami, udzielania wywiadów i przedstawienia w jakiegokolwiek formie swojej wersji wydarzeń. Stale odpowiadał — jeśli w ogóle odpowiadał — że nie życzy sobie wracać do wspomnień wojennych i uważa ten okres swego życia za zamknięty.

Kiedy zwróciłem się do niego w 1975 roku w tej samej sprawie, wyjaśniając, że zbieram materiały do biografii Macieja Kalenkiewicza, odpowiedź brzmiała inaczej — przynajmniej do pewnego stopnia.

— Proszę przyjechać, opowiem wszystko. Zrobię to dla Macieja i dla Ireny, którą szanuję i uważam za ideał żony. Opowiem, ale na druk się nie godzę.

Przyjechałem. Rozmawialiśmy trzy dni. Wróciłem z wyjaśnieniami, ale bez pozwolenia na ich użycie. Przy pożegnaniu stanęła umowa: nie ogłoszę faktów, co do których zastrzegł sobie tajemnicę, ale nie rezygnuję z poszukiwania innych źródeł.

Umowy dotrzymuję, choć zawierając ją nie przemyślałem wszystkich konsekwencji. Postępowanie Lecha znamy — jak dotąd — tylko z opisów Sędziaka i Szlaskiego, które różnią się od wersji Świdy. Wprawdzie zobowiązałem się jego wersji nie ogłaszać, ale znając ją nie mogę przecież z czystym sumieniem serwować czytelnikowi naświetleń jednostronnych, a może i fałszywych. Wobec tego uzupełniam wersje „czynników oficjalnych” (komendanta i szefa sztabu) dodatkowymi informacjami, jeśli udało mi się coś zdobyć z innych źródeł, a stawiam znaki zapytania w tych miejscach, w których obowiązuje mnie dyskrecja. Może nadejdzie czas, kiedy wypęnią się i te białe miejsca.

---

31. Sędziak, *op. cit.*

Kiedy cała ta sprawa wybuchła? Dla komendy okręgu gdzieś na początku stycznia 1944, dla Lecha chyba wcześniej. Jego decyzja zapadła niewątpliwie jako logiczne następstwo złych doświadczeń z partyzantką sowiecką, a ostatnią kroplą, która przeważała szalę, było rozbicie Baonu Stołpeckiego AK i tajny rozkaz sowiecki. Inaczej mówiąc: po przekonaniu się, że dowództwo sowieckie wypowiedziało partyzantce polskiej bezwzględny walkę.

Aż do połowy stycznia 1944 Lecha łączyła z komendą okręgu dobre stosunki. Świadczy o tym fakt, że ppłk Prawdzic spędził wigilię Bożego Narodzenia w kwaterze Lecha w Niecieczy i zawiadomił go wtenczas o awansie na rotmistrza<sup>32</sup>. Rozmawiał z nim także wtedy o odznaczeniu go krzyżem *Virtuti Militari*.

Sędziak pisze, że pierwsze przecucie planów Lecha wiąże się z przygotowaniami do odbicia więzienia w Lidzie (18 stycznia 1944). Do skoku tego przygotowywano się ponad dwa tygodnie. Przedsięwzięcie było bardzo ryzykowne, bo więzienie znajduje się blisko dworca w mieście, w którym stacjonował 10-tyfusyczny garnizon. Plan był starannie przemyślany: strażnik przy furdzie sprzyjał spiskowcom, klucze dorobiono, tryb więzienny zbadano. Według wersji Sędziaka (która różni się nieco od wersji Prawdzica), rola Lecha polegała na przysłaniu patrolu, który pod dowództwem ppor. Chmary (Zenon Batorowicz) miał dokonać odbicia.

Karny zwykle „Lech” nie dotrzymał terminu. Wysłany po raz drugi rozkaz pozostał bez echa. Zabrałem kpt. „Bustromiaka” (Bolesław Wasilewski), szefa O. II, i pojechaliśmy do Niecieczy, gdzie kwaterował „Lech”. Był zaskoczony wizytą, tłumaczył się nieudolnie, że domyśla się o co chodzi, że ma trudności z mundurami, że akcja się nie uda, itd. „Bustromiak” zażądał 15 „dwójek” żołnierzy, którzy nadawali się do wykonania wyroku na szpiclach. Po tygodniu ci przyszli, ale oddziału, o który „Lech” prosiłem, nie było<sup>33</sup>.

Wobec tego Sędziak zapotrzebował 10 żołnierzy z baonu Krysi. Akcja udała się w pełni: wkroczone do więzienia jako patrol niemiecki eskortujący aresztowanych i bez jednego strzału uwolniono tłum więźniów. Różne źródła rozmaicie podają ich liczbę: od 50<sup>34</sup> do 170<sup>35</sup>. Do eskorty i konwoju Lech wyzna-

---

32. List Wojciecha Kętrzyńskiego do Ireny Kalenkiewicz z dnia 13 lipca 1978 r.

33. Sędziak, *op. cit.*

34. *Ibid.*

35. *Armia Krajowa w dokumentach*, tom III, poz. 548.

czył oddział z baonu Ragnara, który spotkał kolumnę na przedmieściu, ubezpieczył odskok i rozproszdził ocalonych na meliny.

W tym czasie wyszło na jaw, że „Lech” zaczął porozumienie z Niemcami, chcąc utworzyć dywizję polską do walki z bolszewikami, a chcąc się wykazać lojalnością do Niemców, posegregował uwolnionych według własnego uznania. Część rozstrzelał, a trupy ułożył jak sardynki na szosie do Żołudka, zawiadamiając Niemców, że uciekinierów uchwycił i rozstrzelał<sup>36</sup>.

Opis ten jest pióra Szlaskiego. Od razu nasuwają się pytania: Ilu więźniów zastrzelono? I po co Lech — którego tam nie było — zawiadamiał Niemców, skoro podjęli oni i tak pościg?

U Szlaskiego brak odpowiedzi. Znajdziemy je w opowiadaniu Cezarego Chlebowskiego „Na szlaku Narbutta”<sup>37</sup>, gdzie opis tej akcji zajmuje kilkadziesiąt stron. Znajomość szczegółów, nazwisk i pseudonimów wskazuje, że autor pisał na podstawie relacji uczestników. Otóż Chlebowski stwierdza, że spośród 69 uwolnionych więźniów wyłuskano i zastrzelono „pięciu znanych kapusiów więziennych”.

Jeżeli w opisie Szlaskiego o rozstrzelaniu zamiast „części uwolnionych” podstawimy „pięciu szpiclów”, ostrze dowodu przeciw Lechowi staje się tak tępe jak ludzka głupota. Zdumiewające jest również, jak niezdarne usiłuje Lech „wykazać Niemcom swą lojalność”: zastrzelił wprawdzie pięciu, ale zaopiekował się aż 64 więźniami, a wśród nich najważniejszymi: ppor. Wiesławem i całym sztabem Obwodu Lida. Nonsens oskarżenia bije w oczy.

Inna rzecz, czy istotnie tych pięciu było kapusiami. Tak twierdzili inni uwolnieni i wskazali ich palcem. W 1968 roku rodzina jednego z zastrzelonych pod Lidą więźniów podniosła tę sprawę, utrzymując, że został on zniesławiony i zabity niesłusznie. W warunkach wojennych, a zwłaszcza partyzanckich, omyłki zdarzają się częściej niż w sądach normalnych. Jedne i drugie są ubolewania godne. Jeśli podejrzane osoby były szpiclami, to na pewno zabieranie ich na meliny i dekonspirowanie siatki byłoby niewybaczalną lekkomyślnością. Trudno dziś orzekać, czy istniały wówczas — w czasie odskoku — warunki na organizowanie sądu (Chlebowski twierdzi zresztą, że sąd taki się odbył i wyrok został wydany<sup>38</sup>), czy też należało działać natychmiast i na miejscu. Jest rzeczą powszechnie znaną na terenie Nowogródzyczyny, że niektórzy dowódcy mieli szybką decyzję i ciężką

36. Szlaski, *op. cit.*, str. 214.

37. Cezary Chlebowski, *Gdy las był domem*. Wyd. Łódzkie, 1972, str. 117-162.

38. Chlebowski, *op. cit.*, str. 161.

rękę karzącą. Na przykład kpt. Licho (Stanisław Szabunia), jeden z najwybitniejszych partyzantów Nowogródzczyzny, zaliczał do takich ludzi swego przyjaciela Krysię i swego przełożonego Prawdzica.

Rozbicie ludzkiego więzienia nastąpiło 18 stycznia. Trochę później dowództwo okręgu dowiadyuje się, co w trawie piszczy. Opowiada o tym szef sztabu:

W połowie stycznia 1944 r. „Lech” (...) ujawnił powody swego dziwnego ociągania się, jeśli chodziło o walkę z Niemcami w ciężkich dla nas miesiącach grudniu 1943 i styczniu 1944. Śmierć przyjaciela por. „Kubusia”, wiadomości o likwidacji I batalionu 78 pp. AK w Puszczy Rudnickiej [czytawista omyłka: powinno być — „Nalibockiej”, przyp. J.E.] przez partyzantkę radziecką, nieprzyjazne zachowanie się oddziałów partyzantki radzieckiej, rozsiadłej na lewym brzegu Niemna — nurtowały go głęboko i w konsekwencji doprowadziły do obłądnej decyzji, grożącej rebelią. „Lech” postanowił zmienić front w stosunku do zarządzeń Komendy Głównej oraz Komendy Okręgu i nie tylko nie respektować nakazu współpracy z partyzantką radziecką, ale uznać ją za wroga miejscowej ludności.

O słuszności swej decyzji chciał przekonać Komendę Okręgu siłą. Pierwszą jego ofiarą padł inspektor baranowicki kpt. Andrzej „Józef” Wierzbicki. Przeprowadził on 20. I. 1944 na teren rotmistrza „Lecha” 20-osobową grupę spalonych w Inspektoracie Baranowickim ludzi. „Lech” zaprosił go na rozmowę, która miała charakter polityczny. Usłyszawszy beznadziejne koncepcje rotmistrza „Lecha”, „Józef”, oficer o nieprzeciętnej inteligencji, z miejsca oblał go zimną wodą. Rozwścieczony „Lech” kazał go aresztować. Ale kpt. „Józef” był za sprytny, aby siedzieć w areszcie. Po trzech dniach zjawiał się u mnie w Lidzie<sup>39</sup>.

Szlaski opowiada ten sam incydent zupełnie inaczej:

[Lech] chcąc uchwycić władzę w swoje ręce, zaczął robić zasadzki na mnie i na oficerów Komendy Okręgu. Udało mu się pochwycić Inspektora Południe (Baranowicze), który jechał na odprawę do Komendy Okręgu, kpt. „Józefa”, którego przetrzymał pod strażą kilka dni, ofiarowując mu różne funkcje, by współpracował z nim. Trafiał jednak na człowieka twardego, który mówił mu prawdę w oczy, więc w końcu go uwolnił. Kpt. „Józef” po uwolnieniu zameldował się u mnie i złożył meldunek o postępowaniu „Lecha”<sup>40</sup>.

Obie wersje są zgodne co do tego, że oficerowie prowadzili rozmowy polityczne. W ówczesnej sytuacji (Armia Czerwona właśnie przekroczyła granicę Polski przedwojennej) trudno się temu dziwić. Ale po co Lech przetrzymywał rozmówcę siłą?

Zadałem to pytanie Świdzie w 1975 roku i zostałem upoważniony do ogłoszenia jego odpowiedzi.

W czasie wojny, a zwłaszcza podczas półrocznej partyzantki na Nowo-

39. Sędziak, *op. cit.*

40. Szlaski, *op. cit.*, str. 214.

gródczyźnie, przekonałem się, że teoria gen. Sosnkowskiego o dwóch wrogach Polski jest trafna. Pomimo wszystkich umów wojskowych i politycznych, Sowiety dążyły systematycznie do osłabienia Polski.

Od września 1939 roku do końca wojny biłem się z Niemcami. Od czasu odkomenderowania na kresy walczyłem również z bandami, a także z partyzantką sowiecką, ponieważ niezycliwie odnosiła się do ludności polskiej i grabiła jej dobytek. Wypełniałem w ten sposób rozkaz o zaprowadzeniu na tych terenach porządku, rozkaz zgodny z moją oceną sytuacji i z moim instynktem.

W początkach 1944 roku stanęliśmy przed dodatkowym zadaniem: mieliśmy na kresach przeprowadzić „Burzę” czyli operację dywersyjną przeciw cofającej się armii niemieckiej. Cel: ułatwienie pochodu sowieckiego, a jednocześnie wykazanie lojalności w stosunku do wschodniego sąsiada.

Nie miałem żadnych zastrzeżeń co do zaostrzenia walki z Niemcami, natomiast... Nie mogłem wykrzesać w sobie entuzjazmu dla współpracy z Armią Czerwoną — po rozbrojeniu Baonu Stołpeckiego. Zagadnienie przerastało moje siły, piętrzyło się nad głową jak olbrzymia skała. Potrzebowałem rozumnej rady, żeby znaleźć wyjście z sytuacji, która wydawała mi się absurdalna: miałem demonstrować życzliwość i przyjaźń w stosunku do strony, która zerwała stosunki dyplomatyczne z Rzeczypospolitą, Armii Krajowej na kresach wypowiedziała bezwzględna walkę i nie tylko dążyła do pozbawienia Polski ziemi, na której się urodziłem, ale także do pozbawienia nas życia.

Tymczasem od komendy Okręgu Nowogródzkiego otrzymałem rozkaz nawiązania współpracy z partyzantką sowiecką i niewchodzenia w żadne porozumienia z Niemcami. Szukając pomocy i rady, przetrzymałem u siebie kpt. Józefa, zatrzymałem w charakterze „półprzymusowych gości” Ligęzę i Zbigniewa, współpracowników BIP-u. Dwukrotnie chyba pisałem do Prawdzica, prosząc o rozmowę. Ostatecznie — był to przecież mój dowódca, łączyły nas dobre stosunki, wydawało mi się więc, że powinien zdobyć się na coś więcej niż mechaniczne przekazywanie rozkazów centrali. Ale listy pozostały bez odpowiedzi<sup>41</sup>.

Wiemy dlaczego: komendant doszedł do wniosku, że Lech przygotowuje zamach i chce zagarnąć w okręgu władzę.

Pozostawiony sam sobie, Lech na piśmie odmówił wykonania rozkazu okręgu, by zaprzestać walki z partyzantką sowiecką i nawiązać z nią współpracę. Na rozprawie wojskowego sądu specjalnego Lech przyznał się również do zawarcia „paktu o wzajemnej nieagresji” z Niemcami i do otrzymywania od nich broni.

Z punktu widzenia kodeksu wojskowego są to wszystkie przestępstwa bardzo ciężkie — i tak zostały przez sąd potraktowane. Żeby rozporządzać prawidłową perspektywą, warto jednak pamiętać, że partyzantka jest rodzajem pospolitego ruszenia, gdzie dyscyplina wewnętrzna ceniona jest wyżej od ślepego posłuchu. Działanie w oderwaniu, częsty brak łączności wymaga od dowódcy samodzielności w myśleniu. Mało tego: skuteczność

---

41. Rozmowa Józefa Świdy z autorem w 1975 roku w USA.



partyzantki zależy od zaufania, jakie żołnierze mają do swego dowódcy i od wiary w cel, jaki im przyświeca. Dowódca nie lubiany, albo nie posiadający zaufania podkomendnych, nie może spodziewać się szczerego współdziałania, a — w przypadkach skrajnych — może się spodziewać kulki z tyłu. Żołnierze partyzantki polskiej na kresach, ludzie miejscowi, którzy pamiętali z okresu pierwszej okupacji sowieckiej deportacje, okrucieństwa NKWD, konfiskaty, kołchozy, rabunek, ze strachem patrzyli na nadciąganie drugiej fali i nie mogli pojąć dlaczego AK ma z bolszewickimi bandami współpracować.

Na posłuchu zbudowane jest wojsko. Ale mamy wiele przykładów, że do historii przeszli nie posłuszni i cisi, ale niepokorni, dysydenci i buntownicy. Chociażby Hubal, były dowódca Lecha.

Na temat dyscypliny można długo. Ale przecież zadaniem moim nie jest ani obrona kogoś czy czegoś, ani roztrząsanie spraw, które są przedmiotem kontrowersji od wieków. Zbieram fakty, które zapadają w bagno zapomnienia, a czasem zmieniają kształt przez bujne krzewienie się legendy albo rozmyślne fałszerstwa.

Szukajmy więc faktów na temat „porozumienia się z wrogiem”, innego ciężkiego przestępstwa popełnionego przez Lecha.

Porozumienia bywają różne.

W Tobruku Brygada Karpacka zastała i przejęła niepisaną umowę, że po zapadnięciu zmroku obie strony zawieszały na mniej więcej dwie godziny strzelaninę. Prostowaliśmy kości, otrzymywaliśmy gorące jedło, pobieraliśmy wodę i amunicję, pogłębialiśmy rowy i schrony, a potem znowu zaczynało się pukanie, patrole, wypady.

Dowódca Brygady gen. Stanisław Kopański tak pisze o tym:

Dziwne wydawało mi się tolerowanie wieczornego zawieszenia broni z Niemcami przez Australijczyków. Jakakolwiek ugoda z nimi była dla nas trudna do przyjęcia ze względów psychicznych wobec nienawiści do Niemców, najeźdźców naszego kraju, stosujących barbarzyńskie metody postępowania wobec narodu polskiego.

Jednak nakazałem dowódcom 2 i 3 batalionu, które obsadziły ostatecznie południową i północną część wyłomu, aby na razie nie naruszano istniejących zwyczajów. Po pierwsze chodziło mi o niezdradzanie naszego wejścia na wyłom, po drugie — o poznanie warunków obrony. (...)

Od razu zorientowałem się podczas moich nocnych „wycieczek”, że bez dwugodzinnego zawieszenia broni kompanie obsadzające stanowiska na wyłomie, umarłyby z głodu i pragnienia. (...)

Zwyczaj zawieszenia broni utrzymaliśmy<sup>42</sup>.

---

42. Stanisław Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939-1945*, wyd. Veritas, Londyn, wyd. II, 1972, str. 136-137.

Czyli: sytuacja zmusiła do utrzymania porozumienia.

W Nowogródku porozumienia z wrogiem miały inny charakter niż w Libii. Niektóre były milczące — cytowałem przed chwilą na ten temat Sędziaka — inne bezpośrednie, przypominające handel z okresu przed wynalazkiem pieniądza.

Ppor. Ragnar, dowódca baonu 77 pp., złapał komisarza niemieckiego i wymienił go na trzy ciężarówki broni<sup>43</sup>.

Dowódca V baonu mjr Truszkowski wymienił z Hauptmannem z Ejszyszek masło i kiełbasę na dwie skrzynki amunicji<sup>44</sup>.

Por. Krysia, dowódca II baonu, wymienił w Bartoszunach 20 jeńców niemieckich na dwa wozy amunicji, 2 rkm-y i dwie skrzynki granatów<sup>45</sup>.

Wszystko to w 1944 roku.

W warunkach partyzanckich nie można włączyć się po lasach i sekretnych melinach z jeńcami. Były więc trzy wyjścia: 1) puścić ich wolno, 2) zabić lub 3) wymienić na więźniów strony przeciwnej. Na Nowogródczyźnie stosowano wszystkie trzy rozwiązania. Przy wymianie jeńców lub zakładników obowiązywał najczęściej kurs: jeden Niemiec za 4 Polaków. Pertraktacje wymienne z Niemcami odbywały się zazwyczaj za pośrednictwem sołtysów.

Najdalej porozumienie z Niemcami posunął por. Góra, którego Baon Stołpecki został tak brutalnie potraktowany przez puszczańskich sojuszników.

Po tragedii stołpeckiej żandarmeria zwróciła się do dowództwa Oddziałów Stołpeckich, za pośrednictwem sołtysa m. Raków, z propozycją pomocy naszemu oddziałowi. Będąc w bardzo ciężkich warunkach (brak broni i amunicji), prawie otoczone przez oddziały bolszewickie, dowództwo zgodziło się by Niemcy zaopatrzyli je w broń i amunicję. Z tą chwilą oddział mógł przejawiać większą działalność, broniąc ludność miejscową przed rabunkiem partyzantów bolszewickich. W czasie odwrotu niemieckiego oddział wraz z żandarmerią Raków wycofywał się na zachód, a rozstał się z nią po przekroczeniu Bugu. Porozumienie to trwało aż do lipca 1944 roku tj. do chwili, gdy zgrupowanie znalazło się w Puszczy Kampinoskiej po wybuchu Powstania Warszawskiego.

Zgodnie z moim rozkazem por. „Góra” nigdy nie przeprowadził żadnych akcji zaczepnych przeciw partyzantom bolszewickim, a od obrony interesów ludności polskiej, zwarcie zamieszkałej w Stołpeckim, nikt go nie zwolnił<sup>46</sup>.

Mamy wykaz broni stanowiącej pierwszy niemiecki trans-

---

43. Rozmowa z Sokołem, V baon 77 pp. w Warszawie (1975).

44. Z. S. Siemaszko, „Rozmowy z kapitanem Szabunią”, *Zeszyty Historyczne*, nr 25, 1973, str. 148.

45. Opowiadanie Stanisława Paszula w artykule „Burza pod Wilnem”, *Zeszyty Historyczne* nr 36, Paryż, 1976.

46. Szlaski, *op. cit.*, str. 211-212.

port zaopatrzeniowy. Dowódca AK donosi Londynowi, że według meldunku z Nowogródka Niemcy dostarczyli Baonowi Stołpeckiemu w połowie grudnia 1943 roku — czyli wcześniej niż Lechowi — 10 tys. amunicji, dwa ckm i 4 moździerze, uznali go „jako oddział polski” i zezwolili na noszenie odznak polskich. „Nakazałem — depezuje gen. Bór — zerwanie z Niemcami i w najmniejszej mierze nie korzystać z ich pomocy, unikać walki z bolszewikami z wyjątkiem wypadków koniecznej samoobrony, sprawdzić szczegóły wydarzeń zawartych w cytowanym meldunku<sup>47</sup>”.

Jak wynika z cytowanego wyżej sprawozdania Szlaskiego, Baon Stołpecki nie wykonał tego rozkazu przez 6 miesięcy — do końca czerwca 1944 roku.

Nawiasem mówiąc, statystyka utarczek Zgrupowania Stołpeckiego wykazuje, że w okresie między listopadem 1943 a 29 czerwca 1944 (7 miesięcy) nie stoczyło ono ani jednej potyczki z Niemcami, a miało 32 potyczki z oddziałami sowieckimi. Najwidoczniej więc istniał i na tym terenie „pakt o wzajemnej nieagresji” z Niemcami.

Podobieństwo z sytuacją Lecha na tym się kończy, bo komenda okręgu nigdy nie wytoczyła Górze sprawy sądowej o „niewykonanie rozkazu Naczelnego Wodza kontynuowania dalszej walki z Niemcami”. Tak brzmiał pierwszy punkt oskarżenia przeciwko Lechowi.

A jak na wypadki kresowe reaguje Komenda Główna w Warszawie?

Pisze o tym szef sztabu.

Po przejęciu rozkazu sowieckiego w sprawie rozbijania AK, udałem się do Warszawy, do Komendy Głównej i rozmawiałem z szefem O. I płk. Kortumem (Antoni Sanojca). Co drugie słowo było *modus vivendi*, bez praktycznych rozwiązań. W rozmowie z gen. Tatarem wysunąłem projekt, aby KG zezwoliła na rozmowy z przedstawicielami partyzantki sowieckiej, uprawniając nas jednocześnie do ustalenia podziału stref działania obu stron — dla usunięcia konfliktów. Spotkałem się z kategoryczną odmową, bo podobno rozmowy na ten temat prowadził za nas ppłk Wilk. Zresztą KG była wojskiem, a to był problem polityczny.

Poza tym Warszawa nie miała tego problemu. Walczyła z Niemcami. Miała jednego wroga<sup>48</sup>.

Reakcja Londynu — Naczelnego Wodza i rządu — na wia-

---

47. Depesza-szyfr nr 51, datowana 8 stycznia 1944, zamieszczona w pracy Witolda Babińskiego „Wymiana depeesz między Naczelnym Wodzem i dowódcą Armii Krajowej 1943-1944”, *Zeszyty Historyczne*, nr 25, Paryż, 1973, str. 184 (dalej — Babiński).

48. Sędziak, *op. cit.*

domość o zachowaniu się Baonu Stołpeckiego była natychmiastowa i do przewidzenia. (Na temat Lecha nie znalazłem materiałów drukowanych z wyjątkiem wzmianki ogólnej — bez nazwiska — w sprawozdaniu półrocznym gen. Bora). Wszelkie porozumienia z Niemcami mogły zbrukać reputację „kraju bez Quislinga” i utrudniały rządowi delikatne rokowania w sprawie wznowienia stosunków dyplomatycznych z Sowietami.

W dwa dni po otrzymaniu depeszy o niemieckich dostawach broni i amunicji dla oblężonego przez partyzantkę sowiecką por. Góry, gen. Sosnkowski odpowiada (17. I. 44):

Jeśli opis wypadków na terenie Puszczy Nalibockiej jest ścisły, muszę ocenić, że postępowanie baonu Stołpeckiego stanowi przekroczenie Waszego rozkazu wydanego na podstawie instrukcji Rządu w porozumieniu z Delegatem i reprezentacją polityczną Kraju. Samowolne osłabienie w obliczu najbardziej choćby tragicznych okoliczności linii nieugiętej postawy wobec Niemców jest szkodliwe dla sprawy i stanowi marnowanie dorobku moralno-politycznego Armii Krajowej. Tragedia baonu Stołpeckiego nie usprawiedliwia późniejszego postępowania meldowanego przez Nowogródek. Broń na Niemcach należy zdobywać, nie zaś przyjmować od nich w darze. Oczekuję raportu kto ponosi winę i jakie zastosowano sankcje. Zwróciłem się do Rządu by oprotestował ostro wobec Aliantów rozkaz Dubowa i instrukcje Moskwy<sup>49</sup>.

Nacisk na Bora oznacza również nacisk na Prawdźca — taka jest droga służbowa. W styczniu 1944 komenda Okręgu Nowogródzkiego jest niemal nieprzerwanie reprezentowana w Warszawie przez komendanta albo szefa sztabu.

W drugiej połowie stycznia jest tam ppłk. Prawdźca-Szlaski.

W Warszawie otrzymałem szczegółowy raport od szefa sztabu kpt. „Warty” o dalszych wyczynach „Lecha” i wrogiej jego działalności. Orientując się, że sprawy za daleko poszły zwróciłem się do szefa sztabu Komendy Głównej gen. Pełczyńskiego, przedstawiając mu całokształt działalności wrogiej „Lecha”. Po kilku spotkaniach gen. Pełczyński, chcąc mi pomóc, delegował do Okręgu mjr. „Kotwicza”, który, według słów generała, zna dobrze „Lecha” jeszcze ze wspólnej służby u Hubala, dając mu duże pełnomocnictwa<sup>50</sup>.

Sędziak uzupełnia tę informację (mylną, bo Kotwicz i Lech nie byli równocześnie w oddziale Hubala) wzmianką, że komenda okręgu specjalnie prosiła o wydelegowanie na proces Kotwicza, ponieważ on w swoim czasie polecał Lecha.

Dlaczego nie wytoczono sprawy o niesubordynację Górze? Mogę tu tylko ofiarować swoje domysły. Przede wszystkim sytuacja

---

49. Babiński, *op. cit.*, str. 184-185, depesza szyfr nr 376/64 z dnia 17. I. 1944.

50. Szlaski, *op. cit.*, str. 214.

cja była podobna, ale nie identyczna. Góra siedział w lasach najbardziej wysuniętych na wschód i oddalonych od innych oddziałów. Komunikacja była zła, trwała długo, zwykle ograniczała się do miesięcznych raportów. Góra prosił o zwolnienie z tej placówki, ale sztab AK nie chciał się zgodzić, bo chodziło o dozowanie ważnej linii kolejowej i opiekę nad ludnością. Zgrupowanie Stołpeckie obciążono zadaniem, którego ono — zważywszy na wielokrotną przewagę wrogich sił sowieckich — wykonać nie było w stanie.

W tych warunkach Góra postanowił tam trwać i wykonywać zadanie z pomocą — ale tylko do czasu — niemiecką. Jest to rozwiązanie wallenrodzkie. Był przekonany, że to wyjście najlepsze.

Sytuacja wojskowa Lecha była korzystniejsza. Otaczały go oddziały polskie, partyzantka sowiecka była na obszarze między Niemnem a Puszczą Rudnicką mniej liczna od polskiej i nie miała oparcia wśród ludności. Okoliczności nie zmuszały go więc do przyjęcia pomocy niemieckiej, choć niewątpliwie pomoc ta była z punktu widzenia wojskowego bardzo cenna.

Między tymi dwoma dowódcami istnieje również duża różnica charakterów i temperamentów. Lech — tak go oceniam — jest emocjonalny, porywczy, może nawet gwałtowny, chociaż gołębiego serca; jest skłonny do stawiania sprawy na ostrzu noża, do ryzyka, do awantury. Te cechy spowodowały, że wybrał drogę konfrontacji i uczynił to z otwartą przyłbicą. Przed otrzymaniem od Niemców pierwszego transportu broni Lech powiadomił o porozumieniu dowódców swych baonów i por. Sablewskiego, polecając im z kolei zaznajomienie z sytuacją oficerów i żołnierzy. Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Pakt Lecha z Niemcami o wzajemnej nieagresji trwał 6-8 tygodni. Kres położyła mu sprawa sądowa.

Gen. Bór zamyka te sprawy w meldunku organizacyjnym do Naczelnego Wodza nr 240, datowanym 1 marca 1944 roku i obejmującym okres od 1 września 1943 do 29 lutego 1944.

W okresie sprawozdawczym były dwa wypadki [w Okręgu Nowogródzkim] pójścia naszych oddziałów na współpracę z Niemcami przeciwko partyzantce sow., dającej się silnie we znaki ludności polskiej. Nastąpiło to pod naciskiem maltretowanej ludności polskiej i w jej nastroju niepokoju i obaw po przebytej już raz okupacji sowieckiej. Wkroczyłem z całą stanowczością dla zlikwidowania niedopuszczalnej, w żadnym wypadku, współpracy z Niemcami<sup>51</sup>.

---

51. *Armia Krajowa w dokumentach*, tom III, poz. 564, str. 344. Meldunek ten dotarł do sztabu N.W. 16 sierpnia 1944 r.

Prawdźic, po otrzymaniu na piśmie odpowiedzi, że Lech nie zastosuje się do rozkazu przyjaznego traktowania partyzantki sowieckiej, wydał rozkaz wszystkim podległym sobie oddziałom odizolowania Zgrupowania Nadniemeńskiego i traktowania Lecha jak zapowietrzonego. Ligęza (dr Stanisław Wawrzyńczyk), szef okręgowego BIP-u, opowiada, że doręczono mu kartkę następującej treści: „Z rozkazu Komendanta Okręgu pod karą rozstrzału zakazuję wszelkich kontaktów z Lechem”.

Komendant okręgu jeszcze nie wiedział, jak się sprawa rozwinię. Czy Lech stawi się na sąd? Czy podporządkuje się wyrokowi? Pod komendą Lecha znajdowało się ponad 1.500 żołnierzy. Był lubiany, ufali mu. Kto Lechowi da radę, jeśli zdecyduje się iść własną drogą? I dokąd go ta „własna droga” zaprowadzi?

To ostatnie pytanie musiał sobie zadać także Lech. W męce wewnętrznej, w poczuciu, że znalazł się w ślepej uliczce, pisze do Kotwicza list. Mam przed sobą ten karteluszek złożony kilkakrotnie, z krótkim adresem: Kotwicz.

dn. 16/I — 44

Braciszku Drogi.

Chciałbym się bardzo zobaczyć z Tobą, ale w tej chwili jest to zupełnie niemożliwe; a tyle spraw ważnych mam do omówienia. Jeżeli zgłosi się do Ciebie Bartek, to wyjaśni Ci wiele i dopomóż mu jak tylko będziesz mógł. Gdyby doszły do Ciebie jakieś złe wiadomości o mnie, to pamiętaj jedno, że honoru nie splamiłem; ponieważ nikt tego nie chciał, wziąłem odpowiedzialność całkowitą na siebie i spełniając obowiązek do końca robię tak jak uważałem, że w tej chwili robić muszę. Wiele będzie dla Ciebie rzeczy niejasnych, ale żeby zrozumieć, trzeba się w tym „kołocie” obracać i dlatego nie myśl o mnie źle i jeżeli trzeba będzie przekaż tę opinię reszcie rodziny. Nie masz pojęcia jak jest ciężko i jak coraz więcej goryczy się zbiera — czasem wydaje się, że więcej niż człowiek może wytrzymać. Jednak człowiek to takie bydlę, że wszystko wytrzyma.

Całuję Cię mocno i wszystkich Twoich,

(—) *Lech*<sup>52</sup>.

Nie wiem, kiedy ten list do Macieja dotarł. W każdym razie, kiedy Kotwicz nań odpowiadał, musiał się już z raportów komendy nowogródzkiej orientować w postępowaniu ciotecznego brata, a może nawet otrzymał już rozkaz wzięcia udziału w sądzie w charakterze delegata Komendy Głównej. 7 lutego 1944 Kotwicz pisze na maszynie list, którego odpis przetrwał w jednej z konspiracyjnych skrytek, spięty razem z listem Lecha.

---

52. Oryginał w zbiorach Ireny Kalenkiewicz.

Józek, Józek!

Będąc w A.[nglii] tęskniłem niezmiernie do partyzanckiego życia w kraju. Wybiegałem wciąż wyobraźnią do polskich lasów, stawali mi przed oczami partyzanci dowódcy: Jaworscy, Dąbrowscy, Dobrzańscy. Nie miałem złudzeń. Znałem tego życia blaski i nędze, umiałem odróżnić życie od legendy, dlatego też napisałem w naszej instrukcji ostrzeżenie o tym, jak łatwo partyzantka wyrodnieje, szerząc spustoszenie przede wszystkim wśród dowódców. Kim byli Jaworski, Dąbrowski, Dobrzański za młodu, a kim w chwili śmierci? Utało się przekonanie, że takie jest prawo życia. Albo dobry partyzant, albo dobry żołnierz — nigdy razem jedno i drugie. Słusznie, tak jest prawie zawsze w życiu, a jednak — a jednak wierzę, że może być inaczej.

Oto najdotkliwsze choroby partyzantki: brak zaczepnego ducha wobec nieprzyjaciela, okrucieństwo i łupiestwo wobec słabych, blaga, wódka i samowola dowódców. Marzyłem o stworzeniu partyzanckiego oddziału, którego obyczaje byłyby zaprzeczeniem tych rzekomo nieuleczalnych chorób. Marzyłem, że powstaną inne oddziały, które również postawią sobie jako punkt honoru nie tylko nie przestać być oddziałem Wojska Polskiego, ale być tego Wojska oddziałem doborowym. Nie było mi dane przyłożyć ręki do tej sprawy. Dlatego z tym większym wzruszeniem i dumą śledziłem wszystkie raporty o batalionie Zaniemeńskim, o jego rozwoju, utarczkach, przemarszach, stosunku do wroga i własnej ludności. Myślałem sobie: oto właśnie taki oddział. Nie mój wprawdzie, ale Józka. Gdy przyjechał z A. Ojciec dał mi do przeczytania w *Żołnierzu Polskim* opowiadanie podoficera jak pluton Wojciecha wstrzymał na jakimś rozwidleniu szos w Piotrkowskim niemieckie czołgi. Jak oba działony — obsługa i sprzęt zostały wybite. A potem jak Wojciech zginął. Stąd jeszcze serdeczniej myślałem o Tobie i Twojej młodej sławie. Porównywałem Cię z głośnym Ponurym z Św. Krzyża, który wstąpił na drogę samowoli, i z „Ojcem Janem” z Lubelskiego lubiącym mając się z prawdą, i z Surowcem ze Śląska co przekładał wygodną kwatery nad bezpieczeństwo oddziału, aż go jak królika z nory wygarnęli, i ze smutnej pamięci dowódcą szwadronu B. co bratał się z Niemcami i z równie żąłosnym dowódcą batalionu S. co pokumał się z Bolszewikami; i z „Uderzeniowcami”, których roznosi zarozumiałstwo niewspółmierne z czynami. — Jeden tylko batalion w Zamojskim wytrzymał z Tobą konkurencję.

Aż nagle te wiadomości jak obuchem w głowę. Oto i Józek nie dał rady. Nie oparł się partyzanckim chorobom.

Wybacz te gorzkie słowa. Wiem, że nie mam prawa tak mówić póki nie poznam sprawy nie tylko ze służbowych raportów, ale od strony waszej partyzanckiej zawszonej rzeczywistości. Wiem, że rozkazy wydawane z daleka nieraz diablo do niej nie pasują, a czasem stawiają wręcz dowódcę wobec dylematu: zagłada czy warcholstwo. I gdybyż rzecz szła tylko o zagładę własną! Ale chodzi o cały oddział, o ludzi którzy mi zaufali i wierzą, i których się kocha.

Znam tę rozterkę. Przeżyłem ją parokrotnie. Więć nie rzucam kamieniem póki nie poznam obu stron medalu.

Nie ukrywam jednak, że fakty przemawiają tak dalece przeciw Tobie, iż zdaje się jakoby doszedłszy do rozstajów, gdzie szeroki szlak nieokiełzanej swobody i dumy krzyżuje się z szarą dróżką dyscypliny żołnierskiej rtm. Lech nie umiał wybrać.

Oby to było nieprawdą. Jeśli jednak taka jest rzeczywistość — to trudno. Musisz ponieść konsekwencje. Niech Ci w tych najcięższych chwi-

lach Bóg doda sił i nie pozwoli zejść na drogę, którą zawsze wtedy podszeptuje pycha. Jeśli by zaś los miał Cię doświadczyć tym co znieść najciężej: upadkiem wiary w samego siebie pamiętaj, że nie ma tak złej sytuacji i tak głębokiego dna w życiu, z których by nie było wyjścia, jeśli się tylko szuka szczerze prawej ścieżki nawrotu.

Pamiętaj, że pod tym ostatnim warunkiem zawsze znajdziesz we mnie oparcie jak w rodzonym bracie, gdyż wiem, że młodość błądzi, ale jak najzarliwiej umie błędy naprawiać. Na wojnie jest to zwykle sprawa jednej bitwy.

Opiece Bożej w tak trudnych chwilach Cię polecam,

M. 53

7. II. 44

List ten znam prawie na pamięć i zawsze wracam do niego ze wzruszeniem. Gdybym układał podręcznik wychowania obywatelskiego, zamieściłbym go obok testamentu Żółkiewskiego. Bije z niego mądrość życiowa, patriotyzm i rozumna dyscyplina, chwyta za serce wrażliwość, ujmuje literacka forma. A jednocześnie dostrzegam tu echa Plutarcha, który stawia pryncypia ponad więzy rodzinne.

Jak dowiedziałem się w 1975 roku, list ten nigdy do Lecha nie dotarł. Lech tkwił w Mociewczukach sam ze swoją męką i czekał na rozwój wypadków.

Toczyły się teraz szybko aż do dramatycznego zakończenia. Kotwicz wyjeżdża z Warszawy na Nowogródczynę 20 lutego 1944 roku. Data ta stanowi punkt wyjściowy dla obliczenia, kiedy odbył się proces Lecha i kiedy rozpoczęły się w okręgu przemiany związane z przyjazdem sztabowca. W sprawie dat pamięć Sędziaka nieraz zawodzi, czemu nie ma co się dziwić, bo przecież pisał swą relację w 18 lat po tych wydarzeniach, a wszystkie dzienniki czynności, notatki i kalendaria utonęły w archiwach organów ścigania żołnierzy AK. Otóż Sędziak podaje, że ppłk Prawdzic, mjr Kotwicz i por. Ponury przybyli do Okręgu Nowogródzkiego w końcu stycznia i że proces Lecha odbył się w połowie lutego. Prawdzic nie wymienia żadnej daty.

Dlaczego jestem tak pewny tej daty-kotwicy 20 lutego? Bo tego dnia Irena widziała męża po raz ostatni. Spędziła z nim na Żoliborzu dwa dni i w niedzielę, po godzinie 6-tej rano, odprowadziła go do tramwaju. Wyjazd organizowała nowogródzka Baza, której doświadczonym dyrygentem był mjr Borek. Kotwicz — jak głosiła opaska na ramieniu — był *Im Dienst der Deutscher Wehrmacht*, z legitymacją Organizacji Todta i w mundurze niemieckim. Zawód: stolarz. Miał zegarek niemieckiej firmy i chusteczki z niemiecką metką.

---

53. Litera M napisana jest na maszynowej kopii ołówkiem. List w posiadaniu Ireny Kalenkiewicz.



Tramwaj nadjeżdżał. Maciej objął Irenę, ucałował. Był roztargniony, zapatrzony w siebie. Czy miał przeczucia? Ale przecież cieszył się z wyjazdu „w teren”, szukał wojaczki, zapowiadał, że „jedzie ratować Józka”... Więc...

— Uważaj! — zawołała Irena. — Wsiadasz od przodu.

— Dobrze, że mi przypomniałaś...

Co za nieostrożność! O mało nie wsiadł do przedziału polskiego. Tramwaj ruszył, Maciej przez szybę uśmiechał się niepewnie. Zostawiał na przystanku żonę na zawsze.

Do Szczuczyna w trzeciej dekadzie lutego przybyło trzech żołnierzy: komendant okręgu ppłk Prawdzic, który właśnie zakończył serię odpraw w Komendzie Głównej i dwóch uczestników sądu, który miał zlikwidować „bunt” Lecha. Maciej znał por. Ponurego (Jan Piwnik) z treningu spadochronowego w Anglii i nie tylko go cenił, ale również lubił. Prawdzic również polubił tego krępego bruneta, którego mianował z miejsca dowódcą VII baonu i uważał za „najlepszego partyzanta i dywersanta Polski”.

Gdyby Lech był kalkulatorem, to powinien się cieszyć, że Ponury wejdzie w skład kompletu sędziowskiego, bo ten porucznik, przedwojenny aspirant policji, też miał tendencję do krytycznej oceny zakazów i przepisów. Podczas ewakuacji z Francji przyprowadził swoją baterię do ładującego się statku, by na trapie dowiedzieć się, że miejsca już dla nich nie ma i że chłopcy muszą pozostać na brzegu. Niewiele myśląc, polecił zrzucić z pokładu do wody sterty kufrów i walizek — i miejsca okazało się dla wszystkich pod dostatkiem. Potem był w Wachlarzu dowódcą II odcinka (Wołyń), uciekł z niemieckiego więzienia w Zwiahlu, dokonał rozbicia więzienia w Pińsku (gdzie uwolnił dr. Wanię), dostał przydział w rodzinne Góry Świętokrzyskie i narobił tam Niemcom takiego zamieszania, jakiego od czasów Hubala nie pamiętano. Pod zimę miał trudności z zaopatrzeniem, więc prosił kacyka z miejscowej siatki konspiracyjnej o siano dla koni. Owszem, siano się znajdzie, ale będzie kosztowało 8 złotych za furkę. Na takie dictum Ponury kazał chłopcom obatożyć komendanta, by zniechęcić go do interesów. Gwałt się zrobił na całe województwo, Warszawa odwołała porywczego dowódcę do centrali. Nowogródek miał być następnym miejscem jego popisu. I rzeczywiście był: Ponury przeszedł do legendy kresowej jako przykład nieustraszonego żołnierza i doskonałego partyzanta.

Oficerowie ściągający na proces Lecha zebrali się w jednej z melin w Szczuczynskim. Stąd przyjechali w oznaczonym dniu

na miejsce rozprawy. Nikt nie pamięta, kiedy się ona odbyła; Lech przypuszcza, że między 10 a 12 marca 1944 roku. Co do miejscowości też nie ma zgody, ale ppor. Bartek, dowódca kompanii w I baonie Zgrupowania Nadniemeńskiego, twierdzi, że rozprawa odbyła się we wsi Szlachtowszczyzna, znajdującej się w okolicy Wasiliszek, jakieś 50 km na południowy zachód od Lidy.

Może ważniejszy od tych szczegółów (przypadły one wraz z archiwum okręgu) jest klimat rozprawy. Mam na ten temat relację Zbigniewa, który był świadkiem przygotowań.

Było to dość daleko od naszego miejsca pobytu, musiałem przejechać przez Lidę i w okolicach Wasiliszek długo szukaliśmy tej miejscowości.

Wtedy odbyło się moje pierwsze spotkanie z Kotwiczem. Nie wiedziałem, kto to właściwie jest: po prostu Borsuk<sup>54</sup>, komendant okręgu przedstawił mnie i poprosił, żebym złożył sprawozdanie z działalności naszego BIP-u, bo jest to jakiś delegat Komendy Głównej. Rozmowa nie trwała długo, może ze 20 minut. Przez cały czas jej trwania nie wiedziałem z kim rozmawiam. Później dopiero miałem się dowiedzieć, że był to mjr Kotwicz, przysłany do komendy okręgu z kilku innymi oficerami.

W czasie naszej rozmowy odwołano mjr. Kotwicza do innego pomieszczenia, a do mnie podszedł komendant okręgu i poprosił o sprawozdanie z prac bieżących. Usiedliśmy w tej samej izbie, przy oknie wychodzącym na ulicę. Począłem referować, przedstawiając techniczne warunki naszej działalności i trudności, na które wówczas napotykaliliśmy. (...) Dość szybko wszakże zorientowałem się, że wszystko o czym mówię, niewiele go obchodzi. Słuchał z wyraźnym roztargnieniem, usiłował je maskować pytaniami rzucanymi doraźnie w sprawach, które nie zawsze wydawały się istotne. Wydawało mi się, że czeka na coś ważniejszego, raz po raz rzucał wzrokiem na drogę przez okno.

W pewnym momencie wszystko stało się jasne: wszedł ktoś z meldunkiem, z którego zrozumiałem tylko tyle, że „Jadą”. W chwilę potem ujrzelśmy nadjeżdżających. Pierwszy ukazał się rtm. Lech na białym zgrabnym koniu. (...) Jechali stępa z wyraźnie ostentacyjną godnością.

Do nadjeżdżających podszedł któryś z oficerów Borsuka — zdaje się, że adiutant jego, Puszczyk. Zasalutował i wyrzekł parę zdań do Lecha, który z kolei odwrócił się z lekka do towarzyszących mu oficerów i po paru zdaniach zeskokczył z konia, oddając go luzakowi. Oficerowie również posiadali z koni. Wszyscy przeprowadzani przez witającego ich oficera udali się do jednej z chat po przeciwnej stronie skrzyżowania ulic.

Za chwilę wszedł ktoś z meldunkiem do Borsuka. (...) Rozmowa nasza się urwała, Borsuk zwrócił się do kilku obecnych w izbie oficerów z uwagami o przybyłych. Zapamiętałem tylko tyle, że wyraził jakby zdziwioną radość, że mimo wszystko stawiał się na wezwanie.

Prócz oficerów Borsuka w izbie znajdowało się kilka nieznanymi mi osób w mundurach wojskowych. Zapamiętałem tęga, powoli ruszającą się postać flegmatycznego blondyna; z późniejszych relacji wnoszę, iż był to dowódca UBK Bolesław Piasecki. Do niego też zwracał się kilkakrotnie po instrukcje inny oficer oddziału, który w czasie pobytu w tej wsi stanowił ochronę komendy okręgu. Był to wysoki, szczupły brunet z wydatnym

---

54. Inny pseudonim ppłk. Szlaskiego.

orlim nosem; w parę lat po wojnie, w czasie jednego ze spotkań w Krakowie, wydawało mi się, że tego właśnie oficera rozpoznaję w Wojciechu Kętrzyńskim, reprezentującym wówczas grupę działaczy PAX-u.

Uwagę moją jeszcze wcześniej zwrócił towarzysz Kotwiczka, młody krępy mężczyzna w ciemnozielonej bluzie wojskowego kroju, przepasanej rzemieniem oficerskim, podtrzymującym kaburę z pistoletem. Uderzały jego wielkie, ciemne oczy, spoglądające spod krzaczastych brwi ze smutkiem i z dziecinną, jakby nieco zdziwioną naiwnością. Jego właśnie wezwano w parę chwil po przybyciu Lecha. Wyszedł powolnym, ociężałym nieco krokiem.

Gdy wyszedł, Borsuk wymienił ze swymi oficerami parę zdań lakonicznie aluzyjnych jakby tonem na pół żartobliwego stwierdzenia. Miały one sens taki:

— Z tym nie będzie łatwo. Strzela szybko i celnie.

Później dopiero dowiedziałem się, że oficerem tym był Ponury, słynny dowódca oddziałów partyzanckich w Górach Świętokrzyskich.

Ze wszystkiego co widziałem, jak też ze słów Borsuka łatwo było odgadnąć, iż Lecha i jego oficerów wezwano tu w celu rozpatrzenia kontrowersji, jakie od pewnego czasu poróżniły go z Borsukiem. Obaj z moim szefem reprezentowaliśmy kierunek, przewidywania i poglądy na aktualną sytuację wojskową podobne do tych, które w zbyt może krańcowej postaci realizował Lech. W tym też kierunku, choć mniej krańcowo, prowadziliśmy rzecz naszą. Parodniowy pobyt w oddziale Lecha uświadomił nam tę zbieżność poglądów. Rozumiał to także Borsuk. Oczekiwałem przeto, że zostanę niebawem wezwany do wyjaśnienia również naszego stanowiska.

Wówczas jednak nie zdawałem sobie wcale sprawy z tego, iż Lecha wezwano tu nie dla wyjaśnienia jego stanowiska, lecz po to, by postawić go przed sądem wojennym. Gdybym to wiedział, nie czekałbym na pewno na wezwanie. Tymczasem miast wezwania czekała mnie nagła i zdecydowana odprawa, po kilku bowiem minutach odwołano dokądś Borsuka, który kończąc ze mną rozmowę polecił mi natychmiastowy odjazd.

Nie minęło i pół godziny, gdy wraz z moim kompanem, gadatliwym po fanfarońsku lekarzem i z młodzieńcem, nie znanym mi partyzantem w cywilnym ubraniu, zaskoczony nieoczekiwanym obrotem rzeczy siedziałem w jednokonnym wózku. Wieśniak w kożuchu odwoził nas do Szczuczyna. Była to może pierwsza, może druga godzina po południu.

Wracałem z przykrym poczuciem bezradności wobec wydarzeń, na które — jak mi się zdawało — nie mogłem mieć żadnego wpływu. Dopiero z aluzyjnych półsłówek zamienianych między moimi towarzyszami drogi domyślać się zacząłem właściwego znaczenia dramatu, rozgrywającego się zapewne w tym czasie w jednej z chat wsi, która zniknęła mi z oczu. Dopiero wtedy poczytnałem rozumieć, iż nie wypadało mi wyjeżdżać bez próby złożenia przed sądem wyjaśnień w sprawie Lecha i oświadczenia własnej, częściowej z nim solidarności.

Nie mogłem się powstrzymać, by na niefrasobliwe zadowolenie mych przypadkowych towarzyszy nie zareagować wyrażeniem odmiennego zdania. Powiedziałem, że odjeżdżam z uczuciem smutku i przynębnienia, z przeświadczeniem, iż byłem świadkiem przygotowań do czegoś, co zmierzało wyraźnie do wyrządzenia człowiekowi krzywdy i przykro mi, że nie mogłem temu przeciwdziałać<sup>55</sup>.

Nim podejmę dalszą opowieść, chcę przytoczyć przebieg roz-

---

55. Z notatek Zbigniewa, spisanych w późnych latach pięćdziesiątych.

prawy sądowej przeciw rtm. Lechowi w wersji komendanta okręgu.

Po przyjeździe nas obu [Kotwicza i Szlaskiego] do Okręgu „Kotwicz” wezwał „Lecha”. Ja ze swej strony powołałem sąd polowy w składzie: przewodniczący por. „Sablewski”, asesorowie por. „Ostoja” i por. „Ponury”, oskarżyciel kpt. „Warta”. Sąd po rozpatrzeniu sprawy wydał wyrok śmierci. „Kotwicz” na zasadzie swoich pełnomocnictw przeprowadził dodatkową klauzulę do wyroku, że wykonanie wyroku zostaje zawieszona do końca wojny, z prawem rehabilitacji. Dziwiłem się bardzo tej klauzuli, bo za mniejsze przewinienia karano śmiercią i to natychmiast wyrok wykonywano. Dopiero po jakimś dłuższym czasie, i to w Warszawie, dowiedziałem się, że „Kotwicz” jest bliskim kuzynem (bratem ciotecznym) „Lecha”<sup>56</sup>.

Przepisuję ten ustęp z niesmakiem. Wynikają z niego dwa wnioski: 1) że ppłk. Szlaskiego nie zadowoliło sądowe potępienie i ukaranie Lecha, ponieważ życzył sobie natychmiastowego zgładzenia oskarżonego i 2) że w odroczeniu wyroku śmierci dopatruje się rodzinnej intrygi. Punkt pierwszy wnosi pewien rys do charakterystyki komendanta okręgu, drugi jest kompletnie nieprawdziwy.

Zanotowałem już, że Sędziak otrzymał polecenie Szlaskiego, by Komenda Główna przysłała jako swego delegata na sąd mjr. Kotwicza, gdyż on przed 10 miesiącami Lecha rekomendował. Szef sztabu gen. Pełczyński przychylił się do tego życzenia.

— Tak — powiedział mi na to ppłk Szlaski w 1975 roku w Londynie. — Bo Pełczyński wtedy nie wiedział, że Kotwicz jest Lecha kuzynem!

Sprawdziłem to natychmiast u gen. Pełczyńskiego.

— Józef Świda był bardzo dzielnym żołnierzem, ale w tych niezmiernie trudnych warunkach, jakie się wytworzyły na Nowogródczyźnie, popadł w sprzeczność z zasadą, której przestrzeganie było naszym obowiązkiem. Z Niemcami byliśmy w wojnie, więc nie wolno było korzystać z pomocy nieprzyjaciela nawet w wypadkach prowokacji partyzantki sowieckiej. Nie był to jedyny wypadek, ale jaskrawy.

Przychyliłem się do prośby Nowogródka: Kotwicz to pewniak ideowy, niech tam jedzie. Bardzo się bronił, wskazywał na pokrewieństwo, „będzie mi trudno”... Uważałem, że właśnie jego inteligencja i pokrewieństwo — to atuty, które ułatwią załatwienie sprawy. Kalenkiewicz miał autorytet i całkowite nasze zaufanie. Sam go odprawiałem. Dałem rozkaz, pojechał<sup>57</sup>.

Przed rozprawą Kotwicz nie widział się z Lechem. Jedyną formą styczności była kartka, dołączona do wezwania (podpisanego przez Wartę) na rozprawę w dniu X; Maciej apelował w niej do Józka, by zastosował się do załączonego rozkazu. Rozkaz ko-

56. Szlaski, *op. cit.*, str. 215.

57. Rozmowa z autorem w 1975 r. w Londynie i list z 26. VIII. 1977.

mendy okręgu ograniczał świątę Lecha do nie więcej niż trzech oficerów i luzaka. Lech wykonał go skrupulatnie: na rozprawę przybył w towarzystwie ppor. Bartka (BIP), adiutanta ppor. Michała (dawnie z Baranowicz) i luzaka do opieki nad końmi.

Przejeżdżając przez wieś, Lech zobaczył Kotwicza wychodzącego z chałupy, zeskoczył z konia i zameldował się majorowi oficjalnie. Maciej był bardzo wzruszony, uściskał go po bratersku i wskazał pobliską chałupę, przeznaczoną dla niego na kwatery. Przypomniał, żeby o godz. 1-szej stawił się przed komisją i wrócił do izby.

Sytuacja była napięta, materiału wybuchowego nagromadziło się dużo. W Zgrupowaniu Nadniemeńskim istniała opozycja przeciw wyjazdowi dowódcy na rozprawę. Szlaski — jak to wynika z przytoczonej cytaty z jego książki — podejrzewając, że Lech „chce uchwycić władzę w swoje ręce”, przygotował się na wszelkie ewentualności i trzymał w pogotowiu III baon (UBK). Każdy niebaczny krok mógł wywołać bratobójczą walkę. Klucz spoczywał w rękach Lecha.

Na szczęście do konfliktu nie doszło. Ppor. Ostoja (Bojomir Tworzyński), członek kompletu sędziowskiego, opowiada:

Rozprawa trwała półtorej godziny. Oskarżał Warta (Sędziak), obrońcy ani świadków nie było. Nie było zresztą potrzeby: Lech przyznał się do niesubordynacji, do niewykonania rozkazu. W ostatnim słowie powiedział, że wie, jaki jest za to wymiar kary: śmierć przez rozstrzelanie. Taki też wyrok wydaliśmy jednomyślnie w tajnym głosowaniu.

Przy odczytywaniu wyroku Lech ani drgnął, jakby nic sobie z tego nie robił. Widocznie miał życie zagwarantowane.

Potem Kotwicz na zasadzie swych pełnomocnictw od Komendy Głównej wyrok zatwierdził z uzupełnieniem w tym duchu, że wykonanie odracza się do zakończenia wojny, z prawem do rehabilitacji na polu walki na innym terenie<sup>58</sup>.

Oczywiście, inż. Tworzyński myli się przypuszczając, że Kotwicz po cichu zapewnił kuzyna o planowanym zawieszeniu egzekucji. Myśl o nepotyzmie — jeśli można tak nazwać przywileje w obliczu plutonu egzekucyjnego — myśl o taryfie ulgowej dla krewniaka była obca Kotwiczowi i podejrzenie takie świadczy o zupełnej nieznajomości jego charakteru. Wyrok w brzmieniu ustalonym przez Kotwicza jest zgodny z wytycznymi jego listu i

---

58. Rozmowa z autorem w 1977 r. w Kanadzie. W 1975 roku usiłowałem uzyskać informacje od przewodniczącego sądu Bolesława Piaseckiego (Sablewskiego) — bezskutecznie. Jest to jedyna osoba, która nie odpowiedziała na mój list przy zbieraniu materiałów o Kalenkiewiczu. Piasecki zmarł 1. I. 1979.

wypadłby identycznie, gdyby chodziło o Kowalskiego, a nie o Świdę. Jest to moje głębokie przekonanie.



Tak skończył się „bunt Lecha”, o którym napisano wiele głupstw i nieścisłości. Byłoby ich na pewno mniej, gdyby Józef Świada chciał publicznie wyjaśnić okoliczności i motywy swego postępowania. Na razie odmawia, odmawia od 35 lat. To, co tu napisałem, to są okruchy pozbierane z innych źródeł, ale ciągle jeszcze brakuje kilku ogniw do ułożenia logicznego łańcucha wypadków. Jeśli są względy powstrzymujące Lecha przed ogłoszeniem jego wersji wydarzeń, to wskazane byłoby, żeby przynajmniej spisał ją i przekazał godnej zaufania instytucji np. Studium Polski Podziemnej, z zezwoleniem na otworzenie koperty i podanie tekstu do publicznej wiadomości w określonym terminie.

Już po napisaniu tego rozdziału, Irena Kalenkiewicz przesała mi list, który zawiera odmienne naświetlenie sprawy Lecha. Autorem listu jest Wojciech Kętrzyński, jeden z bliskich współpracowników Piaseckiego, a w 1944 roku — jako por. Wołkowycki — adiutant UBK. Podczas rozprawy Lecha por. Wołkowycki był protokołantem.

W naszym oddziale [UBK], czyli w późniejszym III baonie 77 pp., już w grudniu [1943] mówiono mi z niepokojem o przejawach porozumienia pomiędzy „Lechem” jako komendantem naszego Zgrupowania a Niemcami. Dotarły do nas zalecenia w sprawie unikania starć z Niemcami przy przekraczaniu torów kolejowych i wskazówki, jak należy sygnalizować przemarsz, zapewniając sobie bierność niemieckich posterunków. Mówiło się głośno wokół nas o perspektywie jeszcze bardziej daleko idących kroków: w zamian za gwarancję nieatakowania jednostek niemieckich partyzanci mieli otrzymać broń i amunicję, a swą działalność bojową skierować na zwalczanie czerwonej partyzantki.

Nie wydaje mi się możliwe, by komendant okręgu nie wiedział o tym, co się dzieje u „Lecha”, tym bardziej że w Zgrupowaniu nie robiono z tego żadnej tajemnicy. Osobiście sędzę, że działo się to za jego cichą aprobatą. „Lech” jednak poszedł za daleko, sytuacja w pewnej chwili wymknęła się z rąk Prawdzica i wówczas dopiero zaczął on alarmować Komendę Główną<sup>59</sup>.



A teraz, ponieważ z niektórymi osobami wymienionymi w tym rozdziale nie spotkamy się już więcej, chcę parę słów powiedzieć o dalszych ich losach.

Będąc na wiosnę 1978 roku w Londynie spędziłem sporo

---

59. List Wojciecha Kętrzyńskiego do Ireny Kalenkiewicz z dn. 25. 5. 1979.

czasu w Studium Polski Podziemnej, gdzie m.in. przejrzałem teczkę kpt. Adolfa Pilcha, dowócy Zgrupowania Stołpeckiego, z którym zapoznaliśmy się na poprzednich stronicach. Z książki Szlaskiego wynika, że zgrupowanie, znajdując się w bardzo ciężkich warunkach, przyjęło od niemieckiej żandarmerii w Rakowie (miasteczko nadgraniczne, z którego Sergiusz Piasecki robił swoje wyprawy przemytne, opisane w *Kochanku Wielkiej Niedźwiedzi*) broń i amunicję oraz zawarło porozumienie o wzajemnej nieagresji. Porozumienie to przetrwało aż do końca pobytu zgrupowania w Puszczy Nalibockiej (29 czerwca), a nawet dłużej — aż do chwili, gdy zgrupowanie znalazło się w Puszczy Kampinoskiej (30 lipca) tuż przed wybuchem powstania<sup>60</sup>.

Sędziak w swojej pracy twierdzi, że ludność w Kampinosie „zobaczywszy wyposażenie naszych oddziałów uznała, iż jest to prowokacja niemiecka. Skąd polskie oddziały mogły mieć tyle broni i sprzętu?<sup>61</sup>”. I na tej samej stronie: „Przed oderwaniem się od Niemców pobrały one [oddziały stołpeckie] z Modlina dla warszawskich powstańców sporo broni i amunicji. Niemcy mało nie oszaleli, że dali się wywieść w pole”.

A wśród depesz Komendy Głównej AK do Okręgu Nowogródek znajdujemy 11 lipca 1944 szyfr tej treści:

W związku z ogólną sytuacją natychmiast wycofać oddział Góry do swych sił głównych, oraz ostatecznie zlikwidować wszelkie porozumienia z Niemcami w sprawie szpitala i innych<sup>62</sup>.

Kiedy depeszę tę nadawano, oddziały Góry były już w pół drogi z Puszczy Nalibockiej do Puszczy Kampinoskiej, przebywając ponad 600 km przez obszary znajdujące się pod okupacją i zarządem niemieckim, co stanowi wyczyn godny sklasyfikowania tuż za Wielkim Marszem Mao Tse-tunga w poprzek Chin w 1935 roku.

Jak się jednak okazuje ze „sprostowania”, jakie kpt. Adolf Pilch wniósł w 1977 roku do akt SPP i do książki Szlaskiego, informacje Komendy Głównej i komendy okręgu Nowogródek były nieścisłe, mylne, nieprawdziwe. Nie było porozumienia z żandarmerią niemiecką w Rakowie, nie było paktu o nieagresji z Niemcami, nie było przemarszu do Polski środkowej pod osłoną żandarmerii niemieckiej, nie było walki na dwa fronty i wreszcie zgrupowanie „nie tępiło bolszewików zawzięcie” wbrew temu co pisze Szlaski.

60. Szlaski, *op. cit.*, str. 158-159 i 211-212.

61. Sędziak, *op. cit.*, str. 67.

62. Depesza nr 183/xxx W1 to 20 de 09, podpisana „Znicz” (SPP).

Jak więc było? Oto wersja kpt. Góry-Doliny<sup>63</sup>. Po rozbrojeniu uratowane oddziały Zgrupowania Stołpeckiego odskoczyły na wschód do m. Wyhonicze. Z amunicją było bardzo kruczo. Okazało się jednak, że zarówno komendant placówki policji białoruskiej w Rakowie (ogniomistrz Zienkiewicz), jak i jego zastępca (Pawluczenko) oraz ponad połowa posterunkowych są Polakami, a ci prawie wszyscy są zaprzysiężonymi żołnierzami AK. Pospieżyli oni rodakom z pomocą i dostarczali amunicję. Żandarmerii niemieckiej w Rakowie nie było, a właściwie był jeden jedyny żandarm, pijaczyna. Kiedy partyzanci sowieccy zmontowali atak w Wyhoniczach na osłabione zgrupowanie (większość żołnierzy była w puszczy), na odsiecz przyszedł ten żandarm z białoruską policją rakowską i oddział sowiecki się wycofał.

W czasie przemarszu do Kampinosu większość policji rakowskiej dołączyła do oddziału i utworzyła 3 pluton 3 komp.; dowódcą plutonu został ogn. Zienkiewicz, zastępcą Pawluczenko — zupełnie jak w Rakowie. Obaj polegli w walkach na Żoliborzu. Żandarm niemiecki i reszta obsady udała się z Rakowa przez Mołodeczno w kierunku Prus Wschodnich<sup>64</sup>.

Trzeba przyznać, że „sprostowanie” to stanowi jedną z największych rewelacji kresowej wojny. Nie wiadomo, co podziwiać bardziej: czy nieznamość sytuacji nalibockiej u komendanta i szefa sztabu okręgu, czy też fantazję i spryt dowódcy Zgrupowania Stołpeckiego. Dlaczego jednak wyjaśnienia te ukazały się dopiero w trzydzieści kilka lat po tych wydarzeniach? Nowa wersja zaskakuje, brzmi wręcz nieprawdopodobnie. Nie mogłem jej sprawdzić, zadanie to nie leży w płaszczyźnie tej pracy. Ale tak istotna sprzeczność obu wersji domaga się konfrontacji.



A Lech?

Po zdaniu dowództwa nad Zgrupowaniem Nadniemeńskim Kotwiczowi, rtm. Józef Świda (wyrok pozbawiał go życia, ale nie stopnia) udał się do Warszawy po nowy przydział w walce. *Obiit Gustavus, natus est Kmicic*. Już wybór tego pseudonimu wskazuje, co Świda zamierzał dokonać i jaki wzór mu przyświecał.

---

63. Adolf Pilch po przybyciu do Kampinosu zmienił pseudonim „Góra” na „Dolina”.

64. Sprostowanie kpt. Pilcha do książki Szlaskiego znajduje się w teczce personalnej Adolfa Pilcha w SPP (Londyn); do archiwum wpłynęło w maju 1977 r.



Komenda Główna zleciła mu zbadać stan przygotowań dzielnic warszawskich Mokotów i Wola do powstania. Po sprawdzeniu, Kmicic składa memoriał, że przy istniejącym stanie uzbrojenia nie można marzyć o podjęciu takiej walki.

Potem mam tylko kadry niezmontowanego filmu w poszukiwaniu reżysera.

Kadr: Na trzy dni przed wybuchem powstania wyjeżdża do Okręgu AK Kraków, gdzie Niemcy zlikwidowali całe dowództwo z płk. Józefem Spychalskim na czele. Do osieroconego okręgu jedzie gen. Stanisław Rostworowski (Odra) jako komendant, mjr inż. Jan Górski (Chomik) jako szef sztabu i Lech/Justyn/Kmicic jako szef II oddziału i swego rodzaju „tygrys w klatce”, który ma się zająć rozróbą.

Nowy kadr: sielska Słowacja. Zadanie: zorganizować oddziały partyzanckie, wywołać powstanie, które zmusi Niemców do uszczuplenia garnizonów w GG. Słowacy chętnie tworzą konspirację, ale nie dają się namówić na walkę z bronią w rękę.

— *My se bit' nie bedemy!*

Nowy kadr: Podhale. Kmicic czasem jest sam, czasem z Chomikiem. Dowodzi setką żołnierzy, werbuje więcej. Koło Bochni od szosy krakowskiej odchodzi boczna droga. Coś go tknęło: zalega, urządza zasadzkę. Nad ranem z chrzęstem i hałasem jedzie konwój 8 ciężarówek. Tu jest kres ich podróży.

Nowy kadr: 13 sierpnia Gestapo aresztuje Rostworowskiego w jego krakowskim mieszkaniu i zakłada kocioł. Następnego dnia wpada w ich ręce Górski, który przyjechał po instrukcje. Obu zamordowano w więzieniu na Montelupich w kilka dni potem. Dokładna data nie jest znana, nie można więc określić, czy pierwszy zginął Kotwicz (21 sierpnia 1944), czy też jego najlepszy przyjaciel.

Nowy kadr: Krakowska kawiarnia już po „wyzwoleniu”. Na piętorku siedzą: Kmicic, cichociemny Tadeusz (?) i jeszcze ktoś trzeci. Nagle przy drzwiach zamieszanie: wspólny patrol UB i NKWD. „Dokumenty!” Tadeusz znika w ustępie. Znaleźli go, prowadzą prosto do „białego domku”, siedziby krakowskich władz bezpieczeństwa.

Wieczorem zgłasza się tam dwóch funkcjonariuszy NKWD z pismem polecającym przekazanie im Tadeusza „do dalszego śledztwa”. Agent UB nie zna rosyjskiego, NKWDzista musi mu tłumaczyć. Wreszcie ubek idzie po zrzutka do celi.

Kmicic-NKWDzista cierpliwie czeka, rozgląda się po kancelarii. Na ścianie list gończy: ZBRODNIARZE WOJENNI. Jest wśród nich także Józef Świda. Wcale dobre zdjęcie.

Tadeusz przychodzi skutą. NKWDziści salutują, odbezpieczają broń. „Nu, idi!” Uratowali zrzutka.

Nowy kadr: Ankona, kwatery dowódcy Drugiego Korpusu Armii Polskiej na Wschodzie gen. Andersa. Kmicic już się nazywa Świda, weryfikuje się i prosi o załatwienie jego sprawy. Zgłasza się do generała do raportu. Opowiada o nowogródzkiej partyzantce, o wyroku śmierci i o rehabilitacji.

Generał obejmuje go i macha lekceważąco ręką.

— O czym ty mówisz, synku... To dziś sprawy bez znaczenia. Wojna przecież tuż-tuż.

Rtm. Świda otrzymuje przydział do 25 pułku ułanów, macierzystego pułku z Prużany.

Kadr ostatni: Dom słoneczny, fotel, mężczyzna lekko siwiejący, oczy jasne, niebieskie i głos spokojny, tak spokojny, jakby chciał powiedzieć: „Widzi pan, jak potrafię się opanować!”.

— Wyszedłem z wojny z organizmem psychicznym nadwciążniętym klęską i psychozą wojenną. Nie zależało mi na karierze, na sławie, zależało na spełnieniu obowiązku. Spełniałem go jak umiałem.

Nie chcę do spraw tych wracać nie dlatego, że się ich wstydzę. Pogrzebałem je, zapieczętowałem, przebudowałem samego siebie, mam teraz normalną rodzinę i normalne życie. Z równowagi okupionej olbrzymim trudem nie dam się wytrącić. Nie dam zabrać sobie tego, co osiągnąłem.

Jedyną formą kontaktu z przeszłością, na jaką sobie teraz pozwalam, jest modlitwa za poległych przyjaciół<sup>65</sup>.

*Jan ERDMAN*

---

65. Rozmowa z autorem w USA, październik 1975.

---

Ks. Infułat Teofil SKALSKI

## GARSTKA WSPOMNIENI Z MEGO ŻYCIA (dok.)

Miałem w Żytomierzu wyjątkowego przyjaciela — kanonika Fedukowicza. W granicach Sowietów już tylko nas dwóch pozostawało z grona Kapituły Katedralnej. Fedukowicz pełnił

obowiązki proboszcza żytomierskiego i był człowiekiem wprost opatrnościowym tak dla całej polonii żytomierskiej jak i dla okolicznych księży, dla zaścianków polskich gęsto rozsypanych w okolicach Żytomierza, Zwiahła, Owrucha i Korostenia. Najpobawniejszych form towarzyskich, wielkiego serca, wykształcony odpowiednio, bezinteresowny i pracowity ksiądz Fedukowicz na wszelkich placówkach swego powołania kapłańskiego znajdował tylko sympatyków i przyjaciół. Zawsze wesoły, pełen humoru i dowcipu, a osobiście taki beztroski, zdawało się wprost stworzony na to, by w tych ciężkich warunkach podtrzymywać upadających na duchu: przy nim każdy czuł się jakosć raźniej, rozweselony, roześmiany, rozśmieszony ciętym jego dowcipem — wzmacniony na duchu oddalał się od niego z żalem. Wśród tych kilkunastu tysięcy ludzi w żytomierskiej parafii ksiądz Fedukowicz nie pracował, a wprost harował, bo z dwóch swoich pomocników tylko jednego miał jeszcze zdrowego. W kilkunastu domach katedralnych dla księży nie było już ani jednego dostępnego pokoju. Ksiądz Fedukowicz razem z wikarym mieścili się na poddaszu katedralnym, w szczupłym składziku, przeznaczonym dawniej na katafalki i jako tako przysposobionym na mieszkanie. Choć Żytomierz od Kijowa niedaleko, sześć godzin drogi koleją, ale nie widzieliśmy się już przez parę lat, bo warunki rewolucyjne stawały zawsze temu na przeszkodzie. W roku 1923 wreszcie zdecydowałem się wybrać do Żytomierza na odpust katedralny św. Apostołów Piotra i Pawła. To był dawniej dzień jeneralnego dorocznego posiedzenia Kapituły, na które zjeżdżali się zwykle wszyscy jej członkowie. Tym razem było nas tylko dwóch, zamiast debat w kapitularnym mieliśmy w nim posiłek i nocleg, a o dewidencie tradycyjnej, co po tym posiedzeniu otrzymywali kapitulni — naturalnie nie było nawet i mowy. Zwracałem jednak uwagę memu przyjacielowi, że drażniącą bolszewików urzęda wystawę procesji. Mianowicie ze trzydzieści czy czterdzieści panienek podlotków w jednakowych białych sukienkach, z amarantowymi przepaskami defilowało w procesji niosąc rozmaite godła Chrystusowe i symbole Tajemnicy Eucharystycznej. Z balkonu domu księżowskiego, znanego pod nazwą Żytomierskiego Watykanu, gdzie mieścił się jakiś urząd bolszewicki, kilku komisarzy przyglądało się procesji. „A niech wiedzą — mówił Fedukowicz — że ich wysiłki w kierunku odchrześcijanienia społeczeństwa żadnego powodzenia nie mają”. Mnie jednak to nastawienie Fedukowicza napawało pewną o niego trwogą. W parę tygodni po mej bytności w Żytomierzu kanonik Fedukowicz był u mnie w Kijowie. Ktoś go prosił o przesłanie przez misję polską

pieniędzy dla syna w Warszawie. Ofiarowywałem mu się, że dla załatwienia tej sprawy pošlę kogoś zaufanego i nieznacznego. Ale on mi na to: „Wiesz, pójdę osobiście, bo chcę zobaczyć jak to wyglądają rarytni polscy urzędnicy i może się dowiem, co się w Polsce dzieje”. I poszedł i na interesującej pogadance z konsulem Świrskim zabawił w konsulacie dość długo. Kiedy na drugi dzień pan Konsul rewizytował u mnie księdza Fedukowicza, zatrzymałem go na obiedzie. Nim siedliśmy do stołu, odwołano mnie do gabinetu dla załatwienia jakiejś sprawy. Kiedy wracam do sali, którą jeszcze wówczas posiadałem, ksiądz Fedukowicz mnie zagaduje: „Czy ty nie słyszałeś o jakimś napadzie dywersyjnym na kościółek w Michałowce na Polesiu Wołyńskim, bo pan konsul słyszał, że tam wpadli jacyś dywersanci i pozabijali ludzi wprost na cmentarzu kościelnym”. — Odpowiadam, że o niczym podobnym nie słyszałem i nawet wątpię, czy to by mogło mieć miejsce... „No, ja się dowiem — odpowiada Fedukowicz — i powiadomię pana konsula, jeżeli ta sprawa tak go interesuje”. U stołu przy obiedzie siedziała moja siostra, jeszcze jeden ksiądz i dzieci siostry. Rozmowa toczyła się wesoło, ale o banalnych tematach i usługujący mój lokaj, ów szpieg Kuryj, naprawdę niczego niebezpiecznego podsłuchać nie mógł. Tegoż wieczora Fedukowicz odjechał, podążając na odpust do Berdyczowa i wszystko zdawało się całkiem w porządku. Ale kiedy po powtórnej mojej bytności w Żytomierzu, tegoż samego roku 1923, wracałem kolejną przez Korosteń, raptem do przedziału, w którym siedziałem odmawiając brewiarz, wszedł wysoki młody człowiek w uniformie agenta G.P.U. i usadowił się naprzeciw mnie raptem zagadnął łamaną polszczyzną: „Nie warto czytać, bo już się ściemnia”. A potem, usunąwszy się w kąt wagonu, gdzie nie było pasażerów, zaczął mi dawać znaki, abym do niego poszedł. Struchlałem, ale idę. I ku memu zdumieniu ów wojskowy podaje mi obie swoje dłonie na krzyż złożone — jak to czynią prawosławni, witając swoich duchownych — czeka, bym mu położył do pocałowania rękę i mówi: „Błogosławcie mnie, Ojcze, Wy jesteście ksiądz Skalski, a ksiądz Fedukowicz to wasz przyjaciel. Otóż was proszę uprzedzić go, tylko nie listownie pocztą, bo takie listy czytają, ale przez jakąś pewną okazję, żeby zaniechał bywania na posiedzeniach organizacji Białego Orła, bo G.P.U. go tam śledzi i może być aresztowany”. — „Ależ panie, takiej organizacji nie może być w Żytomierzu i ksiądz Fedukowicz na pewno w niej żadnego udziału nie ma”. — „No, ja księdzu na wiatr nie mówię, proszę nie zaniedbać to uczynić, co ja radzę. Należę do P.O.W. polskiego

i tych *mierzawców* bolszewików nienawidzę”. Przy wsiadaniu na stacji w Żytomierzu widziałem, że mego rozmówcę odprowadzał znany agent G.P.U. żytomierskiego, a Żydzi jadący w tym samym co ja wagonie do Korostania poinformowali mnie, że ten pan, co ze mną rozmawiał, jest prezesem G.P.U. właśnie w Korosteniu i choć jest na tym stanowisku, to nader szkodliwym jednak nie jest. Więcej prześladowuje bandytów, niż ludzi odmiennych nastrojów politycznych i że to jest syn byłego carskiego Naczelnika Powiatu w Owruczu. On sam był mi się nazwał Czapskim. Pamiętam, że w Miropolu był dwór ziemiański Czapskich, starszych kawalerów, że o jednym z nich kursowały plotki, że pozostawał w cudzołożnym romansie z żoną miejscowego *Prystawa*, który potem awansował na *Isprawnika*, tj. policyjnego naczelnika powiatu. Syn więc legalnie owruckiego *isprawnika*, w istocie syn hrabiego Czapskiego mógł być jedną i tą samą osobą. Nie miałem więc podstawy sądzić, że ten jego-ność czyni ze mną jakąś mistyfikację. Dlatego też niebawem, przez pierwszą nadarżającą się okazję, poinformowałem księdza Fedukowicza o tej rozmowie. Odpowiedział mi, też drogą poufną: „Śmiej się z tego pana i jego przestwór. O żadnej organizacji Białego Orła nie słyszałem i naturalnie nie byłbym głupi na posiedzeniach takiej organizacji bywać”. — Uspokoilem się. A jednak nie przeszło dwa, trzy tygodnie, jak doleciała mnie wieść hiobowa, że ksiądz Fedukowicz jest uwięziony, a z nim dziewiętnaście osób rozmaitych płci i stanu i wszyscy pod zarzutem udziału w jakiejś organizacji „Białego Orła”. A czyż była taka organizacja patriotyczna „Białego Orła”? Naturalnie, że nigdy nie istniała — przynajmniej na terenie żytomierskim. Na czym że więc G.P.U. osnuło podstawę przyczepienia takiej organizacji księdzu Fedukowiczowi i innym? Zdaje mi się, że w ten sposób należy rozwiązać tę zagadkę na zasadzie zebranych przeze mnie danych, dobrze mi znanego żartobliwego usposobienia księdza Fedukowicza i zarzutów, stawianych mi na moim własnym procesie, na którym sprawę księdza Fedukowicza i Arcybiskupa Cieplaka na żądanie prokuratora dołączono do mojej sprawy. Otóż w Żytomierzu śp. ksiądz Fedukowicz łączyła pewna zażyłość z rodziną niejakich pp. Klimenków; dwoje ich dzieci przechodziło pod nim gimnazjalne studia i ksiądz Fedukowicz wyjątkowo lubił tych młodych Klimenków i opiekował się nimi, tym bardziej że ich ojciec nie był katolikiem. Zdarzyło się księdzu Fedukowiczowi przyjąć na katolicyzm pewną pannę Waleszyńską, córkę fryzjera. Czy rodzina prawosławna ją za to prześladowała, czy dla jakichś innych względów — nie wiem — ksiądz Fedu-

kowicz umieścić tę konwertykę w domu pp. Klimenków. Wkrótce zapadła tam ona na tyfus plamisty i ksiądz Fedukowicz musiał się nią zaopiekować. Łożył własne pieniądze na jej kurację, użył posługi jakiegoś dobroczynnego lekarza, a rodzina Klimenków okazała się na szczycie chrześcijańskiego współczucia dla chorej i uratowano ją. Po wyzdrowieniu ona się wprost wcieliła w domowe życie Klimenków. Kiedy księdza Fedukowicza zapraszano tam na herbatkę, to oprócz dzieci Klimenków zbierała się u nich i inna młodzież — koleżanki i koledzy dzieci gospodarzy, a wszyscy byli uczniowie i uczennice księdza Fedukowicza. W ich gronie ksiądz Fedukowicz czuł się jak w domu, a jedynomyślność polityczna i patriotyczna ożywiała wszystkich. I jak znałem na wylot księdza Fedukowicza, to w wyobraźni mej widzę, jak on żartuje i dowcipkuje. I słyszę jak mówi: „Oto jesteśmy pod znakiem „Białego Orła”, bo wszystkich jednakowo interesuje odradzająca się Polska, bo myśli wszystkich nie ku Sowietaom, a ku Polsce zwracają się wprost naturalnie”. A i Waleszyńska tych ekspektoracji słucha, a niezadługo bolszewicy na nią zwracają uwagę i jakimś zastraszeniem pozyskują ją na swoją konfidentkę. Ona słyszała może parę razy te słowa księdza Fedukowicza o Białym Orle, powtarza je agentom G.P.U., a oni z tego naturalnie ukuwają organizację „Orła Białego”. Ów Czapski, pamiętam, nawet mi w wagonie powiedział: „Konfidentem zdradzającym księdza Fedukowicza jest ta, która u jego konfesjonału kiedyś zemdłała”. Fedukowicz i temu zaprzeczył, bo nikt u jego konfesjonału nie mdlał, a Czapski się mylił, bo Waleszyńska rzeczywiście zemdłała, ale nie przy konfesjonale ks. Fedukowicza, a przy spowiedzi u księdza Hulanickiego, jednego z pomocników księdza Fedukowicza. I pani Klimenkowa, i ten lekarz, zdaje mi się nazwiskiem Kwaśnicki, i wszyscy księża i słudzy kościelni — wszyscy, co mieli jakiś kontakt z p. Waleszyńską, trafili za kratę żytomierskiego G.P.U. i przesiedzieli parę miesięcy, aż do pierwszego dnia Bożego Narodzenia. Wyszedłszy z więzienia ksiądz Fedukowicz zaczął jednak zdradzać ogromne przygnębienie i rozdrażnienie, uchylił się od pracy, wyjechał na odpoczynek do pewnego księdza Strusiewicza, proboszcza w Nowym Zawodzie i zdradzał już jakąś ostateczną rozpacz, wyrażającą się w głębokich pragnieniach śmierci. Wreszcie wrócił do Żytomierza i zaczął po trosze pracować, ale niezadługo go znów uwięziono i gdzieś ukryto. Okazało się, że był w G.P.U. w Charkowie i tam, nie wiem jakimi drogami, po jakichś siedmiu miesiącach więzienia, wymuszono na nim list otwarty do Papieża, w którym nasamprzód Fedukowicz stwierdza, że ustrój sowiecki

jakoby nie ma woli prześladowania Kościoła i księży, a jeżeli wygląda na to, to czyni to tylko dlatego, że niektórzy księża są na usługach dyplomatów polskich placówek, którzy ich — jak to było z nim w lipcu zeszłego roku w mieszkaniu księdza Teofila Skalskiego w Kijowie — kiedy to on konsulowi polskiemu p. Świrskiemu obiecał zebrać informacje o dywersji bandyckiej, która miała miejsce w Michałówce na Polesiu Wołyńskim, a której organizację przypisywano właśnie Sowietaom i dlatego on uprasza Ojca św. by raczy wpłynąć na rząd Polski, by do takich misji księży nie powoływał, to i Kościołowi katolickiemu w państwie Sowietaów dźać się będzie lepiej... Po opublikowaniu tego listu, pisanego w języku rosyjskim, w komunistycznych gazetach księdza Fedukowicza uwolniono z G.P.U. w Charkowie. W nocy, o dziesiątej przebił się on, biedaczysko, do proboszcza charkowskiej parafii katolickiej, śp. księdza Ilgina i od razu upadł mu do nóg, łkając okropnie, że żyć nie może mając takie wyrzuty sumienia, że naraził kapłanów polskich, Kościół katolicki i rząd tak przez niego kochanej Polski. Wracając do Żytomierza przez Kijów ksiądz Fedukowicz jednak do mnie nie wstąpił, chociaż przez kilka godzin musiał czekać na stacji na pociąg żytomierski. Widocznie to mu było zakazane.

W Żytomierzu z mego naznaczenia rządził parafią niejaki ksiądz Stanisław Jachniewicz, człowiek bardzo dobry i niezmiernie taktowny; posłałem wnet rozporządzenie, aby zwrócił rządy księdzu Fedukowiczowi, ale by sam się nie usuwał. Obaj ci księża mieszkali razem na poddaszu katedralnym, w małej izdebce przerobionej ze składu. Ksiądz Fedukowicz jednak w faktyczne rządy parafii nie wchodził, a co najgorsze uparł się, że ze Mszą wychodzić nie będzie i całymi godzinami klęczał przy ścianie, która dzieliła pokoi mieszkalny od ołtarza, w którym był przechowywany Najświętszy Sakrament i prawie z nikim, oprócz księdza Jachniewicza, ani widywał się ani rozmawiał. Dla upozorowania zaś przed bolszewikami, że jest chory zapisał się na kilkutygodniową kurację w zakładzie hydropatycznym. Poinformowany przez księdza Pachniewicza o tym stanie psychicznym Fedukowicza, napisałem do niego list najserdeczniejszy, zachęcając go do wejścia w pracę parafialną i nie zagryzania się tym, co się stało; zapewniając go zarazem, że wszyscy go po dawnemu i szanują i kochają — bo i rzeczywiście tak było. Opinia katolicka bynajmniej go nie potępiała. Wszyscy mu współczuli i rozumieli, że to tylko jakieś nieszczęście czy przemoc do wystąpienia publicznego z takim listem go zniewoliły. Tymczasem bolszewicy ten jego list wyzyskiwali: gdy lud wychodził po nabożeństwie

z kościołów, zjawiało się jakieś indywiduum i odczytywało ten list i na jego podstawie starało się przekonać słuchaczy, że księża uprawiają szpiegostwo na rzecz Polski. Pewna osoba, której też pewnie zagrożono czymś strasznym, zbierała w Żytomierzu podpisy ludzi, niby solidaryzujących się z myślami, wyrażonymi w tym liście przez Fedukowicza. Naturalnie, że to wszystko jeszcze go bardziej gnębiło i pogłębiało jego rozpacz. Coraz widoczniejsze się stawało, że stan niby choroby najbardziej mu dogadza, że unika kontaktu ze światem, żeby nie być badanym czym ktoś jest, co myśli i jak postępuje. Nadesłał nawet do mnie pewną zaufaną osobę z prośbą, abym napisał do niego list takiej treści, który by bez szkody dla mnie i ujmy dla własnej godności mógł przedstawić bolszewikom. Co też, pamiętam, uskuteczniłem, pisząc coś w formie — jak mi się zdawało — najmniej niebezpiecznej. Wybrać się zaś osobiście do Żytomierza dla podparcia go i pocieszenia nie mogłem, gdyż od kilku miesięcy G.P.U. odebrało mi prawo swobodnego poruszania się. Aż tu, jak grom z nieba, 4 marca 1925 roku, wpada do mnie telegram księdza Jachniewicza: „Kanonik Fedukowicz nie żyje, pogrzeb szóstego”. Z depeszą tą w ręku udaję się do K.R.O. w G.P.U. i proszę o pozwolenie wyjazdu na ten pogrzeb. Od razu nie chcą się zgodzić, każą mi jednak przyjść za cztery godziny i wreszcie, kiedy wróciłem po czterech godzinach, zgadzają się na mój wyjazd, pewno po telefonicznym porozumieniu się z G.P.U. żytomierskim, ale miny mają zagadkowe i tajemnicze. Jadąc przed świtem z dworca kolejowego w Żytomierzu dowiaduję się od dorożkarza, że ksiądz Fedukowicz zmarł niemal śmiercią samobójcy, przez samospalenie się. A przebieg tego smutnego wypadku był taki: 4 marca miał ks. Fedukowicz zakończyć swoją kurację w hydroterapii; po śniadaniu poszedł więc jakoby w tym kierunku, ale bynajmniej do zakładu nie doszedł, ale zszedł z góry na brzeg rzeki Teterowa i idąc w kierunku górnego biegu doszedł do tak zwanej „Głowy Czackiego” i wdrapał się na nią. Jest to wysoka skała, nawisająca nad rzeką, wysokości jakichś czterdziestu-pięćdziesięciu metrów nad poziom rzeki. Jak opowiadał pewien gospodarz, mieszkający w tej miejscowości i z odalenia obserwujący ruchy księdza, ten zdjął z siebie płaszcz, wyjął z kieszeni dość dużą flaszkę benzyny i począł się nią skrapiać, wnet zapalił zapalniczkę i cały stanął — jak świeca — w płomieniach. W takim stanie palącej się pochodni zbiegł ze skały i pospieszył w kierunku powrotnym, wreszcie zatrzymał się przy budowli pomp wodociągowych i jakoś bezmyślnie naokoło nich wędrował. Tu go dobiegła pewna parafianka, prosta mieszczanka,



posiadająca mieszkanie w pobliżu wodociągu. Miał na sobie tylko jeszcze spodnie — sutanna i koszula już spłonęły — całą górną część ciała pokrywał pęcherz i bezskórne ropiące się rany. Wciągnięty do izby, na żałosne zapytanie kobiety po co on to zrobił, odpowiedział: „Chrystus Pan cierpiał za grzechy ludzkości, ja też przeciw ludzkości zgrzeszyłem, musiałem więc siebie ukarać”. Dobra współczująca kobieta poczęła go okładać tartymi ziemniakami, a tymczasem posłała po ratunek do miasta. Wpadła sowiecka policja i co prędzej go odtransportowała do lecznicy Czerwonego Krzyża. Tam też podążył rychło i ksiądz Jachniewicz. Na zapytanie po co to ksiądz uczynił, cierpiąca biedna ofiara bolszewickich ucisków spokojnie i najrozsądniej odpowiedział: „Zwolnienie swoje i tych dziewiętnaściorga innych na Boże Narodzenie 1923 roku okupiłem zgodzeniem się że przyjmę na siebie obowiązek konfidenta G.P.U. Gdy jednak od tego zadania uchyliłem się, wywieziono mnie do Charkowa, tam znowuż podpisałem ten list do Papieża, stwierdzający że księża bywają szpiegami na rzecz Polski i na podstawie tego na pewno zaczną ich prześladować, czyż ja po tym wszystkim pomiędzy ludźmi żyć mogłem?” — „Proszę mnie co prędzej spowiadać na śmierć”. I odbył spowiedź i rozgrzeszenie otrzymał. Ksiądz Juchniewicz co prędzej polecił do katedry, by przynieść Przenajświętszy Sakrament i Oleje św., ale ledwie wszedł do tego pokoiku, co zajmował w gmachu katedralnym razem z księdzem Fedukowiczem, wpadła już z rewizją G.P.U. i przeszło godzinę zatrzymali księdza Jachniewicza przy oglądaniu papierów i rzeczy i gdy wreszcie mógł się wyrwać, wziąć Przenajświętszy Sakrament i przylecieć do lecznicy ksiądz Fedukowicz już nie żył. Ale że on po prawym, czystym, szlachetnym i ofiarnym swym życiu odrzuconym na Sądzie Bożym być nie mógł, w to nie wątpię. I nikt nie wątpił, i nikt go nie potępiał. Te tłumy kilkutyśięczne, co zebrały się na ten jego pogrzeb, tych kilkunastu księży, co przybyło by mu oddać razem ze mną ostatnią posługę braterską, te łzy wylewane nad jego mogiłą, otaczaną czią i osypywaną kwieciami i ta zwiększona jeszcze wśród ludzi antypatia do bolszewików — to są świadectwa jak rozumiano jego postępek nieszczęsny, jak ubolewano nad nim, ale kamieniem potępienia na jego duszę kapłańską i polską, o broń Boże, nie rzucano nigdy. Bolszewicy zaś taką jego śmiercią wprost byli zaskoczeni i zdezorientowani. Nasamprzód nie pozwolili jego ciała przenieść dla nabożeństwa z rana do kościoła; odprawiliśmy więc egzekwie tylko przy symbolicznym katafalku.



... Zanim przejdę do szczegółów mego uwięzienia, cokolwiek muszę tu zanotować o akcji biskupa Michała d'Herbigny i jego bytności u mnie. Jak wiadomo, za pontyfikatu czy Benedykta XV czy Piusa XI przy Kurii Rzymskiej poczęła rozwijać działalność specjalna komisja, tak zwana *Pro Russia*. Najczynniejszym jej członkiem okazał się Jezuita belgijski, właśnie ów Michał d'Herbigny. Zdawało się w Rzymie, że po upadku caratu otworzyły się w Rosji szerokie możliwości zjednoczenia prawosławia z katolicyzmem. Wyeliminowano więc po części Rosję spod wpływu Kongregacji Rzymskich, a dla uproszczenia sprawy poddano i nas, dawnych rzymskich katolików, a nie tylko przyszłych unitów, pod jurysdykcję i kierownictwo tej specjalnej komisji *Pro Russia*. W jednym z listów pisanych do mnie z Rzymu przez byłego biskupa łucko-żytomierskiego, Ignacego Dubowskiego, była jakaś wzmianka, że w Kurii Rzymskiej nie bardzo orientują się w sprawach Kościoła w Rosji i że mogą spodziewać się nawet przybycia do Kijowa, stającego się już arcyznany, księdza d'Herbigny. Oczekiwałem więc jego przyjazdu z niecierpliwością dla wielu względów i dlatego, że nie bardzo rozumiałem źródła swej jurysdykcji w rządzeniu diecezją, gdyż z chwilą rezygnacji biskupa Dubowskiego *ipso facto* straciłem uprawnienia wikariusza generalnego. Pamiętałem że *Codex iuris canonici* z chwilą wygaśnięcia członków kapituły pozwala jednemu pozostałemu z jej gremium uważać się za jej wikariusza kapitulnego w razie opróżnienia stolicy biskupiej. A w diecezji żytomierskiej właśnie taki wypadł *casus*, gdyż tylko ja jeden z kapituły katedralnej żytomierskiej pozostawałem na terytorium diecezjalnym, a obrany w Łucku, po rezygnacji biskupa Dubowskiego, wikariusz kapitulny — sufragan biskup Michał Godlewski — oczywiście nie miał prawa przedłużyć mi jurysdykcji wikariusza generalnego. Przez jakichś kilka dni, jak doszła mnie wiadomość o rezygnacji biskupa ordynariusza Dubowskiego, — a doszła ona jakoś nader rychło — podpisywałem indulty z zaznaczeniem „Za Kapitułę Katedralną jej prałat Kustosz Teofil Skalski”. A tymczasem ryzykując nawet moim bezpieczeństwem wysłałem kontrolowaną przez G.P.U. depeszę do Łucka na imię członka Kapituły księdza infułata Jana Zagórskiego, prosząc o wyjaśnienie komu przysługuje prawo rządów diecezją żytomierską. Przez kilka dni odpowiedź nie nadchodziła, wreszcie ksiądz Zagórski telegraficznie mnie powiadomił depeszą tej treści: „Jurysdykcję swą w zakresie dawniejszym proszę kontynuować bezpiecznie”. Kapituła więc, czy jej wikariusz biskup Godlewski, jak zrozumiąłem, porozumiała się czy z nuncjuszem w Warszawie, Laurym, czy z Rzy-

mem i tym sposobem rządziłem przez rok diecezją już nie jako wikariusz czyjś generalny, ale jako umocowany przez Rzym jej Administrator Apostolski. A kiedy biskup Dubowski mnie poinformował, że ksiądz d'Herbigny może być oczekiwany ze specjalną misją w Rosji, to już wiedziałem, że od tego człowieka dowiem się na pewno na jakiej zasadzie rządę diecezją.

Na pewno 31 marca 1926 roku, około 11-tej rano, kiedy siedzę i coś piszę przy biurku, nagle staje przy mnie, wpuszczony przez lokaja, szczupły, czterdziestokilkoletni jegomość, niby ksiądz, bo w koloratce, ale zamiast sutanny tylko w długim palcie i zaczyna coś bąkać niby po rosyjsku, z francuska, niby po łacinie z prononcjacją francuską. Dowiaduję się, że moim gościem jest właśnie oczekiwany ks. d'Herbigny. Jest uszczęśliwiony, że ja rozumiem po francusku. Przystępujemy więc do rzeczy. Objaśnia więc mnie ksiądz d'Herbigny, że uzyskał prawo wjazdu do Rosji tylko jako kapłan Francuz dla objechania i obsłużenia duchownego kolonii francuskich. Że był już w Zagłębiu Donieckim, gdzie niektóre kopalnie eksploatuje jakaś belgijska kompania, że spotkał tam pewnego zakonnika francuskiego nazwiskiem Neve, że odwiedził na południu Rosji w katolickich koloniach niemieckich wikariusza generalnego, biskupa Saratowskiego, Kosslera, niejakiego księdza niemieckiego Kruszyńskiego i że od niego na beczkach piwa szczęśliwie dotarł do jakiejś stacji kolejowej, a stamtąd już bez przygód szczęśliwie dobił się do Kijowa. Prosi mnie, żeby powiadomić Francuzów, zamieszkałych w Kijowie, że przyjechał dla nich, ale zarazem też zaznacza, że on nie bardzo by się chciał awansować w tę pracę duszpasterską z Francuzami, gdyż widać że oni przez nas, kijowskich księży mówiących po francusku, doskonale są obsłużeni, ale że jego przyjazd musi być tym upozorowany ze względu na Sowiety. Już wie, że ze mną przemieszkuje ksiądz Kazimierz Naskręcki i bardzo prosi, abym go zawezwał. Co też wnet czynię. Kiedy jesteśmy już obaj, ksiądz d'Herbigny wyciąga dobrze gdzieś w zanadrzu ukryty papier, który mi przedstawia i z którego dowiaduję się, że ksiądz d'Herbigny posiada sakrę biskupią, że jest specjalnym delegatem Stolicy Apostolskiej na Rosję z plenipotencjami samego Papieża, z wyjątkiem tylko casusu *absolutione complicitis in materia turpi* oraz dyspensy *super matrimonio rato non consummato*. Oświadcza też mi wręcz, że wykonywaną przez mnie władzę rządcy diecezją uznaje za zupełnie ufundowaną kanonicznie, ale że odtąd i mnie i każdemu z rządzących diecezjami w Rosji (a było ich pięć: mohylowska, mińska, żytomierska, kamieniecka i saratowska) przysługiwać będzie tytuł

Administratorów Apostolskich z władzą Ordynariuszy, chociaż *ad nutum amosibilium*. Upoważnia też mnie abym zawezwał do siebie księdza Jana Świderskiego, rządzącego diecezją kamieniecką i ogłosił mu, że przez delegata papieskiego, biskupa d'Herbigny jest mianowany niezawisłym od Ordynariusza kamienieckiego, biskupa Mańkowskiego, Administratorem Apostolskim — co też uczyniłem wkrótce potem. Ogłasza, że mnie i wszystkim innym Administratorom Apostolskim przysługiwać będą *facultatis* tak szerokie, jakie przysługują zwykle prefektom apostolskim na najbardziej oddalonych punktach misyjnych, i wręcza mi egzemplarz drukowany tych przywilejów. W nim potwierdza się posiadany i wykorzystywany już przeze mnie przywilej udzielania Sakramentu Bierzmowania, ale jeszcze ponadto upoważnia mnie do nadania takiego przywileju dwu upatrzonym przeze mnie dziekanom lub proboszczom. Powołałem do tego zadania księdza Stanisława Juchniewicza z Żytomierza i księdza Józefa Krummela ze Starego Konstantynowa, gdyż przewidywałem, że przy stosunkach sowieckich sam powierzonej mi diecezji objeżdżać nie będę w stanie. A inne *facultatis* były tak wielkie, jakich na pewno żaden z Ordynariuszy w Polsce nawet nie marzył posiadać. Dość tego, że miałem prawo dysponować na zawarcie małżeństwa nawet *in secundo attingendo promo gradu consanguinitatis*, to znaczy że mogłem zezwolić np. na ślub siostrzenicy z wujem, a w dziedzinie sanowania nieważnych związków nawet *sanatio in radice* małżeństwa cywilnie tylko zawartego, ale *affectu matrimoniali una parte credente et fidei* mi przysługiwała. Nadano mi jeszcze za pośrednictwem biskupa Dubowskiego, otrzymaną z Rzymu władzę pierwszej i drugiej instancji w sprawach rozwodowych — delegat d'Herbigny mi potwierdził. Załatwiwszy się ze stroną oficjalną swej misji, biskup d'Herbigny po posiłku i ze mną i z księdzem Naskręckim długo prowadził pogadanki, bardzo aprobował sposób naszego pasterzowania i wciąż zaznaczał: „A widzicie, jest właśnie tak jak myślałem, że i pod reżymem sowieckim Kościół ze swej misji wywiązywać się może”. Wyciągnął z kieszeni mapę Wielkiej Rosji i wskazał nam granice przyszłych diecezji katolickich: zamiast pięciu istniejących — ustalał ich dwanaście. Słuchałem tego wszystkiego z pewną uciechą w duszy, że ot bolszewicy gotują zagładę życia chrześcijańskiego, a Kościół na to nie zważa i swoje zarządzenia w czyn zamierza wprowadzać, ale — o ile pamiętam — miałem też zastrzeżenia co do rychłego rozgraniczenia nowych diecezji, gdyż księżę taki brak, a jak podrobia się diecezje, to każdy Ordynariusz swoich księży tylko w granicach swego terytorium będzie

wykorzystywać, nie jak teraz, gdy księży gonimy na modłę misyjną — jedzie sługa Boży i tam gdzieś daleko, aby obsłużyć garstkę tułaczycy wiernych, a jak nastąpi rozgraniczenie, projektowane przez d'Herbignego, to będą i takie diecezje, gdzie zaledwie paru księży może kilku się znajdzie, i jak z nimi pracować? A Ordynariusz-sąsiad swoich księży nie odstąpi, zresztą na przeszkodzie temu stawać będzie i znane prawo kościelne o incardynacji i excardynacji kapłanów. Przed wieczorem d'Herbigny wzięwszy sobie za przewodnika Józefa Kowalskiego, jednego z trzech młodych ludzi, których razem z księdzem Naskręckim przygotowaliśmy prywatnie na kapłanów, poszedł zwiedzić trochę miasto. Był i w kościele św. Mikołaja, i na cmentarzu, i wszędzie rozdawał dzieciom obrazki, co szpiegzy sowieccy zaraz spostrzegli i zaniepokoiili się osobą przybysza. Tym bardziej, że i Kowalskiego mieli już na oku i nienawidzili go za to, że wnet po ukończeniu na uniwersytecie sowieckim działu matematycznym poszedł pod skrzydełko moje, największego w ich oczach retrograda i kontrewolucjonisty. W niedzielę, 2 maja, biskup d'Herbigny miał Mszę św. dla Francuzów, szczególnie Francuzek — przyszli do mnie na plebanię, by się z przybyłym dla nich misjonarzem bliżej zapoznać. Około dwunastej d'Herbigny pojechał do greko-katolickiego kościółka Najświętszego Serca Jezusa i trafił na śniadanie, to była właśnie skromna uczta wielkanocna, tak bowiem późno w tym roku według starego stylu przypadła u unitów Wielkanoc. A stamtąd udał się z wizytą do nawróconego z popa prawosławnego, mieszkającego w Kijowie, niejakiemu księdzu Mikołaju Tołstoja. Uprzedzałem biskupa d'Herbigny, by raczej zaniechał odwiedzenia Tołstoja, gdyż miałem uzasadnione podejrzenie, że ten nieszczęśliwy kapłan jest na usługach Sowietów, jako ich konfident i że bardzo niepochlebnie, a nawet wrogo manifestował się w procesie sowieckim przeciwko bardzo zacnemu kapłanowi polskiemu w Odessie, niejakiemu księdzu Aserzbergowi. Ale biskup d'Herbigny — pamiętam — odpowiedział mi: „Ach, *mon cher Prélat* — nam należy tych konwertytów traktować jak dzieci i z wielką wyrozumiałością, a nawet z pobłażaniem patrzeć na ich wybryki”. Myślę sobie: ładna rzecz — ten Tołstoj Mikołaj, przeszedłszy na katolicyzm zażądał od Papieża (jeszcze za pontyfikatu Leona XIII) rozvodu ze swą żoną, a kiedy mu wytłumaczono, że przejście na katolicyzm nie daje mu swobody opuszczenia swej prawowitej żony, to Tołstoj samowolnie ją opuścił, zżył się z jakąś inną kobietą i w ciągu lat kilkunastu zrodził z nią coś ośmioro czy dziewięcioro dzieci i za to pozostawał wciąż w suspensie. Mieszkał wów-

czas w Moskwie i był współpracownikiem reakcyjnych i antykato-lickich *Moskowskich Wiedomostiej*. W obawie przed bolszewi-kami umknął do Kijowa w czasie hetmańszczyzny Skoropadz-kiego i tu, jakoś nieogłędnie, biskup Dubowski pozwolił mu Mszę św. śpiewać, gdyż powód do suspensy, w której pozostawał przez kilkanaście lat, już zniknął: czy opuścił tę swoją konku-binę, czy ona mu zmarła — nie wiem. Ogromnie chciał wcisnąć się do mego kościoła św. Aleksandra, ale ja go spychałem na kościółek unicki, gdyż on był i pozostał wschodniakiem. Zaczny ksiądz Szczepaniuk znowuż ze swej strony go nierad w swojej cerkwi widział — przyczepił się on więc do kościoła św. Miko-łaja. Prawdziwy krzyż Pański miał z nim, a jeszcze większy z jego rodziną, tamtejszy proboszcz śp. ksiądz Jan Żmigrodzki. O Tołstoju zdaje się, że gdzieś poprzednio wzmiankuję, że w końcu ogłosił się w gazetach komunistycznych jako taki, który się wycofuje z kapłańskich szeregów katolickich i o swej apostazji tę wiadomość propagandowo publikuje. Ale wracam do biskupa d'Herbigny — słowem, uparł się i pojechał z wizytą do tego Tołstoja, a nie zastawszy go w domu kontentował się tym, że pozostawił u mnie 30 dolarów, jako intencje na Msze św. dla Tołstoja. Wahałem się czy ukryć przed Tołstojem bytność u mnie d'Herbigny'ego i jakoby od siebie ofiarować mu te dolary na Msze, ale w końcu zdecydowałem się i te pieniądze mu oddałem jako pochodzące właśnie od d'Herbigny'ego. Tołstoj łąpczywie je pochwycił, ale od razu zaczął mnie posądzać, że ja z namysłu nie ułatwiłem mu zobaczenia się z d'Herbigny. Być może, że po porozumieniu się z bolszewikami, zdecydował się pędzić do Moskwy w ślady d'Herbigny'ego. Byłem nieogłędny, że prosi-łem Tołstoja o doręczenie d'Herbigniemu i mego listu, w którym informowałem się o pewnym szczególe mojej władzy. Była to rzecz zgoła teoretyczno-kanoniczna i d'Herbigny coś tam też przez przez Tołstoja mi odpowiedział. Po moim uwięzieniu, przy tych licznych badaniach śledczy G.P.U. na Łubiance w Moskwie już się nie krępował wypowiedzieć przede mną, że treść listu mego do d'Herbigny'ego i jego odpowiedź są im dobrze znane. To zdrajca Tołstoj im te listy do kontroli przedstawiał. D'Herbigny stanowczo nakazywał nam zachować tajemnicę o celu jego przy-jazdu do Rosji. Mieliliśmy mówić, jak oficjalnie ta sprawa stała, że objeżdżał tylko kolonie francuskie dla ich obsługi religijnej. Tymczasem ten jego nieogłędny kontakt z Tołstojem zdradził całą sprawę jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w części. D'Herbigny — o ile wiem — i przedtem nim zawitał do Kijowa już bywał w Rosji. Czynił wówczas stawkę na tzw. *Żywą Cer-*

kiew i był osobiście na ich zjeździe w Moskwie. Zebrani tam hierarchowie odśpiewali mu *Mnogaja Lieta*, ale jeden z nich, „żywista” metropolita z Symferopola, Józef Kreczetowicz, doniósł Sowietom, jakie tendencje unijne w stosunku do żywistów d’Herbigny ujawnił na tym zjeździe, a bolszewicy zjednoczenia Cerkwi prawosławnej z Kościołem katolickim bali się. Biskup d’Herbigny to nader sympatyczny, głęboko wykształcony człowiek do szpiku kości oddany myśli nawrócenia wschodnich schizmatyków, przyjemny i łatwy w obejściu, ale jakże nierealny, a nawet naiwny. Zitalinizowany Francuz, na ogromną Rosję patrzący jako na teren, gdzie według jego *idée fixe* dopiero Kościół Boży znajdzie głębę nadzwyczajną do posiewu Bożej prawdy. Polacy zapewne są wiernymi katolikami, ale to mały narodek w porównaniu z Rosją i bez żadnego — jak to było w tych latach — oblicza politycznego. A ponieważ Rosja, ta krzywdzicielka Polaków, tak ich nienawidzi, to trzeba się liczyć z tym faktem i nie dopuścić nawet myśli, ażeby przez pośrednictwo Polaków — narodu katolików sąsiadującego z Rosją — mogło nastąpić jej nawrócenie. I gorliwości nawet Polaków w tym kierunku trzeba stawić tamę, bo oni więcej zaszkodzą niż pomogą. Takie myśli naprawdę się zdradzały w tym człowieku tak bardzo dobrym i nie mającym za co nas lekceważyć. A jednak, kiedy za trzecią bytnością w Rosji d’Herbigny zabrał się do restauracji Episkopatu, to wśród wybranych i konsekrowanych tylko jeden znalazł się biskup Polak, a i to z podszewką Białorusina, biskup Malecki, a inni: Francuz, Niemiec, Łotysz, Litwin — chociaż w rosyjskich diecezjach katolickich co najmniej trzy czwarte stanowili nie kto inny, a tylko Polacy. Kiedy te promocje biskupie nastąpiły, już byłem więźniem i obrzucany za to obelgami przez śledczego, jakiegoś niby Polaka. Naprawdę i ja, chociaż z innych niż ten śledczy względów, nie mogłem d’Herbigny’emu darować tej polityki i nie mogłem zrozumieć jej potrzeby.

Nie wiem, czy te informacje udzielone przez Tołstoja G.P.U., czy ich osobiste obserwacje sprawiły, że w kilka dni po bytności u mnie biskupa d’Herbigny już byłem wezwany do tego urzędu. Tym razem stanąłem przed obliczem wpierw mi nieznanego agenta. Na drzwiach jego gabinetu w tzw. K.R.O. dużymi literami było wypisane Doliński. Wyglądał dość sympatycznie. Po uprzejmym niby powitaniu i oświadczeniu mi, że jest w G.P.U. specjalistą od spraw księzkowskich, że dobrze zna księdza Fedukowicza i jego sprawę, wręcz mnie zagadnął: „Co to za ksiądz Francuz gościł u was; wiem, że obrazki ludziom rozdawał przy kościele św. Mikołaja, że chodził po muzeach z Kowalskim; skąd

przyjechał, dokąd wyjechał i jakie miał zadania do spełnienia?». Odpowiedziałem, tak jak mi nakazywał sam d'Herbigny, że posiadał on prawo wjazdu do Rosji jako misjonarz dla obsługi duchownej kolonii francuskich, że miał w kościele moim dla nich nabożeństwo i kazanie, że bawił krótko i wyjechał w kierunku Moskwy. Pozornie Doliński tę moją odpowiedź jakby się zadowolił, ale uprzedził mnie, że musi odbyć ze mną kilkakrotną konferencję, gdyż w G.P.U. nagromadziło się dość sporo spraw odnoszących się do mnie i chciałby je wyjaśnić. Ani śladu jakiegoś uprzedzenia czy nienawiści Doliński w stosunku do mnie nie zdradzał. Owszem, mówił nawet, że rząd sowiecki unika zadrażnień z Kościołem katolickim i z całą tolerancją traktuje nasze polskie poczucie narodowe. Żałował, że nie rozumie języka polskiego, gdyż pochodzi z Odessy i jako człowiek niereligijny czasami nie orientuje się w sprawach kościelnych i sądzi, że właśnie rozmowy ze mną ułatwią mu zrozumienie niektórych rzeczy, które w oku zwykłego bezbożnika mogą się wydawać zgoła czymś innym, niż są w rzeczywistości. Gładko i towarzysko, nawet elegancko przeszło to pierwsze moje z Dolińskim spotkanie. Wyznaczył mi przyście za parę dni i wróciłem do domu bez wielkiej troski. Było to w początkach maja, a zakończyło się 9 czerwca aresztowaniem moim przez tego samego Dolińskiego w jego własnym gabinecie. Dziewiętnaście razy mnie zmuszał do przyścia do siebie, zatrzymywał przeważnie od godziny drugiej do ósmej po południu, parę razy nawet musiałem z nim przebywać aż do dziesiątej wieczór. A chociaż zawsze był dosyć grzeczny, to wyczuwałem doskonale, że najbardziej wrogie w stosunku do mnie żywi zamiary...



Kilkanaście osób z wyższej inteligencji rosyjskiej, widząc rozkład swojej Cerkwi i tym się przekonując o jej nicości odszczepieńczej, przeszło z głębokiego przekonania na katolicyzm. W Moskwie już G.P.U. od paru lat rozprawiało się z rosyjskimi konwertytami i wszystkich ich, z Anną Abrikosową na czele, w liczbie 40 uwięziono i rozmieszczono po obozach, deportacjach i polityzolatorach za to, że wśród prawosławnych szerzyli katolicyzm, w przekonaniu komunistów — zresztą bardzo słusznym — ze wszystkich religii najtrudniejszy do obalenia. A pomiędzy tymi konwertytami, co przyjęli byli katolicyzm w moim kościele, byli i tacy — czego swoją drogą nawet nie przypuszczałem — za którymi bolszewicy nie wiem jakby się uganiali, a i mnie na pewno za kontakt z nimi winnym czynili. Mam tu na myśli



przejście na katolicyzm dwóch panien, a następnie ich matki, nazwiskiem Radyszczewe-Mieńszowe. W okropnych latach, gdzieś może w latach 1919-1921 przysłała do mnie panienska lichy, ubogo ubrana, ale inteligentna i sympatyczna, oświadczając że chce zostać katoliczką. Nazwała siebie Walentyną Mieńszową, powiedziała że pochodzi z głębi Rosji, że ojca miała pułkownika, którego bolszewicy zamordowali. Zajęliśmy się z księdzem Naskręckim jej przygotowaniem i wyznanie wiary zostało dokonane. Nie mówiła ona nam wcale, że ma w Kijowie jeszcze jakąś siostrę, ale po kilku tygodniach wprowadza do mnie całkiem do niej niepodobną, zziębniętą, przemoczoną w dzień słotny, wilgotny, listopadowy, w trzewikach podartych, jakąś panienkę może dwudziestoletnią, przedstawia mi jako swoją siostrę i prosi by ją również przyjąć w poczet moich parafian katolików, a o obrzędzie wschodnim unijnym, którego przedstawicielem w Kijowie był bardzo gorliwy kapłan, ksiądz Mikołaj Szczepaniuk — nawet słyszeć nie chce. Więc po jakimś czasie i ta druga Radyszczewa-Mieńszowa, imieniem Natalia, została też katoliczką. Często obie panienki spowiadały się i przystępowały do Stołu Pańskiego. Gdy bywały u mnie, to Walentyna okazywała się rozmowniejsza i energiczniejsza, ale Natalia, bardziej wykształcona, posiadała jakieś języki i grała na fortepianie, ale nadzwyczaj była skromna i milcząca. Słowa od niej wydobyć było trudno. Żadnych bolesnych przeżyć swego życia mi nie odkrywały, tyle tylko wiedziałem, że ojciec ich — pułkownik zabity, a one musiały umknąć na Ukrainę, bo tu pod hetmanem Skoropadzkim zdawało się, że będzie spokojniej. A teraz i tu są znowu bolszewicy, więc nie wiadomo co począć i że bezpieczeństwo ich jest znowu zagrożone — jedyny ratunek w Bogu. Litość budziły te nikomu w niczym niewinne, poczciwe młode istoty. Toteż kiedy otworzyła się możliwość repatriacji do Polski jakoś zakrzętnęliśmy się z księdzem Naskręckim i panny Mieńszowe wyjechały z eszelonem reemigrantów do Polski. Raz czy dwa, czy trzy stamtąd się do nas odezwały, ostatni list był z powiadomieniem, że obie zostały szarytkami. Chwała Bogu — pomyślałem — nie zmarują się i zapomniałem o nich, a raczej już nie myślałem. Kilkanaście ciężkich moich lat minęło, jest rok 1932, jestem w październiku w Warszawie — dwie szarytki przychodzą mnie odwiedzić i w jednej z nich poznaję Walentynę Mieńszową. Prawdopodobnie już mówi po polsku, chociaż ze znanym akcentem rosyjskim, jest odpowiedzialną kierowniczką całego szpitalnego wydziału, obdarza mnie skromnymi zakonnymi pamiąteczkami, ale ze smutkiem mi komunikuje, że Natasza (Natalia) nie wytrzymała wśród Sióstr Miło-

sierdzia i przeszła do zakonu ścisłego „surowego” i jest nowicjuszką u Sakramentek na Nowym Mieście, gdzie pewnie też nie wytrwa, bo coraz więcej staje się nerwowa i niestała.

Niezadługo po tej wizycie Walentyny, na zaproszenie SS Sakramentek jestem w ich kościele na Nowym Mieście z celebrą: urządzają nabożeństwo ekspiacyjne za zniewagi ponoszone przez chrześcijan w bolszewii. Po sumie, w towarzystwie kaznodziei i asysty kleryckiej jestem na śniadaniu w rozmównicy klasztornej. Za kratą na podium widzę w przyciemnieniu parę zakonnic, a między nimi i Nataszę Mieńszową. Sfrancuziała przełożona mówi mi wreszcie, że Natalia ma mi coś sam na sam zakomunikować. Pozostajemy więc sami: ja w rozmównicy, a ona za kratą. Ale Natalia przechodząc na język rosyjski tylko tyle mi mówi, że ona zawsze gorąco na moją intencję modliła się, że stale ogromnie mi jest wdzięczna, że tak się lękała, żeby mi bolszewicy nie odebrali życia i że jest tak szczęśliwą, że mnie zdrowym i całym ujrzała. Myślę sobie, że nie było po co urządzać nam tego spotkania — i wyjechałem do Łucka. Przeszło znowuż parę lat, raptem z Zagrzebia otrzymuję od Natalii kartkę z widokiem katedry zagrzebskiej. Kilka słów pozdrowienia z zagranicy, zachwyty nad tym, co ogląda. Nie rozumiem: klauzuruwa Sakramentka i wojaż jej zagraniczny? Potem znowuż kartka, ale już z Wiednia, też nic nie mówiąca. Aż wreszcie w gazetach wzmianka, że w Jugosławii zjawiła się jakaś panna, o poszporcie na imię Natalii Radiszczewoj-Mieńszowej i że się podaje za uratowaną córkę zamordowanego cara Mikołaja II, że jest nie Mieńszowa, ale Wielka Księżniczka Tatiana — i dodatek, że zeznawała, iż zna ją inułat Teofil Skalski, wobec którego w Kijowie przeszła na katolicyzm, że w podróży towarzyszy jej pewien lekarz warszawski, Krasowski i że Jugosławia, jak i Wiedeń, odmówiły jej prawa pobytu. Dlatego też wróciła do Polski. Pomyślałem sobie, że Natasza albo zwariowała, albo upadła moralnie i dlatego urządza jakieś szantaże. Dlatego, kiedy do mnie znowuż się odezwała, nawet jej nie odpowiedziałem. Tymczasem przychodzi do mnie agent tajnej policji polskiej z poleceniem przesłuchania mnie na temat tej rewelacji Nataszy, gdyż i ona — już przesłuchana — uparcie twierdzi, że jest Tatianą Romanową i że ja, jedyny człowiek również wiem o tym. Zdumiałem się, ale muszę uczynić zadość wymogom policji. Przedtem jednak ów agent pozwala mi przejrzeć całą sprawę: w niej figurują nie tylko zeznania Nataszy, ale też protokół zeznań matki, która mieszka w Częstochowie. Otóż z niego takie czerpię wiadomości: stara Radiszczewa-Mieńszowa z Kostromy, wiedziona wielkim współczuciem dla

więzionej carskiej rodziny, udała się do Jekaterynburga, zamieszkała w pewnym klasztorze prawosławnym i stamtąd wysyłała paczki do Czerezwyczajki; czy rodzina cesarska je otrzymywała nie wie. Ale tej nocy katastrofalnej, w której cesarz, cesarzowa i ich dzieci zostali rozstrzelani, do tego klasztoru, w którym znajdowała się Mieńszowa, przyniesiono nad ranem okrwawioną, omdlałą dziewczynę. O ile p. M. pamięta, przyniósł ją krasnoarmiejec jakiś w towarzystwie bodajże jednej z *gornicznych* (pokojówek) cesarskich i oświadczyli, że to jest niedobita od kłótego oręża księżniczka Tatiana. Pani Mieńszowa zeznaje, że nigdy w życiu rodziny cesarskiej nie widziała i nie może twierdzić, że ta pokaleczona panienska, przyniesiona do klasztoru, była istotnie najstarszą córką cesarza. Ale dla rannej, zastraszonej istoty powzięła współczucie i nie mając już dalej celu przebywać w Jekaterynburgu, zabrała ją ze sobą do Kostromy, a gdy w Kostromie zrobiło się niebezpiecznie jako pułkownikowej po zamordowanym mężu i należącej do wybitniejszych rodów rosyjskich, to umykając do Kijowa razem z córką swą Walentyną zabrała i tę pannę, przyswajając jej imię, nazwisko i paszport młodszej swej córki Natalii, która czy już nie żyła, czy też była nieobecna w Kostromie. Ja zeznałem, że nigdy nie słyszałem, aby pod nazwiskiem Natalii Mieńszowej ukrywała się uratowana jakoby Tatiana, Wielka Księżniczka Romanowa. Że Natalię rzeczywiście przyjąłem na katolicyzm, że trochę się nią opiekowałem, że mam ją za bardzo skromną przyzwoitą pannę, według mnie niezdolną do oszustwa i kłamstwa, że jeszcze przecież na emigracji są niektórzy krewni domu cesarskiego, jak przede wszystkim frejlina Wyrubowa, z domu Tanina, ostatnia wychowawczyni cesarskich panienek — ich więc trzeba zainteresować i Natalię z nimi skonfrontować i wtedy się prawda wykryje. I znowuż przez parę lat o Natalii niczego nie słyszałem. Ale otóż przed ostatnią wojną spędzam lipiec w Truskawcu... Pewnego dnia jacyś panowie mi pokazują notatkę w gazecie, że Natalia Radiszczewa-Mieńszowa na łożu śmiertelnym — będąc ukąszona przez jadowitą muchę — oficjalnie zeznała, że jest Tatianą Romanową, córką cesarza Mikołaja II i że znowuż o tej sprawie wie ksiądz Skalski, były proboszcz kościoła św. Aleksandra w Kijowie, przed którym ona wykonała wyznanie wiary katolickiej. Po Truskawcu byłem w Warszawie. Telefonicznie poprosiłem do siebie szarytkę Walentynę, dowiedziałem się, że Nataszę uratowano jednak od tego zakażenia, ale że jest zagrożona gruźlicą. Rozmawialiśmy i na temat tych dziwnych rewelacji Nataszy i wówczas po raz pierwszy Walentyna mi powiedziała: „A jednak Natasza nie jest córką

mojego ojca nieboszczyka”. Nastąpiły straszne wypadki wrześniowe z roku 1939. Oparłem się w Nowym Targu na Podhalu i zamieniłem parę listów z księdzem Naskręckim, mieszkającym stale w Warszawie, w jednym z nich mi donosi: „Wiedz, mam niezbite dowody, że pod nazwiskiem Natalii Radiszczewej-Mieńszowej, dobrze nam znanej Nataszy, ukrywa się Wielka Księżniczka Tatiana Romanowa, córka ostatniego cesarza Rosji...”. Jeżeli kiedyś Bóg mi pozwoli być w Warszawie, a ta Natasza żyć będzie, to postaram się z nią zobaczyć i prawdę szczerą pewno mi powie. A może od księdza Naskręckiego zdobędę jej adres i napiszę do niej. A tymczasem to tylko, co się otało o mnie w tej sprawie zanotuję sumiennie...



... Początkowo moje życie w Butyrkach układało się znośniej niż w tym przedpieklu na Łubiance Nr 14, ale na spacer i tu mnie nie wyprowadzano. Tymczasem nastąpiły okropne lipcowe gorąca. W mojej celi, znajdującej się na najwyższym piętrze, wprost trudno było wytrzymać. Pozostawałem więc w jednej bieliźnie i kiedy siedziałem sobie w takim negliżu najspokojniej i coś czytałem, raptem otwierają się drzwi szeroko i do mojej ciaśniutkiej celi wschodzą aż cztery osoby: kolosalnej figury Łotysz, naczelnik więzienia, dozorca, jegomość w cywilu i przyjemnej powierzchowności, z gustem ubrana, lat pięćdziesięciu paru sympatyczna jakaś pani. Ta pani zbliża się do mnie i uprzejmie mi podaje rękę przedstawiając się — Jekatierina Pawłowna Pieszkowa, pełnomocniczka Polskiego Czerwonego Krzyża. „Przychodzę księdza odwiedzić, jako więźnia politycznego przeznaczonego na wymianę do Polski, ale nim wymiana nastąpi oświadczam, że ksiądz pozostawać będzie pod opieką miejscowej delegacji Polskiego Czerwonego Krzyża. Od czasu do czasu będę się starała księdza odwiedzać. W tej chwili przynoszę mu list od kogoś z jego rodziny z Polski”. Jegomość ubrany po cywilnemu wtedy mi ten list podał i jak się później dowiedziałem od dozorca, był to agent G.P.U. rewizor polskiej korespondencji. „Proszę na przyszłość miewać już gotowe listy, abym je mogła zabrać jak przyjdę. Czy ksiądz miałby do mnie jakieś zlecenia czy prośby? A jeśli w przyszłości ujawniłyby się pewne konieczności w zaopatrzeniu, to księdzu przysługuje prawo odwoływać się do mnie pisemnie za pośrednictwem towarzysza naczelnika więzienia. Czy ksiądz czuje się zdrow? Czy bywa wyprowadzany na powietrze?”. — „Zdrow jestem” — potwierdziłem — ale też stwierdzi-

łem, że od roku nie byłem jeszcze na spacerze. „O, to ja się postaram, aby ksiądz miewał codzienne spacery. Bieliznę przysługuje księdzu prawo oddawać do pralni za zapłatą. Postaram się przekazywać tu trochę pieniędzy i paczki żywnościowe regularnie co 10 dni, a czasami coś przez pośrednictwo sklepu więziennego ksiądz zacznie otrzymywać. Do widzenia. Proszę być dobrej myśli”. Oszołomiony, poruszony, wyprowadzony z nastroju jednostajnych myśli, uszczęśliwiony listem od siostry żyłem przez kilka dni jakimś nowym życiem. Zaczęto mnie wyprowadzać na spacer i to wyjątkowo długie, bo godzinne, otrzymałem paczkę żywnościową, a subiekt — więzień w białym fartuchu — ze sklepu więziennego podał mi przez luk chyba z kilo czereśni. Wszystko pokwitowałem, a wieczorem znowu doręczono mi pokwitowanie, że w kasie więziennej złożono dla mnie 5 rubli od Polskiego Czerwonego Krzyża. Miałem więc za co obstałować sobie ołówek, papier i kopertę. Ponadto co tydzień zapisywałem się na dwie flaszki sterylizowanego mleka, a czasami i na jakieś pudełko rybnych konserw w pomidorowym sosie, które w Rosji były smaczne. Począłem więc miewać w jedzeniu pewne urozmaicenie...

... Jekatierina Pawłowna Pieszkowa, pełnomocniczka Polskiego Czerwonego Krzyża na Rosję, to żona znanego rosyjskiego pisarza Maksyma Gorkiego (ale Gorkij to tylko pseudonim pisarski, a prawdziwe nazwisko Pieszkow). Od dawna ze sobą nie żyją; pan Gorkij miał już po kolei dwie żony; dziećmi się podzielili: przy nim pozostał syn, przy niej córka i ta zmarła w czasie grasującej epidemii tyfusu plamistego. Jedyna pociecha p. Pieszkowej to dwie wnuczki, córki syna, z którymi może się spotykać tylko za granicą i dlatego wyjeżdża niby w interesach do Polski, a syn z Włoch, gdzie przebywa przy ojcu, tam je jej przywozi. Z kim mieszka w Moskwie — nie wiem, ale tę panią za jej charakter i usłużność czczę i lubię. Po wymianie mojej spotkałem się z nią na herbatce u p. Paszkowskiej, głównej sekretarki P.C.K. w Warszawie. Mówiła mi wówczas, że należy do ludzi niereligijnych i jest „mienszewiczką” — inaczej socjalistką-demokratką. Opiekuje się przez tyle lat bezinteresownie Polakami i księżmi więzionymi przez bolszewików dlatego, że widzi straszną ich krzywdę i prawdziwą niedolę ludzką. O ile wiem była ona przewodniczącą półoficjalnej organizacji sowieckiej znanej pod nazwą „Pomoszcz polityczeskim zakliuczonym” (Pomoc więźniom politycznym). A oprócz tego przy ulicy Kriwokolennyj Pierieułok Nr 8 prowadziła biuro Polskiego Czerwonego Krzyża z zakresem działalności na całą Rosję. Jej odpo-

wiednikiem w Polsce była przedstawicielka Sowieckiego Czerwonego Krzyża, a mówiąc wyraźnie „Mopru”, czyli komunistycznej nadbudówki rozciągającej swą opiekę nad więzionymi komunistami w Polsce i na całym świecie i pod tym płaszczkiem propagującej komunizm — Polka, nazwiskiem Sempołowska, skrajna starsza socjalistka. O ile Sempołowskiej udawało się lepiej w Polsce wypełniać swoje zadania, o tyle Pieszkowa znajdowała więcej swobody w wyświadczaniu usług więźniom Polakom. Czasem rewanże za ukrócanie zapędów pani Sempołowskiej w Polsce tak się zaostrzały, że i po dwa i trzy miesiące p. Pieszkowa ani nas odwiedzać, ani korespondencji nam doręczać nie mogła. Stawaliśmy się wciąż ofiarami stosunków dyplomatycznych, a tak było ciężko podlegać represjom ani zasłużonym, ani oczekiwanym. No, ale w każdym razie istnienie pełnomocniczki Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie w osobie p. Pieszkowej było prawdziwym dla nas dobrodziejstwem. Jej odwiedziny i okazywana przez nią troska o najelementarniejsze nasze potrzeby, to przede wszystkim moralne podniesienie na duchu, że jednak jest ktoś kto nas, więźniów, traktuje życzliwie i naszej ciężkiej doli chce ulżyć. I rzeczywiście przynosiło nam to wielką ulgę. A po wtóre było i to, że dzięki jej opiece nad nami nie zmarłem w więzieniu z ostatecznego wycieńczenia i nie zostałem zjedzony przez robactwo. Bowiem „surowa izolacja” — jak nazywano rodzaj kary, na którą zostałem skazany — ma to do siebie, że skazanemu nie wolno otrzymywać paczek, ani prowadzić korespondencji, a bez paczek — to głód ostateczny i oberwaństwo przyrodziewku, bez korespondencji — sytuacja zamkniętego żywca w grobie. Jedynie więc tylko Polski Czerwony Krzyż mógł jednemu i drugiemu zapobiec. Niezadługo poznali tę drogę moi parafianie i krewni z Polski i tak pocziwie, co tylko mogli, nadsyłali do pani Pieszkowej, a ona już mi to niby jako dar Czerwonego Krzyża potrafiła doręczyć. Dlatego też przetrwałem nawet bez większych chorób te sześć lat i trzy miesiące mego więzienia...



... Ale już rok prawie minął jak mnie osadzono w Butyrkach, a tymczasem ani aktu oskarżenia mi nie doręczono, ani żadnego skazującego mnie wyroku administracyjnego nie otrzymałem. Kiedy raz przy odwiedzinach zagadnąłem panią Pieszkową dlaczego siedzę i co zamierzają ze mną uczynić, to ona — krępując się obecnością naczelnika więzienia i agenta G.P.U. — tylko tyle mi powiedziała: „Ha, trudno, względy polityczne w grę tu wchodzi”. Rozmyślałem, rozmyślałem i rozmyślałem jakie to

względy polityczne trzymają mnie w takim zawieszeniu i do żadnych możliwych przypuszczeń dojść nie mogłem. Tak przemienęło lato i nadeszła zima. Dopiero w grudniu, w adwencie 1927 roku kazano mi przygotować się do drogi na miasto, do sędziego śledczego. Razem z dwudziestu ludźmi wsadzono mnie do bezokiennego czarnego autobusu i rozpoczęła się po bruku moskiewskim trzęsąca jazda gdzieś w nieznane. Co jakiś kwadrans *czornyj woron* (czarny kruk) zatrzymywał się i żołnierze co siedzieli na tylnej platformie odryglowali drzwi autobusu, wywoływali jakies nazwiska, jednych wysadzali, innych wprowadzali wymieniając to Sąd Narodowy, to jakieś inne więzienie, to urząd jakiegoś śledczego, to domy aresztów. Wreszcie *czornyj woron* już prawie był pusty, uchylono drzwi i posłyszałem swoje nazwisko z dodatkiem *wychodi*. Wszedłem. Już stało dwóch czekających na mnie żołnierzy, wprowadzają mnie do przepięknego domu wielkopańskiego, czytam napis u drzwi: „Najwyższy Sąd Wojenny SSSR”...

... Po kilkudniowych seansach badań znowu zaprzestano mnie wozić do tego sądu. Minęło Boże Narodzenie, rozpoczął się rok 1928, minął styczeń, w końcu którego dowiedziałem się po fakcie z gazety *Prawda* (Matron bowiem zezwolił mi abonować tę gazetę od początku 1928 r.), że odbyła się już wymiana partii Polaków za komunistów do Polski, a mnie pominięto, co mnie ogromnie przygnębiło i do głębi dotknęło, bo przecież głównie siedziałem za Polskę i jej umiłowanie. Przy bytności u mnie pani Pieszkowej, towarzyszący jej agent G.P.U., miał jeszcze bezczelność mi dorzucić: „No, ksiądz został, bo widocznie Polska się o niego nie troszczy”. Ponieważ księdza Chmielnickiego w tej właśnie partii odesłano do Polski, więc i książki z biblioteki przychodziły do mnie albo już czytane, albo całkiem nieodpowiednie i nieciekawe. Stąd też pozostawałem w okropnym nastroju duchowym i nerwy moje były niemal na wyczerpaniu, a noce bezsenne. Ale tu gdzieś w lutym, na początku czy na końcu miesiąca, nie pamiętam, naraz prowadzą mnie — jakoś w godzinach wieczornych — do gabinetu butyrskiego więzienia. Tam oczekuje na mnie jegomość nader bladej, z lichym zarostem na twarzy, nędznie ubrany, który przedstawia mi się jako wiceprokurator Najwyższego Związkowego Wojennego Sądu i mówi, że jest przysłany, aby mi doręczyć akt mojego oskarżenia. Wyciąga z teki parę bitych arkuszy pisma maszynowego i każe pokwitować odbiór. Grzecznie mnie pożegnał i poszedł. Kiedy się znalazłem z powrotem w celi rzuciłem się do odczytywania mego oskarżenia, na które musiałem oczekiwać rok i osiem miesięcy.

Zarzucano mi szpiegostwo i kontrrewolucję. Szpiegostwo w jednym punkcie, a kontrrewolucję w trzech. Wszystko ściągano więc do czterech punktów oskarżenia, a każdy z tych punktów podciągano pod taki paragraf sprawiedliwego sowieckiego prawa karnego, który groził tak zwanym „najwyższym wymiarem sprawiedliwości”, czyli mówiąc po prostu śmiercią. Nie wiem dlaczego, ale ani trochę nie przeraziłem się tą elukubracją, wydała mi się napuszona i śmieszna: ja szpiegiem, ja czynnym kontrrewolucjonistą! — przecież to kpiny. Ale kiedy raz i drugi, i niemal dziesiąty ten ciekawy i nieoczekiwany dokument odczytuje, zaczynam rozumieć, że to właściwie nie przeciwko mnie, a przeciwko polskiej dyplomacji w Rosji głównie kierowane są oskarżenia. Ja jestem w tym dlatego, że dawałem się sobą posługiwać we wrogiej dla Sowietów akcji przedstawicieli polskich placówek. Ależ tego przecież — to jasne — nigdy nie było. Cóż to za nowe pretensje do mnie. Ja dążyłem — dowiaduję się tego po raz pierwszy — do oddzielenia prawobrzeża dniprzeńskiego od Rosji do Polski, kiedy nigdy, przenigdy o takich dążeniach żaden polski dyplomata mi nawet nie mówił. Cóż to za wynalazek najbujniejszej czyjejs wyobraźni. A jednak, kiedy w dobę później, znowuż w tym gabinecie zetknąłem się z adwokatem Kurakinem, który opłacany przez moich kijowskich parafian podejmował się mojej obrony, to zrozumiałem, że te wszystkie zarzuty z aktu oskarżenia traktowane są poważnie. I musiałem się nawet zdziwić, kiedy ten pan jakby mi nie dowierzał, gdy wręcz twierdziłem, że żadnej organizacji polskiej nie znałem i w niej nie uczestniczyłem. Mówił mi: „Obrońcy należy wyznaczyć jednak czystą prawdę, bo to mu ułatwia obronę”. A ja tymczasem zacząłem powątpiewać, czy ten obrońca jest mi naprawdę życzliwy, a nawet czy naprawdę został wybrany przez moich parafian — a może to tylko jeden z agentów G.P.U., podszywający się pod miano obrońcy prawnego przychodzi tu, aby w drodze zaufania coś jeszcze więcej wyciągnąć ku mojej zgubie. Tym bardziej, że pan Kuragin zaznaczył, iż opinia sowiecka nawet go potępia za to, że podejmuje się obrony księdza i tak wybitnego jak ja kontrrewolucjonisty. Dowiedziałem się też od niego, że mój proces jest naznaczony za cztery dni, że gazeta sowiecka *Krasnaja zwiezda* zamieściła już wzmiankę z wyciągami z mego aktu oskarżenia, że go dopuszczono do przejrzenia akt tylko przez te parę dni, które dzielą od dnia rozpoczęcia procesu, i że z powodu tego tylko pobieżne może mieć o mojej sprawie wyobrażenie. Tak więc rok i osiem miesięcy trzymano mnie w więzach, nie mogąc nawet sformułować mego aktu oskarżenia, a niby to prawodaw-



stwo sowieckie zastrzeżę, że bodaj do trzech dni aresztowany ma zostać powiadomiony za co został pozbawiony wolności. Akt oskarżenia doręczają mi na cztery dni przed procesem, a mój adwokat nie ma dostatecznego czasu na zaznajomienie się ze stanem i szczegółami sprawy.

W zapowiedzianym przez Kurakina dniu rzeczywiście powiedziano mnie około godziny czwartej wieczorem do sądu. A jechałem z niezwykle paradą, na odkrytym autokarze, pod eskortą sześciu żołnierzy i młodego oficera z formacji tak zwanego wojsk OGRU. Żołnierze nastawili na mnie lufy karabinów, a oficer trzymał w pogotowiu rewolwer. W znanym mi już gmachu sądu umieszczono mnie razem z eskortującymi cerberami w pokoju, rodzaju poczekalni. Czułem się ochrypli i wyciągnąłem z kieszeni pastylkę mentolową i do ust ją włożyłem. A tu jeden z krasnoarmiejców rzuca się na mnie, usta mi przemocą otwiera i brudnymi paluchami pastylkę z ust wyciąga. Myślał, że ja się truję. Po półgodzinnym czekaniu wpada do pokoju wojskowo ubrany młody Żyd i mówi do mnie: „Ja jestem komendantem sądu, nazywam się Uszer. Waszej sprawy dzisiaj słuchać nie będą, ja wiem doskonale”. I rzeczywiście, zjawia się oficerek z eskorty i komenderuje mnie z powrotem odprowadzić do auta i odwieźć do więzienia. Nic nie rozumiem, ale przechodząc przez salę sądową widzę, że dużo jest na niej ludzi ze świata robotniczego. Widocznie moją sprawę chcą bardzo upublicznić i z nakazu prowadzą publiczność, szczególnie ze związków zawodowych. W następnym dniu znowuż mnie o tej samej godzinie, pod taką samą eskortą wiozą do sądu i znów towarzyszy Uszer zwiastuje, że przewodu sądowego i dzisiaj nie będzie. Znowuż po kilku kwadransach odtransportowują mnie do Butyrek. Dopiero za trzecim razem wprowadzono mnie na salę, ale publiczności, prócz paru woźnych sądowych i posługaczek znanych mi już z więzienia, nie było. Adwokat Kurakin stanął obok mnie, towarzyszył Matron, wiedziony ciekawością, zasiadł w pierwszym rzędzie krzeseł, a przed nim, już po tej stronie balustrady, dwa jacyś jegomoście: jeden z twarzą ogoloną, sympatycznie wyglądający, drugi z kosią brodą, ponury i tylko jakby ukradkiem kierujący na mnie wzrok. Komendant Uszer raptem wrzasnął: „Sąd idzie!”. Podniosłem się z krzesełka i p. Kurakin uczynił to samo, ale mi przedtem szepnął: „Proszę tak jawnie się do mnie nie zwracać, a jeżeli trzeba będzie mi coś powiedzieć, to proszę to uczynić zupełnie publicznie, gdyż zbyt duża konfidencja podsądnego z adwokatem może mieć dla adwokata opłakane skutki; sędzią jest Ulrych, znany prezes Najwyższego Sądu Wojennego i proszę mu

zbyt nie ufać, gdyż mimo pozornego ugrzecznienia, wiele wro-  
giej zaciętości ksiądz w nim spotka”. Zasedli. Sędziowie woj-  
skowo ubrani — jest ich trzech, prokurator za swoją katederką  
i dwaj sekretarze w kącie. Pan Ulrych ogłasza, że otwiera sądowe  
posiedzenie i wnet dodaje: „Sąd otrzymał od Komisarza Spraw  
Zagranicznych (był nim wówczas Litwinow) przedstawienie, aby  
sprawy podsądnego Skalskiego ze względu na dyplomatyczny  
stosunek z pewnym ościennym państwem zaniechać. Co towa-  
rzysz prokurator na to by powiedział?”. Towarzysz prokurator  
zrywa się i najjawniej ukartowaną daje odpowiedź: „Nie mogę  
się zgodzić z zaniechaniem słuchania sprawy Skalskiego ze wzglę-  
du na jej wielką doniosłość i ogromne przewinienia podsądnego;  
ale uwzględniając motywy, którymi kieruje się p. *Komindiel*  
(Komisarz Spraw Zagranicznych) zgodziłbym się na słuchanie spra-  
wy przy drzwiach zamkniętych”. Towarzysz prezes zwraca się  
do mnie: „A podsądny jaki by miał wybór?”. Odpowiadam,  
że mi wszystko jedno. Chociaż Kurakin mi podszeptuje, abym  
żądał jawności sądu. Sąd oddala się, niby na debaty i za pięć  
minut już jest znowu na sali i p. Ulrych ogłasza, że sprawa będzie  
słuchana przy drzwiach zamkniętych. Zwraca się więc do tych  
paru woźnych i posługaczek, aby opuścili salę. Pozostaje kwes-  
tia, czy ci panowie, co siedzą przy balustradzie mają pozostać.  
Prokurator domaga się, aby pozostali, gdyż są to eksperci, których  
opinii może w każdej chwili potrzebować, jak np. co głosi ka-  
tolickie prawo kanoniczne. Sąd uwzględnia i ci panowie zostają.  
Sekretarz odczytuje akt oskarżenia i ogłasza skład sądu. Przewo-  
dniczący Ulrych, Łotysz — o prowadzeniu przez niego spraw  
wiele razy czytałem w gazetach, kiedy miały miejsce wielkie  
procesy agitacyjne, kończące się przerażającymi wyrokami; wo-  
tanci: Żyd Pawłowski i Łotysz Kameron; prokurator — zastęp-  
ca Krylenki, Ormianin Katajan, ten sam który występował w  
charakterze oskarżyciela na procesie śp. Arcybiskupa Cieplaka.  
Ekspertami są: od spraw historycznych Przybyszewski, syn zna-  
nego pisarza Stanisława Przybyszewskiego, dyrektor konserwato-  
rium muzycznego w Moskwie, a od spraw kościelnych wywłoka  
i apostata, eksksiądz Witkowski, *nota-bene* z Akademii Peters-  
burskiej kiedyś usunięty, jako zdradzający chorobę psychiczną.  
Ten jakiś piękniejszy i swobodniejszy, to Przybyszewski, a ten  
przygnębiony i jak stary wilk najeżony — to ekspert Witkowski.  
Co oni powiedzą już wiem, gdyż ich ekspertyzę zapisaną zdaje  
się przez agenta Leszczyńskiego, który mnie badał na Łubiance,  
dawał mi do czytania Matron. Przybyszewski miał czelność udo-  
wadniać, że kler katolicki, a szczególnie wyższy kler polski, nale-

żał do zwolenników i popleczników caratu. Ekspertyzę swą wywodził od rozbiorów Polski do powstania styczniowego. Uogólniał historię i przyczynę skazania przez rewolucję biskupa Kossakowskiego i Massalskiego, historię niektórych księży, wywodzących się rodów arystokratycznych i razem ze swoimi rodami należących do targowiczian, lub przynajmniej do tego smutnego kierunku politycznego, i przedstawiał to jako zjawisko wśród kleru polskiego powszechne. Tak liczne ofiary z szeregów duchowieństwa w powstaniu 1863 roku bagatelizował i przypisywał to tylko pomimowolnemu wciąganiu księży w akcję, której z natury swojej byli przeciwnikami, a kończył charakterystycznie w ten sposób: „A ponieważ podsądny Skalski też jest ksiądz, a ponadto nawet wyższy, niemal dostojnik, gdyż jest prałatem, infulatem i administratorem diecezji, więc bez wątpienia i on musi być i jest kontrrewolucjonistą”. Przyszedłem na świat w czternaście lat po powstaniu styczniowym, a nim zostałem księdzem upłynęło jeszcze 23 lata. Zatem początki mojej działalności kapłańskiej przypadają w co najmniej 37 lat po powstaniu i każdy wie, że orientacja księży popowstaniowych jakże daleka była od wszelkiej ugody z moskiewskim rządem... Jednak ten słuźalczy sądowy ekspert historyczny był na tyle nikczemny, że śmiał kwalifikować opinię na podstawie wywodów historycznych o lat trzydzieści poprzedzających moje kapłaństwo, wywodzić, że jestem zwolennikiem carskiego despotyzmu i najwyższy sąd sowiecki, który mnie sądził, nie przesłuchując nawet na samej rozprawie Przybyszewskiego, a tym samym nie dając mi możliwości sprostowania tej głupiej ekspertyzy, przyjął ją jako świadectwo mojej kontrrewolucji — jakże przez to niskim zapisał się na kartach ludzkiej historii. Ekspert Witkowski na przewodzie parę razy coś niecoś przeciwko mnie wybąknął. Chodziło głównie o to, że przy rozmaitych badaniach śledczych miałem okazywać wielkie zainteresowanie Kościoła sprawą robotniczą. Encykliki społeczne Leona XIII, Piusa XI były dla prostaczków moich śledczych — wprost rewelacją, tak byli przepojeni trucizną przekonania, że Kościół to bezwzględny stronnik burżuazji i arystokracji. Obawiano się więc, że na przewodzie sądowym, gdyby był jawny, mógłbym w publiczności zachwiać te tak kłamliwe i starannie zaszczerpione przekonania, że Kościół i duchowieństwo to wrogo wie klasy robotniczej. Witkowski miał właśnie temu zaradzić. A jakże zaradził? — najmniej zdarnie w świecie. Czynił ze mnie jakby heretyka przekonań katolickich, tylko dla obrony przed postępowym światem komunistycznym symulującym nieznaną w praktyce kościelnej postępowe teorie. Z jego ekspertyzy wyni-

kało, że i Papieże tylko w celach propagandowych ogłaszali jakieś tam encykliki, aby utrzymać przy sobie świat robotniczy; moralści katolicycy wyprowadzają teorię o prawie własności, której podkopanie może być niekiedy usprawiedliwione, ale w rzeczywistości katolicy nie trzymają się tego i podsądny Skalski w swojej praktyce kapłańskiej też od tego musiał być daleki. Tylko aby się łatwiej uchylić od sprawiedliwości robotniczego sądu jakieś tam teoretyczne sympatie dla świata robotniczego oświadcza, których mieć nie może i których świat robotniczy od niego nie potrzebuje. Skalski tu zmyśla — pisał Witkowski — takich postępowych poglądów Kościół w swej praktyce nie zna. Inne jest życie, a inne są słowa. Księża w samej swej moralnej teologii i prawie kanonicznym, których się nigdy nie trzymają, są już zacofańcami, kontrrewolucjonistami i wrogami klasy pracujących. — Co za bezsens. Ale nie miałem sposobności na sądzie tego obalać — zapamiętałem to tylko z pobieżnego przeczytania tej ekspertyzy. Na sądzie prokurator zapytywał Witkowskiego o coś innego i pamiętam tylko tyle, że go dobrze odparł i zawstydził, aż się Ulrych uśmiechnął. Mimo to nie wątpię, że i ta głupia i podła ekspertyza księdza wywołki na sformułowanie ciężkiego na mnie wyroku „o dowiedzionej kontrrewolucji” mogła wpłynąć. Świadców żadnych przeciwko mnie sąd nie miał, myśleli więc mnie potępić z jakichś swych ogólnych zasad, które niby jakoś udowadniają ci eksperci. Ale prokurator miał jeszcze coś przeciwko mnie i dlatego na początku rozprawy zażądał, aby do mojej sprawy dołączono: 1) sprawę Arcybiskupa Cieplaka (ten sam Katajan był oskarżycielem w sprawie arcybiskupa Cieplaka i śp. prałata Budkiewicza); 2) sprawę księdza Andrzeja Fedukowicza. Naturalnie sąd się na to zgodził. Dotąd nie wiem dlaczego sprawę arcybiskupa Cieplaka dołączono do mojej, bo w dalszym przewodzie sądowym nawet sam Katajan ani razu się na nią nie powoływał. Natomiast sprawę Fedukowicza wyzyskał przeciwko mnie w tym kierunku: w nieszczęsnym swoim „liście do Papieża” ten zacny, a pomyłony mękami Czerezwyczajki kapłan wyraził się, że niby on, a zdarzają się i inni księża, którzy przyjmują na siebie zdania szpiegowskie w stosunku do polskich placówek dyplomatycznych; no i tu prokurator z emfazą woła: „Oto był uczciwy ksiądz, on jeden prawdę zeznał. On powiedział, że zdarzają się kapłani, którzy są szpiegami polskimi — jestem zdania, że podsądny Skalski jest właśnie jednym z nich” i na zasadzie w ten sposób urobionego przekonania żądał zważyć na mnie oskarżenie o dokonany szpiegostwie, za które przecież bezwzględna kara śmierci.

Po ustaleniu więc w ten sposób preliminariorów sądu, zaczęto prowadzić właściwą rozprawę. Ale od razu czuło się, że to prowadzenie rozprawy przy drzwiach zamkniętych zawodzi wszelkie pokładane w niej zamierzenia sowieckie i że prowadzi się ją dalej, aby z jednej strony zachować pozory, że sądy sowieckie, a tym bardziej ich najwyższy trybunał, nie zajmuje się sprawami błahymi; a z drugiej odeprzeć wszelkie podstawy do przypuszczeń, że Sowiety musiały ulec interwencji dyplomatycznej Polski. Ciężki wyrok na mnie musiał więc być uważany za przesądzony, a sam przewód sądowy to już rzecz do zbagatelizowania, dla sędziego nudna i niepotrzebna, dlatego też sprawę prowadzono najpowierzchniej i najpobieżniej. Opowiem o tym za chwilę. Ale przedtem muszę wyjaśnić jak doszło do tego, że sprawę tak rozdmuchiwaną i wyolbrzymianą zredukowano po trzech dniach wahania właściwie do pozoru sądu. Między Polską a Sowiecami w tym samym czasie toczyły się pertraktacje o zawarcie jakiejś umowy. Litwinowowi, komisarzowi spraw zagranicznych, chodziło o ich pomyślny wynik. A tymczasem partia razem z G.P.U. najniezgrabniej w świecie wysuwają moją sprawę, a z treści opublikowanego w gazetach aktu oskarżenia czarno na białym wynika, że tu chodzi głównie o spotwarzenie polskich placówek dyplomatycznych w Rosji. Delegat polskiej misji, śp. Hołówko — misji która właśnie miała prowadzić te pertraktacje — wniósł protest do Litwinowa. Litwinow zainteresował się sprawą, by ją zaniechać, a Sąd nastaje na jej prowadzenie, choćby przy drzwiach zamkniętych. To obraziło pana Hołówkę, zerwał wszelkie pertraktacje i wyjechał do Polski. A odium oczywiście spadło na mnie.

Prokurator Katajan jest główną osobistością na moim sądzie. To on nie daje mi przyjąć do słowa i z ułożonych i ukartowanych przeciwko mnie zarzutów wysuwa jeden po drugim starając się w najprzebieglejszy sposób wyciągnąć ode mnie ich potwierdzenie. A kiedy usiłuję wyjaśnić jak i co było i co to oznaczało, to mi przerywa, nie chce dopuścić żadnej innej koloryzacji faktów, jak te które wyrobili sobie moi śledczy i on razem z nimi. Pyta np. czy ja otrzymywałem pieniądze z Polski. Kiedy podkreślam, że otrzymywałem niewielkie sumy z Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny, z Komitetu Wykonawczego i z Polskiego Czerwonego Krzyża wyłącznie na cele dobroczynne, że wspomagałem nimi największą nędzę, głodujące nauczycielstwo polskie, że karmiłem i przyodziewałem umierających z głodu i chłodu — to on nie chce tego słuchać. Tylko ze słów moich stwierdza fakt, że posiadałem do rozporządzenia pewne rzeczy i pieniądze z Polski, dostarczane mi przez polskie misje w Kijo-

wie lub przez kurierów dyplomatycznych i tego ma dosyć, aby wyciągnąć wniosek, że to tylko tak się gada o tej jakiejś filantropii, a w rzeczywistości Polska mi coś dawała, bo i ja jej coś dawać musiałem. A cóż innego, jak nie informacje szpiegowskie. „Ale panie prokuratorze, jakie informacje?” — „Podsądny przecież nie zaprzecza, że spotykał się z konsulami polskimi i że oddawali oni księdzu wizyty. To przecież o czym mówiliście ze sobą?” — „A o czym?” — „No, zapytywali księdza ilu masz parafian, diecezjan”. — „Tak, tego nie zaprzeczam, ale to się nawet czarno na białym drukuje w rubrycelach”. — „A, w rubrycelach. A skąd ksiądz i jakim prawem mógł posiadać rubrycele, które drukował biskup w Polsce?” — „Nie mogę zaprzeczyć, że biskup Dąbrowski z Łucka przesyłał mnie, jako swemu wikariuszowi generalnemu, przez kuriera dyplomatycznego transport rubryceli dla wszystkich księży i że ja je księżom rozsyłałem”. A to już uważano za przestępstwo: odbierać coś od biskupa zagranicznego i drogą dla mnie niedozwoloną, bo przez kuriera dyplomatycznego. „Ależ, proszę Sądu, to nie tylko ja, ale całe społeczeństwo kijowskie korzystało z usług poczty dyplomatycznej. Po kilkanaście worków listów i różnych przesyłek przywozili kurierzy dyplomatyczni i władza sowiecka doskonale o tym wiedziała i nadsyłała do biur polskiej misji swoich kontrolerów, którzy byli obecni przy rozpieczętowaniu i rozłakowywaniu poczty dyplomatycznej, bo inna wtedy nie istniała. „Jakto nie istniała?” — woła prokurator i posiada już urzędową notatkę, że niby to nie było w stosunkach między rewolucyjnym rządem rosyjskim a formującym się rządem polskim momentu, kiedy by wzajemna poczta nie kursowała. I dogadajże się z takim panem, który stwierdza to, czego nie było, kiedy każdy, co te czasy pamięta, wie że przez kilka lat nie było rzeczywistego obiegu pocztowego pomiędzy Polską a Sowietami, choć może *de iure* gdzieś jakiś urzędnik moskiewski korzystał z usług poczty. Ale co im do tego — potępia się mnie za to, co wszyscy najjawniej i najpubliczniej robili, co miejscowe władze sowieckie doskonale widziały i tolerowały jako jedyny modus komunikowania się ludzi między sobą i do czego uciekali się też sami komuniści. Sam nawet byłem proszony przez pewną rodzinę komunistyczną o zakomunikowanie niejakim Rosjanom, zamieszkałym w Polsce, że ich krewni komuniści są w Kijowie, że są zdrowi, a i tamci z Polski nadesłali na moje imię niektóre przedmioty ciepłe włniane dla tych swoich krewnych — komunistów, i ja je im doręczyłem i bardzo serdecznie mi dziękowali za wyświadczoną przysługę. Komuniści, którzy nie rabowali pozostawali — jak i my wszyscy — w wielkim niedostatku, szczególnie co do obuwia i

odzieży. Kiedy prokurator wysuwał przeciwko mnie zarzuty, na niczym nie oparte, pochodzące z innych prokuratur, które obalałem mówiąc: „Dlaczego sąd mi nie stawi ich tutaj dla konfrontacji” — to prokurator już w tece miał notatkę od jakiejś policji, że tacy to a tacy byli poszukiwani, ale nie zostali odnalezieni, i wnosił, aby złożone przez nich zeznania, jako mnie obciążające, zostały przez sąd przyjęte. Pomiędzy innymi takimi obwinieniami jedno było wprost komiczne i śmieszne: jakaś Waleszyńska, osoba mi nieznana, z prawosławia przyjęta na katolicyzm przez śp. księdza Fedukowicza w Żytomierzu, wielce przez niego dobrodziejstwowana, a potem jako konfidentka G.P.U. najcyniczniej go oskarżająca o rozmaitą wrogą Sowietom polityczną działalność, miała gdzieś w G.P.U. zeznać, że na odpuszcie św. Piotra i Pawła w katedrze Żytomierskiej, w zakrytiii była pasowana przez księdza Fedukowicza na wachmistrza defensywy polskiej, i że na ten doniosły akt umyślnie zjechałem z Kijowa i byłem świadkiem obrzędu, jak ksiądz Fedukowicz jej specjalne naramienniki wachmistrzowskie wkładał na ramiona. Kiedy ja zaczynam wprost to zeznanie wyśmiewać, a Waleszyńskiej — naturalnie — jako nieodnalezionej nie ma na sali sądowej, i powiadam, że to co pan prokurator bierze za pasowanie na wachmistrza mogło być najwyżej wpisywaniem tej pani do jakiegoś szkapleryza — to prokurator tego jakby nie słyszy, a obronę moją unicestwia, w swoim przekonaniu, pytaniem: „A proszę pod sądnego powiedzieć, czy znani są w waszym ustroju kościelnym generałowie zakonów?”. Kiedy mu odpowiadam, że tak, naturalnie, to on z miną triumfatora zwraca się do sądu tymi słowami: „Proszę sądu, jeżeli u nich bywają generałowie, to dlaczego nie mogliby być wachmistrze?”. — I sąd robi minę, że to pasowanie Waleszyńskiej na wachmistrza rzeczywiście miało miejsce i że ja, jako obecny na tym akcie, muszę i zań ponieść odpowiedzialność. Ponieważ nie mogłem zaprzeczyć faktu, że w roku 1926, 1-go maja, był u mnie delegat papieski biskup Michał d’Herbigny, podróżujący zupełnie legalnie po Rosji w charakterze misjonarza, więc na mnie prokurator wylewa całe odium sowieckie przeciwko Papieżowi, i żąda ukarania mnie jako żołnierza Kurii Rzymskiej dlatego, że Kuria w osobie d’Herbigny’ego miała oszukać Sowiety. On otrzymał prawo wjazdu do Rosji jako misjonarz mający objechać i obsłużyć pod względem religijnym kolonie i osiedla francuskich katolików, a tymczasem posiadał sakrę biskupią i konsekrował kogoś na biskupa w Petersburgu i wypełniał akty jurysdykcji papieskiej. Naturalnie ja w tym wszystkim byłem tyle samo winien, co sam prokurator, ale mnie jako kapłana katolickiego należało ukarać za

d'Herbigny'ego, bo żołnierz na posterunku pada dlatego, że mu wódz na tym miejscu stać rozkazał. Ja też jestem winien, że ks. Żyliński, mieszkający na pograniczu Polski, w Olewsku na Polesiu, ułatwił paru osobom przejście przez zieloną granicę. Ja też odpowiadam za ucieczkę ks. Romanowskiego przed uplanowanym nad nim sądem Sowietów. Ja muszę ponieść karę, że mnóstwo młodzieży polskiej i polskich dzieci wyjechało nielegalnie do Polski, bo ja przynajmniej o tym wiedziałem i nie poinformowałem Sowietów. Ja korumpowałem nauczycielstwo szkół polskich, bo wydawałem im nikłe zapomogi, ale i tego wystarczyło, że podtrzymywał się w nich duch narodowy, komunizmowi nieprzyjazny. Mnie też trzeba potępić i za jakiegoś księdza Pietkiewicza, któremu dałem posadę, a o którym Sowiety nic nie wiedzą, jak i ja o nim nie wiem, ale o którym zeznałem, że przez pewien czas ukrywał się przed Sowietami i że ja go dopiero ośmieliłem do jawnej pracy kapłańskiej. Na mnie ciąży zarzut, że siedmiu innym księżom, przysłanym przez Ordynariusza z Łucka do mego rozporządzenia i naznaczenia na wakujące parafie, te parafie dałem i przez cztery lata zachowywałem milczenie o ich pracy. A oni mogli — choć nie ma na to żadnych danych — uprawiać szpiegostwo. Władza sowiecka przeprowadziła zupełny rozdział pomiędzy Kościołem i Państwem i ani biskupów, ani ich zastępców — takich jak ja — ani samych kapłanów w zasadzie nie uznaje, a jednak chciałaby zachować coś z dawnych ingerencji rządu carskiego w życie Kościoła, i ma mi za złe, że w swych rządach diecezją w niczym nie odwoływałem się do Sowietów i jakby ich nie uznawałem. Ja wreszcie skazałem na śmierć nauczycielkę, pannę Konczakowską, *nota-bene* osobę, o której niczego złego nie słyszałem, i której nigdy na oczy nie widziałem, a skazałem za to, że ona zdradzała niejaki sympatie dla ustroju komunistycznego, że sąd odbyłem w mieszkaniu p. Julii Lipińskiej w Żytomierzu itp. Dowiedziałem się po powrocie do Polski, że taka Konczakowska, chociaż może trochę lewicowa, ale broń Boże nie żadna komunistka, dotąd żyje, że p. Julia Lipińska w tym czasie, w którym w jej mieszkaniu miał się odbyć ten sąd kapturowy, od dawna już nie była w Żytomierzu, a mieszkała w Warszawie. Skąd i po co taki zarzut stawiano — zgoła nie rozumiałem i dotąd nie wiem. Jest rosyjskie przysłowie: „*Wsiakij sukinsyn mierzajet na swoj arszyn*”. Partyjnicy komuniści, co tyle kapturowych sądów nad ludźmi wydali, po swojemu patrząc na innych po swojemu ich sądzą. Trzy dni ciągnęły się w tym duchu prowadzone debaty, wreszcie na trzeci wieczór ujrzałem jakieś dwie młode osoby z ołówkiem w ręku siedzące na sali poniżej podium sędziów —



to były stenografistki, dla zapisywania ostatecznej mowy oskarżycielskiej prokuratora. I istotnie prokurator podniósł się ze swego miejsca i przeciwko mnie wygłosił płomienną mowę. Jako wschodniak, Ormianin, czynił to zapalczywie i z ogromną dla mnie pogardą. Usłyszałem najwyraźniej publicznie, że jestem skrajnym zacofancom, wielkim wrogiem świata robotniczego, skończonym kontrrewolucjonistą i szpiegiem Polski; że zasługuję na to, aby być zgładzonym z tej ziemi i że najwyższa kara sowiecka — kara śmierci byłaby dla mnie zgoła zasłużona i sprawiedliwa. Ale sowiecka władza szanuje swoje prawa i raz udzielonych łask nie cofa, więc on, prokurator mimo wszystko zgadza się, aby w stosunku do mnie miało zastosowanie ogłoszonej przed rokiem amnestii, na mocy której zasługujący na karę śmierci przestępcy otrzymują inny, niższy stopniem wymiar sprawiedliwości, jeżeli dokonanie przez nich przestępstwa uprzedziło jubileusz dziesięciolecia rewolucji i jeżeli ujęci zostali bez broni palnej w rękę. Moja działalność kontrrewolucyjna wyprzedziła dostojny moment, a oprócz różańca i tego scyzoryka w kieszeni niczego groźniejszego nie znaleziono przy mnie w chwili ujęcia. Więc kara śmierci może i mnie być zamienioną na coś łagodniejszego.

W udzielonym mi ostatnim słowie właściwie nic powiedzieć nie chciałem, bo z zachowania się sędziów na rozprawie i z wyczuwalnego ich do mnie nastawienia rozumiałem, że każda moja najmniejsza obrona byłaby czyniona na próżno. Zresztą byłem chory: od tego kilkutygodniowego przedenerwowania dostałem wylewu żółci, w ustach miałem straszną gorycz, ból głowy i ogarnęła mnie zupełna apatia ducha, tak że odebrało mi to chęć do wszelkich dalszych wysiłków, tym bardziej że poprzedzający moje ostatnie słowo głos mego obrońcy, p. Kurakina, człowieka dość wymownego, przebrzmiał jak odgłos w próżni...

... Była to godzina wpół do jedenastej wieczór. Wyprowadzono mnie z sali sądowej do jakiejś innej, obszernej, ale zupełnie pustej. Żołnierze pilnujący mnie, znużeni i śpiący, usunęli się do kątów, a ja chodziłem po lśniącej posadzce i co dziwne zupełnie nie myślałem o wyroku, który mi za jakąś godzinę, półtorej ogłoszą. Dolatywały do mnie głosy moich sędziów wesoło gwarzących i postukujących naczyniami przy spożywaniu kolacji. Myślałem o diecezji naszej, o pozostawionych tam przyjaciółkach, o dawnych przejściach i sprawach mojego życia. A tu porywa się komendant Uszer: „A co obywatelu 'grażdaninie', może coś przynieść przegryźć? Bo ja tu wszystkim rozporządzam i wszystko mogę”. — „O, towarzyszu komendancie, jeżeli można, to proszę o szklankę herbaty z cytryną, bo gorycz żółci w ustach

wprost mnie morduje”. — „Bardzo dobrze” i polecił i rzeczywiście za chwilę podano mi herbatę i kromkę chleba z dużym plastrem *siewriugi* (ryby) wędzonej, jak kawał szynki. O tej uprzejmości Uszera w tej ciężkiej życia mego chwili naprawdę wspominam z wdzięcznością.

O północy wezwano mnie znów na salę i prezes Ulrich odczytał mi wyrok, który stwierdził, że mi jakoby udowodniono — o czym nawet na przewodzie sądowym, ani przy badaniach tylokrotnych u śledczych najmniejszego nawet nie było słowa — że ja w mej działalności dążyłem do oderwania prawobrzeża Dnieprowskiego od Sowietów i przyłączenia do Polski i że w tym kierunku, jako ogniwo wiążące placówki dyplomatyczne z ludnością polską zamieszkującą Ukrainę, działałem intensywnie; w poszczególnej zaś ocenie moich postępów udowodniona miała zostać przeciwko mnie kontrrewolucja w trzech punktach; ponieważ odebrano mi akt wyroku, gdy mnie wymieniano na granicy, dziś, po kilkunastu latach, naprawdę już nie pamiętam jaka była treść tych trzech punktów, ale na pewno każdy z nich podciągany był pod jakiś paragraf sowieckiego prawa karnego i za każdy groziła mi kara śmierci. Zastosowano jednak do mnie — jak sobie życzył prokurator — łaskę amnestii dziesięciolecia rewolucji i zamiast na śmierć skazano mnie za każdy punkt na 10 lat więzienia, czyli inaczej na trzydziestoletnie więzienie. Oskarżenie o szpiegostwo uchylono krótko — „z braku dowodów” — a na końcu dodano: ponieważ prawo sowieckie nie zna kary dłuższej niż 10 lat (obecnie to już mają karę do 25-ciu lat więzienia), to należne mi 30 lat redukują mi do 10-ciu, ale w surowej izolacji z konfiskatą całego mienia i pozbawieniem praw obywatelskich na 5 lat po odbyciu kary. „Surowa izolacja” to specjalne więzienia polityczne, gdzie skazany przebywa w separacie, nie ma prawa korespondencji, nie odbiera paczek z prowizją i podlega całej surowości reżymu tego rodzaju więzień politycznych. Przez cały ten rok i osiem miesięcy, które poprzedziły wydanie na mnie wyroku, pozostawałem przecież kubek w kubek w takich samych warunkach, więc perspektywa na przyszłość nie była odmienna...



15 sierpnia 1932 roku, w dzień Wniebowstąpienia Matki Boskiej, zaprowadzono mnie do gabinetu naczelnika więzienia. Tam, ku mej radości, ujrzałem Jekatierinę Pawłówną Pieszkową, która mi oświadczyła, że wymiana pewnej grupy więźniów do Polski już zdecydowana wreszcie i ja mam być wysłany z tą grupą. Gdzieś tu prawdopodobnie już notowałem, że jeszcze

w roku 1928 Polska miała mnie zabrać, ale wówczas Sowiety mnie nie oddały pod skłamanym pretekstem, że jestem chory. W rzeczywistości chodziło o rozegranie na mojej osobie odwetowego procesu za proces Białoruskiej Gromady w Polsce. Wtedy oddany za mnie komunista pojechał do Sowieców, a z moją wymianą zaczęto kręcić i po procesie. Stosunki między Polską a Sowiecami popsuły się, a do tego jeszcze polski konsul w Moskwie, p. Żeleziński, nie wiem czym zniewolony, podpisał zobowiązanie, że indywidualnie mnie żądać nie będzie. I tak siedziałem i siedziałem jeszcze całe cztery lata i może bym w więzieniach i zesłaniach sowieckich dotąd przebywał, albo i tam gdzieś kości swoje złożył, gdyby nie starania mego byłego parafianina p. Wilhelma Kulikowskiego, wielce poważanego adwokata kijowskiego, który będąc w Polsce naczelnikiem wydziału wschodniego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, nie zaniedbał żadnej sposobności do poruszenia sprawy mojej wymiany. Minister Beck o wymianach personalnych na ogół już słyszeć nie chciał, bowiem oddani z Polski do Sowieców komuniści bardzo rychło wracali do Polski przez zieloną granicę i swoją destrukcyjną robotę dalej prowadzili. Ale śp. pan Kulikowski działał na ambicję dyplomatyczną: „Jak to — wołał — Sowiety nas na księdzu Skalskim oszukały, komunistę zabrały, a Skalskiego nam nie oddały”. I pozyskał poparcie wiceministra Schätzla, wymianę wreszcie ukartował wnet po podpisaniu przez Polskę paktu o nieagresji z Sowiecami. Pamiętam, że wówczas podsunąłem p. Pieszkowej myśl, że byłoby rzeczą pożądaną, aby nas, idących na wymianę, już więcej nie włączyli etapami gdzieś do Moskwy, ale by nas ekspediowano do Polski wprost z Jarosławia. Ona to zapamiętała i swoimi staraniami sprawiła, że nie tylko nas pozostawiono w Jarosławiu, ale zaczęto tam zwozić innych kandydatów do wymiany nawet z Sołówek. Pomału uformowała się grupa licząca 41 osób. Czterdziesty pierwszy oddawany Polsce jako dług należny, a zaległy od 1928 roku — za mnie więc żaden nowy komunista nie był oddawany. W tej grupie było nas 16-tu księży, a reszta ludzie świeccy — mężczyźni i kobiety przeważnie z kategorii polskiego wywiadu politycznego, mówiąc wyraźnie wprost szpiedzy. Wszyscyśmy mieli wiszące nad nami ciężkie wyroki, albo rozstrzelanie, zawieszone dla spodziewanej wymiany, albo co najmniej 8-10 lat obozu koncentracyjnego, a ja tylko jeden ze ścisłej izolacji, niby to ułaskawiony od należnego mi wyroku śmierci. 8 września, w dzień Narodzenia Najśw. Marii Panny, p. Pieszkowa znów zawitała do izolatora i sprawdzała, czy już mniej więcej jesteśmy zebrani wszyscy i spisywała kto pragnie zabrać ze sobą do Polski kogoś z rodziny czy domowników, gdyż

według umowy wymiennej obie wymieniane strony miały prawo zabierać ze sobą swoich najbliższych. Ja już bliższych osób w Sowietach nie miałem, ale umyśliłem sobie, że powinienem jednak z przysługującego mi przywileju skorzystać i zapisałem przy sobie zupełnie mi obce osoby: trzy panny Bentkowskie, niegdyś ziemianki a przy Sowietach doprowadzone do ostatecznej nędzy, moje były penitentki, oraz panią Annę Matyjewicz-Maciejewicz, ostatnią prezeskę Sodalicii Mariańskiej Pań z Kijowa, osobę wielce szanowaną, niezmiernej użyteczności społecznej i kościelnej. Sowiety niestety poznały się na jej wartości i mają ją u siebie w więzach od trzech i pół roku, nie chciały jej wypuszczać z Rosji. Tylko prawdziwie cudowi Bożemu, a właściwie łasce Boskiej, uproszonej przez tę tak pobożną osobę, zawdzięczać należy, że na jej wymianę przy mnie Sowiety w ostatniej chwili przystały.

Wreszcie nadszedł dzień wywiezienia naszego z Jarostawia — był to 12 września, też w Kościele Bożym poświęcony czci Matki Boskiej, święto Imienia Marii.

Około godziny 9-tej wieczorem zaczęło kursować auto ciężarowe, wywożąc nas partiami z Korownik na dworzec kolejowy. Około wpół do 11-tej i ja już byłem umieszczony w wagonie. W malutkim przedziale „stołypinki” znalazło się nas ośmiu: trzech bracia Żyłowscy, ja, brat, spolszczony Niemiec Władysław Ellert, i dwóch jeszcze innych panów. Ciasno okropnie, ale w duszach radośnie. Około północy przetoczono nasz wagon na koniec pociągu i ruszyliśmy, Oto już Moskwa, elektryczne pociągi podmiejskie jeden za drugim rozmijają się z nami, wyprzedzają, lub odchodzą gdzieś w dal. Nasz pociąg prowadzą koleją obwodową i wreszcie około wpół do 10-tej stajemy na jasno oświetlonym dworcu Bałyckim. Każdy z nas z ciekawością rzuca okiem przez kratę. Widzę p. Pieszkową, a przy niej wymizerowaną, wychudłą p. Matyjewicz-Maciejewicz. Pieszkowa wchodzi na korytarz naszego wagonu, od razu zbliża się do kraty naszego przedziału i jakoś tak imperatywnie każe ją otworzyć, że dozorca ją uchyla. „Witam księdza i winszuję powrotu do wolności”. Przedstawia mi towarzyszących jej panów: „To są przedstawiciele Poselstwa Polskiego”. Witamy się, wszyscy są niezmiernie uprzejmi i tacy nam mili — bo swoi. A Pieszkowa do mnie: „Ja tu przywiozłam na drogę prowizji dosyć i oddaję to księdzu, a ksiądz już niech będzie łaskaw rozdzielić między wszystkich”, tu jakiś sługa złożył u drzwi, a raczej kraty naszego przedziału ogromny kosz prowiantów. I pożegnanie i odejście pociągu, a mnie już znowu zamknęli za kratę. Dopominam się energicznie o kosz z prowiantami, ale przewodniczący dozoru, polaczek-ko-

munista, zbywa mnie i mówi, że to jutro nastąpi, gdyż ma obowiązek tę przesyłkę przejrzeć. Tym paczek nie dostałem ani nazajutrz, ani nigdy bo dozór podzielił je między nami sam, według jakiejś miary sprawiedliwości, mnie niewiadomej, tak że już nie chciałem tego podnosić. Słowem mieliśmy się czym pożywić i stonych śledzi, które pozostały, nikt się już nie dotknął. Były białe bułki, doskonały smalec, wędliny, cukier, herbata a nawet cukierki.

15 września, około 9-tej z rana, kiedy przedstawiamy sobie, że nas rychło do lokomotywy przyczepią i że za godzinę znajdziemy się w Polsce, kiedy odczuwamy wstrząs — jak sądzimy — zetknięcia się wagonu z lokomotywą, nagle słyszymy wrzask — „Wychodzić z rzeczami”. Chwytny więc nasze manatki, ale nie na ziemię schodzimy, ale do sąsiedniego wagonu, który już jest bez krat. Przy każdym oknie stoi żołnierz z karabinem i przy każdym wagonowym przejściu. Jak miło, jak przestronnie — przed oknami szeroki równinny widnokrąg, patrzymy na niewysokopienne laski, wdzięczy się do nas szmaragdowa ruń ozimych zasiewów.

Później dowiedziałem się, że według umowy w sprawie naszej wymiany Sowiety były obowiązane wieźć swój personalny materiał wymienny od Jarosławia do granicy Polski w zwykłych wagonach III klasy. Polska również miała oddawanych sowieców wieźć w zwykłych wagonach ludzkich i tego zobowiązania dotrzymała. Nas jednak Sowiety przez trzy doby wędziły w okropnej ciasnocie za kratami i tylko jedną godzinę od granicy polskiej przejechałem w wagonie osobowym, do którego nas przetranslokowano ze „stołpinki” dopiero w Mińsku. Żadnej umowy z Sowietami, nawet w tak drobnym szczególe nikt nie może być pewny.

Nasz wagon zatrzymał się jednak nie w Stołpcach, ale na małej stacyjce nadgranicznej jeszcze na terytorium sowieckim, która nazywała się Kołosowo. Tam nam kazano wyjść z pociągu i zamknięto nas w przestronnej dworcowej sali. Nadszedł pociąg z Polski — widzimy jak tragarze wyładowują wspaniałe kufry i walizy — to ruchomości tych, którzy z Polski idą za nas na wymianę. Na miejsce tych wspaniałych bagaży wnoszą nasze ubogie i nieliczne, co dotąd na kupie złożone leżały na peronie. Słyszymy klucz w drzwiach, wchodzą do nas delegaci Rządu Polskiego w towarzystwie naturalnie urzędników sowieckich, by nas jak szelągi wymienne przerachować i oficjalną ostatnią wyrazić zgodę, że nas zabierają jako wykup za tych, co są już w Stołpcach i przez Sowiety zostaną przyjęci. Pomiędzy polskimi urzędnikami znajduje się i p. Wilhelm Kulikowski, ten sam który

dla mnie tę wymianę skoordynował i pocziwy aż z Warszawy przybył na moje powitanie. Naturalnie uściskom i powitaniom nie ma końca. Odeszli a weszła Jekatierina Pawłowna Pieszkowa. Ja mam do niej w imieniu wszystkich przemówić bo znam ją najbliżej, podziękować tej szlachetnej Rosjance za to, że w ciągu tych lat tak serdecznie opiekowała się mną i innymi. Ale głos zupełnie straciłem, ochrypłem, dźwięku wydać nie mogę — ona to rozumie, widzi i to moje niezdarne przemówienie za najlepszą monetę przyjmuje. Doręczam jej wszystkie pomiędzy nami zebrane, sowieckie pieniądze, bo do Polski nam ich wwieźć nie można, a ona w Czerwonym Krzyżu już je potrafi użytkować na pomoc dla więzionych Polaków — a jest tego sporo, kilka tysięcy rubli. Ostatnie uściśnienie jej ręki — do widzenia! Dzięki!

O godzinie 3-ciej po południu, może trochę później, wyprowadzają nas z sali i szykują parami. Ja jestem na samym końcu, a jest nas przecież 41 osób, więc w ostatnim szeregu idzie nas trzech. My z bratem trzymamy się razem i tylko my dwaj z 16-tu księży jesteśmy w sutannach. Ustawiają nas po prawej stronie toru kolejowego i wreszcie znak: „Ruszać!”. Idziemy, a serce tak bije, a wzrok taki żądny widoku granicy polskiej.

Przed nami łuk wysoki, taki wysoki że pod nim przechodzą pociągi, a na nim napis w języku rosyjskim: „Proletarski ustrój zdruzgocze wszystkie granice”. Na chwilę nas zatrzymano, a z przeciwka, po drugiej stronie toru przybliżył się szereg tych, co idą do Sowietów na wymianę. To z wyglądu panowie, a nie tacy oberwańcy jak my wszyscy. U niejednego piękna skórzana teczka, w rękach kapelusze, parasole, płaszcze porządne. Znów ruszyliśmy i mijamy się. Któryś z nich, gdy nas dwóch zobaczył w sutannach, pięścią nam wygraża, a ja odruchowo błogosławieństwo Krzyża mu posyłam w odwecie. Ale już i nasza ostatnia trójka znalazła się poza granicznym łukiem. Wojskowa nasza kochana orkiestra „Boże coś Polskę...”, czy „Jeszcze Polska nie zginęła” gra na nasze powitanie, powiewają chustki, fotografujący wymierzili w nas swoje aparaty — już jesteśmy w Polsce. Ta mała nadgraniczna stacyjka — nie pytałem nawet jak się nazywała — myślę, że także Kołosowo, ale tylko polskie. Mój kolega z Kapituły łucko-żytomierskiej, prałat infułat Jan Zagórski, pierwszy mnie w uściski chwyta, a za nim w imieniu Nuncjatury Papieskiej składa mi gratulacje ksiądz Franciszek Rutkowski. Witam przedstawicieli Rządu Polskiego i dziękuję za wybawienie nas z niewoli...

*Ks. Infułat Teofil SKALSKI*

Marek BRZOST

### NA MARGINESIE PRACY GEN. W. STACHIEWICZA

Instytut Literacki w Paryżu poświęcił jeden cały numer *Zeszytów Historycznych* (nr 40 w 1977 r., str. 234) na ogłoszenie pracy historycznej gen. dyw. Wacława Stachiewicza — szefa sztabu naczelnego dowództwa w kampanii jesiennej 1939 roku. Tytuł opracowania — „Pisma tom I — Przygotowania wojenne w Polsce w latach 1935-1939” — wskazuje, że gen. Stachiewicz napisał więcej niż ten jeden tom, a może pracy nie zdążył zakończyć. Jest to dokument dużej wagi dla przyszłych badaczy dziejów Polski w drugiej wojnie światowej.

Tematyka kampanii polsko-niemieckiej, rozpoczynającej drugą wojnę światową, jeszcze przez długi czas będzie absorbowała historyków i sztabowców, ale dokument opracowany przez Szefa Sztabu Głównego wypełnia lukę, którą wytworzył brak oceny przygotowań i wyników samej kampanii przez jej głównego organizatora i wykonawcę — Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych Drugiej Rzeczypospolitej. Marszałek Edward Rydz-Śmigły nie ogłosił swojej oceny, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zostawił trwałego śladu takiej wypowiedzi. Ogłaszane strzępy opisów pamiętnikarskich nie są ani pewne, ani poparte wiarygodnymi dokumentami.

Operacyjny plan wojny z Niemcami, jak pisze autor (str. 178-180), ograniczył się do pełnego opracowania jedynie mobilizacji, do ustalenia programu dozbrojenia i rozbudowy wojska oraz do sformułowania podstaw „wstępnej koncentracji i wstępnych działań wojennych” (str. 181). To stwierdzenie Szefa Sztabu Głównego określiło wyraźnie, że do wojny z Niemcami weszła Polska przed zakończeniem prac nad planem strategicznym i operacyjnym dla Frontu Zachodniego. Kończy ono również trzydziestoletnie spory na temat, czy był plan, czy go nie było. Był plan pro-

wizoryczny. Pytanie czy mógł być lepszy, pełniejszy plan wojny posko-niemieckiej? Gen. Stachiewicz stara się uzasadniać, i jako historyk, i jako współautor planu, że uczyniono wszystko w ramach istniejących możliwości. Problem ten był i jest dalej sporny. Stara zasada wojenno-polityczna *si vis pacem para bellum* nakazywałaby — szczególnie po zawarciu przez Piłsudskiego paktu nie-agresji z Hitlerem w 1934 roku — przystąpić bezzwłocznie do opracowania planu wojny z Niemcami. Pięć lat prac sztabowych, od 1934 do 1939 roku, powinno było dać lepsze rezultaty niż prowizorium. Ale do tego zaniedbania autor, pełniący w tym czasie funkcję Szefa Sztabu Głównego, ani nie chciał się przyznać, ani obciążyć nim Generalnego Inspektora, ani też głównych kierowników politycznych państwa. Można to zrozumieć, ale nie można tego nie zauważyć.

Praca gen. Stachiewicza zawiera szczegółowy opis przygotowań wojennych w ciągu ostatnich pięciu lat przed wybuchem wojny. Należy podkreślić sumiennosc autora nie tylko w sprawie ilości zgromadzonego materiały (rozdział III — Przygotowania organizacyjne i materiałowe) ale również w zastosowaniu przejrzystego układu i jasnych opisów stanu faktycznego. Rozdziały dotyczące planu mobilizacji (rozdział IV) i operacyjnego planu zachodniego (rozdział V) są nie tylko mniej uporządkowane, ale noszą charakter raczej wspomnień autora, niż analizy historyczno-operacyjnej. Niemniej książka stanowi rejestr zagadnień, które historycy będą musieli poddać szczegółowej ocenie.

Ujemną stroną pracy gen. Stachiewicza jest brak ścisłych ocen autora, które by segregowały problemy na dobrze rozwiązane, a inne na źle zaplanowane lub błędnie wykonane. Bardzo częste (w wielu wypadkach w sposób nieudokumentowany) odwoływanie się autora do ogólnego niskiego poziomu ekonomicznego państwa i niskiej świadomości społeczeństwa jest niepotrzebną próbą usprawiedliwienia ludzi z kierownictwa zarówno politycznego jak i wojskowego (Rada Ministrów, Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych). Autorzy krajowi zaprezentowali dwa inne zasadnicze kryteria oceny wydarzeń z kampanii jesiennej 1939 roku.

Płk. dypl. Marian Porwit w swej (na razie dwutomowej) „Analizie” przyjął, jak sam to stwierdził, metodę uwypuklenia przede wszystkim tego, co było przeprowadzone prawidłowo i co dało dodatni polski wkład do pokonania hitlerowskich agresorów. Wysunął zatem na pierwsze miejsce zysk na czasie dla przygotowań sojuszników zachodnich, Francji i Anglii, przełamanie ugodowości przeciwników faszyzmu, bohaterstwo i upór w walce polskich oddziałów, oraz maksymalny wysiłek narodu — moralny i materialny.

Gen. dyw. Juliusz Rómmel (w czasie kampanii dowódca Armii „Łódź”) w książce pt. „Za Honor i Ojczyznę” oraz płk dypl. Marian Utnik (we wrześniu 1939 roku młodszy oficer w naczelnym dowództwie) w artykułach w *Wojskowym Przeglądzie Historycznym* (nr 2/1971 i nr 2/1972) pt. „Sztab polskiego Naczelnego



Wodza w drugiej wojnie światowej" — nadali większą wagę nieprawidłowościom w zakresie spóźnionej organizacji przygotowań, brakowi konsekwentnej realizacji doktryny operacyjnej (działania opóźniające zamiast obrony w miejscu), brakiem w środkach łączności, improwizacji w rozkazodawstwie.

Gen. Stachiewicz w swym obszernym opracowaniu poruszył i wyjaśnił wiele problemów nurtujących Siły Zbrojne przed wybuchem wojny. Wydaje mi się jednak, że pewne istotne problemy całkowicie pominął (wpływ polskiej polityki zagranicznej i wewnętrznej na sprawę obronności, obsada personalna G.I.S.Z.'u i jej przygotowanie do nowoczesnej wojny) a w innych nie doprowadził swej analizy do końca (brak potrzebnej ilości oficerów w sztabach — dyplomowanych, przestarzałe metody szkolenia w oddziałach liniowych, sprzedaż tuż przed wojną sprzętu artylerii przeciwlotniczej, nieuzasadnione zaniedbania w modernizacji wojska — szczególnie lotnictwa, łączności i kawalerii).

Analiza gen. Stachiewicza, dotycząca położenia polityczno-wojskowego Polski po marcu 1939 roku, nie odbiega w zasadzie od ocen jakimi kierował się Sztab Główny w Warszawie, przystępując do opracowania „Planu Zachodniego”. Może tylko bardziej została podkreślona wątpliwość czy Zachodni Alianci mieli rzeczywiście zamiary przyjscia Polsce z natychmiastową pomocą, jak to w rozmowach wiosenno-letnich przyrzekli. Niemal całkowicie pominął autor przyczyny niechętnego i raczej zimnego ustosunkowania się mniejszych sąsiadów do Polski. Wydaje się, że w obecnym okresie byłoby niezbędne choćby jedno zdanie o współodpowiedzialności za ten stan sprawy naszej polityki „mocarstwowej”.

Szczegółowy, a zarazem zgodny ze stanem faktycznym, opis prac w dziedzinie przygotowania do wojny jest najwartościowszą stroną w analizie gen. Stachiewicza. Po przeczytaniu tych rozdziałów staje się jasne dla czytelnika, że Polska po odzyskaniu niepodległości była państwem słabym w porównaniu z dwoma wielkimi sąsiadami. Niemcy po przegranej w pierwszej wojnie światowej i ograniczeniu ich warunkami Traktatu Wersalskiego, a również Rosja po wstrząsach rewolucyjnych, wojnie domowej i po przegranej wyprawie na Zachód, nie stanowiły w okresie przynajmniej pierwszych dziesięciu lat zagrożenia dla Polski. Jednak ich potencjał ludnościowy, bogactwa naturalne i przemysłowe nie upoważniały naszego państwa do uważania się za mocarstwo. Toteż w latach dwudziestych słusznie przyjęto doktrynę obronną na wypadek wojny, a że granice nasze nie nadawały się na ogół do fortyfikacji dla obrony na miejscu, zaplanowano konieczność działań ruchowych, opóźniających, dla uzyskania czasu na przyjscie nam z pomocą ze strony Francji, związanej z Polską sojuszem wojskowym już od 1921 roku. To słuszne założenie zostało zmienione dopiero w końcu 1938 roku, gdy przystąpiono do prac nad „Planem Zachodnim”. Przy czym zmiany tej koncepcji autor nam jednak nie podał. Sztabowcy wtajemni-

czeniu w rozważania na najwyższym szczeblu różnili się w objaśnieniach. Jedni twierdzili, że Marszałek, minister Beck oraz płk Jaklicz, operacyjny zastępca Szefa Sztabu, uważali akcję Hitlera za przejaw wojny nerwów, a sztynną obronę granic uznali za czynnik odstręczający hitlerowców od ataku. Inni znów twierdzili, że większość Inspektorów G.I.S.Z.'u uważała, iż stać nas tylko na stoczenie jednej poważnej bitwy z Niemcami i należy ją stoczyć na Zachód od Wisły, gdyż pomoc „egzotycznych” sojuszników nie była pewna, a jeśli będzie to spóźniona.

Gen. Stachiewicz często powołuje się na brak środków materialnych, umożliwiających unowocześnienie wojska, szczególnie w zakresie broni pancernej i lotnictwa. Autor podkreśla (str. 143), że „wydatki na rezerwę zaopatrzenia wyniosły w latach 1936-1939 ponad 33 % ogólnych wydatków wojskowych”, i że było to więcej niż przeciętnie wydawały inne państwa, z wyjątkiem Niemiec i Rosji. A przecież tylko zbrojenia tych dwóch państw były dla nas miarą grożącego niebezpieczeństwa. Gdyby jednak nie wadliwy podział po 1926 roku na dwa systemy kierowania obroną — tor pokojowy i tor wojenny — ustalony przez Piłsudskiego i kontynuowany przez Rydza-Śmigłego — można by było obniżyć wydatki wegetacyjne na korzyść funduszu modernizacji. Mogło się wówczas wydawać, że to jest niemożliwe, ale obecnie musi się zająć krytyczne stanowisko w stosunku do:

— Długości służby czynnej — 18-24 miesięcy, z których tylko około 12-15 miesięcy było celowo wykorzystane na szkolenie. Reszta była bezużytecznie marnotrawiona na prace administracyjno-gospodarcze, nie mające wpływu na gotowość obronną.

— Kosztowne utrzymanie dużej ilości jednostek konnych (kawalerii, artylerii szczególnie ciężkiej), których nieużyteczność w wojnie nowoczesnej była już oczywista od początku lat trzydziestych.

— Przygotowań w zakresie łączności operacyjnej, które oparto na sieci telefoniczno-telegraficznej (kablowej i napowietrznej). Łączność radiową, najłatwiejszą do wykorzystania w wojnie ruchowej, realizowano z opóźnieniem. Łączność kurierską (mocyklowo-samochodową) traktowano z lekceważeniem, chociaż odległości w Polsce nie należały do zbyt wielkich, zwłaszcza na froncie antyniemieckim.

— Rozproszenia funduszu modernizacji, które było może największym błędem, wynikającym z podziału kompetencyjnego między Ministerstwem Spraw Wojskowych, Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych i Sztabem Głównym. Przy niskim poziomie wiedzy technicznej i dysponentów (generałów i pułkowników toru pokojowego) fundusze w dużym procencie były marnowane na lokalne, pokojowe cele (budowa koszar, defilady, sport wyczerpny i manewry o niskiej wartości dydaktycznej).

Poruszam te sprawy nie dlatego, by ich nie było w opracowaniu gen. Stachiewicza, są one jednak tak stylistycznie zaszyfro-

wane, że czytelnikowi sugerują pozytywną ocenę autora tego wszystkiego, co się działo w przygotowaniach obrony kraju. A przecież aż się proszą oceny, że przy właściwym i rozważnym podejściu, przy wyzbyciu się fanfaronady przez kierownicze czynniki, można było stworzyć znacznie lepsze warunki do stoczenia bitwy obronnej. Nie o zwycięstwie nad Niemcami w samotnej walce nam marzyć (czym tak później szafowali zwolennicy Sikorskiego w Paryżu w 1939 i 1940 roku), ale myśleć o wykorzystaniu do maksimum potencjału moralnego i materialnego społeczeństwa.

Niezwykłe trafnie scharakteryzował gen. Stachiewicz różnice między planem mobilizacyjnym „S”, obowiązującym w latach 1925-1937, a nowym planem mobilizacyjnym „W” opracowanym w latach 1936-1938 i uzupełnionym dodatkowo na wiosnę 1939 r. Plan mob. „S”, oparty na doświadczeniach mobilizacyjnych (głównie austriackich) z 1914 roku, był w zasadzie niewykonalny w warunkach wojny współczesnej (bez wypowiedzania wojny, przy zagrożeniu lotniczym oraz szybkości działań wojsk zmotoryzowanych). Plan mob. „W” wprowadził nowe zasady mobilizacji w przyczającej (alarmowej, kartkowej), co w dużym stopniu zabezpieczało realność i wykonanie mobilizacji.

Gen. Stachiewicz, jak większość naszych generałów i pułkowników z okresu dwudziestolecia międzywojennego, był oficerem liniowym w całym tego słowa znaczeniu, skupiającym swe zainteresowania na działaniach taktycznych i operacyjnych czołowych jednostek bojowych. Mieli oni skłonności do traktowania zaplecza frontu wojennego (materiałowego, technicznego i organizacyjnego) jako spraw drugorzędnych niegodnych zainteresowania dowódców frontowych. Podejście to odbiło się również i na planie mob. „W2”. Organizację zasobów żywiących front oparto na doświadczeniach z pierwszej wojny światowej i wojny polsko-rosyjskiej z 1918-1920 roku. Autor nie analizuje tego problemu, a przecież błędy planu mob. w tym zakresie mocno wpłynęły na przebieg działań wrześnieowych i przyspieszyły przegraną. Wymienię tu parę najważniejszych:

1. Przyjęty w planie mobilizacji i koncentracji wojska podział państwa na „obszar operacyjny naczelnego wodza” i „obszar krajowy ministra Spraw Wojskowych” nie miał uzasadnienia w zaistniałych warunkach. Było to błędne rozwiązanie, gdyż obszar całego kraju, niezbyt przecież rozległego, znalazł się od pierwszego dnia wojny pod działaniem lotnictwa nieprzyjacielskiego. Główne zasoby materiałowe i techniczne państwa (zachodnia część Polski, Centralny Okręg Przemysłowy, stolica i woj. Lubelskie) weszły faktycznie już w 3-im dniu wojny do „obszaru operacyjnego” armii frontowych i wyeliminowały ministra Spraw Wojskowych w zarządzaniu tym obszarem. Wydaje się, że słuszniejsze byłoby przyjęcie zasad organizacji i gospodarki stosowanych w oblężonej twierdzy.

2. Cały system zaopatrywania materiałowego (amunicja, broń, żywność) został oparty na transporcie kołowym: kolej, w niewielkiej części samochody i w przeważającym stopniu tabor konny. System ten, nadający się do operacji ofensywnych, a w pewnym stopniu i obronnych na wschodnim froncie, był całkowicie błędny na froncie antyniemieckim, przebiegającym wewnątrz głównej bazy zaopatrzenia.

3. Armijne stacje rozdzielcze, czyli magazyny na kołach, w wagonach na torach dużych węzłów kolejowych stanowiły idealny cel dla lotnictwa przy równocześnie słabej obronie przeciwlotniczej. A był przecież czas od marca do sierpnia 1939 roku, aby stworzyć system rozproszonych w terenie magazynów, z których cofające się oddziały mogły być skutecznie zaopatrywane. Doktrynerskie podejście do funkcjonowania służb kwatermistrzowskich, ustalone przez profesorów Wyższej Szkoły Wojennej w Warszawie, stało się na przeszkodzie.

4. Mobilizacja taborów konnych (dywizyjnych kolumn amunicyjnych, parków uzbrojenia, parków saperskich i kolumn sanitarnych) oparta na poborze koni i wozów (o niewielkiej ładowności 500-1.500 kg.), głównie z małych gospodarstw rolnych, stworzyło zatłoczenie tyłów oddziałów frontowych i utrudniło swobodę ruchów w walkach opóźniających z zagonami pancernomotorowymi.

Autor niewątpliwie wyniósł osobiste doświadczenie z wyników takich rozwiązań mobilizacyjnych. Brak ustosunkowania się autora do błędów planu mobilizacyjnego „W” pomniejsza wartość analizy i budzi niewiarę, czy słuszna jest ocena (str. 176-177) o pomyślnym przebiegu mobilizacji. Jeżeli tę ocenę można uznać za prawidłową w odniesieniu do oddziałów pierwszej linii, to na pewno jest błędna i myląca czytelnika w stosunku do całości mobilizacji. Trzeba stwierdzić, że plan mob. „W2”, chociaż stanowił postęp w porównaniu z planem „S”, był jednak nieadekwatny w stosunku do naszych potrzeb w wojnie z Niemcami, a co jeszcze ważniejsze nie wykorzystywał w pełni możliwości jakimi państwo dysponowało.

Plan wojny z hitlerowską Rzeszą nie istniał jako dokument sztabowy, ale jego cele i motywacje były ściśle określone przez kolejne decyzje naczelnych władz państwowych w stosunku do proponowanych lub dokonywanych posunięć Hitlera:

— propozycje aneksyjne w sprawie Gdańska i autostrady przez Pomorze z października 1938 i ze stycznia 1939 roku zostały przez Rząd Polski odrzucone;

— zajęcie przez Hitlera Czech, Słowacji i Kłajpedy w marcu 1939 roku zostało skwitowane przez Rząd i Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych decyzją o częściowej mobilizacji jednostek ostonowych i wysłania ich do rejonów przygranicznych;

— wypowiedzenie paktu nieagresji z Polską w kwietniu 1939 roku spowodowało upoważnienie przez Rząd Generalnego Inspek-

tora do opracowania operacyjnego planu obrony i wprowadzenia go stopniowo w życie.

Decyzje polityczne naczelnych władz Rzeczypospolitej społeczeństwo uznało za słuszne i poparło je. Gen. Stachiewicz w swej analizie opisał przebieg wykonania tych decyzji politycznych. Przytoczył niepisane, ogólne założenia planu obrony, ustalone przez marsz. Rydza-Śmigłego oraz wyjaśnił zmiany jakie zaszły w kierownictwie operacyjnym Sił Zbrojnych. Pełne ustosunkowanie się do rozważań operacyjnych i opisu przygotowań obronnych będzie możliwe dopiero w zestawieniu z ocenami przebiegu działań wrześniowych, czego tom I Pism autora nie zawiera. Wydaje się jednak konieczne zwrócenie uwagi na parę niedopowiedzeń gen. Stachiewicza:

— Mobilizacja alarmowa jednostek osłonowych w marcu 1939 roku zlikwidowała prawie całkowicie działalność Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych. Generałowie inspektorzy i ich mikroskopijskie sztaby (Kutrzeba, Bortnowski, Rómmel, Przedzrymirski, Szylling, Fabrycy, Dąb-Biernacki) zorganizowali prowizoryczne, małe dowództwa armii pierwszej linii zachodniego i południowego frontu. Inni generałowie (Sosnkowski, Piskor, Thomme, Czuma, Kleeberg) nie brali udziału w przygotowaniach obronnych i byli włączeni do akcji dopiero po załamaniu się obrony pierwszej linii. Generałów Sikorskiego, Januszajtisa, Stanisława Hallera odsunął Marszałek od udziału w akcji obronnej ze względów politycznych.

— Zadania koncepcyjne operacji wojennych zawisły w powietrzu, a raczej obciążły osobiście Marszałka i jego oficerów do zleceń (trzech pułkowników: Münich, Glabisz i Kowalczewski).

— Sztab Główny w drodze faktów dokonanych stał się załącznikiem Naczelnego Dowództwa, ale aż do wybuchu działań wojennych przetrwał w stanie organizacji pokojowej, biurokratycznej i ociężałej. Miał więc trudności w organizowaniu bieżących zadań i nie miał możliwości opracowania dalszych wariantów organizacyjno-obronnych.

— Praca Sztabu Głównego od marca do sierpnia 1939 roku przypominała coś w rodzaju wielkiej gry wojennej. Tendencja Marszałka do podjęcia ostatecznej decyzji o sposobie kierowania bitwą graniczną dopiero w trakcie działań wojennych odbiła się niekorzystnie szczególnie na niezaplanowanym na czas użyciu odwodów Naczelnego Wodza.

Być może, że gen. Stachiewicz rozwinął wspomniane tematy przy opisie wojennych działań we wrześniu. Jednak uwagi końcowe autora wskazują na chęć zamknięcia tych spraw. Gen. Stachiewicz stwierdził w nich, że „stan ni to wojny ni to pokoju stawał przed czynnikami kierowniczymi problemy bardziej skomplikowane i trudniejsze do rozwiązania aniżeli w czasie wojny”. Pracownicy Sztabu Głównego już od lipca domagali się pełnego zorganizowania aparatu dowodzenia, by usprawnić zarówno opra-

cowanie „zarządzeń najbardziej potrzebnych” jak też ustalenie „planu przewidującego następne fazy walki” (str. 231-232), ale ich żądania były kwitowane przez operacyjnego zastępcę Szefa Sztabu Głównego, płk. Jaklicza, określeniem „defetyzm”.

Wzmianka autora, że „gdy opracowania... związane z wstępnym rozwinięciem... były na ukończeniu, przystąpiono w Sztabie do opracowania dalszych faz” (str. 232), nie tylko nie usprawiedliwia w niczym opóźnień w pracach Sztabu Głównego, ale jest myląca i nieściśła. Nawet bowiem prace rozpoznania w terenie drugiej linii obronnej na Wiśle i Sanie nie były zapoczątkowane, ani ekipy do tych prac nie zostały wyznaczone. Dopiero w trzecim dniu wojny powołano w Lublinie dowództwo armii gen. Piskora, dysponującego niewielkim sztabem, które miało zaimprovizować obronę na Wiśle. Natomiast wykreślanie w Sztabie Głównym na mapach 1 : 300.000, i to dopiero w połowie sierpnia, zarysów przyszłej obrony na Wiśle, Sanie czy Dunajcu trudno nazwać „przystąpieniem w Sztabie do rozpracowania dalszych faz”.

Wielka szkoda, że gen. Stachiewicz już w 30 lat po wojnie nie dał nam jasno do zrozumienia na czym polegał ten bezwład najwyższego kierownictwa operacyjnego. Czy przyczyną była niechęć Generalnego Inspektora do rozważań jakie środki zaradcze należy zastosować na wypadek niepowodzeń w bitwie granicznej? Czy przyczyną opóźnienia prac sztabowych był wyraźny z a k a z, wynikający z błędnego poglądu Marszałka na sposób wykorzystania sztabu strategicznego? Aluzyjność wypowiedzi uczestników prac tego wysokiego szczebla nie wszystko wyjaśnia. Historyków czeka zatem niemały trud, aby z fragmentów odtworzyć obraz rzetelny pozbawiony uproszczeń zarówno pozytywnych jak i negatywnych, ale dający za to materiał do przemyśleń na wypadek podejmowania decyzji w przyszłości, w warunkach równie zawiłych a może nawet trudniejszych. Należy bowiem pamiętać, że pięć lat później Komenda Główna Armii Krajowej w Warszawie przy podejmowaniu decyzji do Powstania również nie wzięta pod uwagę niepowodzenia w realizacji swoich zamierzeń. Historia wojen poucza, że działania strategiczne i operacyjne obdarzają nas nie tylko zwycięstwami ale i niepowodzeniami. Zarówno pierwszym jak i drugim należy poświęcać należytą troskę.

Gen. Stachiewicz pominął całkowicie w swojej analizie sprawę, według naszego zdania bardzo istotną w ocenie przygotowań do wojny — ocenę polskiej doktryny wojennej. Regulaminy przedwojenne dla wszystkich rodzajów Sił Zbrojnych przewidywały konfrontację z przeciwnikiem równorzędnym technicznie, co mogło mieć miejsce tylko na froncie wschodnim. Walce z przeciwnikiem typu wojska z a w o d o w e g o, jakim była Reichswehra, narzucona Niemcom przez Traktat Wersalski, poświęcono tylko niewielką uwagę. Konieczność przedstawienia się Sztabu Głównego, dowództw szczebla operacyjnego (Armia, Grupa Opera-

cyjna), a nawet dowództw Wielkich Jednostek (dywizja piechoty i brygada kawalerii) na walkę na froncie zachodnim odbiła się ujemnie tak w czasie okresu przygotowawczego (marzec-sierpień) jak i w walkach wrześniowych. Moje narzekania w niczym nie umniejszą wartości pracy gen. Stachewicza jako cennego uzupełnienia do historii „Polskich Sił Zbrojnych w Drugiej Wojnie Światowej”.

*Marek BRZOST*

## RECENZJE

Jan CIECHANOWSKI

### GENERAŁ OSTATNIEJ NADZIEI

(Refleksje i uwagi na marginesie ostatnio wydanych prac o politycznej i wojskowej działalności gen. Władysława Sikorskiego<sup>1</sup>)

Władysław Sikorski (1881-1943) miał ciężkie dzieciństwo i młodość i z trudem zdobywał wykształcenie, gdyż mając zaledwie trzy lata stracił ojca, który był organistą i ludowym nauczycielem. Matka jego, po śmierci męża, przygarnięta przez ziemiański dwór, zarabiała na siebie i czworo dzieci szyciem. Po matce odziedziczył pogodę i optymizm, po ojcu przedsiębiorczość i ambicję<sup>2</sup>.

Wielki optymizm i wiara we własne możliwości cechowały Generała aż do samej jego tragicznej śmierci.

Władysław Sikorski — przy pomocy Władysława Jędrzejowicza a następnie Juliana Zubczewskiego, dyrektora seminarium nauczycielskiego, do którego początkowo uczęszczał — ukończył gimnazjum i politechnikę lwowską, oraz został austriackim oficerem rezerwy.

Wybitne zdolności intelektualne Sikorskiego szły w parze z dużą sprawnością fizyczną. Wspaniale nadawał się więc na

---

1. K. Popiel, *Generał Sikorski w mojej pamięci*, (Londyn, 1978), str. 197; O. Terlecki, *Generał ostatniej legendy*, (Chicago, 1976), str. 324; E. Duraczyński, *Kontrowersje i konflikty 1939-41*, (Warszawa, 1977), str. 436; R. Wapiński, *Władysław Sikorski*, (Warszawa, 1978), str. 351 i H. Glass, *W pracy i walce*, (Londyn, 1978), rozdz. 14, str. 197-209.

2. O dzieciństwie i młodości Sikorskiego dużo pisze Wapiński, M. Kukiel, *Generał Sikorski*, (Londyn, 1970), str. 280 oraz A. Micewski, *Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej*, (Warszawa, 1964).



wykształconego żołnierza i dowódcę. Od 1908 roku był ściśle związany z polską działalnością niepodległościową w Galicji, która na początku tego stulecia odgrywała rolę naszego Piemontu, i szybko wszedł w szeregi wojskowo-strzeleckiej elity, z której później rekrutowało się tak wielu czołowych dostojników i przywódców Drugiej Rzeczypospolitej. Sikorski należał wraz z Marianem Kukielem i Kazimierzem Sosnkowskim do założycieli Związku Walki Czynnej, na czele którego stanął Józef Piłsudski. Od 1912 roku należał do Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronictw Niepodległościowych, opowiadającej się za koncepcją odtworzenia Polski w oparciu i w ramach Austro-Węgier.

W komisji tej kierował wydziałem wojskowym.

Sikorski kilkakrotnie odegrał rolę w naszych dziejach. W sierpniu 1914 roku współdziałał z Piłsudskim i Sosnkowskim w tworzeniu Legionów — przyszłego załóżka polskiej armii. Kiedy powstał w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy, stanął na czele Departamentu Wojskowego. Dążył do rozwinięcia Legionów w silną armię polską, której powstanie miało przyczynić się do otwarcia i utrzymania sprawy polskiej na międzynarodowym forum.

W 1920 roku, jako dowódca zwycięskiej 5-tej armii, walnie przyczynił się do zwycięstwa nad Wisłą. W grudniu 1922 roku, po zabójstwie Prezydenta Narutowicza, powołany na stanowisko premiera „Rządu uspokojenia” nie dopuścił do większych zaburzeń w młodym państwie, przeżywającym ostry i przewlekły okres „zabkowania”. W okresie premierostwa dochodzi do uznania przez mocarstwa zachodnie naszych wschodnich granic, ustalonych w traktacie ryskim z 1921 roku. W latach 1924-25, jako minister Spraw Wojskowych w rządzie Władysława Grabskiego, przyczynił się do modernizacji armii. W tym okresie Sikorski zaczyna uchodzić za rywala i przeciwwagę Piłsudskiego co doprowadziło do powstania nowych zatargów pomiędzy nim i Marszałkiem, z którym po raz pierwszy poróżnił się w 1915 roku na tle stosunku do Austrii i zaciągu do Legionów.

W legionowym okresie Sikorski był jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników pro-austriackiej orientacji. Piłsudski zarzucał Sikorskiemu zbyt wielką uległość wobec Wiednia i od połowy 1915 roku uważał, że należało przerwać werbunek do Legionów i przejść do rozbudowy POW. Komendant dążył do wyłącznej kontroli nad wojskiem, a gdy jej od państw centralnych nie uzyskał, postanowił Legiony rozbić. Po wybuchu rewolucji w Rosji, Piłsudski rozważał plan przejścia przez front na rosyjskie terytorium, gdzie zamierzał stanąć na czele formujących

się polskich wojsk i podjąć rozmowy z przywódcami rewolucji. Od lata 1917 roku Piłsudski uważał, że „nasza wspólna droga z Niemcami się skończyła”. Rosja — nasz wspólny wróg skończyła swą rolę. Wszystkie nasze i niemieckie interesy układają się przeciw sobie. W interesie Niemców leży przede wszystkim pobicie aliantów, w naszym — by alianci pobili Niemców”.

W tym czasie Piłsudski chciał już z Niemcami zerwać, a Legionistów posłać za druty. Sikorski natomiast z uporem ciągle jeszcze pragnął stworzyć — nawet uzależnioną tym razem od Berlina — armię polską, która stałaby się ważnym atutem politycznym w chwili zakończenia wojny. Ten żywiołowy wprost pęd do tworzenia wojska w oparciu o obcą pomoc charakteryzował Sikorskiego również i w czasie ostatniej wojny, kiedy trzy razy tworzył regularną armię polską za granicą: we Francji, Anglii i Rosji. Wydaje się, że o ile dla Piłsudskiego wojsko było głównie środkiem działania, podporządkowanym wymogom jego politycznych koncepcji i planów, to dla Sikorskiego już sam fakt jego istnienia miał wielkie polityczne znaczenie. Pęd do tworzenia wojska często przystaniał Sikorskiemu prawdziwy obraz politycznej rzeczywistości i nie pozwalał mu na wyciągnięcie z niej odpowiednich wniosków. W czasie wojny światowej tak było ze sprawą organizacji i użycia wojska we Francji i w ZSSR.

Sikorski zerwał ze swym aktywistycznym stanowiskiem i przeszedł na pozycje prokoalicyjne, wiążące losy sprawy polskiej z państwami zachodnimi, dopiero po traktacie brzeskim zawartym w lutym 1918 roku pomiędzy państwami centralnymi i Ukrainą, gdyż uważał go za nowy rozbiór Polski. Traktat ponownie odrywał Chełmszczyznę od Królestwa. W tym czasie Piłsudski i Sosnkowski byli już więzieni przez Niemców w Magdeburgu.

Po wojnie polsko-bolszewickiej spór Piłsudski - Sikorski również dotyczył sprawy wojska. Chodziło mianowicie o strukturę najwyższych władz wojskowych oraz stosunek wojska do rządu. Piłsudski dążył do odseparowania wojska od polityki i partii politycznych, które jego zdaniem, prowadziły państwo do nowej zguby. Zależało mu głównie na skoncentrowaniu władzy wojskowej, uniezależnieniu jej od sejmu i podporządkowaniu jedynie prezydentowi. Marszałek stawiał to jako warunek swego powrotu na naczelne stanowisko w armii. Sikorski zaś, idąc za przykładem parlamentarnych wzorów francuskich, dążył do podporządkowania generalnego inspektora w czasie pokoju i naczelnego wodza w czasie wojny, ministrowi spraw wojskowych i rządowi, a co za tym idzie sejmowi. Rozwiązanie Sikorskiego było nie do przyjęcia dla Piłsudskiego. Sikorski uważał wojsko za organ rządu, Piłsudski zaś za organ Prezydenta, który miał stać ponad

rządem i reprezentować całą Rzeczpospolitą. W istocie nie sposób było pogodzić zamysłów Piłsudskiego z wymogami systemu rządów parlamentarnych<sup>3</sup>.

Spór wokół organizacji naczelnych władz wojskowych wykopnął głęboką przepaść między Piłsudskim i jego zwolennikami a Sikorskim. Niemniej Piłsudski cenił Sikorskiego wysoko. „Inteligentny, żywy umysł”, pisał Marszałek w swej opinii o Sikorskim w grudniu 1922 roku, „lekki charakter obok wielkiej ambicji. Nadzwyczaj łatwy w obcowaniu z ludźmi. Bardzo dobry organizator. Umie i lubi rozkazywać i przy swojej obrotności daje sobie łatwo radę prawie w każdej sytuacji. Brak większego wykształcenia wojskowego, ma jednak dobre oko operacyjne i jest zdatny do wyższego dowodzenia. Miły w obejściu, trochę zanadto szukający popularności. Łatwy do prywaty. Łatwo będzie dowodzić armią. Jako człowiek znający dobrze stosunki i siły państwowe nadaje się także na szefa sztabu przy naczelnym wodzu, biorąc na siebie całkowicie odpowiedzialność za operację, a także na ministra spraw wojskowych, podczas wojny<sup>4</sup>”.

Kiedy Piłsudski pisał te słowa opiniowany nie miał jeszcze 42-letni. Opinia ta pozytywnie odbija się od tych jakie Marszałek wystawił innym generałom. Lepsze oceny otrzymali tylko Rydz-Śmigły i Sosnkowski, w których Piłsudski widział kandydatów na naczelnego wodza. Dzisiaj wiemy, że zarówno Rydz-Śmigły jak i Sosnkowski jako naczelnicy wodzowie nie odkryli się sławą. Rydz-Śmigły z kretesem przegrał Kampanię Wrześniową, i w dodatku na wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej do Polski, opuścił walczące jeszcze z Niemcami wojsko i udał się do Rumunii, co wywołało ogromny szok i rozgoryczenie wśród przeważnej większości Polaków. Sosnkowski wbrew własnym zamiarom dopuścił do tragedii AK i Powstania Warszawskiego.

Wydaje się, że Piłsudski nie widział w Sikorskim kandydata na naczelnego wodza, gdyż uważał, że miał na to za słaby charakter i był zbyt podatny na zagraniczne wpływy. Ponadto Rydz-Śmigły i Sosnkowski byli jego ludźmi, a Sikorski był mu prawie zawsze obcy, nawet mimo tego, że w 1921 roku zezwolił mu, jako Szefowi Sztabu Generalnego, na stworzenie w wojsku tajnej — wzorowanej na „Towarzystwie Patriotycznym” — organizacji oficerskiej pod nazwą „Honor i Ojczyzna”, której głównym celem politycznym było ograniczenie wpływów endencji wśród korpusu oficerskiego. Czołowi przywódcy „Honoru i Ojczyzny”

3. A. Micewski, *op. cit.*, str. 301 i dalsze.

4. M. Cieplewicz, „Generałowie polscy w opinii J. Piłsudskiego”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, Nr 1/1966, str. 328.

wywodzili się głównie z Legionów i POW jak sam Sikorski, M. Kukiel, A. Koc, R. Górecki, Rydz-Śmigły, G. Orlicz-Dreszer, K. Młodzianowski, T. Pełczyński, T. Malinowski, J. Zajac, St. Burhard-Bukacki i J. Krzemiński. Organizacja ta działała do drugiej połowy 1923 roku<sup>5</sup>.

Witos uważał Sikorskiego za „może najzdolniejszego z wódców polskich” w czasie wojny 1920 roku, w którego „rachubach i zamierzeniach widać było trzeźwy, zimny sąd, oparty na rzeczywistości, a nie na fantazjach, lub przypuszczeniach”. Miał do niego tylko jedną pretensję, że „kiedy trzeba było być generałem, on był politykiem, a kiedy należało być politykiem, on się wtenczas koniecznie stawał generałem<sup>6</sup>”. K. Popiel podzielał opinię Witoso o Generale, mówiąc, że Sikorski w rządzie zachowywał się jak naczelny wódz, a w wojsku jak premier<sup>7</sup>.

W czasie drugiej wojny światowej E. Raczyński napisał o Sikorskim, że był on jedynym z niewielu Polaków którzy posiadali poczucie rzeczywistości. Posiadał zdolność prawidłowego rozumowania oraz szósty zmysł jakby „podwójnego widzenia”. Był stuprocentowanym Polakiem. Dbał o ziomków i potrzebował ich przyjaźni, uznania i zachęty. Chciał ich oczarować, a zarazem liczył się z ich słabostkami i odruchami<sup>8</sup>. Różniło go to od Piłsudskiego, który kochał Polskę, ale złorzeczył na nią i rodaków. Piłsudski dla Polski gotów był iść na „rzeczy straszne” jak zamach majowy i Brześć, chociaż rozumiał, że Polakami nie można rządzić przy pomocy kija i bata. Po 1926 roku, ciężko już chory Marszałek próbował rządzić „durną” Polską, niczem staromodny szlachcic kresowy swoim folwarkiem. Piłsudski rodaków traktował z góry, surowo obchodził się z przeciwnikami, lżył najbliższych współpracowników i twierdził w przystępach gniewu, że nie był Polakiem, czego musiałby się wstydić, lecz „chytrym Litwinem<sup>9</sup>”.

Ten styl i kultura rządzenia były obce Sikorskiemu, który był liberałem, demokratą i zwolennikiem rządów parlamentarnych, a więc człowiekiem gotowym na polityczne gry i kompromisy. Piłsudski „sejmowładztwo” zwalczał jako największe zło

---

5. M. Kukiel, *op. cit.*, str. 62-63; oraz R. Wapiński, *op. cit.*, str. 114 i dalsze.

6. W. Witos, *Moje wspomnienia*, (Instytut Literacki, Paryż, 1964), tom II, str. 362-3.

7. Relacja ustna.

8. E. Raczyński, *W sojusznym Londynie*, (Londyn, 1960), str. 201.

9. O szczegóły patrz W. Jędrzejewicz, *Kronika życia Józefa Piłsudskiego*, II tomy, (Londyn, 1977).

Drugiej Rzeczypospolitej, a słowem kompromis, przy całej swej wielkiej giętkości politycznej, pogardzał.

W czasie wydarzeń majowych w 1926 roku Sikorski, który dowodził wtedy okręgiem korpusu we Lwowie, przyjął postawę wyczekującą. Stąd też po przewrocie pozostał na razie na swym stanowisku. Dopiero na wiosnę 1928 roku został odwołany ze Lwowa nie otrzymując innego przydziału wojskowego, aż do kłęski wrześniowej. W czasie swych najlepszych lat Sikorski pozostawał w dyspozycji ministra Spraw Wojskowych. Stawiało go to w dwuznacznej sytuacji. Na jawną działalność opozycyjną wobec Sanacji nie mógł sobie pozwolić jako generał pozostający w służbie czynnej, chociaż wszyscy wiedzieli, że był jednym z jej najbardziej zacieklej przeciwników. Sikorski który z generała w dyspozycji powoli przemieniał się w polityka, nie mógł się zdecydować ani na wyjście z wojska ani na zaniechanie pół-konspiracyjnej, antysanacyjnej działalności politycznej. Generał nie podawał się do dymisji, gdyż bardzo mu zależało na utrzymaniu formalnego związku z wojskiem, w którym, jak uważał, miał duże wpływy, i które pragnął pół-oficjalnie reprezentować w Paryżu, gdzie był dobrze widziany i posiadał rozległe kontakty w świecie politycznym jak i wojskowym, z czego był niezmiernie dumny.

Po odzyskaniu niepodległości, Sikorski orientował się na Francję, uchodził za frankofila, i był zagorzałym zwolennikiem jak najściślejszej francusko-polskiej współpracy politycznej, wojskowej i gospodarczej. Sikorski uważał sojusz francusko-polski za najważniejszą rękojmię naszej niepodległości.

Sikorski, chociaż ciągle myślał o jakimś kompromisie z bardziej demokratycznymi kołami piłsudczykowskimi, zwalczał sanację, gdyż nie odpowiadała mu jej polityka zarówno wewnętrzna jak i zagraniczna. Nie mógł się pogodzić z autorytatywnymi tendencjami rządów pomajowych, oraz wybaczyć Piłsudskiemu i Beckowi, że dążyli do ograniczenia wpływów francuskich w Polsce.

Generał uważał sanacyjną politykę zagraniczną, polegającą na ciągłym lawirowaniu pomiędzy Berlinem a Moskwą — z dużymi odchyleniami na korzyść Niemiec — za zabójczą dla Polski a Becka, jej kierownika po śmierci Marszałka, wręcz za niemieckiego agenta<sup>10</sup>, co oczywiście było nieprawdą i bezsensownym wymysłem. Polityka Becka pozostawiała wiele do życzenia, ale jego patriotyzm nie podlegał żadnej dyskusji.

Sikorski wykluczał możliwość pewnej normalizacji polsko-niemieckich stosunków, ze względu na rewizjonistyczne stano-

---

10. W. Witos, *op. cit.*, str. 241.

wisko Berlina wobec polskich granic, i odrzucał myśl o doprowadzeniu do bliskiego porozumienia z Moskwą. Główną rolę w zapewnieniu Polsce bezpieczeństwa, upatrywał w sojuszu z Francją, który pragnął jak najbardziej rozszerzyć<sup>11</sup>.

Sikorski przeceniał rolę i znaczenie Francji w międzywojennej Europie i nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, że na wypadek istotnego zagrożenia ze strony Niemiec Paryż będzie przede wszystkim szukać oparcia w Anglii i Rosji, a nie w słabej Polsce. Dla Francji sojusz z Polską był w istocie tylko *namiastką przedwojennego porozumienia* z Rosją. Ponadto Sikorski, jak zresztą ogromna większość ówczesnych Polaków, nie doceniał potęgi i możliwości ZSSR, wobec jego rzekomej słabości wewnętrznej i zagrożenia na Dalekim Wschodzie przez Japonię. Dopiero w maju 1939 roku Sikorski doszedł do przekonania, że bez wejścia ZSSR do tworzącej się anty-niemieckiej koalicji nie ma większych szans na uratowanie pokoju.

W tym jednak czasie Stalin poważnie już myślał o pakcie z Berlinem, a nie tylko z Londynem i Paryżem.

W okresie jedenastoletniej przymusowej bezczynności Sikorski obok działalności opozycyjnej zajmował się pisaniem książek i publicystyką. W latach 1928-36 ukazały się trzy jego prace: *Nad Wisłą i Wkrą* (1928), *Francja i Polska* (1931), oraz *Przyszła Wojna* (1936). Pierwsza z nich to przede wszystkim wspomnienia Sikorskiego z wojny polsko-bolszewickiej. Druga jest próbą przedstawienia miejsca i roli Polski i Francji w Europie i właściwej oceny przyjaźni polsko-francuskiej. Zdaniem bowiem Sikorskiego ani bałwochławczy zachwyt dla wszystkiego co francuskie, ani „prymitywizm polityczny” ujawniający się w chorobliwej nieraz wrażliwości na temat rzekomo bezwzględnej niezawisłości polskiej polityki zagranicznej, nie mogły tworzyć podstawy stosunków „tak wielkiego państwa jak Polska wobec jej sprzymierzeńca”.

Ostatnią i najpoważniejszą pracą Sikorskiego była jego wizja przyszłej wojny. Dotyczyła ostatnich przeobrażeń w sztuce wojennej pod wpływem wprowadzenia lotnictwa i broni pancernej.

Książki te miały podnieść i ugruntować autorytet Sikorskiego w Polsce jako wytrawnego i rezolutnego generała i męża stanu, stojącego ponad partiami na straży żywotnych interesów całego narodu, i gotowego w każdej chwili do służby w jego interesie.

Po śmierci Piłsudskiego w maju 1935 roku opozycja ożywiła się licząc na szybką dekompozycję obozu rządowego. W lutym 1936 roku Sikorski wraz z Paderewskim, Witosem i gen.

---

11. R. Wapiński, *op. cit.*, str. 103 i dalsze.

Hallerem organizuje tzw. Front Morges, który miał być bardzo szeroką koalicją wszystkich antysanacyjnych demokratycznych stronnictw i ugrupowań w Polsce<sup>12</sup>.

Jednak ani narodowcy ani ludowcy nie zdecydowali się na współpracę z frontem. Dla większości narodowców, z Dmowskim na czele, Sikorski był zbyt wielkim liberałem, frankofilem, filosemitą, a może i masonem, aby mogli z nim ściśle współpracować. Poza tym endecy uważali front za konkurencję wobec własnych planów i nadziei na objęcie władzy w Polsce po oczekiwanym upadku sanacji, której przywódcy zaczęli walczyć między sobą o władzę i spuściznę po Piłsudskim.

Dla ludowców z M. Rajtajem na czele, morżowcy byli zbyt prawicowi, zaś socjaliści byli nastawieni raczej na współpracę z ludowcami i lewicą sanacyjną niż z Frontem. O współpracy z komunistami w ogóle nie mogło być mowy.

W rezultacie pomysł Sikorskiego uległ poważnemu ograniczeniu. Do Frontu Morges akces zgłosił NPR, na którego czele stał K. Popiel, chadecja spod znaku Korfanteo, oraz kombatanckie związki Hallerczyków i Dowborczyków wśród których było wielu osobistych i politycznych przeciwników Piłsudskiego i Sanacji.

Front Morges był ugrupowaniem demokratycznym, centrowym, liberalnym, antyniemieckim, antykomunistycznym i profrancuskim, który chociaż nie posiadał nader szerokiego poparcia w Polsce, poza Śląskiem i Pomorzem, miał jednak w swych szeregach wielu wybitnych i znanych polityków i działaczy, gotowych i zdolnych do objęcia i sprawowania władzy, i stąd był dla obozu rządowego groźnym konkurentem.

Wybuch wojny zastał Sikorskiego jeszcze ciągle bez przydziału, bezskutecznie zabiegającego o rozmowę z Rydz-Śmigłym. Sikorski bardzo pesymistycznie oceniał nasze możliwości obronne w starciu z Niemcami. Niemniej, po wypowiedzeniu wojny Trzeciej Rzeszy przez Anglię i Francję był pewny, że Niemcy ją ostatecznie przegrają. Wierzył we Francję, jej armię i geniusz, i uważał że połączonym siłom francusko-angielskim Niemcom nie dadzą rady.

Katastrofa wrześniowa, jej bolesny przebieg i błyskawiczne tempo, oraz internowanie przedwojennych najwyższych władz w Rumunii wynosi Sikorskiego, znanego przeciwnika Sanacji, i męża stanu nie obciążonego odpowiedzialnością za klęskę, na

---

12. O szczegóły patrz: H. Przybylski, *Front Morges w okresie II Rzeczypospolitej*, (Warszawa, 1972).

czoło pobitego, lecz niepokonanego i pragnącego się bić narodu. Wszystko wskazuje, że do internowania rządu i naczelnego wodza w Rumunii głównie przyczynili się Niemcy, chociaż z pewnością było to na rękę Sikorskiemu i Francuzom, którzy nie lubili sanacyjnych władz a szczególnie Becka<sup>13</sup>. Warto tu zaznaczyć, że po Monachium i Zaolziu francuscy sztabowcy odpisali Polskę jako sprzymierzeńca na straty<sup>14</sup>.

Wraz z upadkiem sanacji, powszechnie winionej za naszą straszliwą klęskę, wybija godzina Sikorskiego, który mając 58 lat, po jedenastu latach przymusowej bezczynności, zostaje premierem nowego rządu i Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych. Staje się politycznym i wojskowym przywódcą walczącego narodu. Sikorski otrzymał formalne nominacje z rąk nowego Prezydenta Wł. Raczkiewicza, byłego senatora, ministra i wojewody, wyłonionego w rezultacie zawitych rozgrywek politycznych wokół sukcesji po internowanym w Rumunii Mościckim. Skład pierwszego rządu emigracyjnego powstałego w Paryżu był wyrazem kompromisu między przedwojennymi stronnictwami opozycyjnymi: SP, SL, PPS i SN — a obozem sanacyjnym. Zasadniczy trzon gabinetu stanowili działacze związani z Frontem Morges. Głównymi przedstawicielami przedwojennego obozu w emigracyjnym rządzie byli obok Prezydenta: gen. K. Sosnkowski, A. Zaleski i A. Koc.

Pod względem prawnym nowy rząd oparł się na Konstytucji kwietniowej z wyjątkiem artykułu mówiącego o uprawnieniach prezydenta. Zgodnie z umową paryską z 30 listopada 1939 roku Raczkiewicz zobowiązał się wykonywać przyznane mu szerokie uprawnienia konstytucyjne w porozumieniu z premierem, jako reprezentantem stronnictw politycznych. W ten sposób Sikorski stał się legalnie główną polską osobistością polityczną. Prymat Sikorskiego w polskim życiu politycznym trwał aż do jego tragicznej śmierci w lipcu 1943 roku.

Nowy rząd miał być rządem jedności narodowej, co jak już zaznaczyliśmy, wyrażało się udziałem w nim — obok przedstawicieli przedwojennej opozycji — paru ministrów wywodzących się z sanacji: Koca, Zaleskiego i Sosnkowskiego.

O procesie kształtowania się nowej ekipy rządzącej obszernie piszą Popiel i Duraczyński, których prace w dużym stopniu uzupełniają się i wzajemnie uzupełniają. Popiel, który był współtwórcą Frontu Morges, i ministrem w gabinecie Sikorskiego, pisze o nim

13. R. Wapiński, *op. cit.*, str. 226-7, oraz W. Biegański, *Zaczęło się w Coëtquidan*, (Warszawa, 1977), str. 11-13.

14. D. C. Watt, *Too-Serious a Business*, (London, 1975), str. 120



głównie z autopsji. Píše jako polityk, który był współautorem wielu podejmowanych przez rząd decyzji i uczestnikiem wszelkiego rodzaju posiedzeń, narad i dyskusji. Popiel pisze o Sikorskim jako o swym szefie, koledze i przyjacielu, któremu służył wiernie i z wielkim oddaniem, a którego śmierć była dla niego wielkim wstrząsem i ciosem zarówno politycznym jak i osobistym. Popiel pisząc o Sikorskim musi pisać też i o sobie. Jego praca to przede wszystkim ostatni raport jednego z czołowych ministrów, rządu Sikorskiego. Popiel pisał swą książkę w niewygasłym jeszcze ogniu politycznej walki. Bronił decyzji i polityki Sikorskiego, chociaż czasami nie szczędził mu pewnych wymówek i zarzutów. Głównie wyrzuca mu, że poszedł na współpracę z ludźmi dawnego reżymu, którzy byli jego przeciwnikami, przez co wszedł na „niebezpieczną drogę” w imię narodowej jedności<sup>15</sup>.

Obawy Popiela były w dużej mierze uzasadnione. Od upadku Francji i przeniesienia rządu i reszty uratowanego z francuskiego pogromu wojska do Anglii, piłsudczycy z Sosnkowskim i Raczkiewiczem na czele ostro zwalczali Sikorskiego i jego rząd, często przy poparciu narodowców i części PPS. Opozycja, na której czele stał Sosnkowski — jeszcze jeden nasz polityk w generalskim mundurze — głównie atakowała rosyjską politykę premiera i pomawiała go o dyktatorskie zapędy. Początkowo opozycja atakowała memoriał Sikorskiego złożony Anglikom w czerwcu 1940 roku proponujący utworzenie w ZSSR wojska polskiego, a później pakt Sikorski - Majskij z lipca który, jej zdaniem, był nie do przyjęcia, gdyż nie rozwiązywał definitywnie kwestii powojennych wschodnich granic Polski.

Do ataku Hitlera na ZSSR opozycja sądziła, że Polska nie powinna wdawać się w żadne rozmowy z Moskwą ze względu na sowiecko-niemieckie porozumienie, a po wybuchu wojny między Niemcami i Rosją uważała uznanie przez Stalina naszych ryskich granic za kardynalny warunek polsko-sowieckiej współpracy<sup>16</sup>.

Sikorski zaś, już od jesieni 1939 roku, rozważał możliwość pójścia — w razie konieczności — na pewne ustępstwa graniczne wobec Rosji w zamian za rekompensatę kosztem Niemiec na zachodzie za cenę doprowadzenia do porozumienia z ZSSR. Sikorski był zdania, że ostateczny zarys naszych wschodnich granic będzie zależał od realnego układu sił w Europie po klęsce Niemiec, oraz, że w lipcu 1941 roku nie mógł zawrzeć lepszego

15. K. Popiel, *op. cit.*, str. 98 i dalsze.

16. Ostatnio dużo pisze o opozycji i jej działalności W. Babiński „Prezydent Raczkiewicz”, *Zeszyty Historyczne*, Nr 47/1979, str. 128-48.

układu z Moskwą. Sikorski dobrze zdawał sobie też sprawę, że dla większości zachodnich polityków Polska kończyła się na linii Curzona.

Ataki opozycji na rosyjską politykę Sikorskiego osłabiały jego pozycję i poważnie zmniejszały możliwości dojścia do trwałego porozumienia z Kremlenem.

Duraczyński pisze o Sikorskim jako historyk dobrze znający się na swoim zawodzie i temacie, i w oparciu o niezmiernie bogate londyńskie i warszawskie źródła archiwalne. Pisze w sposób szczegółowy i obiektywny, chociaż nie ukrywa swoich politycznych sympatii. Ograniczając się do okresu 1939-41 rzuca silny snop światła na nasze wewnętrzne konflikty i spory, które toczyły się w Francji, a później Anglii, oraz stosunki pomiędzy emigracyjnymi i krajowymi szczytami, w ciągu dwóch pierwszych lat wojny.

Z pracy Duraczyńskiego, podobnie jak i Popiela, jasno wynika, że głównym przedmiotem sporów były tarcia pomiędzy Sikorskim i jego zwolennikami a piłsudczykami. Nad polskim życiem politycznym ciągle jeszcze ciążyły skutki wypadków majowych i odsunięcie przez sanację największych polskich partii politycznych: SL, SN, PPS i SP od najmniejszego nawet współudziału w rządzeniu krajem. Zredukowanie ich na przeciąg 13 lat do roli bezsilnej opozycji wyjałowiło i wypaczyło nasze życie polityczne, oraz uniemożliwiło owocną i trwałą współpracę pomiędzy piłsudczykami i antypiłsudczykami w czasie wojny.

Wrogość do „sprawców klęski wrześniowej” stworzyła Sikorskiemu i opozycji wspianą okazję do zasadniczej rozgrywki z ludźmi z dawnej elity rządzącej.

Popiel<sup>17</sup> i Duraczyński wytykają Sikorskiemu, że kompromitacji wrześniowej piłsudczyków nie wykorzystał do pełnego nad nimi zwycięstwa, co osłabiło jego pozycję i doprowadziło do kryzysów z lipca 1940 roku, lata 1941 roku oraz do ciągłych z nimi tarć aż do jego śmierci. Poprzednia elita władzy odeszła, pisze Duraczyński, ale pozostały mocne segmenty ówczesnej warstwy rządzącej i to zarówno na emigracji, jak i w kraju w wojsku i w aparacie cywilnym.

Wbrew legendzie Sikorski nie dał się ponieść fobiom politycznym i nie dał się wplątać w machinacje gen. Modelskiego i prof. Kota, lecz wręcz dopuścił się błędu politycznego. Sądził być może, zdaniem Duraczyńskiego, iż kompromitacja wrześniowa przypieczętowała klęskę polityczną piłsudczyków i że z tej strony nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. A może Sikorski tak

---

17. K. Popiel, *op. cit.*, str. 99

głęboko wierzył w stosunkowo szybkie zwycięstwo u boku Francji, że zrezygnował z rozgrywki na emigracji, zakładając, że zwycięstwo przesądzi o jego pełnym sukcesie politycznym i o porażce przeciwników<sup>18</sup>.

Duraczyński podkreśla, że Sikorski „pragnął uprawiać politykę bez sięgania po normalne w takich wypadkach środki walki politycznej; szlachetność i rycerskość szły tu w parze z zadziwiająco wysokim poczuciem własnej wartości a nawet wielkości... z zaskakującą nieumiejętnością budowania siły, a przez nią — respektu i autorytetu<sup>19</sup>...”.

Czytając te w zasadzie słuszne słowa wydaje się, że ich autor po części zapomina, iż Sikorski nie był radykałem czy rewolucjonistą, lecz po prostu „burżuazyjnym” politykiem o liberalnych poglądach, zawsze raczej gotowym do jakiegoś kompromisu niż do „generalnego rozrachunku” ze swymi przeciwnikami. Płk L. Mitkiewicz, który w latach 1940-43 był bliskim współpracownikiem Sikorskiego stwierdza, iż Generał „przy całej swej energicznej, czynnej naturze i żywym usposobieniu, jako mąż stanu nie posiada silnego jak stal charakteru, który by chciał i mógł narzucić innym własną wolę... Generał jest człowiekiem wyrozumowanego kompromisu, jeśli nawet nie człowiekiem o chwiejnej postawie. Z dwóch rozwiązań Generał najczęściej wybiera to, które będzie najbardziej pojednawcze, które wywołuje najmniej sprzeciwów i nie przeciwstawia się w niczym poglądom innych<sup>20</sup>”.

Tutaj też chyba należy szukać klucza do postępowania Sikorskiego. Chociaż, jak to podkreśla K. Morawski, „podświadomie szukał tej władzy i tego autorytetu jakim rozporządzał i jakim pognębił go Piłsudski<sup>21</sup>”.

Role głównych antysanacyjnych „cerberów” przy Sikorskim grali prof. St. Kot — minister Spraw Wewnętrznych i wicepremier emigracyjnego rządu w latach 1939-41 oraz gen. I. Modelski — drugi wiceminister Spraw Wojskowych — którzy wyżywali się we wszelkiego rodzaju personalnych rozgrywkach, wyszukiwaniu w aparacie rządowym i wojsku piłsudczyków oraz „wrogów” Generała. Byli to ludzie, którzy wyraźnie chcieli się odgrywać na sanacji i którzy swą działalnością przysporzyli Sikorskiemu wielu niepotrzebnych nieprzyjaciół, chociaż sam starał się te „antysanacyjne” zapędy tonować. Znowu, jak widzimy, Sikor-

18. Duraczyński, *op. cit.*, str. 59 i dalsze.

19. *Tamże*, str. 413.

20. L. Mitkiewicz, *Z Gen. Sikorskim na obczyźnie*, (Instytut Literacki, Paryż, 1968), str. 299.

21. K. Morawski, *Wspólna Droga*, (Paryż, bdw), str. 169.

ski szedł na połowiczne rozwiązanie tego niezmiernie trudnego problemu: nie godził się na „czystkę”, ale z drugiej strony, nie chciał być „pobłażliwy” wobec „sprawców” klęski wrześniowej. Sikorski niestety nie potrafił działać z żelazną konsekwencją gdyż zbyt bardzo zabiegał o popularność i był za wielkim demokratą. Zawsze brakowało mu uporu, zawziętości i samozaparcia, które tak często cechowały działalność Piłsudskiego. Sikorski nigdy nie zdobył się na zorganizowanie własnego silnego ruchu czy obozu politycznego, i zawsze chciał uchodzić za męża stanu, który miał na uwadze wyłącznie interes państwa i narodu a nie danej partii czy grupy społecznej, oraz dążył do „zjednoczenia autorytetów” dla jego dobra. Sikorski chciał działać jako niezależny, ponadpartyjny, arbiter ogólnonarodowych interesów całego narodu.

Sikorski pragnął uchronić Polskę od rewolucyjnych wstrząsów i zaburzeń i uczynić z niej po wojnie liberalno-demokratyczne państwo, którego ustroj społeczno-gospodarczy miał być oparty na zasadach czterech wolności człowieka (a więc w istocie byłby to ustroj kapitalistyczny). Sikorski unikał opracowania jasno sprecyzowanego programu społeczno-gospodarczego. W tej dziedzinie operował ogólnikami, które można było po części różnie interpretować.

Sikorski walczył „o Polskę chrześcijańską, sprawiedliwą, w której każdy będzie mógł żyć szczęśliwie”. Powojenna Polska zgodnie z modelem Sikorskiego miała być „państwem demokratycznym, opartym o najszersze warstwy narodu”, miała też urzeczywistnić „zasadę sprawiedliwości, prawo wszystkich do pracy, ze szczególnym uwzględnieniem prawa rzesz pracujących na roli i warsztatów pracy”. Twierdził, że Polska „musi rozporządzać sprawną i silną władzą wykonawczą, gdyż inaczej zginie”. Szczególny nacisk kładł na poszanowanie prawa, gdyż „jedynie prawo może zapewnić jednostkom byt spokojny i moralny”.

Bezpieczeństwo międzynarodowe pragnął osiągnąć przez utopijne niemalże „rozszerzenie i utrwalenie instytucji demokratycznych, nie tylko w życiu poszczególnych narodów, ale i w życiu międzynarodowym. Podstawą takiej demokracji międzynarodowej będzie przyjęcie i zrealizowanie zasady federacji państw w stosunkach europejskich, a gwarancją jej trwania — siła międzynarodowa w służbie prawa”. Podkreślał, że dla utrzymania pokoju, „rozwiązanie problemu bezpieczeństwa socjalnego” było równie ważne „jak rozwiązanie zagadnienia bezpieczeństwa międzynarodowego. Żaden bowiem system międzynarodowej współpracy politycznej nie spełni swego zadania utrzymania pokoju,

jeżeli lud będzie cierpieć nędzę”. Przestrzegał, że żaden naród nie może być traktowany „jako środek, jako nawóz, dla innego narodu<sup>22</sup>”. Pragnął też walczyć z „anarchią i komunizmem” w Europie po załamaniu się Niemiec<sup>23</sup>.

Wydaje się, że Sikorski głównie interesował się polityką zagraniczną i wojskiem, a kwestie społeczno-gospodarcze traktował jako zagadnienie wtórne. Jak większość ówczesnych Polaków uznawał prymat polityki zagranicznej nad wewnętrzną. Nie doceniał w pełni konieczności przeprowadzenia radykalnych reform społecznych w Polsce, o które dopominały się szerokie masy.

Duraczyński słusznie wyrzuca Sikorskiemu, że podzielił ruch podziemny w kraju na dwa zasadnicze działy — polityczny i wojskowy — co doprowadziło do niepotrzebnego i niebezpiecznego dualizmu oraz konfliktów w jego łonie, szczególnie że wyższa kadra dowódcza konspiracyjnej armii rekrutowała się z b. legionistów i piłsudczyków, a przywódcy organizacji cywilnej z szeregów przedwojennej antysanacyjnej opozycji co utrudniało współpracę między nimi. Sikorski nie zaaprobował wprawdzie idei prymatu organizacji wojskowej, ale też odrzucił ideę prymatu polityków, przyczyniając się tym samym do umocnienia autonomii konspiracyjnego wojska, co źle się odbiło na całej późniejszej historii Polski Podziemnej aż do wybuchu Powstania Warszawskiego włącznie. W rezultacie przez cały prawie okres wojny mieliśmy dwie odrębne często podejrzliwe wobec siebie nastawione rządowe organizacje konspiracyjne, aparaty, kierownictwa i sieci<sup>24</sup>.

Tak długo jak żył Sikorski wzmacniało to pozycję rządu wobec podziemia. Zapewniało mu jako premierowi a zarazem naczelnemu wodzowi ostateczną kontrolę nad sprawami krajowymi. System ten nie przeżył jednak swego twórcy i załamał się natychmiast po jego śmierci, kiedy St. Mikołajczyk objął stanowisko premiera, a K. Sosnkowski naczelnego wodza.

Zdaniem Duraczyńskiego Sikorski do czasu klęski Francji traktował sprawy krajowe jako marginesowe, gdyż wierzył w rychłe załamanie się Niemiec z chwilą uruchomienia przez Francję i Wielką Brytanię ich pełnego potencjału militarnego, i z tego powodu nie przywiązywał większej wagi do konspiracyjnych poczynań w okupowanej Polsce, którą wyzwolić miała przede wszystkim armia polska, utworzona na ziemi francuskiej. W lu-

---

22. O szczegóły w tych sprawach patrz: H. Glass, *W pracy i walce*, (Londyn, 1978), str. 203 i dalsze.

23. J. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 164 i dalsze.

24. Duraczyński, *op. cit.*, str. 414 i dalsze, oraz J. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*, (Londyn, 1971), str. 20 i dalsze.

tym 1940 roku Sikorski określił główny cel ruchu oporu jako „przygotowanie powstania zbrojnego na tyłach armii okupacyjnej, które nastąpi z chwilą wkroczenia regularnych wojsk polskich do kraju”<sup>25</sup>.

Odbudowa państwa miała się więc odbywać pod ochroną powracającego z obczyzny wojska i pod kontrolą rządu.

Rola i znaczenie kraju i organizacji podziemnych w planach Sikorskiego wzrosły ogromnie po upadku Francji, kiedy to rozwinęły się nadzieje na stosunkowo szybkie zakończenie wojny. Z tą też chwilą zaczął się proces usamodzielniania się kraju od rządu za granicą. Za życia Sikorskiego proces ten przebiegał łagodnie i był przez Generała kontrolowany. Sikorski nie tolerował zbyt jaskrawej niesubordynacji władz krajowych<sup>26</sup>.

Po śmierci Sikorskiego proces ten przybrał na sile i wymknął się spod kontroli najwyższych władz emigracyjnych<sup>27</sup>.

Duraczyński, koncentrując się zasadniczo na naszych sprawach wewnętrznych, właściwie nie zajmuje się polityką zagraniczną Sikorskiego, której sporo uwagi poświęcają Popiel, Wapiński i Terlecki. Wywody ich jednak nie zawierają żadnych wielkich rewelacji. Traktują o rzeczach dość dobrze znanych i posiadających znaczną już literaturę. Zapoznanie się z ich treścią jeszcze raz w pełni ukazuje, że klucz do rozwiązania sprawy polskiej przez prawie cały czas drugiej wojny światowej znajdował się w Moskwie, oraz że rosyjską politykę Sikorskiego przesładowały zasadnicze sprzeczności.

Dzisiaj dobrze już wiemy, że pakt Mołotow - Ribbentrop przesądził o losach Drugiej Rzeczypospolitej; po jego zawarciu — jak się na gorąco wyraził dowódca jednego z pomorskich pułków piechoty — „wszystko było stracone a reszta była już tylko kwestią czasu”<sup>28</sup>.

Zerwanie zaś polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych w kwietniu 1943 roku w związku ze sprawą Katynia w dużej mierze zadecydowało o losach państwa na wygnaniu i Polski Podziemnej.

Polityka Zachodu wobec Polski była po prostu funkcją jego polityki wobec Rosji. Na Zachodzie, od chwili wejścia Rosji do obozu sprzymierzonych, polskie akcje spadały, a rosyjskie stale wzrastały w miarę odnoszonych przez Armię Czerwoną zwycięstw nad Niemcami. Stąd kołatanie Sikorskiego w Londynie i Waszyngtonie o poparcie wobec Rosji było wbrew różnym pozorom

25. J. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 12 i dalsze.

26. *Tamże*, str. 157 i dalsze.

27. *Tamże*, str. 191 i dalsze.

28. Ze wspomnień własnych autora.

z góry skazane na niepowodzenie. Niestety Sikorski tylko częściowo z tego zdawał sobie sprawę i brał różnego rodzaju wypowiedzi Roosevelta za dobrą monetę. Brak definitywnego załatwienia sprawy powojennych granic pomiędzy Polską i ZSSR w czasie polsko-sowieckich rokowań w lipcu i grudniu 1941 roku rzucił złowrogi cień na dalszy rozwój stosunków między obu krajami. Stawiało to sprawę przyszłych stosunków polsko-rosyjskich pod poważnym znakiem zapytania, szczególnie w wypadku walnego zwycięstwa Sowietów, oraz czyniło z lipcowego porozumienia dyplomatyczny dziwoląg, do którego zawarcia doszło tylko dlatego że sporne obszary znajdowały się pod niemiecką okupacją. Nierozstrzygnięty polsko-sowiecki spór terytorialny czynił z Polski bardzo kłopotliwego alianta „wielkich demokracji”, którym przeszkadzał w utrzymywaniu i rozwijaniu dobrych stosunków z Moskwą. Ponadto zachodnia opinia publiczna z Churchillem i Rooseveltem na czele w swej przemożnej większości uważała, że Polska kończyła się na linii Curzona i że roszczenia Rosji do kresów wschodnich były uzasadnione. W oczach Zachodu nasze granice z ZSSR były sporne. Churchill z tym się nie krył i otwarcie o tym mówił Polakom. Niestety, ze względu na amerykańską Polonię, nie robił tego Roosevelt co się później — już po śmierci Sikorskiego — straszliwie na nas zemściło.

Rosyjska polityka Sikorskiego opierała się na następujących zasadach: po pierwsze, iż utrzymanie przyjaznych stosunków z Rosją było dla Polski niezbędną koniecznością; po drugie, iż spór terytorialny z Rosją należało rozgrywać na dyplomatycznej płaszczyźnie i jak najdłużej obstawać przy utrzymaniu przedwojennych polsko-sowieckich granic; po trzecie, iż polska postawa wobec Rosji musiała być uzależniona od wzrastającej roli Sowietów w alianckim obozie; i wreszcie, iż w ZSSR powinna powstać silna armia polska, wyekwipowana przez Zachód, która miała się bić i wkroczyć do Polski ramię w ramię z wojskami sowieckimi. Istnienie wojska polskiego w Rosji, miało umożliwić rządowi polskiemu opiekę nad znajdującymi się w ZSSR Polakami.

Dzisiaj łatwo jest zauważyć, iż pierwsze dwa kardynalne cele rosyjskiej polityki Sikorskiego — utrzymanie przyjaznych stosunków z Moskwą i obrona ryskiej granicy — kolidowały ze sobą i wzajemnie się wykluczały, gdyż Stalin był zdecydowany zlikwidować polski Piemont ukraiński przez wcielenie wszystkich Ukraińców do ZSSR. Sprzeczność celów była zasadniczym defektem polityki Sikorskiego wobec Rosji. Zresztą sprzeczność ta wypłynęła już w grudniu 1941 roku, kiedy Stalin zażądał od Sikorskiego „niewielkich korektur granicznych” i proponował zawar-

cie ściślejszego polsko-sowieckiego przymierza. Sikorski nie zgodził się jednak, „na żadną dyskusję na temat granic”. Wydaje się, iż tym posunięciem pogrzebał ostatnią szansę korzystnego dla Polski rozwiązania sporu terytorialnego z Moskwą. W tym czasie Rosja była jeszcze śmiertelnie zagrożona. Niemcy stali u bram Moskwy i niepewne jeszcze było stanowisko Japonii wobec ZSSR — a Stalinowi wyraźnie zależało na polsko-rosyjskiej współpracy wojskowo-politycznej. Stalin chciał, aby wojsko polskie weszło do boju na froncie wschodnim, gdyż mogło to ułatwić mu nawiązanie współpracy z polskim ruchem oporu w Polsce, który mógł ogromnie pomóc Rosjanom przez zwalczanie niemieckich linii komunikacyjnych, biegnących na wschód przez Polskę i dostarczanie informacji wywiadowczych. W tym czasie nie istniał jeszcze PPR ani silny sowiecki ruch partyzancki, który dopiero zaczynał powstawać. Wszystko więc przemawiało za jak najściślejszą współpracą z dobrze już zorganizowanymi i licznymi polskimi siłami podziemnymi. Był to zresztą okres montowania tego rodzaju współpracy w ramach tzw. „Operacji Wisła”, o której niestety tak niewiele się pisze.

Mogło to skłonić Stalina do kompromisu w sprawach terytorialnych. Ale Sikorski sądził, że nie nadszedł jeszcze czas do rozstrzygającej rozgrywki ze Stalinem. Liczył, iż przy końcu wojny łatwiej mu będzie przy pomocy Zachodu załatwić kwestię granic.

Obawiał się też wrogiej reakcji polskich kół w kraju i za granicą, które nie dopuszczały myśli o jakichkolwiek ustępstwach terytorialnych na rzecz Sowietów. Jak wiemy, samo podpisanie paktu sowiecko-polskiego w lipcu 1941 roku wywołało protesty w łonie gabinetu Sikorskiego i doprowadziło do podania się do dymisji trzech ministrów: A. Zaleskiego, K. Sosnkowskiego i M. Seydy, którzy uważali, iż był on szkodliwy dla Polski, gdyż nie zobowiązywał Moskwy do honorowania granicy ryskiej.

Od tej chwili Sosnkowski stał się głównym krytykiem i przywódcą opozycji w stosunku do polityki i rządu Sikorskiego, zabiegającym o rekonstrukcję i rozszerzenie rządu oraz rozdzielenie władzy wojskowej i politycznej. Mówiąc krótko usiłował ograniczyć rolę Sikorskiego w polskim życiu politycznym<sup>29</sup>.

Wiele zastrzeżeń wobec rosyjskiej polityki rządu żywili też Dowódca AK, gen. Stefan Grot-Rowecki<sup>30</sup> oraz dowódca armii polskiej na wschodzie gen. Władysław Anders<sup>31</sup>.

29. M. Kukiel, *op. cit.*, str. 177 i dalsze.

30. J. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 157 i dalsze.

31. Wł. Anders, *Bez ostatniego rozdziału*, (Londyn, 1959), str. 60 i dalsze.



Wydaje się iż Sikorski rozumiał, że granice ryskie były nie do utrzymania, ale obawiał się o tym mówić publicznie, gdyż mogło to doprowadzić do upadku jego gabinetu. Poza tym Sikorski pocieszał się myślą, iż to jak się ułożą dalsze losy i granice Polski będzie zależało od „realnego układu sił w danym momencie”. Liczył że układ ten w końcowej fazie wojny będzie dla Polski korzystny. Żywił nadzieję, że uda się mu przy pomocy Londynu i Waszyngtonu skłonić Stalina do „uznania naszych praw na wschodzie” oraz na zachodzie, gdzie żądamy Prus Wschodnich, Gdańska i takiego wyprostowania naszych granic, by porty polskie na Bałtyku były zabezpieczone, a Śląsk Opolski powrócił do Polski<sup>32</sup>.

Sikorski przeceniał znaczenie Polski w łonie „Wielkiej Koalicji” i nie rozumiał, lub raczej nie chciał zrozumieć, że Churchill i Roosevelt byli gotowi popierać jego żądania na zachodzie tylko i wyłącznie za cenę polskich wyrzeczeń na wschodzie.

Generał też niefortunnie załatwił ze Stalinem sprawę utworzenia i użycia armii polskiej w ZSSR, co się później fatalnie na nim i sprawie polskiej odbiło. Zgodziwszy się ostatecznie, po wielu wahaniach, na pełną ewakuację wojska z Rosji, o którą prawie od początku zabiegali u Stalina Anglosasi przy udziale gen. Andersa, znacznie się przyczynił do poważnego pogorszenia się ledwie co wznowionych polsko-sowieckich stosunków<sup>33</sup>.

Wyprowadzenie wojska z Rosji doprowadziło do usunięcia go z najważniejszego dla nas kierunku operacyjnego, pozbawienia pozostałych w ZSSR cywilów koniecznej opieki i pomocy, oraz rozwiązania Stalinowi rąk w sprawie dalszej ewakuacji oraz przyjmowania Polaków do służby wojskowej. Zapoczątkowało proces, który wkrótce doprowadził do powstania Związku Patriotów, armii gen. Berlinga w ZSSR, oraz zerwania polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych.

Do formalnego ich zerwania przez Stalina doszło 25 kwietnia 1943 roku po zwróceniu się rządu polskiego z apelem do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie Katyńskiej masakry<sup>34</sup>.

Zerwanie stosunków polsko-sowieckich oznaczało pełne bankructwo dotychczasowej rosyjskiej polityki Sikorskiego, a niepowodzenie wysiłków Churchilla i Roosevelta w Moskwie o ich przywrócenie było jaskrawym dowodem, iż sprawa polska znowu znalazła się w groźnym impasie i że klucz do jej rozwiązania znaj-

32. J. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 164.

33. R. Lukas, *The Strange Allies*, (Knoxville, 1978), str. 7 i dalsze.

34. O szczegóły patrz: J.K. Zawodny, *Death in the Forest*, (Londyn, 1971).

dował się w rękach Stalina. Pogorszyło ono też pozycję Sikorskiego w kraju i za granicą i wzmogło opozycję przeciwko jego rządowi i polityce. Przed Sikorskim zaczynało stawać arcytrudne pytanie: Co dalej?

Pytanie tym trudniejsze, że wyprowadzone z Rosji oddziały polskie stacjonowane na Bliskim Wschodzie burzyły się przeciwko Sikorskiemu, jako temu, który rzekomo „nie chciał ratować ich rodzin”, pozostawionych w Rosji, oraz zaprzepaszczał polską sprawę poprzez zbyt ugodowe nastawienie wobec Moskwy. Nastroje te podzielał gen. Anders, który domagał się dymisji rządu i szykował się już do objęcia stanowiska naczelnego wodza.

Celem zażegnania tych nastrojów i konfliktu z gen. Andersem, Sikorski 24 maja 1943 roku odlatuje z Anglii na inspekcję armii polskiej na Bliskim Wschodzie. Chce pokazać, iż „z prawdziwymi żołnierzami” zawsze dojdzie do porozumienia i że ma do nich pełne zaufanie. Myśli też o konieczności „znalezienia płaszczyzny porozumienia z ZSSR”.

„Odniosłem wrażenie” — oświadczył Sokolnicki po rozmowie z Sikorskim w końcu czerwca 1943 roku — „że Sikorski czegoś się spodziewa, na coś czeka, jak gdyby spodziewał się akcji pośredniczącej Churchilla. Niewątpliwie, nie uważał sytuacji za przesądzoną”. Miał nadzieję że wielcy alianci go nie zdradzą i że może jeszcze dojdzie do lądowania wojsk alianckich na Bałkanach i do ich marszu w głąb Europy po osi Belgrad - Budapeszt czy Lublana - Brama Morawska ku Warszawie<sup>35</sup>.

4 lipca 1943 roku w drodze powrotnej z Bliskiego Wschodu Sikorski ginie w katastrofie lotniczej w Gibraltarze, do której doszło w niezupełnie wyjaśnionych jeszcze okolicznościach. Ginie tuż przed największą próbą która czekała go jako polityka i żołnierza: na kilka miesięcy przed ponownym wkroczeniem Armii Czerwonej do Polski, oraz na rok przed tragedią „Burzy” i Warszawy.

Wraz ze śmiercią Sikorskiego, który łączył w swojej osobie funkcje premiera i naczelnego wodza, skończyło się jednolite — tak w czasie wojny konieczne — polityczne i wojskowe kierownictwo.

Po katastrofie gibraltarskiej St. Mikołajczyk został premierem a gen. K. Sosnkowski naczelnym wodzem. Mikołajczyk i Sosnkowski byli niestety ze sobą skłócen i wzajemnie sobie przeszkadzali. Kiedy Mikołajczyk szykował się do ugody z Moskwą, Sosnkowski myślał już o wybuchu trzeciej wojny światowej.

---

35. R. Wapiński, *op. cit.*, str. 323.

Śmierć Sikorskiego była wielką stratą dla Polski, gdyż zna-  
czyła początek procesu dekompozycji polskich władz naczelnych,  
co uniemożliwiło utrzymanie wspólnoty celów i zgody na środki,  
jakimi zamierzono je osiągnąć. Pod tym względem był on gene-  
rałem naszej ostatniej nadziei raczej niż legendy, jak tego chce  
Olgiard Terlecki, który pisze o nim jako o swym ukochanym  
wodzu, gdyż najbardziej ze wszystkich londyńskich przywódców  
rozumiał wymogi sytuacji i konieczność stosowania w politycznej  
działalności kompromisowych rozwiązań.

Sytuacja zaś nasza była tego rodzaju — oświadczył nowy polski  
wódz naczelny 13 października 1943 roku — że „jeśli nie bę-  
dziemy posiadali szczególnej pomocy z Departamentu Opatrzności  
Boskiej, to spotka nas straszliwa katastrofa<sup>36</sup>”.

Wszystkie powyżej wspomniane prace pozwalają nam na  
lepsze poznanie polityka, który w latach 1939-43, kierował pol-  
skim wysiłkiem wojennym i dyplomatycznym, zmierzającym do  
odzyskania tak upragnionej przez wszystkich Polaków niepodle-  
głości i który zginął w służbie narodu tuż przed jego jedną z naj-  
ważniejszych prób dziejowych. Ukazują jego blaski i cienie,  
osiągnięcia i błędy. Zebrany w tych pracach materiał posłuży  
na pewno kiedyś do opracowania pełnej biografii gen. Sikor-  
skiego, na co w tej chwili może jest jeszcze stosunkowo za  
wczesnie.

Jan CIECHANOWSKI

---

36. J. Ciechanowski, *op. cit.*, str. 154.

---

Piotr WANDYCZ

## NOWE KSIĄŻKI

Pod koniec roku 1978 i na przestrzeni 1979 ukazało się wiele  
wartościowych prac z najnowszej historii Polski, lub poświęco-  
nych w znacznym stopniu polskiej tematyce. W poniższych uwa-  
gach pragnąłbym zasygnalizować czytelnikom *Zeszytów* trzy po-  
zycje: Janusza Pajewskiego, *Odbudowa państwa polskiego 1914-  
1918* (Poznań, 1978); Kay Lundgree-Nielsena, *The Polish Problem*

*at the Paris Peace Conference: A Study of the Policies of the Great Powers and the Poles 1918-1919* (Odense, 1979) oraz Wojtecha Mastny'ego, *Russia's Road to the Cold War: Diplomacy, Warfare, and the Politics of Communism, 1941-1945* (New York, 1979).

Pierwsza z tych prac jest to od dawna już oczekiwane dzieło pióra wybitnego uczonego, od paru lat emerytowanego profesora Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Wydana w niedużym nakładzie (poniżej 3.000 egzemplarzy), książka ta jest w praktyce nieosiągalnym białym krukiem. Janusz Pajewski dał nam wykład zwięzły, przejrzysty a równocześnie wielopłaszczyznowy. Idąc w kierunku przedstawiania kluczowych zagadnień, autor ześrodkował swą uwagę na mało znanych aspektach odbudowy Polski nie starając się o szczegółowe relacjonowanie spraw poruszanych już uprzednio przez większość badaczy tego okresu. Wśród licznych źródeł rękopiśmiennych, na których Pajewski oparł swe dzieło, na szczególną uwagę zasługują wypisy i fotokopie ze zbiorów prywatnych, w posiadaniu autora. Są to: „Pamiętnik wojenny” Marii z Branickich Zdzisławowej Lubomirskiej; „Kronika” Leona Goldstanda; Relacje i korespondencja Stanisława Łosia; „Pamiętniki Dzierzbickiego”; „Wspomnienia” Eugenii Witoldowej Staniewiczowej itp.

Historyk w większym stopniu niż laik doceni zarówno bogactwo źródeł jakim autor dysponował, jak też i rozłożenie przez niego akcentów w przedstawianiu procesów w wyniku których odrodziła się Rzeczypospolita. Jeśli w książce znajdziemy stosunkowo mało obszerną relację działalności Piłsudskiego czy Dmowskiego, o których trudno już dziś powiedzieć coś nowego, to rekompensatą będzie szczegółowa analiza sytuacji wewnątrz kraju z uwzględnieniem elementów politycznych, społecznych i gospodarczych. Pajewski wnosi wiele nowego materiału odnośnie roli Zdzisława Lubomirskiego, a także gdy przedstawia „Kształtowanie się poglądów na ustrój i terytorium państwa polskiego” (rozdział XIII) i „Powstanie i początki działalności Rady Regencyjnej” (rozdział XIV). Główną tezę autor formułuje na początku swej pracy, pisząc: „Zasadniczą przyczyną odzyskania niepodległości była postawa narodu polskiego, była jego wola przetrwania katastrofy niewoli, była jego wola odzyskania niepodległości. Chwilę dziejową, w której wyzwolenie się dokonało, wyznaczyła sytuacja międzynarodowa” (str. 14-15).

W skondensowanej, ale nigdzie nie przeładowanej szczegółami narracji, Pajewski posługuje się często doskonale dobranymi cytatami, które obrazują epokę i sposób myślenia Polaków. W książce znajdziemy też szereg lapidarnych i trafnych sformułowań samego autora. Ciekawie rysuje się stosunek Piłsudskiego do Lubomirskiego, próby zamachu stanu w 1917 roku czy wystąpienia Daszyńskiego i Głębińskiego w parlamencie wiedeńskim w maju 1917 roku. Wobec częstych zarzutów stawianych

„Galicjanom” za ich lojalizm wobec Monarchii, jakże interesująco brzmią słowa austriackiego premiera Stürghka cytowane przez Pajewskiego: „Polak jest i zostaje Polakiem i po 150-letnim okresie zjednoczenia Galicji z Austrią nie jest on żadnym Austriakiem” (str. 197).

Stanowisko autora wobec kontrowersyjnej w powojennej historiografii sprawy rządu lubeskiego i gabinetu Moraczewskiego oddaje najlepiej jego własne krótkie sformułowanie: „Jeśli w Polsce w roku 1918 dojrzała sytuacja rewolucyjna, rząd lubelski i rząd Moraczewskiego były hamulcami na drodze postępu. Jeśli zaś było odwrotnie, jeśli Polska nie dojrzała jeszcze do wielkiego rewolucyjnego przewrotu społecznego to i rząd lubelski i rząd Moraczewskiego wiodły Polskę na drogę postępu i wprowadziły reformy społeczne, których następne rządy cofnąć już nie były w stanie” (str. 303). Cytat ten jest dość charakterystyczny dla traktowania przez autora tzw. drażliwej problematyki. Ogólnie biorąc, Pajewski zrećcznie omija rafa „dogmatyzmu” i choć z pewnymi sformułowaniami jego można polemizować lub też wytykać niezbyt precyzyjne określenia, książka jako całość na tym nie cierpi.

Powyższe uwagi na temat dzieła Pajewskiego nie są ani krytyczną recenzją ani nie pretendują do wyczerpania niezwykle bogatej tematyki przedstawionej nam przez poznańskiego historyka. Praca ta stanowi niewątpliwie ogromne osiągnięcie i zajmie pierwsze miejsce w bogatym dorobku wybitnego uczonego. Trzeba raz jeszcze wyrazić żal, że ten starannie wydany tom, oparty na wielkim bogactwie źródeł archiwalnych, będzie dostępny jedynie w bibliotekach publicznych, gdyż wysokość nakładu może zaspokoić tylko niewielu czytelników, którzy pragnęliby nabyć to dzieło na własność.

W odróżnieniu od Pajewskiego, autor pracy o Sprawie Polskiej na Konferencji Pokojowej w Paryżu, Kay Lundgreen-Nielsen, jest młodym historykiem duńskim, a książka jego stanowi debiut w świecie naukowym. Trzeba przyznać, że jest to debiut doskonały. Lundgreen-Nielsen zabłysnął jako wielki znawca tej już parokrotnie poruszanej przez historyków tematyki i dzieło jego, odznaczone nagrodą im. Damiana Wandycza nadaną mu przez Instytut Piłsudskiego w Nowym Jorku, w pełni zasługuje na to wyróżnienie. Książka ta jest fascynująca, jakkolwiek — podobnie jak w wypadku dzieła Pajewskiego — jej wszystkie walory mogą być w pełni ocenione tylko przez zawodowych historyków. Baza źródłowa jest ogromna. Autor po raz pierwszy przedstawił nam losy Polski na konferencji paryskiej przy pełnym wykorzystaniu archiwów polskich, brytyjskich, francuskich i amerykańskich. Wykazał świetną znajomość źródeł drukowanych i literatury przedmiotu. Po przeszło 400-stronicowym tekście zamieścił 150 stron przypisów, które stanowią istną kopalnię wia-

domości z uwzględnieniem drobnych nawet szczegółów. Pracę charakteryzuje iście germańska precyzja połączona z benedyktyńską dokładnością i skrupulatnością — nic dziwnego, że Lundgreen-Nielsen poświęcił jakieś 10 lat na przygotowanie tej książki (w pierwszej wersji była to praca doktorska) do druku. Najpierw ukazał się tekst duński, następnie angielski. Ilość pomyłek językowych jest tak minimalna, że budzić może jedynie podziw zarówno dla sumienności autora jak i wydawcy.

Praca Lundgreen-Nielsena zajął się w niewielkim stopniu z dziełem Pajewskiego. Punkty styczne to sprawy polskie na terenie francuskim w przeddzień zawieszenia broni, oraz pierwsza faza zagadnień związanych z powstaniem rządu Paderewskiego w Warszawie i powrotem armii Hallera. Ogromny tom Lundgreen-Nielsena poświęcony jest bardzo krótkiemu okresowi czasu. Poza rozdziałem wstępnym dotyczącym przełomu lat 1918-1919, autor zajmuje się kilku miesiącami — od rozpoczęcia konferencji pokojowej w styczniu do podpisania traktatu wersalskiego w czerwcu 1919 roku — ale są to miesiące kluczowe tak dla zrozumienia postanowień traktatowych, jak i dla całości kształtu stosunków Polski ze zwycięską Koalicją. Autor postawił sobie za cel zanalizowanie polityki Koalicji wobec Polski z równoczesnym uwzględnieniem polityki polskiej, tak zagranicznej jak i wewnętrznej. Jak słusznie zauważa, jedynie prześledzenie obustronnego procesu i przedstawienie zajął się posunięć i kontrposunięć polskich, brytyjskich, francuskich i amerykańskich pozwoli nam uzyskać możliwie pełny obraz sytuacji. Lundgreen-Nielsen postanowił też wniknąć poza fasadę decyzji, podejmowanych na konferencji i nie zadawał się takimi skrótowymi określeniami jak „delegacja brytyjska” czy „rzecznicy amerykańscy” przestudiować rolę poszczególnych jednostek.

Ogromny wysiłek badacza został uwieńczony pełnym powodzeniem. Uważny czytelnik, a pracę tę trzeba czytać z uwagą, bo nie jest to łatwa lektura, uzyska dokładny i precyzyjnie przedstawiony obraz mechanizmu decyzji podejmowanych przez Wielką Trójkę w Paryżu, jak też i reakcji i inicjatyw polskich. Szczegółowa a niekiedy drobiazgowo analiza pozwala autorowi na wysunięcie nowych interpretacji. Zwrócę tutaj uwagę tylko na kilka z nich. Lundgreen-Nielsen kwestionuje utarty pogląd, według którego Piłsudski skupiał się na tematyce wschodniej, nie doceniając czy lekceważąc sprawy granicy zachodniej, którą kiedyś określił jako „podarunek” Koalicji. W rezultacie tego polityka faktów dokonanych na wschodzie rzutowała ujemnie na problematykę rozwiązań granicznych z Niemcami. Autor wykazuje, iż odwrotnie — Piłsudski w pełni rozumiał związek między granicami zachodnią i wschodnią. Jeśli mówi o „podarunku” to miał na myśli to, iż decyzje zachodnich sojuszników odnośnie granicy polsko-niemieckiej będą w praktyce oznaczały większe

zaangażowanie się Ententy i moralne zobowiązanie obrony granic, które zostały zdecydowane w Paryżu. Jeśli próby stworzenia faktów dokonanych, np. w Galicji wschodniej, miały ujemny wpływ na pozycję Polski odnośnie Górnego Śląska, to nie należy o to winić Piłsudskiego — który starał się powstrzymać ofensywę w Galicji — ale obóz Narodowej Demokracji, który żądał rozprawy zbrojnej z Ukraińcami przy użyciu Armii Hallera.

Lundgreen-Nielsen neguje jakoby *de facto* podział ról między Piłsudskim a Dmowskim ułatwić Polsce uzyskanie korzystnych granic na wschodzie i zachodzie. Przeciwnie, dualizm w polskiej polityce zagranicznej, wynikający z niechęci Dmowskiego do podporządkowania się linii politycznej Warszawy (Piłsudski-Paderewski), był niezmiernie szkodliwy dla sprawy polskiej. Obóz Dmowskiego, starający się narzucić swoją koncepcję na konferencji pokojowej i montujący opozycję przeciw Piłsudskiemu w sejmie i prasie, dostarczał jedynie argumentów Anglosasom, doskonale zorientowanym w istniejącym konflikcie, przeciw teozom polskim o demokracji i chęci zgodnego współżycia z Ukraińcami, Białorusinami, Litwinami czy Żydami. Przedstawiciele Piłsudskiego w Paryżu zgodnie podkreślali, że ich *credibility* wobec Entente'y była podkopywana przez akcje Narodowej Demokracji. Wreszcie, istniejący dualizm pozwalał Lloyd George'owi na wysuwanie zarzutu, iż Polacy nie potrafią się rządzić.

Lundgreen-Nielsen polemizuje również z zakorzenionym poglądem o wielkich osiągnięciach Dmowskiego na konferencji pokojowej. Nawet Andrzej Micewski, bynajmniej nie bezkrytyczny biograf Dmowskiego, stwierdza jako niekwestionowany fakt, że „Dmowski odniósł... wielkie sukcesy dyplomatyczne w Paryżu” (*Tygodnik Powszechny*, 11 czerwca 1978). Czyż tak było w istocie? Identyfikując politykę polską z polityką Francji, Dmowski naraził się na samym początku konferencji Wielkiej Brytanii a częściowo i Stanom Zjednoczonym. Wilson i Lloyd George odnieśli się niezyczliwie do polskich postulatów, częściowo dlatego, że stała za nimi Francja, aspirująca według ich mniemania do roli hegemonu w Europie i używająca Polski jako swego narzędzia. Wyjazd Paderewskiego do Paryża w kwietniu 1919 roku był głównie pomyślany jako ratowanie sytuacji i poprawienie stosunków z mocarstwami anglosaskimi. Prawda, że te ostatnie nie popierały Polski w szeregu dziedzin. Prawda, że Francja była jedyną wielką sojuszniczką, której interesy i poglądy były najbardziej zbieżne z polskimi. Ale Dmowski nie rozumował w ten sposób. Przeciwnie, nie doceniając wpływu Anglii i Ameryki, spoglądał z wielkim i nieuzasadnionym optymizmem w przyszłość. Ten brak realizmu u rzekomo najbardziej realistycznie myślącego polskiego polityka jest zaskakujący dla tych, którzy przyzwyczaili się myśleć pewnymi szablonami. Nawiasowo wspomnę, że na brak realizmu Dmowskiego w zupełnie innej sytuacji, a mianowicie w początkach 1917 roku, zwraca także

uwagę Pajewski (str. 175). Dmowski zdał sobie z tego sprawę, gdy było już za późno, aby odrobić popełnione błędy. W niezna-nej dotąd rozmowie z brytyjskim rzeczoznawcą prof. Simpsonem 14 czerwca 1919 podkreślał jak najusilniej pełną zgodność w poli-tyce zagranicznej pomiędzy NKP a Piłsudskim.

W swej książce o odbudowie państwa polskiego, Dmowski przedstawił tezę, że zwycięstwo postulatów polskich było już prawie zapewnione, gdy na arenę wkroczyło „międzynarodowe Żydostwo” pozbawiając Polski owoców zwycięstwa. Lundgreen-Nielsen poświęca sporo miejsca sprawie żydowskiej i wpływom żydowskim na zachodzie i dochodzi do wniosku, że punkt widzenia Dmowskiego jest nie do obronienia. Nie negując znaczenia organizacji żydowskich i wpływowych osób, jak na przykład Namiera, pokazuje że ich rola na konferencji została przez Dmowskiego wyolbrzymiona i zdemonizowana. Czy wynikało to z narastającej już wówczas obsesji Dmowskiego, czy też był to chytwy demagogiczny — trudno wciąż jeszcze powiedzieć.

Lundgreen-Nielsen wykazuje, że nacisk położony przez Ko-marnickiego (w *Rebirth of the Polish Republic*) na ignorancję spraw polskich na konferencji pokojowej jest w dużej mierze nieuzasadniony. Ekspersi zachodni byli doskonale poinformo-wani i choć różnili się między sobą znacznie w ocenie zjawisk, byli w stanie dostarczyć mężom stanu Francji, Anglii i USA dokładnych i obszernych danych. Lundgreen-Nielsen stwierdza także, że przy zmieniających się poglądach w różnych okresach trwania konferencji wielkim uproszczeniem jest traktowanie de-legacji wielkich mocarstw i ich polityki jako monolitów.

Praca duńskiego historyka zawiera wiele materiału, który na-suwa refleksje i pobudza do dyskusji. Od dyskusji zresztą autor nie stroni o czym świadczy na przykład przypis 171 na str. 464-468 (*de facto* mała rozprawka na temat utworzenia rządu Pade-rewskiego) w którym polemizuje z poglądami historyków pol-skich i zagranicznych.

Praca Lundgreen-Nielsena stanowczo zasługuje na to, aby ją przetłumaczyć na język polski — może w skróconej wersji — gdyż nie tylko wnosi ogromny materiał faktograficzny, ale pod-waża wiele utartych pojęć i przyjętych ocen.

Trzecie cenne dzieło, które chciałbym tutaj zasygnalizować, nie łączy się tematycznie z poprzednimi. Nie jest to zresztą praca z najnowszej historii Polski, ale zawiera wiele interesu-jących informacji i sformułowań, opartych na solidnej bazie źródłowej, a dotyczących tematu fascynującego chyba każdego Polaka. Autor, profesor na uniwersytecie stanowym Illinois, po-chodzi ze znanej czeskiej rodziny, do której należał również przedwojenny poseł czechosłowacki w Berlinie a jego imiennik Vojtěch Mastný. Autor przeprowadza w swej książce analizę polityki sowieckiej od czerwca 1941 roku do konferencji w Pocz-



damie. Poświęca w niej wiele uwagi tematyce polskiej, którą uważa zresztą za kluczową z punktu widzenia Moskwy. Jego główna teza brzmi następująco: „Doprowadzając wojnę z hitlerowskimi Niemcami do zwycięskiego końca, Stalin stworzył, jako produkt uboczny, imperium sowieckie. Początkowo nie dążył on do militarnego podboju całego obszaru [Europy Środkowo-Wschodniej — P.W.], który uzyskał. Wolałby rozszerzać swą potęgę i wpływy — i tam, i gdzie indziej — za pomocą mniej ryzykownych i bardziej wyrafinowanych środków, chociaż nigdy nie wykluczał konieczności użycia siły, gdy okoliczności temu sprzyjały... Wbrew swym nadziejom Stalin nie był w stanie rozszerzyć swej potęgi na zewnątrz inaczej jak tylko przy pomocy siły zbrojnej i utrzymać jej, jak tylko poprzez wprowadzenie wasalnych reżymów komunistycznych...” (str. 308).

Z opracowania Mastnego wyłania się postać Stalina jako pragmatyka raczej niż doktrynera. W zależności od sytuacji potrafił być giętki lub nieustępliwy, wyzyskując słabość swych wielkich sojuszników, do których przez cały czas wojny odnosił się z dużą podejrzliwością. Równocześnie Mastny widzi przywódców komunistycznych krajów Europy Środkowo-Wschodniej nie jako bezwolne marionetki, poruszane przez Stalina, ale jako polityków mających swoje własne cele i próbujących przeprowadzić je niezawsze zgodnie z taktyką czy nawet intencjami Moskwy. To, że w razie niepowodzenia płacili wysoką cenę za swe inicjatywy, to już jest inna sprawa.

Pisząc o sprawach polskich autor rozróżnia posunięcia komunistów polskich w Moskwie i w okupowanej Polsce a także w odniesieniu do polityki Stalina, robionej często ponad ich głowami. Przedstawiając lata 1943 i 1944, Mastny analizuje fazę, którą nazywa poszukiwaniem przez Stalina „polskiego Benesza”, przy czym daje nam charakterystykę Benesza, która jest wysoce krytyczna i ujemna. Podobnie ocena Mastnego polityki Churchilla i Roosevelta wobec Rosji jest krytyczna, z tym, że autor uważa, że w stosunkach wschód-zachód istniał „element predestynacji” — ani jedna strona ani druga nie mogła w istocie prowadzić innej polityki i pozostawać sobą.

Na przestrzeni książki spotykamy się wielokrotnie ze sformułowaniami i ocenami, które są wnikliwe ale też i dyskusyjne. Mastny tłumaczy twarde kurs Stalina wobec rządu londyńskiego z początkiem 1943 roku względami, nie mającymi bezpośredniego związku z Polską, a mianowicie sondażami o odrębny pokój z hitlerowskimi Niemcami. Przedstawiając przebieg i wyniki konferencji moskiewskiej w 1943 roku autor uważa, że w tym momencie Stalin był gotów zapłacić pewną cenę polityczną za przyspieszenie inwazji kontynentu przez zachodnich sojuszników łącznie z inwazją przez Bałkany. W późniejszych latach będzie on stawiał cele polityczne na równi a nawet przed celami wojskowymi.

Analiza sojuszu Benesa ze Stalinem i przedstawienie konferencji teherańskiej są niesłychanie ciekawe. Na uwagę zasługuje ustęp na temat rozmowy Harrimana z komunistami polskimi w Rosji i wniosek Mastnego, iż rozmowa ta przyczyniła się znacznie do poprawy pozycji Związku Polskich Patriotów. Nie jest to zresztą jedyny wypadek, w którym — zdaniem autora — posunięcia zachodnie wydawały niezamierzone owoce, a mianowicie grały na rzecz Stalina i komunistów. Mastny daje nieortodoksyjną interpretację „umowy” Stalin-Churchill na temat rozgraniczenia wpływów brytyjskich i sowieckich w Europie naddunajskiej i na Bałkanach, wnosząc przy tym wiele nowych elementów zaczerpniętych z brytyjskich archiwów. Również oryginalna jest jego ocena stosunku ZSSR do planów Narodów Zjednoczonych, jak też i decyzji Stalina zatrzymania ofensywy na Berlin w przeddzień konferencji jałtańskiej.

Autor skłania się do coraz częściej wysuwanej tezy, że Jałta była o wiele ważniejsza jako symbol niż jako ewenement polityczny. Podział Europy — zdaniem Mastnego — nie nastąpił w Jałcie, ale przed i po konferencji — znaczenie Jałty zostało sztucznie wyolbrzymione.

W krótkich uwagach nie sposób wyczerpać bogatej problematyki dzieła Mastnego. Każde z wyżej wzmiankowanych zagadnień zasługuje na obszernie zreferowania i dyskusję. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest to praca o wielkich walorach badawczych, napisana z ogromnym znanstwem przedmiotu, oraz nawiązująca w najbardziej jak dotąd szczegółowy i wnikliwy sposób politykę sowiecką. W kontekście literatury naukowej dotyczącej Zimnej Wojny stanowi ona odtrutkę na tzw. kierunek rewizjonistyczny uprawiany wśród historyków amerykańskich. Dla Polaków jest to lektura zarówno pasjonująca jak też i dająca wiele materiału do przemyśleń i refleksji.

Piotr WANDYCZ

---

Michał HELLER

## HISTORIA SOWIECKA W INTERPRETACJI AMERYKAŃSKIEJ

„Historia Rosji Sowieckiej” M. K. Dziewanowskiego\* jest podręcznikiem dla studentów amerykańskich ze wszystkimi zale-

---

\* M. K. Dziewanowski, *A History of Soviet Russia*, str. 406. (Wyd. Prentice-Hall, Inc., Englewood Cliffs, N.J., 1979).

tami właściwymi pomocom naukowym: jasna struktura, prosty język, bibliografia po każdym rozdziale. I może nie warto byłoby mówić o tym podręczniku, gdyby nie był on przeciętnym, typowym dla książek, z których studenci amerykańscy uczą się historii Związku Sowieckiego, głównego swego przeciwnika we współczesnym świecie.

Zasadniczą osobliwością opracowania M. K. Dziewanowskiego (i wszystkich innych amerykańskich historii ZSSR) jest to, że Związek Sowiecki nie jest w nim przedstawiony jako przeciwnik USA. ZSSR przedstawiony jest jako normalne państwo, ze swymi dziwnościami (terror, GUŁagi i inne), które jednak są wynikiem historycznych i narodowych cech tego kraju. Zamierzenia autora zostały wyłożone z miejsca w tytule „Historia Rosji Sowieckiej”. Z punktu widzenia formalnego sowiecka Rosja jest rosyjską sowiecką socjalistyczną republiką, jedną z 15-tu republik ZSSR. M. K. Dziewanowski nie ogranicza się jednak do tej jednej republiki i pisze o całym Związku Sowieckim. Tytuł jaki dał swemu podręcznikowi ma więc oznaczać, że okres sowiecki jest normalną częścią historii Rosji. Zgodnie ze swą koncepcją autor podręcznika zaczyna „Historię Rosji Sowieckiej” od IX-go wieku: Waregowie, Ruś Kijowska, itd. I nie można nawet powiedzieć, że zaczyna zbyt wcześnie: w myśl twierdzeń największego wśród historyków, samego towarzysza Stalina, historia ZSSR zaczyna się (w podręcznikach sowieckich) od historii państwa Urartu w IX-tym wieku przed narodzeniem Chrystusa.

Koncepcja, według której ZSSR jest przedłużeniem historii Rosji, była opisana najbardziej pełnie i efektownie w wielotomowej pracy Jana Kucharzewskiego „Od białego do czerwonego caratu”. Ale Jan Kucharzewski pisał swoją historię w latach 20-tych. Minęło pół wieku i zdawałoby się, że wydarzenia światowe wykazały, że ustrój sowiecki jest światowym fenomenem, że w każdym kraju gdzie powstaje reżym sowiecki — bez względu na różnice geograficzne, historyczne i odmiennosć cech narodowych — zasady systemu stają się podobne.

Przedstawienie historii sowieckiej jako specyficznie rosyjskiej niewątpliwie pochlebia narodowej miłości własnej historyków amerykańskich i innych krajów zachodnich, którzy otwarcie lub aluzyjnie dowodzą: u nas to jest niemożliwe. Ale takie przedstawienie historii sowieckiej utrudnia zrozumienie charakteru ZSSR, państwa nowego typu, państwa ideologicznego. Koncepcja przyjęta przez M. K. Dziewanowskiego pozwala mu np. na wyjaśnianie polityki Stalina tym, że jest ona przedłużeniem „polityki Piotra I i Wittego”. Jak więc w tym wypadku wygląda polityka Mao czy Castro, którzy wśród swych poprzedników nie mają ani Piotra Wielkiego ani Wittego? Koncepcja Dziewanowskiego uniemożliwia mu zrozumienie stanowiska Lenina, którego określa jako „rewizjonistę marksizmu”, oraz przyczyn klęski Trockiego w walce ze Stalinem. Lenin był auten-

tycznym marksistą właśnie dlatego, że odrzucał wszystko to, co mu w marksizmie przeszkadzało, a Stalin był jego najlepszym uczniem — w przeciwieństwie do Trockiego nigdy nie trzymał się litery marksizmu. Analizując szczegółowo liczne powody porażki Trockiego M. K. Dziewanowski nie wspomina o oświadczeniu wodza Armii Czerwonej: „W ostatecznym obrachunku Partia ma zawsze rację”. Zarówno dla Lenina jak i dla Stalina zawsze racja była wyłącznie po ich stronie. Dlatego też zwyciężyli i dlatego byli prawdziwymi marksistami.

Traktowanie Związku Sowieckiego jako normalnego państwa prowadzi autora (jak i przeważającą większość historyków zachodnich) do bezkrytycznego stosunku do źródeł sowieckich i sowieckich historyków. Tak np. nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że Kirow w 1934 roku „krytykował personalną dyktaturę Stalina” (str. 205), i że Chruszczow w końcu lat 50-tych „udostępnił czasowo sowieckim historykom archiwa policyjne”. Tylko niektóre dokumenty były pokazane historykom policyjnym (w rodzaju D. Glinkowa), którzy pisali apologie WCzKa - OGPU - KGB.

Bezkrytyczne odnoszenie się do historyków sowieckich i ich prac przejawia się również w dążeniu do zaokrąglenia wszystkich „ostrych kątów”: np. Dziewanowski przedstawia pakt Stalina z Hitlerem jako akt właściwie narzucony przez Hitlera. Znane dokumenty pozwalają twierdzić, że Stalin począwszy od 1933 roku miał poufne kontakty z dyplomatami hitlerowskimi i marzył o sojuszu z hitlerowskimi Niemcami. Zasluguje na uwagę również fakt, że amerykański historyk M. K. Dziewanowski prawie zupełnie (ograniczając się do jednego zdania) pomija gigantyczną ekonomiczną pomoc Zachodu dla Związku Sowieckiego — finansową, techniczną, technologiczną. Bez tej pomocy ZSSR nigdy nie mógłby stać się supermocarstwem.

Całkowicie logiczna jest reasumpcja autora „Historii Rosji Sowieckiej” — logiczna w związku z jego koncepcją o możliwościach rozwoju samodzielności „wzrastającej liczby partii komunistycznych”, które „dążą do zrzucenia starego stereotypu podporządkowania się Moskwie”, o możliwościach *détente*. Omawiany podręcznik został wydany latem 1979 roku. W końcu 1979 roku potwierdziło się np. we Francji, że eurokomunizm i komunizm sowiecki różnią się, według określenia W. Bukowskiego, tak jak włoskie spaghetti od rosyjskiej łapszy. Charakter *détente* wyjaśniła także w końcu ubiegłego roku polityka sowiecka w Afganistanie dokąd, wykorzystując kryzys irański, wtargnęła armia sowiecka.

Błędy w książce M. K. Dziewanowskiego można byłoby wytłumaczyć również dążeniem do tego, by być „obiektywnym”, nie drażnić „sowieckich gęsi”. Stwierdzenie, że Czeka zostało przekształcone w GPU w 1927 roku (str. 203) — choć miało to miejsce w 1922 roku można uważać za drobiazg, ale oświadczenie

że „w czerwcu 1934 roku reżym sowiecki zerwał z zachodnią zasadą odpowiedzialności indywidualnej i presumpcją niewinności” (str. 204) jest już błędem zasadniczym. Kodeks karny z 1922 roku, przygotowany przez Lenina, z miejsca odrzucił presumpcję niewinności i odpowiedzialności indywidualnej i od tej pory nigdy ich w żadnym sowieckim kodeksie nie było.

Nie można twierdzić, że Sultan Galijew był „aresztowany za zamiar stworzenia oddzielnej muzułmańskiej partii komunistycznej” (str. 215). Sułtan Galijew miał ambicje znacznie bardziej złożone i uniwersalne, a przy tym nie był „premierem Tatarskiej Autonomicznej Republiki”, a tylko członkiem kolegium Ludowego Komisariatu Narodowości.

Błędy w rodzaju, że A. Sacharow otrzymał Nagrodę Nobla z dziedziny Fizyki (str. 361), a nie nagrodę Pokoju — jak to miało miejsce w rzeczywistości — albo że A. Sołżenicyn i A. Siniawski są „uciekierami” (*defectors* — str. 364) świadczą o małym zainteresowaniu zjawiskiem tzw. dysydenctwa, które jest bardziej istotne dla rozumienia Związku Sowieckiego niż szczególne walk partyjnych o spadek po Leninie.

„Historia Rosji Sowieckiej” M. K. Dziewanowskiego nie jest gorsza od innych książek historyków amerykańskich na ten temat. Dlatego też jest tak interesująca. Pomaga zrozumieć nieprawdopodobną amerykańską politykę zagraniczną. Dyplomaci amerykańscy widzą przed sobą nie prawdziwy Związek Sowiecki, a jego chimery stworzoną przez amerykańskich historyków i sowietologów.

Michał HELLER

---

Tadeusz HEINRICH

## NIEWYKORZYSTANE DOŚWIADCZENIE SUESKIE

Przechodząc na emeryturę w marcu 1979 roku Sir Nicholas Henderson, b. ambasador angielski w Bonn i Paryżu, wysłał do ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych długi memoriał — który okrężną drogą dotarł do prasy (v. *The Economist* z 2. 6. 1979 r.) — zatytułowany „Upadek Wielkiej Brytanii — jego powody i skutki”. W tej wnikliwej i wartej przeczytania analizie Henderson pisze: „... w 1954 roku Wielka Brytania była główną

potęgą na Bliskim Wschodzie i wraz ze Stanami Zjednoczonymi miała decydujący wpływ na kształtowanie cen ropy naftowej. Niepowodzenie wyprawy na Suez nagle pokazało, że potęga ta była iluzoryczna, a jej załamanie się spowodowało wyeliminowanie wpływów Wielkiej Brytanii z tej części świata i utratę kontroli cen ropy naftowej". Bezpośrednim powodem klęski był upadek potęgi gospodarczej Wielkiej Brytanii, gdyż — jak słusznie dowodzi Henderson — skuteczna polityka zagraniczna musi być oparta na silnej sytuacji gospodarczej państwa.

Coraz częściej słyszy się, że jest niezrozumiałe dlaczego państwa zachodnie pozwalają Arabom na dyktowanie cen tak niezbędnego surowca jak ropa naftowa, że w ostateczności państwa arabskie łatwo można by zmusić do ustępstw, a jeżeli Izrael potrafił je kilkakrotnie pobić, to połączone siły państw zachodnich i Stanów Zjednoczonych mogłyby w ciągu kilkunastu godzin położyć kres dyktaturze OPEC. Mówiono tak też i w 1956 roku.

Na temat tzw. wojny o Suez dużo pisano, ale jak dotychczas były to głównie rozprawy polemiczne. Dopiero ostatnio ukazała się książka<sup>1</sup>, której autorzy, byli uczestnicy wyprawy, postarali się zreasumować i przedstawić obiektywnie dostępne materiały na ten temat.

Kanał Sueski był wówczas jeszcze ciągle uważany za niezbędny dla życia gospodarczego Europy Zachodniej. Przez bez mała 100 lat był on powodem poważnych konfliktów międzynarodowych. Przeważało przekonanie, że wycofanie się Wielkiej Brytanii ze wschodniego basenu Morza Śródziemnego stworzy *vacuum*, w które wcześniej czy później wejdą wpływy sowieckie. Stan prawny Kanału opierał się na konwencji międzynarodowej, która wygasła w 1969 roku, i nic nie wskazuje, aby Nasser planował jednostronne jej wypowiedzenie. Nie miał on również zamiaru wygrywania Rosji przeciwko państwom zachodnim i został do tego prawie że zmuszony przez politykę Anglii i Ameryki. Najpierw odmówiły one dostarczenia sprzętu wojennego armii egipskiej (Wielka Brytania sprzedała wprawdzie Egiptowi pewną ilość czołgów Centurion, ale odmówiła dostarczenia niezbędnej do nich amunicji). Dopiero wówczas Nasser zwrócił się do bloku komunistycznego i bez trudności uzyskał to, co chciał. W końcu, ulegając naciskom ze strony Kongresu, Foster Dulles odmówił anglo-amerykańskiej pożyczki na wybudowanie zapory wodnej w Assuanie. Wtedy Nasser przyjął pożyczkę sowiecką i upaństwowił Kanał Sueski.

I od razu okazało się, że ani Wielka Brytania, ani Francja nie posiadają żadnych rezerw strategicznych, które mogłyby zostać użyte do szybkiej i skutecznej interwencji na większą skalę, ani też środków transportowych — zarówno morskich jak i powietrz-

---

1. Roy Fullich and Geoffrey Powell: *Suez the Double War*, Hamish Hamilton, London, 1979, str. 227 (cena: £ 7.95).

nych — niezbędnych do przerzucenia tego rodzaju sił. Powodem tego była nie tyle błędna polityka, ile brak środków materialnych.

Szefowie sztabu angielskiego otrzymali polecenie opracowania planu akcji wojskowej. Jednak na pytanie szefów sztabu jaki ma być konkretny cel wyprawy, Eden nie potrafił dać odpowiedzi. Marszałek Montgomery zapytał: „Co chcecie osiągnąć, wysyłając wojska do Egiptu?” — „Wysadzić Nassera z siodła” — odpowiedział Eden. — „Ale co potem?” — pytał dalej Montgomery, ale nie otrzymał odpowiedzi. Szefowie sztabu opracowali memoriał, którego konkluzja brzmiała: „Inwazja może być przeprowadzona aż do uzyskania pełnego sukcesu z punktu widzenia wojskowego... ale wcześniej czy później Wielka Brytania i Francja będą zmuszone do ewakuacji”. Eden podarł memoriał i wrzucił do kosza. Ani rząd francuski ani angielski nie wiedziały co zrobią po zajęciu Egiptu: żeby „wysadzić Nassera z siodła” trzeba było zająć większą część Egiptu, łącznie z Kairem. Zona Kanału została niedawno ewakuowana, gdyż wojska angielskie nie mogły sobie dać rady z akcją terrorystów i z biernym oporem ludności. Po „pozbyciu się Nassera” do głosu doszłyby skrajne organizacje terrorystyczne, które z czasem zmusiłyby Anglię i Francję do ewakuacji. Przykład wojny w Algierze (w 1956 roku jeszcze nie zakończonej) jest tego najlepszym dowodem.

Równocześnie ani Francuzi ani Anglicy nie docenili zmian w opinii publicznej krajów zachodnich. Coraz większa ilość ludzi była zdecydowana przeciwstawić się próbom wskrzeszenia tzw. kolonializmu. Eden nie przewidział rozmiarów opozycji zarówno wewnątrz kraju, jak i za granicą. Jak sam później pisał: „Rządy lewicowe, jeżeli zdecydują się na zajęcie zdecydowanego stanowiska w polityce międzynarodowej, mogą zawsze liczyć na poparcie. Rządy prawicowe znacznie trudniej je mogą uzyskać. Najprawdopodobniej szczęśliwym zbiegiem okoliczności było to, że właśnie na rząd socjalistyczny spadło po wojnie zadanie napiętnowania polityki sowieckiej i złamania blokady Berlina”.

Wojska francusko-angielskie zostały jednak zmuszone do ewakuacji nie przez partyzantów egipskich, ale przez presję, bez mała szantaż, ze strony Stanów Zjednoczonych. Pierwszym wynikiem sprawy sueskiej było załamanie się funta. W ciągu listopada Wielka Brytania straciła przeszło 50 % rezerw w złocie i dolarach. Sabotaż rurociągów naftowych w Syrii zagroził natychmiastowym kryzysem gospodarczym i zmusił Wielką Brytanię do zakupu ropy naftowej w walucie międzynarodowej na otwartych rynkach. Kraj stanął w obliczu bankructwa. Pożyczka i natychmiastowa pomoc finansowa Ameryki stały się koniecznością, a jako warunek jakiegokolwiek pomocy rząd Stanów Zjednoczonych postawił natychmiastowe zawieszenie broni i ewakuację zony Kanału. Warto tu przypomnieć na ogół mało znany

fakt<sup>2</sup>. W zachodnim basenie Morza Śródziemnego patrolowała stale duża flota amerykańska (rosyjskiej floty wojennej jeszcze tam wówczas nie było). Konwój wiozący wojska angielskie i francuskie z Malty do Suezmu musiał przejechać obok jednostek amerykańskich. Przez całą noc statki amerykańskie oświetlały reflektorami konwój francusko-angielski i w regularnych odstępach czasu nadawały przez radio na cały świat pozycje statków i ich szybkość, kierunek itp. W ciągu dnia samoloty z amerykańskich lotniskowców dokonały szeregu symulowanych nalotów na francuskie okręty wojenne. Równocześnie „niezidentyfikowane” łodzie podwodne kręciły się koło angielskich krążowników. Dopiero gdy admirał angielski ogłosił, że będzie uważał wszelkie samoloty i łodzie podwodne, kręcące się w pobliżu jego floty za nieprzyjacielskie, samoloty amerykańskie wróciły na lotniskowce, a łodzie podwodne wyszły na powierzchnię i odpłynęły z rozwiniętymi flagami amerykańskimi.

Trudno dziś zrozumieć jak doświadczeni politycy mogli dać się wciągnąć w tego rodzaju konflikt. Jednym z powodów był prawdopodobnie fakt, że byli wychowani w warunkach przedwojennych i nie zdawali sobie sprawy z głębokich przeobrażeń powojennego świata.

Ewolucję i przeobrażenie armii państw arabskich można obserwować czytając rozprawę byłego pułkownika armii amerykańskiej T. N. Dupuy „Elusive Victory<sup>3</sup>”. Na 669 stronach, których nie sposób tu streścić, opisuje on kolejne wojny państw arabskich z Izraelem w latach 1947-1974. Uderzający jest postęp w organizacji sił zbrojnych Egiptu i Syrii. W 1974 państwa te wystawiły nowoczesne wojska, ich żołnierze dawali sobie radę z nowoczesnym skomplikowanym sprzętem wojennym i po raz pierwszy byli dowodzeni przez kompetentnych i fachowych generałów. Mimo stałej przewagi technicznej i organizacyjnej Izraela, można przypuszczać że gdyby pozostałe państwa arabskie wystąpiły w 1974 roku równocześnie z Egiptem i Syrią, to wynik tej kampanii byłby inny.

Po przeczytaniu wyżej wymienionych opracowań nasuwa się kilka uwag:

Piszący o wyprawie na Suez zwykle zapominają, że w tym samym czasie wojska sowieckie najechały Węgry i krwawo stłumiły próbę liberalizacji reżymu. Zajęcie Suezmu pozbawiło państwa zachodnie moralnego prawa protestu, a w czasie najazdu na Czechosłowację Rosja nie omieszkała przypomnieć Francji i Anglii, że jeżeli od innych wymaga się przestrzegania prawa międzynarodowego to należy samemu się do niego stosować.

Państwa arabskie przeszły dużą ewolucję i dalekie są od stanu, w jakim Anglicy i Polacy pamiętają je z czasów wojny.

2. Fullieh and Powell, str. 127.

3. T. N. Dupuy: *Elusive Victory*, McDonald and James, London, 1979, str. 669 (cena: £ 11.95).



Partyzanci arabscy przedstawiają rzeczywistą siłę, czego ostatecznie dowiodła porażka francuskich spadochroniarzy, wchodzących w skład oddziałów O.N.Z. w Libanie, swego czasu głośno komentowana w radiu i prasie francuskiej. Okazało się, że uzbrojenie spadochroniarzy francuskich nie dorównuje nowoczesnemu sprzętowi partyzantów PLO.

Dzięki wypadkom, jakie nastąpiły bezpośrednio po wyprawie sueskiej, państwa arabskie nagle zdały sobie sprawę, że państwa zachodnie są na ich łasce i że ich istnienie jest uzależnione od dostaw ropy naftowej. Nie wydaje się, aby sytuację tę można było zmienić siłą.

*Tadeusz HEINRICH*

---

Witold BABIŃSKI

## POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ\*

Objętościowo najwięcej stosunkowo miejsca zajmuje opis działań Karpackiej Brygady. Zapewne dostarczyła ona najwięcej materiału. W dziale Armii polskiej w Rosji i działań 2-go Korpusu względnie APW przytoczone są obszernie hołdownicze depeze i listy gen. Andersa do gen. Sikorskiego (str. 223-225) a także list gen. Szyszko Bohusza z 13. 8. 1941, zawierający ostrą krytykę gen. Sosnkowskiego. Natomiast na próżno szuka się w książce takichże hołdowniczych depez gen. Andersa do prezydenta Raczkiewicza i gen. Sosnkowskiego z lipca 1943 lub z sierpnia 1944. Natomiast trudności formowania wojska w Rosji spisane są obiektywnie. Także pierwsza (43.858 osób) i druga (70.000 osób) ewakuacje. Nad sporem Sikorski - Anders o drugą ewakuację autorzy prześlizgują się dyskretnie. Wnioski przedstawione wiernie: Anders chciał ewakuacji, rząd chciał zostawić wojsko w Rosji. Sikorski zrazu przeciwny inicjatywie Andersa (list 11. 6. 1942) później się waha, ostatecznie decydują o sprawie Sowiety i Anglicy.

Str. 333 — podano, że gen. Anders nie szukał dezertów-Żydów w Palestynie. Pomińto, że decyzje te powziął gen. Sosnkowski, który był wtedy na inspekcji APW na Bliskim Wschodzie.

Str. 354 — bitwa o Monte Cassino 11-28 maja 1944. Wspomniano delikatnie, że decyzję powziął gen. Anders w 10 minut 24. 3. 1944 nie czekając na Naczelnego Wodza, który przybył do 2-go Korpusu 26. 3. 1944. Bardzo pobieżnie i łagodnie o reakcji Naczelnego Wodza, o jego planie alternatywnym (popartym przez gen. Juin) nic o warunkach, jakie stawiał d-ca

---

\* Tom II, *Kampania na obczyźnie*, część 2. Instytut Polski im. Gen. Sikorskiego, Londyn, 1975.

Korpusu nowozelandzkiego i wynikłym stąd niepotrzebnym zniszczeniem klasztoru. Nic o stratach 2-go Korpusu.

Str. 391 do 465 Dział Marynarki Wojennej opracowany na ogół obiektywnie, choć skwapliwie notuje się każdą bytność gen. Sikorskiego, natomiast przemilcza się, że na polskim okręcie wojennym „Burza” gen. Sosnkowski pływał w czasie inwazji Europy w 1944 (rozkaz Nr 11 N.W.). Najbardziej „upolitycznione” są dzieje naszego lotnictwa (od strony 540) Zasadnicze trudności — brak uzupełnień i stały dylemat: co ma pierwszeństwo: wojsko czy lotnictwo. Pominięto te zagadnienia za gen. Sikorskiego, zaś uwypuklono za Sosnkowskiego. Wsparcie powstania lotnictwem, usamodzielnienie naszego lotnictwa — to były postulaty drogie gen. Sosnkowskiemu, rozbiły się one o niechęć Aliantów. Autorzy jakby nie rozumieli, że Anglikom chodziło tylko o sabotaże, nam — o zdobycie wolności. Autorzy stawiają zarzut, że Sosnkowski nie włączył działań A.K. i lotnictwa do ogólnych planów strategii alianckiej. Takiego włączenia *odmawiali* stale Alianci i Sikorskiemu i Sosnkowskiemu i kolejnym rządóm: Amerykanie odsyłali nas do Anglików i do... Sowieców. Alianci zaślaniali się względami technicznymi, a naprawdę nie chcieli się narażać Sowiecom. Autorzy historii lotnictwa, tak jakby nie zauważyli tego całego tła politycznego, atakują gen. Sosnkowskiego, że na projekcie gen. Iżyckiego depezy do Kraju wysłał szereg poprawek (20.10.1943 i komunikat z lutego 1944), że m.in. skreślił zdanie o konieczności przesunięcia rezerw z wojska do lotnictwa i że nie uzgodniono z Aliantami planów działania w Polsce. I gen. Sosnkowski i gen. Iżycki nie żyją i nie mogą nam podać treści ówczesnych rozmów. Ja natomiast mogę stwierdzić, że zasadą, stosowaną we wszystkich depezach Naczelnego Wodza do Kraju było: mówić całą prawdę, ale w takiej formie, aby nie odbierać Krajowi reszty nadziei. Na pewno Naczelną Wódz wolał, aby te skomplikowane sprawy były przekazane Krajowi ustnie przez fachowego kuriera (zrzucenie „Rudego” do Kraju w kwietniu 1944) którego zresztą sztab A.K. nie wykorzystał. „Obiektywizm” autorów widać także w przedstawieniu umowy lotniczej z 6.4.1944 (protokół Raczyński-Cadogan) będącej olbrzymim krokiem w kierunku usamodzielnienia naszego lotnictwa i poprawieniem „służebnej” umowy z 5.8.1940 nie wymienia dyskretnie, że stało się to w wyniku prac pod auspicjami Naczelnego Wodza Sosnkowskiego. No i jeszcze jeden zarzut: Sosnkowski za dużo żądał od lotnictwa, gdy chodziło o pomoc powstaniu w sierpniu i wrześniu 1944 roku. Wszystkie powyższe zarzuty podaje skwapliwie P. A. Szudek („Lata nadziei”) w Nr. 1591/1592 *Wiadomości* z 26.9 - 3.10.1976, który sobie naużywał na 3-ch kolejnych Naczelnym Wodzach: sztaby pracowały świetnie, tylko Naczelną Wodzowie wszystko psuli. Na tym poziomie polemika jest bezskuteczna.

Witold BABIŃSKI



*Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945. Tom III, kwiecień 1943 - lipiec 1944. (Studium Polski Podziemnej, Londyn, 1976).*

Zwraca uwagę, że w wymianie depeż między Warszawą a Londynem znacznie więcej miejsca udzielono depeżom od AK niż do AK. Tak więc depeż od D-cy AK do Naczelnego Wodza umieszczono 96, zaś od Naczelnego Wodza do D-cy AK — 30. W moim opracowaniu (*Zeszyty Historyczne*, nry 23 do 26 z roku 1973) depeż Bora do Nacz. Wodza jest 57, Nacz. Wodza do Bora — 43.

Dużo miejsca przeznaczono na meldunki sytuacyjne AK (łącznie z długim przemówieniem gen. Bora na Kr. Radzie Politycznej (127 stron na 598 stron całości). Brak natomiast okresowych ocen sytuacji, przesyłanych ze Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie do D-cy AK. Porównanie ocen Kraju z ocenami z Zachodu byłoby bardzo pouczające.

Umieszczono ważną ostatnią depezę gen. Sikorskiego do gen. Roweckiego z 23. 6. 1943 (ograniczyć akcje odwetowe do samoobrony) poz. 457, brak natomiast bardzo charakterystycznej depezy gen. Roweckiego z 25 maja 1943 (otrzymanej w Sztabie 5. 6. 1943) protestującej przeciwko zdekonspirowaniu oficera, zrzuconego do Kraju (płk. Iranka) przez min. Mikołajczyka, którego nieostrożne depeze ostrzegały kraj przed tym „wybitnym sanatorium”. Ta haniebna depeza Mikołajczyka została przez wydawców pominięta.

Natomiast wiernie podano sprawę starań o uwolnienie z rąk Gestapo gen. Roweckiego (Churchill odmówił interwencji).

W skrócie ale ściśle wydrukowano dokumenty, dotyczące projektowanej Rady Obrony Państwa (poz. 512) (poz. 466) oraz następstwa Prezydenta — jesień 1943.

Słusznie umieszczono w tomie III-cim meldunki o rozmowach z Węgry o pomocy dla Armii Krajowej (poz. 503-504), instrukcję dla obozów jenieckich (poz. 486).

Również obszernie uwzględniono materiał, dotyczący stosunku Sowietów do A.K., spornej sprawy ujawnienia A.K. wobec Sowietów (głośna depeza Bora Nr 2100 i jej konsekwencje) poz. 509, 510, 520, 521, 527, 546, 550, 552 do 554)). *Nota-bene* w depezy 2100 gen. Bór podaje m.in. definicję operacji „Burza”. Ta definicja jest ważna w związku z późniejszą analizą przyczyn powstania warszawskiego. Zestaw depezy, dotyczących dywersji sowieckiej za frontem niemieckim oraz stanowiska kraju wobec tzw. linii Curzona (poz. 524, 525, 531, 535, 561) daje na ogół pełny obraz sytuacji. Natomiast sprawa baonu stołpeckiego (puszcza Nalibocka) potraktowana jest raczej pobieżnie (559) z pominięciem soczystego faktu, że w związku z nią premier Mikołajczyk oskarżył Armię Krajową o współpracę z Niemcami.

Szczegółowo omówiona jest sprawa zrzucenia do kraju gen. Okulickiego, który w rezultacie był oddany do dyspozycji gen. Bora (poz. 620). Sprawa oddania Brygady Spadochronowej do inwazji Kontynentu i odrzucenie przez Anglików naszych warunków (poz. 629, 630, 617) — Zestaw nie daje jasnego obrazu sytuacji, w której Naczelny Wódz (poz. 630) godzi się 6 czerwca 1944 na oddanie Brygady Spadochronowej do dyspozycji gen. Montgomery'ego dopiero po stwierdzeniu, że zarówno Rząd jak i Szef Sztabu Nacz. Wodza oraz D-ca Armii Krajowej jednomyślnie zalecają taką decyzję. *Nota-bene* to zalecenie nie przeszkodziło gen. Borowi w żądaniu oddania z powrotem Brygady już po 2 miesiącach niespełna (depeza gen. Bora z 26 lipca 1944).

Próby Armii Krajowej współdziałania z Armią Sowiecką po obu stronach „linii Curzona”, a szczególnie na Wołyniu, Wilnie i we Lwowie — dają w zestawie depezy pełny obraz sytuacji.

Słusznie umieszczono depezę A.K. podającą szczegóły techniczne dotyczące niemieckich pocisków rakietowych (poz. 658) oraz operacji „Most” (684).

Umieszczono w tomie III-cim zarówno depezę Premiera, będącą zachętą do powstania 4 lipca 1944 (poz. 650) jak i instrukcję Naczelnego Wodza z 7 lipca 1944. Brak natomiast równie ważnej depezy Naczelnego Wodza z 11 lipca 1944.

Witold BABIŃSKI

## OKRUCHY HISTORII

### POLONICA U DŻILASA

W grudniowym numerze (1979) miesięcznika *Encounter* ukazała się długa rozmowa George'a Urbana z Milovanem Dżilasem. Były jugosłowiański przywódca komunistyczny opowiada w niej o swojej przeszłości, o swoich nadziejach, rachubach, złudzeniach i rozczarowaniach, przedstawia swoje dawne i obecne poglądy na wiele spraw. Czytelników *Zeszytów Historycznych* zainteresują w tej rozmowie uwagi na tematy polskie.

Dżilas powiada w pewnej chwili: „Aneksja republik bałtyckich i rozbiór Polski nie spędzały mi absolutnie snu z powiek. W samej rzeczy zgadzałem się całkowicie i z jednym i z drugim. Okupacja i aneksja trzech krajów bałtyckich latem 1940 wydawały mi się poparte przez „siły rewolucyjne” i usankcjonowane przez „plebiscyty”. Myśleliśmy o tych krajach jako o terytoriach niesłusznie oderwanych od Rosji pod koniec przegranej wojny, a teraz przyłączonych do niej ponownie w interesie „światowego socjalizmu”. Nie wiedzieliśmy wówczas o tajnym protokole i dodatkowych klauzulach paktu Ribbentrop-Mołotow, które włączały te państwa do sowieckiej orbity, ale myślę że gdybyśmy nawet wiedzieli, nie byłoby to dla nas powodem do zmartwienia. Estończycy, Litwini i Łotysze mieli historię zapaskudzoną „antysowietyzmem”, i to wystarczało by w naszych oczach zasługiwali na potępienie. Rozbiór Polski wydawał mi się specjalnie wart poparcia — nawet dzisiaj gotów byłbym dowodzić, że Stalin postąpił słusznie. Stosunek Chamberlaina i Daladiera do Związku Sowieckiego był tak zdradziecki i w ogóle godny pogardy, że decyzja Stalina zagarnięcia terytoriów Polski zamieszkałych przez ludność białoruską i ukraińską wydawała mi się uzasadniona, chociaż zrobił to w zмовie z Hitlerem — z którym podówczas nie mieliśmy powodów do sporu. Ponadto uważaliśmy rząd polski za głęboko reakcyjny. Osobiście powitałem życzliwie pakt sowiecko-hitlerowski w oczekiwaniu, że stworzy Związkowi Sowieckiemu dogodne warunki do rozprzestrzenienia komunizmu

kosztem obu wojujących stron — i tak się też stało, szybciej nawet niż ktokolwiek mógł się spodziewać... Takie były zręby naszego myślenia...”.

Urban przechodzi do „nacional-komunizmu” w świetle wypadków roku 1956 w Polsce i na Węgrzech. Przypomina Dżilasowi, że wiązał wtedy wielkie nadzieje z osobami Gomułki i Imre Nagy, że Gomułkę zwłaszcza wynosił pod niebiosa jako „człowieka niezwykle uczciwego, odważnego i skromnego”, który nie zawaha się „wybrać raczej wolność i niepodległość, niż rządy totalitarne i zależność od Moskwy”. Dżilas przyznaje się do „kardynalnego błędu” w ocenie Gomułki, natomiast swój pochlebny sąd o walorach Imre Nagy uważa nadal za słuszny. Co go jednak dziś szczególnie interesuje, to zestawienie roku 1956 na Węgrzech i roku 1968 w Czechosłowacji: „Zmiażdżono Węgry, ale byłoby błędem uważać rewolucję 1956 roku za zmarnowaną. Rosjanie uratowali swoją hegemonię, lecz po powstaniu węgierskim musieli zmienić politykę w całej Wschodniej Europie. Większość krajów wschodnioeuropejskich otrzymała w końcu pewien stopień autonomii — przede wszystkim same Węgry, gdzie nie może dziś nie robić wrażenia 'liberalizm' gospodarczy i kulturalny. Ruch reform Praskiej Wiosny nie osiągnął, przeciwnie, niczego z wyjątkiem okupacji i represji”. Chce pan przez to powiedzieć — pyta Urban — że Czesi powinni byli stawiać opór Rosjanom jak Węgrzy? „No cóż, historia uczy że każde zbrojne powstanie *coś* (podkr. Dżilasa) osiąga. Nie zawsze zwycięstwo, ale jednak *coś*. Nie jestem *bezw warunkowym* (podkr. Dżilasa) zwolennikiem rewolucji, lecz ta lekcja historii jest głęboko odcisnięta w moim umyśle. Czesi się nie bili. Nie *chcieli* (podkr. Dżilasa) się bić. Kwestia oporu zbrojnego przeciw inwazji sowieckiej upadła (o ile wiem) na posiedzeniu ich Politbiura, uznano że walka z Rosjanami doprowadziłaby do bezużytecznego i nieusprawiedliwionego przelewu krwi. No cóż, przelewu krwi nie było, ale też Czesi do niczego nie doszli. Widzi pan, mieliśmy w naszej historii wiele gorzkich zatargów z Węgrami, ale jako naród szanujemy ich. Są narodem silnym i dumnym. I Stalin, proszę sobie wyobrazić, także ich szanował. Powiedział mi przy jakiejś okazji, że narody rządzone niegdyś przez potężne arystokracje, jak Węgrzy i Polacy, były narodami silnymi. Stalin był wielkim admiratorem potężnych państw i potężnych instytucji, nawet gdy je zwalczał. I jego obawa przed Węgrami i Polakami była ciekawym, pośrednim uznaniem polskiej i węgierskiej wytrzymałości”. A więc mord katyński — wtrąca Urban — jest w zgodzie z rozumowaniem Stalina... „O, z całą pewnością. Jeśli się patrzy na polski korpus oficerski jako na odpowiednik arystokracji, albo po prostu jako na ludzi którzy stanęliby na przeszkodzie posiadanym planom imperialistycznym, odczuwa się potrzebę pozbycia się ich. I Stalin pozbył się ich. Stalin, powtarzam, miał doskonałe wyczucie tego, co sprawia że instytucje

takie jak armia czy rząd funkcjonują... albo przestają funkcjonować". Mógł też — dorzucą Urban — mieć w pamięci swoje doświadczenia w roli komisarza wojennego na polskim froncie w roku 1920, gdy Polacy pod wodzą Piłsudskiego, łącznie z jego własną błędną taktyką wojskową, wpędzili go w ogromne trudności... „Tak, również i to. Poza tym — jako swego rodzaju zastępcą cara, a był nim niewątpliwie — Stalin był legatariuszem polsko-rosyjskich stosunków w XIX stuleciu! Nic z tego wszystkiego nie mogło wpłynąć na jego sympatię do Polaków”.

---

## TAJEMNICE AMERYKAŃSKICH ARCHIWÓW\*

### *O różnicy między „kike” a „Żyd”*

Roosevelt i Mołotow, wówczas prawa ręka Stalina, siedzieli na czerwonej kanapie przykrytej koronkową narzutą, w małym saloniku Białego Domu, zwanym salonem Lincolna. Również na podobnej czerwonej kanapie Hitler i Neville Chamberlain podpisali pakt monachijski w 1938 roku, ten słynny pakt, który miał zagwarantować światu pokój na sto lat i którym Chamberlain wymachiwał triumfalnie wracając do Londynu.

W Stanach kolację jada się wcześniej, nie było jeszcze ósmej wieczór owego 29 maja 1942 roku gdy podano likiery. Nie bez obaw Amerykanie ustosunkowali się do tej pierwszej od konfliktu niemiecko-sowieckiego wizyty sowieckiego męża stanu. Stosunki między Moskwą a Waszyngtonem nie były najlepsze: rozmaite traktowanie dyplomatów amerykańskich w Rosji (ambasador William Standley nie ukrywał swej wrogości wobec reżymu i jego metod), stalinowska arogancja, oskarżenia o tchórzstwo rzucane przez prasę sowiecką pod adresem Anglosasów (Ilja Gregorjewicz Erenburg grzmiał przeciwko „miękkim” kapitalistom), z pewnością inspirowane przez Stalina, który dopominał się utworzenia drugiego frontu, obiecanego w chwili słałości przez Roosevelta na rok 1942. Na koniec traktat angielsko-sowiecki, który właśnie Mołotow zawarł z Edenem w Londynie (bez wiedzy lub zgody Stanów Zjednoczonych), traktat uznający nowe granice ZSSR. Granice te krzywdziły zwłaszcza narody

---

\* Z upoważnienia wydawcy drukujemy przekład ukrywków ze stron 306-309 i 420-422 pracy Nerin E. Gun'a pt.: *Les secrets des archives américains* PÉTAİN — LAVAL — DE GAULLE, str. 462. © Editions Albin Michel, 1979, 22, rue Huyghens, 75014 Paris.

bałtyckie, które Waszyngton po dziś dzień upiera się uważać za suwerenne (choć nie pociąga to za sobą żadnych praktycznych konsekwencji). Elastyczność rosyjskich granic niepokoiła Departament Stanu (byliśmy jeszcze daleko od Jałty), gdyż była sprzeczna z Kartą Atlantycką. Ponieważ nigdy nie został zawarty normalny traktat, opatrzony podpisami i ratyfikowany, karta ta — jako zwykła deklaracja intencji — nie była niestety nigdy przestrzegana. Zasługuje, by zarejestrować ją jako wielkie oszustwo dyplomatyczne naszego wieku.

Ponad tym wszystkim unosiło się wspomnienie innej wizyty Mołotowa, tej, którą złożył w Berlinie podczas gdy Anglicy bombardowali stolicę Niemiec, co zmusiło Hitlera, Ribbentropa i Mołotowa do kontynuowania rozmów w schronie. Rosjanin zażądał od Führera Dardaneli, Bułgarii, reszty Bałkanów, jednym słowem tych terenów, które teraz chciał wydrzeć swym anglosaskim rozmówcom.

Rozmowy toczyły się gładko. Mołotow, gdy chciał, miał wykwintne maniery i nie zgłaszał sprzeciwów. Gdy Roosevelt wspominał na marginesie, że Francja powinna zostać wykluczona z „Wielkiej Czwórki” na czas dłuższy — przytaknął bez zastrzeżeń.

Zwłaszcza po wspomnianej kolacji zajmowano się już tylko politycznymi drobnostkami. Mołotowa ciekawiło, co myślą amerykańscy obywatele o jego kraju. „Jesteśmy narodem wywodzącym się z różnych źródeł” — odpowiedział wymijająco Roosevelt — „Liczni u nas Irlandczycy, Włosi i Niemcy często wyrażają wrogość w stosunku do was. Amerykańska partia komunistyczna nie jest już w opozycji od czasów Pearl Harbor. Aprobuję nasze alianckie porozumienie z wami... Ale partia ta będzie stale napotykała na wrogość ogromnej większości Amerykanów, gdyż należący do niej ludzie są nadęci, niezręczni, krzykliwi, sfrustrowani, a przede wszystkim dlatego, że partia ta posiada w swych szeregach *ogromną ilość zdecydowanie antypatycznych Żydów*. Opinia publiczna, rozumując poprzez analogie, zadaje sobie pytanie dotyczące prawdziwego oblicza komunizmu w Związku Sowieckim. Nie jestem antysemitą, jestem daleki od tego — podkreślił z naciskiem Franklin Delano Roosevelt — ale nie mogę nie podzielać tych ocen”.

„Są komuniści i komuniści” — odpowiedział uprzejmie Władysław Andrejewicz Skriabin zwany Mołotowem. Podobnie trzeba umieć odróżniać Żyda od „Kike”\*; po rosyjsku mówi się „Żydy”, rozróżnienie to wywołuje czasem duże trudności”.

Wszyscy się roześmieli...

Andrej Andrejewicz Gromyko śmiał się także. Podkreślał ten szczegół dlatego, że obecny minister spraw zagranicznych Związku Sowieckiego, wówczas jeszcze ministerialny doradca — miał opinię człowieka, który nie śmieje się nigdy. Memorandum

---

\* Amerykańskie, pogardliwe określenie Żyda.

profesora Crossa, który był tłumaczem tej rozmowy, nie wspomina, by jeszcze jakiś przedstawiciel Związku Sowieckiego uważał rozmowę za aż tak zabawną... z wyjątkiem Maksyma Maksymowicza, o prawdziwym nazwisku Meyer Wallach, zwanego Litwinowem, jednego z filarów ówczesnej sowieckiej dyplomacji. Litwinow — jak pamiętamy — był Żydem\*\*...

Roosevelt miał z pewnością rację mówiąc, że nie jest antysemitą. Dzięki niemu część Żydów europejskich uniknęła grozy obozów koncentracyjnych. Nie zmienia to jednak faktu, że był autorem kilku powiedzonek w złym guście, podobnie jak inni prezydenci amerykańscy. Sam słyszałem podobne wypowiedzi z ust Trumana, którego można uważać za jednego z twórców państwa Izrael... w obecności Mołotowa, który skarżył mu się na kłopoty jakie mu sprawiają „Żydy”. Odczytanie pewnych taśm magnetofonowych związanych z aferą Watergate ujawniło wyrażenia Nixona, które w niczym tamtym nie ustępują.

Uwagę moją przyciągnął szczególnie fakt, że liczne listy obywateli amerykańskich, które Roosevelt starannie przechowywał w swych papierach w Hyde Parku zawierały skargi na... „monopol elementu żydowskiego” wśród wolnych zawodów, oraz w ośrodkach władzy. Jeden z tych listów pochodził od francuskiego rezydenta w Los Angeles, niejakiego Blissac'a, który pisał: „Żydzi przeniknęli i zdominowali francuskie życie polityczne, zmienili Pola Elizejskie we „wschodni bazar”. Zdania bez znaczenia dla Prezydenta, którego największy przyjaciel i wpływowy doradca nazywał się Henry Morgenthau. Ale przychodzą na myśl wtedy, gdy przypominamy sobie, że w Anfie Roosevelt wypowiedział to niezręczne zdanie, które wywołało tyle komentarzy. Było to w trakcie rozmowy z generałem Noguès'em. Jak zanotował w stenogramie kapitan John L. McCrae — Roosevelt stwierdził: „Ilość Żydów zatrudnionych w Północnej Afryce w administracji, służbie zdrowia, prasie i innych wolnych zawodach powinna być ograniczona proporcjonalnie do ich ilości w stosunku do ogółu ludności”.

„Powyższe ograniczenie” — cytuję tu Roosevelta dosłownie — „zapobiegnie powtarzaniu się tych skarg specyficznych i *uzasadnionych* (amerykańskie *understandable* w tym kontekście oznacza właśnie „uzasadnionych”), które Niemcy (Roosevelt mówi „Niemcy” a nie „naziści” — co także jest charakterystyczne) formułują pod adresem Żydów. Podczas gdy Żydzi stanowili tylko nieznaczną część ludności kraju, więcej niż pięćdziesiąt procent adwokatów, lekarzy, nauczycieli, naukowców w Niemczech to byli Żydzi”.

W owym czasie krematoria Dachau i Oświęcimia już działały i Roosevelt o tym wiedział...



---

\*\* Syn jego stał się dysydem i został uwięziony w epoce Breżniewa.



...Sprawa Polski była kłopotliwa. Przystąpiono do wojny w obronie jej niepodległości, miliony ludzi „poległo za Gdańsk” (według słynnego powiedzenia Marcela Déat w książce „L'Œuvre”) i Stalin kazał się prosić o jej wyzwolenie. W istocie, czego Anglosasi jeszcze wówczas nie wiedzieli, nie miał on najmniejszego zamiaru odbudowania prawdziwej Polski. Pewnego wieczora (w Jacie), jak zwykle po kolacji, Roosevelt, który chciał osiągnąć konkretne rezultaty rozmów dotyczących przyszłych granic Polski — z góry akceptując ustąpienie Rosjanom dawnych terytoriów ukraińskich — położył przed Stalinem mapę z naniesionymi na nią różnymi liniami demarkacyjnymi. Stalin z nieodłączną szklanką wódki w ręku (mówiono że ukradkiem rozcieńczał ją wodą) — obejrzał mapę i skrzywił się: „Kto narysował tę mapę? — zapytał nieufnie — wasi polscy przyjaciele z Londynu?” — „Ależ nie — zapewnił go Roosevelt, nasz instytut geograficzny, proszę spojrzeć, nazwa instytutu figuruje w rogu”. Wówczas Stalin obejrzał mapę uważniej i dla przytrzymania jej postawił na brzegu swą szklankę wódki. Oglądałem tę mapę, widać na niej jeszcze ślad wódki, która przelała się ze szklanki.

Jest na niej szereg linii: ta z 1944 r., ta z 1919, zwana linią Curzona, i ta z 1939 — linia dojścia wojsk sowieckich gdy Stalin w przymierzu z Hitlerem zajął wschodnią Polskę do Brześcia Litewskiego. Armia Czerwona wzięła wtedy setki tysięcy jeńców, wśród nich oficerów zamordowanych później w Katyniu i odepchnęła setki tysięcy Żydów na stronę niemiecką, skąd SS wywoziła ich do Oświęcimia, Treblinki, Teresienstadtu...

Stalin wziął czerwony ołówek i nakreślił swoją własną linię. „Oto czego ja chcę!” — powiedział zakreskując interesujące go terytoria. Następnie, zwracając się do Churchilla, który obojętnie uczestniczył w tej scenie: „Ale to, co interesuje mnie szczególnie — to ten kawałek Niemiec” — i ołówek przesunął się w stronę Prus Wschodnich.

Mapa będąc mapą Polski miała tylko ogólne zarysy wschodnich terytoriów niemieckich. Stalin narysował własnoręcznie pełne kontury pruskiej prowincji. I, z całym spokojem zaanektował Królewiec, Tannenberg, Marienwerder, Insterburg i cały ten obszar.

Tak to pijąc wódkę, przy pomocy zwykłego czerwonego ołówka, zburzono w Teheranie imperium Bismarcka...

---

## WSPOMNIENIA SALOMONA ZURILNIKOWA

W piśmie *Wremia i My* (nr 42) zostały opublikowane wspomnienia Salomona Zurilnikowa, w których pisze on m.in.:

„W tym czasie w Palestynie została rozlokowana armia Andersa i, jak sobie przypominam, właśnie wtedy pomogłem w stworzeniu Związku Polskich Patriotów, związanych z Wandą Wasilewską. Pomogłem tak samo w zorganizowaniu tygodniowej *Polskiej Gazety*.

Większość aktywistów Związku Polskich Patriotów stanowili polscy Żydzi, ale byli tam również prawdziwi Polacy. Wśród nich wybijał się b. wojewoda wileński Kirtiklis, z którym zaprzyjaźniłem się i któremu pomogłem w znalezieniu schronienia w jednym z kibuców Aszomer Acair. Kirtiklis był bardzo zadowolony ze swego schronienia, ale jednocześnie skarżył się: 'Czyż to jest życie? Przecież to jest klasztor'. Często opowiadał mi jak magicznie oddziaływali polscy księża na swoich parafian. On sam przeżywał w owych dniach polityczną reorientację przyznając zwycięstwo i sukcesy komunizmowi w Związku Sowieckim. 'Zwyciężyłeś Galileuszu' — powtarzał często, jakby zwracając się do Stalina...”.

## LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule pt. „Jeszcze o zabójstwie Pierackiego i rozrachunkach polsko-ukraińskich” (*Zeszyty Historyczne* Nr 46), Władysław Żeleński pisze:

„Otóż komuniści nigdy nie potrafili, choć tego bardzo chcieli, zrobić w Polsce coś istotnego, i nigdy nie zdołali rozszerzyć swych wpływów w polskich partiach robotniczych i w związkach zawodowych. Mieli liczne wpływy w żydowskiej partii 'Bund', a nadto w pewnych niezależnych grupach radykalnej inteligencji, głównie żydowskiej”.

Nie wiem na czym p. Żeleński opiera to stwierdzenie. Skąd czerpał on wiadomości do oskarżania największej partii żydowskich socjalistów w przedwojennej Polsce, że komuniści mieli tam liczne wpływy. (Rzuca oskarżenie, nie podając źródła).

Były prokurator Warszawskiego Sądu Okręgowego p. W. Żeleński miał pewną styczność wprawdzie nie z „Bundem” lub bundowcami, ale z jednym bundowcem. Był nim Juda Lejb Chaskelewicz, umyślowo chory 31-letni Żyd z Kałuszyna, który 31 maja 1936 roku zastrzelił na ulicy w Mińsku Mazowieckim sierżanta Bujaka z 7-go pułku Ułanów. W wyniku obłądnego wyczynu Chaskelewicza, wywołany został wówczas pogrom na Żydów w mieście przy udziale miejscowego garnizonu wojskowego. Jak to bywało w owych czasach za zbrodnię jednego Żyda obwiniano i karano ogół Żydów.

Chaskelewicza sądzono w normalnym trybie sądowym i mimo że w czasie przewodu sądowego stwierdzono dwukrotnie, że Chaskelewicz jest umyślowo chory, na skutek nacisku prokuratora Żeleńskiego, Sąd pod przewodnictwem sędziego Pasemkiewicza skazał Chaskelewicza na karę śmierci. W wyniku apelacji obrońców: Ludwika Honigwilla i Jana Dąbrowskiego zamieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie.

Chaskelewicz zmarł wkrótce potem w więzieniu świętokrzyskim.

Jan Dąbrowski — Polak — został w kularach sądowych spoliczkowany przez nadgorliwego nacjonalistę za prowadzenie obrony Żyda.

Drugi „nadgorliwiec” p. prokurator Żeleński — to jednocześnie i polityk sanacyjny. Postanowił on więc „rozprawić się” z opozycyjnym „Bundem”, stąd jego stwierdzenie o „licznych wpływach komunistycznych w 'Bundzie'”. Chaskelewicz, jako młody chłopak należał do młodzieżowej organizacji bundowskiej w Kałuszynie. P. prokurator Żeleński postanowił więc nie tylko oskarżać Chaskelewicza, lecz przy sposobności również „Bund” (a może wykonywał „zleconą pracę”).

W Warszawie zaczęły się szerzyć pogłoski, że władze zamierzają na tej podstawie zdelegalizować „Bund”. Na tę ewentualność warszawski komitet

„Bundu” i centralni działacze wyznaczyli nowy nielegalny komitet. Byłem wyznaczony na członka tego komitetu. Szczęśliwie, że do delegalizacji „Bundu” w niepodległej Polsce nie doszło.

Sądzę, że należy przy tej sposobności podać krótki zarys „wpływów komunistycznych w ‘Bundzie’”.

„Bund” w Kongresówce wyszedł z carskiego podziemia w 1917 roku, za czasów okupacji niemieckiej. Pierwsza konferencja odbyła się w Lublinie (nielegalnie). Następną konferencja odbyła się już w niepodległej Polsce w Krakowie w 1920 roku.

Na tej konferencji powzięto rezolucję o wstąpieniu do 3-ciej Międzynarodówki — był to okres radykalizacji we wszystkich partiach socjalistycznych w Europie na skutek rewolucji w Rosji, Niemczech i Austrii.

W „Bundzie” nastąpiła wówczas ostra walka wewnętrzna między trzema frakcjami. Lewicowcy uzyskali większość w Centralnym Komitecie i postanowili wysłać delegację do Moskwy na trzeci kongres Kominternu. Delegatami byli: Meier Waser (pseudonim Antonowicz) i W. Alter (pseudonim Lorman), który był przedstawicielem prawicowej mniejszości.

W Moskwie W. Alter został aresztowany przez „Czerezwycząjkę” Dzierżyńskiego pod pretekstem, że pośredniczył przy przekazaniu listu od aresztowanego członka rosyjskiej partii Lewica S. R. angielskiej delegatce Sylwii Pankhurst (ze znanej rodziny angielskich sufrażystek).

Aresztowanie W. Altera miało na celu odseparowanie prawicowego przedstawiciela „Bundu” od lewicowego M. Wasera, w celu wywarcia na niego nacisku w sprawie wstąpienia „Bundu” do Kominternu z jednoczesnym usunięciem z partii prawicowych: Medema, Erlicha, Altera, Michalewicz, Portnoja i innych.

Wiktor Alter ogłosił głodówkę w więzieniu; jednocześnie drugi delegat „Bundu” — Waser zażądał od przewodniczącego Kominternu Zinowiewa uwolnienia Altera i odmówił prowadzenia rozmów. Po dziesięciu dniach głodówki, Alter został zwolniony z więzienia i obaj delegaci „Bundu” wrócili do Polski.

Następny Zjazd „Bundu” odbył się w 1921 roku w Gdańsku. Zjazd odrzucił owe „sławne 21 punkty”. Opozycja pro-komunistyczna — 5 delegatów — opuściła Zjazd, ogłaszając się „Kom-bundem”, wkrótce wszyscy wstąpili do PKPR. Ciekawe również jest, że z tych pięciu czterech w późniejszych latach „wyleczyło się” z komunizmu i wróciło do „Bundu”.

W połowie lat dwudziestych „Bund” wstąpił do tzw. „Wiedeńskiej Międzynarodówki”, a w 1930 roku do II-giej socjalistycznej Międzynarodówki, obok P.P.S. i wielu innych partii socjalistycznych Europy.

Agentów komunistycznych w „Bundzie” nigdy nie było.

Panu Żeleńskiemu do wiadomości, że w 1921 roku wrócił z Rosji znany członek „Bundu”, łożdzianin Aleksander Minc z tajną misją komunistyczną. Centralny Komitet „Bundu” z miejsca go usunął z organizacji. Tenże Minc w późniejszych latach, w Paryżu „wyleczył się” z komunizmu i wrócił do „Bundu”.

W niepodległej Polsce „Bund” współpracował z P.P.S. w pracy politycznej a żydowskie związki zawodowe były częścią ruchu zawodowego zrzeszonego w Centralnej Komisji Związków Zawodowych w Polsce. Wiktor Alter był członkiem prezydium Centralnej Komisji. „Bund” był w Polsce partią robotniczą, w której demokracja wewnętrzna pozwalała na różnice zdań na wielu odcinkach życia społecznego i politycznego, ale nawet najbardziej radykalni w swych poglądach nie byli w żadnym wypadku związani z komunistami.

Nie miał lekkiego życia „Bund” w Polsce, jak nie miała żydowska klasa robotnicza i biedota żydowska. Wystarczy wspomnieć słynne powiedzenie p. premiera Składkowskiego „bojkot owszem”... Mimo tych wszystkich trudności „Bund” potrafił w niepodległej Polsce wybudować świeckie szkolnictwo z językiem jidisz, słynne na cały świat sanatorium dziecięce im. W. Medema w Miedzeszynie, organizacje kulturalne (Kultura-Liga, Weker), sportowe („Jutrznia”) i wiele innych.

Jest to krótki zarys pracy „Bundu” w Polsce.

Na zakończenie notka osobista:

Jestem członkiem „Bundu” od 1918 roku, byłem członkiem w prezydium związku drukarzy żydowskich oraz przewodniczącym Rady Nadzorczej wydawnictwa partyjnej gazety *Folkscajtung* (ostatni numer tej gazety ukazał się w przeddzień wkroczenia Niemców do Warszawy).

Od roku 1947 mieszkam w Australii i jestem nadal czynny w miejscowej organizacji „Bundu”.

H. BACHRACH



Paryż, 10 stycznia 1980.

Drogi Panie Redaktorze,

Na udostępniony mi list Hersza Bachracha odpowiadam po porównaniu mych wspomnień z różnymi opisami prasowymi, odszukanymi w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Bachrach wprowadza czytelników w błąd przypisując mi autorstwo inkryminowanego zdania o licznych wpływach komunistów w żydowskiej partii Bund. Zdanie to wyraził Mikołaj Dolanowski, b. wiceminister Spraw Wewnętrznych, a ja je tylko przytoczyłem ze wskazaniem źródła (*Zeszyty Historyczne* nr 46, str. 138). Co gorzej, Bachrach odwraca sens tego ustępu. Dolanowskiemu chodziło właśnie o wykazanie, że pozycja KPP w Polsce była słaba. Nie było więc mowy o jakimś opanowaniu Bundu, lecz tylko o wpływach w nim. Zapytany teraz Waław Żyborski, do wojny dyrektor departamentu politycznego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, potwierdził opinię Dolanowskiego z tym, że trzeba rozróżnić postawę „góry” Bundu, zgodną z wymogami Konstytucji i obowiązujących ustaw, od postawy „dołków”, nieraz bardzo czerwonych, „pod znakiem sierpa i młota” (list z 13. 12. 1979 r.). Toteż Żyborski wielokrotnie był zmuszony ostrzegać kierownictwo Bundu, m.in. Erlicha, przed infiltracją komunistów, ale o żadnej „delegalizacji” tej partii nie myślano. Jak wiemy jej przywódcy, Erlich i Alter, zostali zgładzeni w Rosji, mimo rozpaczliwych interwencji naszego przedstawicielstwa cywilnego i wojskowego.

Dane przytoczone przez Bachracha, świadczące o bezowocnych próbach oddziaływania na kierownictwo Bundu w skrajnie lewym kierunku, są cennym przyczynkiem do dziejów tego stronnictwa między dwiema wojnami i zastępują, jak myślę, na uważną analizę powołanych do tego historyków.

Przechodząc do poruszonej przez Bachracha — z ostrzem wymierzonym we mnie — smutnej sprawy zabójstwa wachmistrza 7 pułku ułanów im. gen. Sosnkowskiego, Jana Bujaka, dokonanego po południu 1 czerwca 1936 roku w Mińsku Mazowieckim przez Judę Hersza Chaskielewicza, stwierdzam co następuje. Po tym zabójstwie istotnie wybuchły w mieście ruchy antyżydowskie. Dopuściły się ich grupy wyrostków i uczniów, a dołączyły męty społeczne. Zniszczono wiele sklepów, warsztatów i mieszkań, pobito i raniono kilkunastu Żydów, w tym kilku poważnie. Nie było jednak ani jednego wypadku śmierci i stwierdzono tylko jedną grabież. Ujęto ok. 20 sprawców. Nadesłane pospiesznie posiłki policji przywróciły porządek w mie-

ście. Kiedy wieczorem przybyłem na miejsce, delegowany przez prokuratora okręgowego w Warszawie, panował już spokój. W komisariacie policji zastałem gen. Kordiana Zamorskiego, Komendanta Głównego Policji Państwowej.

Nieprawdą jest jakoby ten „pogrom Żydów wywołany został przy udziale miejscowego garnizonu wojskowego”. Stacjonujący w mieście 7 pułk ułanów był poza garnizonom na ćwiczeniach polowych i w mieście pozostał tylko mały oddział wartowniczy. Wojsko wzięło udział w uroczystym pogrzebie Bujaka 4. 6. 1936 zachowując spokój i dyscyplinę.

Chaskielewicz, z zawodu krawiec, żonaty i ojciec dwojga dzieci, wyjaśnił że zabójstwa dokonał z zemsty za szykany i znęcanie się nad nim w pułku przez Bujaka, który był jego bezpośrednim przełożonym. Miało się to dziać przed 9 laty, w czasie odbywania przez niego służby wojskowej. Jak wiadomo w tym czasie (1926/1927) stosunki polsko-żydowskie nie były jeszcze napięte. Owe rzekome cierpienia Chaskielewicz opisał w swych zapiskach, znalezionych w jego mieszkaniu. Wśród nich był także jego artykuł, nie wydrukowany mimo starań, z tymi samymi skargami, zapowiadający, że autor niebawem znajdzie się w więzieniu. Śledztwo, prowadzone przez sędziego śledczego Mieczysława Kleinerta (jest na *Liście Katyńskiej*, str. 78), a także późniejsza rozprawa sądowa w czerwcu 1937 roku przed Sądem Okręgowym w Warszawie, wykazały zeznaniami oficerów, podoficerów i szeregowych pułku, nie tylko Polaków, ale Żydów, Ukraińców i jednego Niemca, że zarzuty Chaskielewicza były absolutnie niezgodne z prawdą. Chaskielewicz był ułanem niedołęznym, niechętnym i opornym, po 9 miesiącach został zwolniony. Natomiast Bujak — dobrym i sumiennym podoficerem, surowym lecz pogodnym służbistą, nieznającym różnic narodowościowych w traktowaniu podkomendnych. Konfliktów między nimi nie było. Słowem — motywy tego zabójstwa były bądź urojone, bądź kłamliwe.

W swych zapiskach, prowadzonych w języku żydowskim Chaskielewicz zawarł rozważania i sentencje antykapitalistyczne i antimilitarystyczne z wyraźnym zabarwieniem prosowieckim. „Chciano mnie przygotować” — pisał — „na instrument przyszłej wojny. Dlaczego miałem być po tej stronie, która miała atakować drugą stronę, gdzie właśnie ja powinienem się znajdować”. Od lat należał do Bundu i innych organizacji tego stronnictwa w pobliskim Kałuszynie. Wszystkie one, jak ustalono w śledztwie, były pod wpływami KPP. Odpowiadało to tradycji: w 1920 roku późniejszy minister Ładoś, jadąc na rokowania o rozejm, widział w Kałuszynie liczne czerwone sztandary, wywieszane po wejściu wojsk sowieckich.

Zabójstwo Bujaka przypadło na okres obustronnego napięcia między miejscową ludnością polską i żydowską. Miesiąc wcześniej, w pochodzie 1-majowym w Mińsku Mazowieckim zabity został Żyd, Cejlich i srawców mordu nie wykryto. Odpowiedzią było bojkotowanie przez Żydów obchodów 3-majowych i zawodów pułkowych, a pismo *Dos Naje Wort* pisało, że „męczyńska krew nie spoczywa, ona się budzi i upomina”. Różne dzienniki żydowskie, nie tylko lewicowe, wystąpiły z niepowściągliwymi atakami na traktowanie Żydów w wojsku: „Straszne męczarnie w 10 pułku artylerii”, „W 22 pułku ułanów krew łała się jak woda”. Z drugiej strony pisma ONR (Obozu Narodowo Radykalnego) prowadziły, niewiarygodną wprost dziś, kampanię antyżydowską. Organ mniej (!) skrajnego odłamu tego ruchu, *ABC*, zamieszczał wypowiedzi pod hasłem „Odebrać Żydom prawa polityczne”, „Usunąć Żydów z armii”, a wśród nich także list gen. Dowbora-Muśnickiego.

Chaskielewicz był dwukrotnie badany przez biegłych psychiatrów i w śledztwie umieszczony na obserwacji w Tworkach. Jednakże Bachrach myli się pisząc, że „stwierdzono dwukrotnie, że jest umyślowo chory”.

Po pierwszym badaniu biegli orzekli, że brak jest dostatecznych danych, by znać go za psychicznie chorego. Po drugim stwierdzili, że ulega długotrwałym afektom, które wprawdzie nie ograniczają zdolności rozumienia popełnionego czynu, w znacznym jednak stopniu ograniczają zdolność kierowania postępowaniem. Opinie te psychiatrzy potwierdzili na rozprawie sądowej.

Mimo to, po zamknięciu przewodu sądowego, istotnie zakończyłem moją mowę oskarżycielską wnioskiem o niezastosowanie okoliczności łagodzących, uznanie pełnej odpowiedzialności oskarżonego i orzeczenie kary śmierci. (Przypominam tu, że sądy w Polsce były niezawisłe i że sąd z zasady nie był związany ani orzeczeniem biegłych, ani wnioskami obrońców czy prokuratora). Uczyniłem tak nie z „nadgorliwości”, ale na kategoryczne polecenie, dane mi przez Ministra Sprawiedliwości, W. Grabowskiego, na tydzień przed rozprawą. (Jest rzeczą normalną, że prokurator może otrzymywać instrukcje od swoich przełożonych). Wobec mego oporu, poleceniu temu towarzyszyło zapewnienie pod słowem honoru, że jeśli sąd uwzględni mój wniosek, to wyrok w żadnym razie nie zostanie wykonany. Zostałem też z góry, na moje życzenie, zwolniony z udziału w rozprawie w drugiej instancji. Na zastąpienie mnie w pierwszej było za późno. Zdaniem ministra byłoby to zresztą szkodliwą manifestacją. Nie wiem czy minister Grabowski polecenie to wydał z własnej inicjatywy, czy na życzenia Rydz-Śmigłego (z którym utrzymywał bezpośredni kontakt), bądź premiera Składkowskiego. Sądzę, że w każdym razie jego stanowisko było uzgodnione z jednym z nich. Motywował je koniecznością uspokojenia wzburzonej opinii publicznej, dla której wojsko jest nietykalne i skłonnej podejrzewać, że Chaskielewicz jest symulantem.

W procesie tym nie byłem zresztą jedynym oskarżycielem. Obok mnie występowało w imieniu wdowy po Bujaku trzech adwokatów z powództwem cywilnym o symboliczną złotówkę z tytułu szkód moralnych. Żadnego zajścia z jednym z obrońców w kuluarach sądowych sobie nie przypominam, nie odbiło się one też echem w dostępnej mi prasie.

Zarzut Bachracha, że sąd orzekł karę śmierci „na skutek mego nacisku” nie zasługuje na odpowiedź. Wydając wyrok sąd powołał się na zebrane dowody i ustalenia przewodu sądowego uznając w motywach wyroku, że Chaskielewicz dokonał zabójstwa świadomie zaplanowanego, z premedytacją i że na Chaskielewicza decyzję „nie bez poważniejszego wpływu był wrogi stosunek pewnego odłamu żydowskiej ludności i prasy do państwa polskiego, jego władz i armii”. Wyrok zapadł jednomyślnie. W komplecie orzekającym, złożonym z trzech sędziów, zasiadał sędzia Leszczyński, który w tzw. procesie brzeskim założył był *votum separatum*.

W Sądzie Apelacyjnym, zgodnie z daną mi obietnicą, już nie oskarżałem. Karę śmierci zamieniono Chaskielewiczowi na dożywotnie więzienie. Dalszych jego losów nie znam. Nie wiem, czy twierdzenie Barchracha, że po roku zmarł w więzieniu Świętokrzyskim jest ściśle i jaka choroba tę śmierć spowodowała.

Władysław ZELEŃSKI



10 sierpnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan B. Krzyżanowski, w artykule „Kampania Wrześniowa w Oczach D-cy plutonu” (*Zeszyt Historyczny* Nr 48), narysował rzeczywisty wycinek kłęski w perspektywie i z punktu widzenia d-cy plutonu Saperów Dywizyjnych. Pomijam wstawki z „PSZ w Drugiej Wojnie Światowej”.

Muszę podkreślić uczciwie, z dozą odwagi cywilnej, naszkicowanie własnego portretu autora. Widzę wyraźnie: Bardzo zapóźniony student najłatwiejszego wydziału Politechniki, po półdyplomie, lat 25, zarozumiały i chyba arogancki — zmuszony jest przerwać studia dla odbycia jednorocznej służby wojskowej. Rozzalenie, z powodu wymuszonej przerwy w studiach, pogłębia dziedziczna i środowiskowa niechęć do wojska i do tych, którzy przez całe życie noszą mundur (acz wielu z tych mundurów ma prawo do tytułu doktora, inżyniera, magistra itp.).



W chaosie odwrotu, pchor. rez. (inż.), d-ca plutonu Saperów, dysponuje wierzchowcem (z czasem drugim), wozami, ordynansem...

Na terenie operacyjnym walk odwrotowych kilkakrotnie traci kontakt z d-cą kompanii i z własnym plutonem. Dwukrotnie rozstał się z plutonem, bo spał i zasnął w miejscu nieznanym jego saperom. Nikt nie otrzymał polecenia obudzenia go w razie potrzeby...

W chaosie odwrotu panował głód w wielu oddziałach, lecz w naszym wypadku zawsze coś znalazło się na wozach, w żywym inwentarzu chłopów, w chałupie zamkniętej na klucz, gdzie dymiły się garnki zostawione przez gospodarzy ukrytymi przed kulami. Parę uderzeń kolbą w okno i gorąca strawa wędrowała do żołądka podchorążego.

Autor nigdy nie zastanowił się, że na polu walki „odłączenie się od oddziału” nawet w wypadku „zaspania”, podpada jurysdykcji Sądu Polowego. W wielu armiach za lepsze przekroczenia płacono wyższymi...

Nie wiem ilu d-ców plutonów liczyły wszystkie oddziały saperskie. W kawalerii i artylerii mógłbym policzyć. W piechocie (z Obrony Narodowej, Strzelcami Morskimi, piechotą KOP) było prawie 8 tys. dowódców plutonów.

Jeśli by każdy z tych 8 tysięcy dwukrotnie odłączył od plutonu i nie krępował się w sposobach zdobywania pożywienia — to Kampania Wrześniowa skończyłaby się już przed 5 września.

Piechotni d-cy plutonów nie mieli ani wierzchowców, ani wozów, ani takiej swobody poruszania się.

Oficerskie dowodzenie zaczyna się na szczeblu plutonu. Panika za którą odpowiedzialni są oficerowie (lub ich namiastki) zaczyna się również na szczeblu plutonu. Odwrotna kolejność jest rzadko notowana. Dla ilustracji przyjmijmy: oddziały liniowe wykonują karnie i sprawnie obrony, natarcia, pościgi, czy odwroty z opóźnieniem. W tym samym czasie zaczynają uciekać najpierw d-cy armii ze sztabami, za nimi d-cy korpusów i dywizji, następnie pułków i batalionów. Na samym końcu załamują się d-cy kompanii i plutonów. Coś podobnego można sobie wyobrazić, i to, że najczęściej d-ca plutonu nie może opanować wyniszczonych, czy zdemoralizowanych drużyn, d-ca kompanii plutonów i tak coraz wyżej aż do Naczelnego Wodza. Ostatnia kolejność dotyczy tylko paniki i chaosu, nie koncepcji operacyjnych i taktycznych. Skutki złych koncepcji spłyną od góry do dołu, lecz panika, jako rezultat, pójdzie utartym szlakiem od dołu do góry.



Lekceważące poklepywanie przełożonych i starszych musi być uzasadnione własną, rzeczywistą wyższością. Ci, którzy mają do tego prawo —



przeważnie tego nie robią. Kto naprawdę znał skład osobowy Komendy Centrum Wyszk. Saperów — nie zdobył się na drwinki i poklepywania. Kto znał kapitana (ppłk.) Wejtkę nie znajdował powodów do uszczypliwości!



Jak wszyscy wspomnikarze z okresu września 1939, tak i pan Krzyżanowski, widzieli kapitanów, majorów, pułkowników i generałów „uciekających na wschód” samochodami, bryczkami, wozami i na piechotę. Z tobołami, walizami i z babami. Tak było! Wszyscy ci autorzy nie pofatygowali się spenetrować kto, dlaczego, na jakiej podstawie?

Zawodowy Korpus Oficerski liczył około 18 tysięcy. Jedna trzecia pełniła służbę i mieszkała w Warszawie i okolicy. Ministerstwo Spraw Wojskowych, Sztab Główny, Gen. Insp. Sił Zbrojnych, Okręg Korpusu, D-two Lotnictwa i Kier. Marynarki Wojennej, Sady wszystkich szczebli, Komendy Uzupelnień, Instytuty Wojskowe, szkoły i Centra Wyszkożenia itd., itd.

Wszyscy ci oficerowie (znaczną przewagę) i podoficerowie mieli *rozkazy* przeniesienia do Lwowa, Brześcia, Równego, Dubna, Łucka itp. z rodzinami. Podkreślam: z *rodzinami!* Władze wojskowe, chyba słusznie, sądziły, że pozostawienie rodzin może dać wywiadowi wroga bogate źródło informacji. Rodziny mogą być prześladowane (co się sprawdziło). Wydajność pracy zatroskanych mężów i ojców znacznie obniży się.

Uzasadnienie słuszne, czy nie — obowiązywał rozkaz ewakuowania się z rodzinami. Pociągami, samochodami, wozami i na piechotę. Z tobołami, walizami, dziećmiakami i babami...



Zaintrygowało autora co zawierały walizy oficerów zawodowych w oddziałach liniowych. Sam, jako pchor. rez. był ubrany od stóp do głowy w nowe sorty mundurowe z magazynów Mob. Służę spisem zawartości moich waliz: płaszcz, peleryna przeciwdeszczowa, drugi mundur polowy i spodnie, drugie buty, 2 pijamy, 3 pary bielizny, 3 ręczniki, 12 chusteczek, 3 kołnierzyki, 6 par letnich 3 pary zimowych skarpet, koc, drugi pistolet, przyrządy do golenia i mycia, kilka opatrunków i jodyna, igły nici i guziki, parę setek papierosów. Z Mob. nic mi się nie należało.



Mam tytuły i prawo do krytykowania. Kampanię Wrześniową oceniono mi więcej niż pochlebnie, wyciekło ze mnie dużo krwi, konspirację odrobiłem do Powstania Warszawskiego włącznie — najczęściej o chłodzie i głodzie. W latach konspiracji i tuż po wojnie miałem przełożonych raz oficera rezerwy, drugi raz zupełnego cywila, któremu dano stopień funkcyjny i na gwałt nauczono odsalutowywać (Oddziały Wartownicze). Widziałem oficerów rezerwy na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach w konspiracji. Jedni jakby stworzeni do przydzielonych funkcji, inni zgubieni, czasem groteskowo. To samo dotyczyło oficerów zawodowych. Mogę sobie wyobrazić zupełnego cywila jako szefa BIP-u, oddziału Oświaty, komórki egzekucyjnej. Nie potrafię sobie wyobrazić nawet najlepszego rezerwisty na funkcji gen. Pełczyńskiego, płk. Iranek-Osmeckiego, płk. Tatara (przed odlotem). D-cy dywizji, pułków i batalionów, którzy „uciekli” na Węgry i do Francji, czy byli osadzeni w więzieniach i łagrach sowieckich — ci sami d-cy prowadzili do zwycięstw Karpacką, 1-szą Pancerną, 2-gi Korpus. Dowodzili na lądzie, w powietrzu, na morzu i... w konspiracji. Mniej szczęśliwi zape-

nili groby Katynia i wody arktyczne. W obu grupach na pewno byli oficerowie poklepywani lekceważąco przez autora.



W innych wspominkach czytam opisy Września, w których autorzy porównują działania kawalerii i piechoty w Kampanii 1939 roku.

Pułk kawalerii (842 ludzi) wyruszał w pole z prawie nie naruszoną kadra. D-ca pułku, z-ca d-cy, kwatermistrz (II-gi z-ca), wszyscy d-cy szwadronów (z małymi wyjątkami), prawie wszyscy podoficerowie, prawie wszystkie konie, stosunkowo mały tabor. Wszyscy się znali. Dowodzić można było per „Włodku”, „Karolciu”.

Pułk piechoty (3.303 ludzi, 660 chłopskich koników, setki wiejskich wozów), bez z-cy d-cy, z mobilizacyjnym kwatermistrzem, z jednym, co najmniej, d-cą baonu z Mob. Znaczna część d-ców kompanii — oficerowie rezerwy. Wszyscy d-cy plutonów — oficerowie i podchorążowie rezerwy. Trzy czwarte szeregowych — rezerwa. Trzeba miesiecy by zgrać taką masę.

Uwagi ostatnie nie dotyczą pracy pana Krzyżanowskiego. Wiązą się tematycznie.

Jeszcze raz muszę podkreślić uczciwość autora w nie retuszowanym opisie. Pan Krzyżanowski pominął związki przyczynowe. Pewnie nie widział i nie szukał. Wyjątki z „PSZ” nie spełniły zadania.

Łączę wyrazy szacunku,

Tadeusz BOGUSZEWSKI



Hollywood, Florida, 9 lipca 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W swoim wielce interesującym artykule „Wojna — nie, dialog” (*Zeszyty Historyczne* Nr 48) prof. Wiktor Sukiennicki, omawiając książkę Jonasa Żmuidinasa „Commonwealth polono-lithuanien ou l'Union de Lublin (1569)”, która niedawno wyszła z druku na Zachodzie (Paris - La Haye - New York) pisze: „Po kilku stronach rozważań mających udowodnić, że używany przez Litwinów język państwowy nie był dzisiejszym językiem białoruskim, lecz 'szczególnym i jedynym na świecie' językiem 'litewsko-ruskim', 'językiem pisanym i martwym, pochodnym od cerkiewno-starostowiańskiego', który był rodzajem wschodnio-europejskiej 'łaciny' autor na stronie 82 pisze...”.

Trudno o bardziej bałamutne twierdzenie! Język państwowy w Wielkim Xięstwie Litewskim wcale nie był martwym pisanym, pochodnym od cerkiewno-starostowiańskiego. Ten, według Żmuidinasa, „szczególny i jedyny na świecie” język „litewsko-ruski” nie był oczywiście dzisiejszym, lecz był ówczesnym żywym językiem białoruskim, który należałoby dziś nazwać starobiałoruskim. Każdy żywy język, w którym zanikają pewne słowa (archaizmy), a pojawiają się nowe, powoli, stopniowo, lecz ciągle się zmienia. Także dzisiejszy język litewski, szczególnie literacki, który się ukształtował bardzo późno, bo dopiero w końcu ubiegłego i na początku bieżącego stulecia, jest odmiennym od języka, używanego na litewskim obszarze etnograficznym za czasów Gedymina. Czyżby cyrylica, którą były pisane i drukowane akta państwowe Wielkiego Xięstwa Litewskiego ze Statutem Litewskim włącznie („Statut Wielikoho Kniastwa Litowskoho. Ot Najaśniejszego

Hospodara Korola Jeho Miłosti Zykhimonta Tretieho na koronacyi w Krakowie wydany roku 1588. Za przywilejem Korola Jeho Miłosti drukowano w domu Mamoniczow”), posłużyła za wystarczający dowód dla twierdzenia autora książki? Ale cyrylica przecież nie oznacza jeszcze, że były pisane w jakimś wymyślonym przez niego języku „litewsko-ruskim, pochodnym od cerkiewno-starosłowiańskiego”. Każdy dzisiejszy piśmienny Białorusin przeczyta i zrozumie tekst Statutu Litewskiego. Natomiast żaden Litwin, nieznający języka białoruskiego i cyrylicy, nie znajdując w nim żadnego litewskiego słówka, tego nie potrafi.

Dziwne, oględnie mówiąc, są rozważania i wywody p. Żmuidinasa.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i prawdziwego poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI



Warszawa, 1979 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* (nr 45) opublikowano list Jerzego Stempowskiego do Adama Zielińskiego z maja 1942 roku o zagadnieniach polsko-ukraińskich. Autor listu pisze także o swoich spostrzeżeniach poczynionych w roku 1938 w Krzemieńcu, dokąd został „zaproszony przez związek nauczycielski i b. wychowanków liceum do wygłoszenia cyklu odczytów...”. W liście tym czytamy m.in.:

1. „Nikt w związku nauczycielskim nie znał ani jednego Żyda lub Ukraińca” (str. 28).
2. „Byli to nawet sympatyczni Krakowianie, Ślązacy, Wielkopolanie, Warszawiacy, żyjący nieraz od 8 lat w Krzemieńcu w całkowitej izolacji od ludności miejscowej”.
3. „Uczniowie Liceum byli też przeważnie obcy Wołyniowi i pochodzili z różnych stron Polski. W szkołach na poziomie średnim i licealnym było zaledwie kilku Ukraińców i ani jednego Żyda”.

Jako były długoletni pracownik Liceum Krzemienieckiego czuję się obowiązany do zabrania głosu przynajmniej w sprawie trzech powyżej zacytowanych informacji, zawartych w liście J. Stempowskiego.

W związku z punktem 1 i 2 należy powiedzieć, że znaczna część nauczycieli LK brała czynny udział w życiu społecznym i kulturalnym powiatu i województwa. Udział ten przejawiał się m.in.:

- a) w działalności Wołyńskiego Związku Młodzieży Wiejskiej, skupiającym i Polaków i Ukraińców;
- b) we współpracy z dwoma uniwersytetami ludowymi LK na Wołyniu (w Michałówce i Różynie), których słuchacze w większości (ok. 70 %) byli narodowości ukraińskiej;
- c) w szeroko rozwiniętym ruchu przysposobienia rolniczego (PR) i konkursów rolniczych, w których brało udział tysiące rolników Wołynia;
- d) w upowszechnianiu czytelnictwa — np. przez konkursy dobrego czytania, które obejmowały zarówno literaturę polską jak ukraińską;
- e) w kultywowaniu amatorskiego ruchu artystycznego, przede wszystkim chórów i teatru;
- f) w działalności orkiestry symfonicznej LK, która skupiała uczniów klas starszych oraz różnej narodowości ludzi dorosłych ze środowiska poza-

szkolnego; dodajmy, że jednym z jej dyrygentów był muzyk narodowości żydowskiej. Na koncerty przychodziło całe miasto;

g) koncerty Muzycznego Ogniska Wakacyjnego oraz koncerty „Ormu-zu” — z udziałem tej miary artystów jak Dubicka, Umińska, Sztompka, Szymanowska, Małcużyński — gromadziły w Sali Kolumnowej LK ludzi wszystkich nacji. Gdy zabrakło miejsca w sali przenoszono koncerty na piękny dziedziniec licealny.

W gronach pedagogicznych szkół LK ludzie spoza Wołynia stanowili większość, ale byli też ludzie miejscowi. Ich liczba rosła w miarę tego jak byli wychowankowie LK po ukończeniu studiów wyższych wracali do swej macierzystej placówki.

W związku z punktem 3-cim chcę powiedzieć o konkretnych sytuacjach, z którymi byłem osobiście związany. Zacytowane przeze mnie przykłady były typowe:

1. W roku 1935 doprowadziłem do egzaminu maturalnego zespół uczniów, którego opiekunem byłem przez trzy lata. W zespole tym, liczącym ok. 25 osób było czworo uczniów narodowości żydowskiej i kilkoro narodowości ukraińskiej i rosyjskiej. Podobnie ułożyły się liczby w moim zespole maturzystów z roku 1938. W pierwszym z nich znajdował się jeden uczeń spoza Wołynia, w drugim zaś wszyscy uczniowie mieli swoje domy rodzinne w Wołyniu, z czego wielu — na wsi.

2. Jako opiekun pisma uczniowskiego — miesięcznika *Nasz Widnokrąg* — pamiętam udział w nim uczniów różnej narodowości. W zachowanym numerze z września 1933 roku podano nazwiska czterech uczniów tworzących komitet redakcyjny, są to: Polka, Ukrainiec, Żyd i Rosjanka.

List J. Stempowskiego świadczy o tym, że jego Autor nie poznał w ciągu swojego krótkiego pobytu w Krzemieńcu istotnego stanu rzeczy i źle informował swego adresata.

*Dr Kazimierz GROSZYŃSKI*

P.S. Należy dodać, że Jerzy Stempowski był zaproszony w roku 1938 do Krzemienia nie przez „związek nauczycielski i b. wychowanków” LK, lecz przez Zjednoczenie Organizacji Społecznych, którego przewodniczącym był Stefan Czarnocki, zastępowany kurator LK. Zaproszenie dotyczyło nie cyklu odczytów, lecz jednego odczytu w Komisji Wieczorów Dyskusyjnych, której byłem przewodniczącym. Prowadziłem to jedyne spotkanie z odczytem Jerzego Stempowskiego.

K. G.

Anglia, wrzesień 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę o umieszczenie w najbliższych *Zeszytach Historycznych* wyjaśnień w związku z recenzją Tadeusza Żenczykowskiego „Na marginesie książki o WIN-ie” (mojej książki pt. „W potrzasku dziejowym, WIN na szlaku AK — Rozważania i dokumentacja”, Skład główny „Veritas”, Londyn, 1978)). Recenzja ukazała się w *Zeszytach Historycznych*, zeszyt 48, rok 1979, str. 209-217. Autor recenzji posuwa się tak daleko, że chce przedstawić w/w książkę jako historycznie bezwartościową a jej aneksy jako „rzekome dokumenty”, czyli o wątpliwej wiarygodności. Uważam więc za mój obowiązek jako autora tej książki, wyjaśnić, sprostować i uzupełnić pewne sprawy tym, którzy czytali moją książkę i recenzję o niej T. Żenczykowskiego w *Zeszytach Historycznych*; względnie będą jej czytać. Wymaga tego prawda historii o WIN-ie, sprawiedliwość i uczciwość.

Jeden z największych matematyków świata, Galois, nie zdał wstępnego

egzaminu na wyższą uczelnię z matematyki. Żeromski, mistrz słowa, „oblał” z języka polskiego. Egzaminatorzy nie zawsze są sprawiedliwi i uczciwi, a czasem powodują się ignorancją, pychą, zazdrością, zemstą itp.

Według recenzji Żencykowskiego Winowcy „obłali” z historii WIN-u i dokumentacji o WIN-ie. Piszę Winowcy, bo w przygotowaniu i pisaniu w/w książki o WIN-ie współpracowało wielu b. Winowców.

Nie wiem czym się kierował i na jakich źródłach dokumentarnych opierał się Żencykowski, stwierdzając na str. 209 *Zeszytów Historycznych*: „... książka nie daje należytego obrazu WIN-u”. Na str. 13 mojej książki podkreślam: „Na pisanie pełnej i ciągłej merytorycznie i chronologicznie historii WIN-u jeszcze nie nadszedł czas”. Brak też w książce poszczególnych akcji i prac WIN-u w terenie. Ale na nie również za wcześnie ze względu na bezpieczeństwo uczestników w tych akcjach, zresztą trzeba by na to kilka tomów. W jednej książce o objętości ok. 450 stron nie można podać całej historii prac WIN-u w pionie i poziomie oraz pełnej dokumentacji. Pole otwarte i szansa dla innych. Ale to nie znaczy, że książka „W POTRZA-SKU...” nie daje należytego obrazu WIN-u. Jest on jak najbardziej prawdziwy, zgodny z rzeczywistością i zweryfikowany. Trzeba tylko książkę przeczytać uważnie i mieć dobrą wolę. Oba tych elementów brakło Żencykowskiemu przy pisaniu recenzji, co wkrótce samo wyjdzie z dalszych wywodów.

Książkę pisałem jako Winowiec w oparciu o Archiwum Delegatury WIN-u oraz zeznania wielu b. Winowców. Kilka lat spędziłem na porządkowaniu i weryfikowaniu tych materiałów w porozumieniu z b. Winowcami i historykami. W tym celu objechałem Francję, Niemcy, Skandynawię, USA i Kanadę. Niektórzy przyjeżdżali do mnie. Znałem wszystkich prezesów (z wyjątkiem Rzepeckiego) i wielu członków Głównych Zarządów WIN-u w Kraju. A więc tkwiłem w WIN-ie. Żencykowski nie był w WIN-ie, a WIN właściwie do dziś nie został rozkonspirowany. Nie miał też ani nie ma dostępu do Archiwum Delegatury WIN-u. Skąd zatem ta jego superwiedza o WIN-ie? RWE, w którym pracował, otrzymywało od Delegatury WIN-u tylko niektóre materiały. Pisząc książkę, konfrontowałem jej treść oraz dobór aneksów ze śp. Bokszczaninem, ostatnim szefem Głównego Sztabu AK, zastępcą Rzepeckiego, prezesa I. Głównego Zarządu WIN w Kraju oraz członkiem Delegatury WIN za granicą; Rolewiczem, zastępcą Niepokólczyckiego, prezesa II Głównego Zarządu WIN w Kraju i zastępcą śp. Maciołka-Nowaka, szefa Delegatury WIN za granicą. Z tym ostatnim czytałem brudnopis mojej książki zdanie za zdaniem. Podobnie z innymi b. Winowcami jak np. z Soroką, obecnie profesorem współczesnej historii na uniwersytecie w Stevens Point, w USA. Według Żencykowskiego to wszyscy ignoranci. Na str. 216 *Zeszytów Historycznych* pisze: „Autor nie wykazał należytej troski o zbadanie i poznanie wielu faktów, wydarzeń i dat. (Jakich uprzejmie zapytuje? — mój dop.). Jego dobór dokumentów cechuje pewna przypadkowość oraz brak selektywności i dokładności...”. Nonsens.

Żencykowski w swej recenzji stawia wiele zarzutów. W dalszym ciągu zajmijmy się choć niektórymi z nich. Na str. 212 pyta: „Nie wiadomo natomiast, dlaczego ks. Kluz pominął całkowitym milczeniem obszerną broszurę, skierowaną przez władze naczelne WIN do 'Towarzyszy z PPS' w roku 1947”. Kto czyta dokładnie książkę, widzi, że stosunek WIN-u do PPS i PPS do WIN-u jest aż nadto wyczerpująco omówiony. W archiwum Delegatury WIN są setki obszernych broszur. Umieszczanie obszernych broszur, niekoniecznie związanych z założeniem i celem książki powiększyłyby objętość książki a w konsekwencji kosztą druk i cenę książki.

Na str. 84-87 Żencykowski umieszcza w *Zesz. Hist.* „WYTYCZNE

IDEOWE" WIN-u, przywiezione — jak zaznacza na str. 213 — przez płk. K. Rolewicza, a które „ks. Kluz pominął w zbiorze załączników...”. Nieprawda. Dokument ten jest w całości w książce na str. 274-278. Żenczykowski popełnia tu wielkie *faux pas* i daje dowód, że nie przeczytawszy dokładnie książki „W POTRZASKU...” pisze recenzję o niej z góry powziętym negatywnym i złośliwym nastawieniem oraz szuka dziur, których w książce nie ma. To samo odnosi się do podważania przez niego autentyczności dokumentów (aneksów), które nazywa „rzekomymi dokumentami” na str. 213 lub wprost falsyfikatami na str. 216. Tutaj przecieram oczy i nie mogę uwierzyć w to, co Żenczykowski pisze na str. 213: „Ks. Kluz w swej książce powtarza błąd Delegacji sprzed z górą 25 lat i zarówno w tekście jak i w załącznikach, powołuje się na takie rzekome dokumenty, jak np. tekst przemówienia płk. Andruszczenki z KBW w Katowicach, czy referatu Stokłowa o planach międzynarodowej polityki sowieckiej. Nie są to zresztą jedyne jego błędy”. Jakże błędy popełniał WIN 25 lat temu i które z nich popełnia obecnie ks. Kluz, konia z rzędem temu, kto to rozumie. Zresztą 25 lat temu WIN-u już nie było. Natomiast referaty Andruszczenki i Stokłowa są autentyczne a nie falsyfikaty. W latach 1946-1948 WIN miał wtyczkę w Politbiurze i przez nią zdobył te (i inne) autentyczne dokumenty. W tym czasie wtyczki KGB w WIN-ie jeszcze nie było. W połowie 1946 roku WIN w porozumieniu z Bliss Lanem wystosował Memoriał do ONZ, a między załącznikami do niego umieszczono też referat Andruszczenki i jeden referat Stokłowa. Ok. dwa lata temu prof. Brzeziński i naczelnik działu międzynarodowego Columbia University w Nowym Jorku wystosowali urzędowy list do biblioteki ONZ z prośbą o przysłanie im fotokopii Memoriału WIN-u wraz z załącznikami w języku angielskim. Otrzymałi odpowiedź, że zginęły. Również ok. dwa lata temu pani Thatcher w jednym ze swych publicznych przemówień powołała się na w/w referat Andruszczenki. Czy ludzie tego kalibru zajmowałiby się falsyfikatami? Tylko reżym na Procesie Krakowskim lansował, że były to falsyfikaty. Obecnie powtarza to Żenczykowski. Dziwne!

Na str. 214 Żenczykowski znów pisze: „Autor książki popełnia natomiast poważny błąd podając bezpodstawnie, że „szefem wydziału wojskowego” tego Zarządu miał by, gen. Fieldorf”. Powtarzam z całą odpowiedzialnością, to co napisałem w książce, że nie „miał być”, ale był. Mam na to zweryfikowane dowody. Autor też ma swoje drogi i metody weryfikowania faktów i dokumentów. Nie jest to przywilej tylko Żenczykowskiego.

Bezsprzecznie, książka „W POTRZASKU...” , jak każda inna, ma pewne niedociągnięcia i braki, ale nie te, które imputuje jej Żenczykowski.

Żenczykowski, podszywając się pod znawcę historii WIN-u w swej recenzji streszcza niektóre części mojej książki „W POTRZASKU...” i nie dodaje od siebie nic nowego, pozytywnego. Owszem, dodaje ale błędne fakty. Np. na str. 210 podaje, że p.o. Naczelny Wódz mianował Rzepeckiego Delegatem Sił Zbrojnych. Nieprawda. O to prosił Rzepecki, ale Naczelny Wódz zamiast mianować Delegata powołał do życia nową organizację „Delegaturę Sił Zbrojnych”. Dalej pisze: „Wierziono w Kraju, że będą one (wybory) wolne i wobec tego Akowcy mogą mieć duży wpływ...”. Nieprawda. Tak może pisać ignorant, który wówczas nie był w Kraju. Zresztą to już Winowcy. Na str. 211 zarzuca, że brak w książce uwypuklenia tła przejścia z AK w WIN i podkreślenia działalności inspiracyjnej WIN-u. Kto uczciwie czyta książkę znajdzie to. Na str. 214 informuje, że po Rzepeckim objął Wincenty Kwieciński i „w tym czasie pojawiają się w jego otoczeniu dwaj ludzie o pseudonimach „Kos” i „Józef”. Nieprawda. „Józefa” vel „Zygmunta” wprowadził dopiero ponad dwa lata później Sienko.

Żenczykowski zarzuca na str. 212, że w książce jest za dużo o Delegacji

WIN-u za granicą. Raczej jest za mało, a po drugie jest to nie Delegacja, lecz Delegatura WIN-u za granicą. Instytucja, a nie jednorazowy zespół delegacji.

Na końcu swej recenzji Żenczykowski przytacza fragmenty rzekomej opinii jakiegoś rzekomego Winowca z Kraju na temat mojej książki. Nie wierzę w to. Jest to falsyfikat spreparowany tutaj dla przygwoźdzenia ks. Kluza. Dowód — duch tej opinii pokrywa się z duchem i celem całej recenzji. Ja otrzymałem kilkanaście opinii od b. Winowców i profesorów historii z Kraju. Wszystkie są zupełnie inne. Bardzo pozytywne.

Z poważaniem,

Ks. Stanisław KLUZ



Tadeusz ŻENCZYKOWSKI

### KSIĘDZU KLUZOWI — W ODPOWIEDZI

Emocjonalny stosunek ks. Stanisława Kluza do mojej recenzji jego książki o WIN-ie (cechujący niektóre jego wyrażenia) można uważać za zrozumiały. Przypuszczam jednak, że moje uwagi i zarzuty autor przyjął zbyt personalnie. W ocenach swych kierowałem się troską o dokładność przedstawiania naszej historii z lat okupacji i okresu powojennego. Książka pisana na ten temat na Zachodzie powinna wymagać szczególnej staranności, gdyż „odkłamuje” krajowe publikacje historyków komunistycznych i podaje często fakty celowo okrywane przez reżym milczeniem. Znane trudności wydawnicze rzadko pozwalają na skorygowanie błędów lub uzupełnienia w następnych wydaniach.

Nie określałem książki ks. Kluza jako „historycznie bezwartościowej”, lecz uważałem — i nadal uważam — że nie daje należytego obrazu WIN-u nawet w tym zakresie, jaki jest dziś możliwy do przedstawienia bez narażania na niebezpieczeństwo ludzi żyjących w kraju. Uwagi swoje kierowałem do autora książki, który chce je rozciągnąć w swym liście na ogół Winowców. Jest to interpretacja dowolna i bezpodstawna. Tym bardziej że od wielu z nich — przebywających za granicą a nawet i w kraju — otrzymałem wypowiedzi przynajmniej słuszność moim uwagom i zastrzeżeniom.

Ks. Kluz utrzymuje, że niesłusznie pomówiłem go o brak dokładności. Nie mogę przytoczyć długiej listy tego rodzaju „mankamentów” i poprzestaję na paru tylko przykładach. Oto jeden z nich. Na str. 110 swej książki ks. Kluz zupełnie niezgodnie z rzeczywistością omawia ważne politycznie stanowisko WIN-u w sprawie referendum. Zle podaje kolejność pytań i mylnie utrzymuje, że WIN zalecał na dwa pytania odpowiadać „tak”, a tylko na jedno — „nie”. Tymczasem powołany w odnośniku na tej samej stronie krajowy raport winowskiej „Stoczni” z 1 lipca 1946 roku tak dosłownie przedstawia stanowisko WIN-u:

„WIN, nie uznając dokonywanych zmian wbrew postanowieniom konstytucji (zniesienie senatu) oraz podkreślając niewłaściwy sposób obecnej przebudowy gospodarczej i społecznej — a ponadto chcąc wyraźnie zaprotestować przeciw obozowi rządzącemu — wysunął koncepcję, aby dać odpowiedź „nie” na pierwsze i drugie pytanie, „tak” na trzecie pytanie, stojąc twardo na gruncie osiągnięć terytorialnych na Zachodzie przez ustalenie granicy na Odrze i Nysie”.

To stanowisko WIN-u różniło się od taktyki PSL (tylko jedne „nie”) i — jak wykazały autentyczne wyniki referendum — znalazło masowe poparcie.

A teraz przykład z innej dziedziny. Na str. 38 ks. Kluz pisze, że Stalin wymordował polskich komunistów, przebywających w ZSSR „po pakcie Ribbentrop - Mołotow w roku 1939”. Bez większego chyba trudu można było znaleźć stwierdzenie w łatwo dostępnych źródłach na Zachodzie, że dwie wielkie czystki komunistów polskich w Rosji w latach trzydziestych zakończyły się na przeszło rok przedtem.

Ks. Kluz oskarża mnie o błędy w recenzji. Nikt nie jest nieomylny, ale w tym wypadku — mam rację. Generał Anders w swej depeшы do kraju z dn. 7 maja 1945 mianował płk. Rzepeckiego „Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj”, a nie — jak to napisał ks. Kluz — powołał jakąś bezosobową „Delegaturę Sił Zbrojnych”.

Autor „W potrzasku dziejowym” dowolnie skraca (i przez to zniekształca) moją ocenę nastrojów w kraju w 1945 roku, związanych z zapowiedzią wolnych wyborów. Moją wypowiedź określił kategorycznie: „Nieprawda. Tak może pisać ignorant, który wówczas nie był w kraju”. Mniejsza o „ignoranta”. Byłem wtedy w kraju i znałem opinię społeczeństwa. Przewidywano wolne wybory i szykowano się do tej walki. Wierzyli i pisze, że skuteczność byli przywódcy AK i dlatego właśnie utworzyli WIN. Na zwycięstwo w wolnych wyborach liczyło PSL i inne polskie środowiska polityczne. Akowcy mogli wyrzucić na ich wynik swój wpływ — jak to zaznaczyłem — przez mobilizowanie społeczeństwa do głosowania na te antykomunistyczne stronnictwa, które wezmą udział w wyborach.

Pisałem, że w otoczeniu Kwiecińskiego — prezesa Obszaru Centralnego WIN — pojawili się dwaj ludzie „Kos” i „Józef”, z których co najmniej jeden był współpracownikiem UB. Ks. Kluz zarzuca mi „nieprawdę” i pisze, że „Józefa” wciągnął do kierownictwa głównego WIN-u Sieńko. Dlaczego jednak uważać, że tylko jeden człowiek używał pseudonimu „Józef”? Ten, o którym ja piszę, pracował z Kwiecińskim w okresie 1946 i 1947 roku. Był później świadkiem oskarżenia w procesie przeciwko Kwiecińskiemu. Przebywa obecnie w kraju, wiadomo, co robi i znane jest jego nazwisko.

Nie wiem, jak przekonać ks. Kluzę, że gen. Fieldorf-„Nil” nigdy nie był w WIN-ie. Działalność „Nila” jest na ogół dokładnie znana i poważni działacze WIN-u zdecydowanie negują wersję o jego udziale w kierownictwie WIN.

Pisałem, że w aneksach książki ks. Kluz nie zamieścił ważnego historycznie dokumentu, przywiezionego na Zachód przez pierwszego delegata WIN, płk. Rolewicza. Autor znów utrzymuje, że napisałem „nieprawdę”. Na dowód tego wskazuje aneks Nr 5. Dotyczy on jednak wytycznych ideowych WIN-u z 15 września 1945, natomiast płk Rolewicz przywiózł treściwy dokument z daty 15 lipca 1946, zatytułowany „Nasze podstawy ideowe i organizacja”. Czyżby ks. Kluz nie znał tego dokumentu?

I jeszcze parę słów o dokumentach. Wyrażałem żal, że ks. Kluz nie zwrócił uwagi na ważną politycznie odezwę WIN-u do „Towarzyszy z PPS”. Nie chodziło mi o wykazywanie widocznego w książce pozytywnego stosunku organizacji do PPS lecz o — szczególnie w tym okresie godne uznania — posunięcie WIN-u, które wywołało duże poruszenie w środowisku socjalistycznym i gwałtowne ataki PPR. Nie sugerowałem, że należało przedrukować całą broszurę. Wystarczyłoby przecież jej omówienie dla podkreślenia znaczenia tej inicjatywy.

Nadal podtrzymuję zdanie, że zamieszczone w dokumentacji teksty z 1945 i 1946 roku — przypisywane płk. Andruszczence czy Stokłowski — są falsyfikatami (brak miejsca nie pozwala na ich szczegółową analizę). Nie



jest bynajmniej dowodem ich autentyczności ogólnikowa informacja ks. Kluza, że prof. Brzeziński i pani Thatcher mieli się nimi przed dwoma laty zainteresować.

Nie rozwijam szerzej zagadnienia dokumentacji. Poprzestaję tylko na przypomnieniu, że archiwum WIN-u po śmierci płk. Maciołka znajduje się w rękach ks. Kluza. Szkoda, że nie jest udostępnione nawet dla członków WIN. Mogłoby to przyczynić się do wyjaśnienia wielu zagadnień, związanych z tą organizacją, do odpierniania reżymowych ataków na WIN i do właściwego zakwalifikowania materiałów, wśród których znalazły się i takie, jakie wysyłano za granicę w celach dezinformacyjnych od czasu ulokowania wtyczek UB w krajowych władzach WIN. Byłoby to tym ważniejsze, że płk Maciołek odnosił się z zaufaniem do wszystkiego, co otrzymywał od swych władz przełożonych w kraju, chociaż co najmniej niektóre raporty sytuacyjne budziły już wtedy wątpliwości.

Ks. Kluz gniewa się na mnie za opinię, że jego książka nie daje właściwego obrazu działalności WIN-u w kraju, a przynosi proporcjonalnie zbyt dużo informacji o pracach (zresztą nie wszystkich) Delegatury Zagranicznej. Obstawiam jednak przy swoim stanowisku. Przecież właściwym terenem ważnej i niebezpiecznej działalności WIN był kraj. Można by ją znacznie obszerniej potraktować bez narażania Winowców, żyjących w kraju.

Ks. Kluz uważa krytykę jego książki za wyraz mego negatywnego czy złośliwego nastawienia do WIN-u. Jest to całkowicie błędne. Moją pozytywną opinię o WIN-ie niejednokrotnie wyrażałem publicznie, a również podkreśliłem w recenzji z pracy ks. Kluza. Z członkami Delegatury (płk. J. Bokszczaninem, płk. J. Maciołkiem i płk. K. Rolewiczem) łączyły mnie bliskie i przyjazne stosunki, jak również z wielu innymi Winowcami. Z prawdziwą radością powitam każdą nową publikację, która przedstawi możliwie pełną historię WIN-u, lub przyniesie do niej wartościowe przyczynki.

Tadeusz ŻENCZYKOWSKI



Waszyngton, 8 stycznia 1980.

Drogi Panie Redaktorze!

W związku z moim listem ogłoszonym w *Zeszytach Historycznych* Nr 48, str. 234, dotyczącym ujawnienia tajemnicy radiostacji ŚWIT i uwagami na ten temat p. Jana Nowaka ogłoszonymi w *Zeszytach Historycznych* Nr 49, str. 234, wyjaśniam, że zarówno płk Rzepecki jak i w ślad za nim p. Nowak popełniają błąd twierdząc, że pod naporem potrzeb zostałem zmuszony do dopuszczenia Rzepeckiego względnie BIP'u do tajemnicy ŚWITU. W rzeczywistości tajemnica ŚWITU została ujawniona na posiedzeniu Kierownictwa Walki Podziemnej (KWP) w dniu 27 września 1943, (w składzie: Komendant Główny AK gen. Bór-Komorowski, szef sztabu gen. Pełczyński, dowódca Kedywu pułkownik później generał Fieldorf, szef BIP'u płk Rzepecki i ja jako szef Kierownictwa Walki Cywilnej przemianowanej na Opór Społeczny), na którym zostałem poinformowany, że Komendant Główny otrzymał depezę od Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego, z której jasno wynika, że ŚWIT znajduje się w Anglii a nie w Polsce. O tym ujawnieniu tajemnicy ŚWITU zawiadomiłem premiera Mikołajczyka depeszą z tego samego dnia.

Ściskam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBOŃSKI



Panie Redaktorze!

Z dużym zainteresowaniem czytam zawsze erudycyjne ukrainoznanwcze prace Tadeusza Żeleńskiego, pisane zresztą z sympatią dla strony przeciwnej. Jest jednak widocznie niełatwo wyzbyć się tendencji apologetycznych, które jak brzemień ciążyą nad dużą częścią polskiej historiografii i to w wolnym świecie.

Zastrzeżenia moje obudził list Żeleńskiego do 48 numeru *Zeszytów Historycznych* na temat polskiej polityki narodowościowej. Przytaczam w skrócie jego treść: „nieszczęśne 'lex Grabski', czyli jego pomysł utraquizmu, w dużym stopniu zmniejszyło ilość szkół ukraińskich. Po przewrocie majowym Marszałek Piłsudski chciał naprawić krzywdę i powołał w tym celu Komisję Narodowościową Młodzianowskiego - Sujkowskiego - Bartła. Ale inicjatywa ta została storpedowana przez pravicę, która uchwaliła nawet votum nieufności dla Sujkowskiego”. Wszystko to razem opiera się na podstawie cytatu z tomu II Historii Polski Poboga-Malinowskiego.

W tym miejscu nasuwają mi się pod adresem Żeleńskiego niektóre pytania: 1) Czy istotnie wierzy Pan, że można jeszcze dzisiaj oceniać politykę Piłsudskiego w oparciu o pracę Jego niemal oficjalnego hagiografa, 2) Czy Piłsudski był tak dalece fanatykiem parlamentaryzmu, że powołał w tym celu Komisję Narodowościową Młodzianowskiego - Sujkowskiego - Bartła. Ale inicjatywa ta została storpedowana przez pravicę, która uchwaliła nawet votum nieufności dla Sujkowskiego”. Wszystko to razem opiera się na podstawie cytatu z tomu II Historii Polski Poboga-Malinowskiego.

Prawda wygląda w ich świetle zgoła inaczej.

Większość mniejszości narodowych poparła zamach majowy widząc w nim szansę polepszenia ich losu. Rząd Bartła istotnie zmierzał do zmiany polityki narodowościowej. Powołana jeszcze przed 1926 r. Komisja Rzeczników dla Spraw Mniejszości Narodowych przy M.S.W. została zreorganizowana i podjęła intensywną działalność. Endeka Zwierzyńskiego zastąpił w Komisji Tadeusz Hołówo. Pracom Komisji patronował z racji swego stanowiska minister Młodzianowski. Intencje ekipy Bartła były niewątpliwie szczerze. Jednakże jak wiadomo decyzyja w zasadniczych kwestiach tylko pozornie pozostawała w ręku rządu.

W trzy miesiące po przewrocie, 18 sierpnia 1926 odbyło się specjalne posiedzenie Rady Ministrów, które miało wytyczyć założenia nowej polityki w stosunku do mniejszości narodowych. Uczestnicy narady, a zwłaszcza minister Młodzianowski stwierdzili bezprogramowość i bankructwo polityki narodowościowej przed 1926 r.: „Błędy i tendencje wynikające z pewnej ideologii narodowej (aluzja do Endecji — P.K.) zostały mocno wdrożone w umysły społeczeństwa i zaciążyły na psychice administracji, która w stosunku do mniejszości prowadzi kurs poniekąd eksterminacyjny<sup>2</sup>”.

Głos w dyskusji zabrał minister Spraw Wojskowych Józef Piłsudski, ale w gruncie rzeczy jego wypowiedź miała charakter dyrektywy i kładła kres wszelkim planom i aspiracjom. Marszałek zalecił przejście do polityki „asymilacji państwowej”. Domagał się stosowania rządów sprawiedliwych i mocnych wobec mniejszości, a surowych wobec Ukraińców. Zalecił także zapewnienie całkowitej dominacji językowi polskiemu.

1. C. Madajczyk, *Dokumenty w sprawie polityki narodowościowej władz polskich po przewrocie majowym*, w „Dzieje najnowsze”, Warszawa, 1972, nr 3, str. 148-160.

2. *ibidem*.

Tę enigmatyczną wypowiedź faktycznego dyktatora należało zrozumieć jako zalecenie rezygnacji z daleko idących planów reformy. Polityka narodowościowa nie miała ulec istotnej zmianie. W istocie rzeczy uległa pogorszeniu. Faktów chyba nie trzeba przypominać.

P. KORZEC

◆  
Paryż, 16 grudnia 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

Paweł Korzec, odkrywca memoriału Osipa Dumina o szpiegowskich wystągach Ukraińskiej Wojskowej Organizacji (UWO) Konowalca na rzecz Niemiec i ZSSR (*Zeszyty Historyczne* nr 30) słusznie zwraca uwagę na pominięty przez mnie protokół posiedzenia Rady Ministrów z dn. 18 sierpnia 1926, ciekawy dla poznania stanowiska członków Rządu a nade wszystko ministra Spraw Wojskowych, Marszałka Piłsudskiego w sprawie problemu wszystkich mniejszości narodowych w Polsce. Przypuszczam, że nie znam tego protokołu ani towarzyszącego mu, ważnego Załącznika (Hołówki?), ogłoszonych w Warszawie w *Dziejach Najnowszych* w roku 1972. Niewątpliwie oba zasługują na dokładną analizę i obszerniejsze omówienie, nie widzę jednak by wносиły cokolwiek, co wymagałoby sprostowania tego, co napisałem w nr. 48 *Zeszytów*.

W sprawie, którą poruszam, rozstrzygająca jest nie dyskusja na Radzie Ministrów, poprzedzająca ogłoszenie wniosków rządowych do Sejmu, lecz postawa Rządu, która się wyraziła w przedłożeniach ministrów Młodzianowskiego i Sujkowskiego, przedstawionych Sejmowi w wyniku wspomnianej dyskusji i po zapowiedzianej w tymże Protokole dalszej naradzie komitetu politycznego Rady Ministrów (z której nie zachowały się żadne dokumenty, jak to w *Dziejach* zaznacza Czesław Madajczyk). Nie jest też do pomyslenia, by ta ważna inicjatywa rządowa, dotycząca polityki wewnętrznej i utworzenia uniwersytetu ukraińskiego, mogła być podjęta bez porozumienia z Piłsudskim — Pobóg-Malinowski podaje nawet, że krok ten był zrobiony „z jego polecenia” (tom II, str. 534).

Przeto skoro Sejm odrzucił oba te przedłożenia i posunął się — już w parę miesięcy po Przewrocie Majowym, po raz pierwszy — do wyrażenia w dn. 20 września 1926 obu wspomnianym ministrom votum nieufności, odpowiedzialność za odrzucenie proponowanych reform spada nie na rząd i na Piłsudskiego, lecz na ówczesną większość sejmową, złożoną z prawicy i z „Piasta”. Rząd ugiął się przed wolą Sejmu, obaj ministrowie podali się do dymisji — jakąż bowiem inną mogła być postawa wobec Sejmu, w którym Rząd znalazł się w mniejszości? Zabawne jest zapytanie Korca: czy Piłsudski był aż tak dalece „fanatykiem parlamentarysty”, że wolał Sejmowi nie pokonać? (Bo oczywiście w pojęciu Korca Piłsudski był — już wtedy — „faktycznym dyktatorem”, czyli powinien był postawić na swoim: widać, że Korzec wciąż stosuje szablony przyjęte z czasu gdy był wykładowcą na uniwersytecie w PRL!). Dlaczegoż to Korzec zapomina o stopniowych, narastających rozgrywkach Piłsudskiego z Sejmem, w którym i później (1928) nie znalazł większości, co było jego przegraną i co jak wiadomo, zakończyło się wydarzeniami z roku 1930?...

Wszystko to przemawia przeciw interpretacji, jaką Korzec stosuje do wypowiedzi Piłsudskiego na Radzie Ministrów i którą to wypowiedź przedstawia raczej jednostronnie. Zwrot o „rządach surowych” odnosił się tylko do Wołynia a nie do Małopolski Wschodniej, gdzie zasadą rządów „winna być praworzędność i unikanie drażnienia”. Żądanie stosowania języka pol-

skiego w sądach i urzędach, istotnie oznaczające jakby krok wstecz wobec obowiązujących od paru lat ustaw o dwujęzyczności na Kresach, wynikało chyba z nieporozumienia, bo nigdy nie znalazło zastosowania: liberalne ustawy, zgodne zresztą z wymogami Traktatu o ochronie mniejszości, do końca były uszanowane. Nie wdaję się tu w streszczenie całej wypowiedzi, tak czy tak więc, rząd Bartla wcale nie zrozumiał jej jako „zalecenia rezygnacji z daleko idących planów reformy” — wręcz odwrotnie dał dowód siły charakteru i zgłosił wnioski nawet w tak bardzo drażliwej sprawie uniwersytetu ukraińskiego...

Prawdą jest, że żadna inna inicjatywa rządowa na drodze ustawodawczej nie została już odtąd podjęta. Rację miał z pewnością Bartel uznając, że np. przeciw autonomii w Małopolsce Wschodniej stanęłaby murem cała Polska. Pod tym względem czas pracował przeciw reformom, do czego się przyczyniała sytuacja międzynarodowa, coraz ostrzejsza irrydenta ukraińska i narastający w zastraszający sposób skrajny nacjonalizm młodego pokolenia polskiego. Widoki, otwierające się zaraz po zamachu Majowym, pozornie najdogodniejsze, okazały się żłudne, okazała została zmarnowana. Ale czyja była w tym wina?

Tak zduszona w zarodku próba poważniejszej odmiany położenia mniejszości narodowych w Polsce wciąż czeka na dokładne i bezstronne opracowanie. Niestety nie przypominano dotąd — o ile mi wiadomo — brzmienia wspomnianych wniosków rządowych ani nie zanalizowano debaty sejmowej i towarzyszącej jej w prasie „burzy o niezwykłym nasileniu demagogicznym” (Pobóg-Malinowski). Póki co, czy się to Korcowi podoba czy nie, musimy odwołać się, jak to zrobiłem, do „Historii” Poboga-Malinowskiego, który obok istotnie bardzo nieraz subiektywnych sądów i ocen (na co już sam miałem sposobność zwrócić uwagę) przynosi wiele materiału faktycznego, zaczerpniętego przeważnie z pierwszej ręki i nigdzie indziej nie utrwalonego. W omawianym przez nas przypadku, związanym z polityką pierwszego rządu Bartla, Pobóg oparł się niezawodnie, jak to już zaznaczyłem, na relacjach ówczesnego (do roku 1927) szefa biura prezydalnego, późniejszego ambasadora, Wacława Grzybowskiego, osobistego przyjaciela Bartla. Grzybowski był zresztą związany i z samym Piłsudskim, niejedna narada z udziałem Marszałka odbyła się przed Majem w jego mieszkaniu. Zapytana przeze mnie wdowa po historyku potwierdziła mi, że już w czasie wojny, w Grenoble i potem w pobliskim Biviers, Pobóg godzinami notował w zeszytach relacje, przekazywane mu przez Grzybowskiego.

Wiemy, że wielkim brakiem obszernego dzieła Malinowskiego jest niewskazanie pochodzenia poszczególnych przekazów. Pracę swą Pobóg pisał gorączkowo, w warunkach które go zmuszały do jak największej oszczędności czasu i druku. Na szczęście wdowa zachowała wszystkie jego zapiski i kasety. Zapewniła mnie, że gdy tylko zaprzestanie pracy zarobkowej, zajmie się uporządkowaniem ich i przekazaniem do jednego z Instytutów Piłsudskiego, w Londynie bądź w Nowym Jorku. Badacze znajdą wtedy dostęp do spisanych przez niego relacji i będą mogli je zestawzić z odnalezionymi — oby jak najprędzej i jak najpełniej — dokumentami i innymi przekazami.

Tak czy tak, aprioryczne i sumaryczne dyskwalifikowanie tego źródła, jak to zdaje się czynić Paweł Korzec, nie wydaje mi się właściwą metodą w dochodzeniu prawdy. Tak doświadczonemu historykowi obca chyba powinna być zarówno „hagiografia” jak i wszelka fobia...

Władysław ŻELEŃSKI



Maryland, 14 października 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Doman Rogoyski w liście do redakcji pt. „Na Marginesie Ankiety Prof. P. Wandycza” (*Zeszytów Historycznych* nr 49, str. 207) pisze, że Gustaw Hauptman z Niemców Podkarpackich okazał się zdrajcą, a innych w MSZ chyba nie było.

Był w MSZ jeszcze jeden Polak pochodzenia niemieckiego, który okazał się zdrajcą. Był to Gustaw Hepting, syn naczelnika stacji kolejowej Piwniczna, koło Starego Sącza. Przed samą wojną Gustaw Hepting był zdaje się wicekonsulem polskim we Wrocławiu. Pod niemiecką okupacją Hepting namówił rodziców i siostrę, żeby zostali *volksdeutsch*'ami a sam zrobił się *reichsdeutsch*'em i za jakieś widocznie zasługi Niemcy zrobili go *treuhänder*'em fabryki w Warszawie. Jak na Niemca Hepting zachował się dość przyzwoicie. Wiedział na przykład, że we wszystkich czterech pensjonatach w Piwnicznej chowają się Żydzi, ale nikogo nie wydał. Piszą o nim Hania i Gaither Warfieldowie w książce „Call Us To Witness”, Ziff Davis Publishing Co., New York, 1945. Rodzice Hani Warfield, państwo Dropiowscy, przeżyli wojnę i okupację w Piwnicznej i znali bardzo dobrze rodzinę Heptingów. (W książce Warfieldów, napisanej w czasie wojny, jest dużo nazwisk zmienionych ze zrozumiałych względów. Rodzina Heptingów występuje pod nazwiskiem Werle — Gustaw Hepting to Kurt Werle). W czasie wojny ułatwiano Niemcom rozwody z polskimi żonami i w 1941 roku Gustaw Hepting rozwiódł się ze swoją polską żoną, ku jej wielkiej radości.

Po wojnie Hepting znalazł się we Wiedniu i zgłosił się do pracy w wywiadzie amerykańskim, został jednak szybko złapany przez sowiecki kontrwywiad i przesiedział 10 lat w sowieckim więzieniu. Po wyjściu z więzienia wrócił do Niemieckiej Republiki Federalnej, gdzie prawdopodobnie żyje obecnie.

Z poważaniem,

Tadeusz LESER



Londyn, 30 sierpnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem śp. Zygmunta Godynia (*Zeszyty Historyczne* nr 49, str. 197) dotyczącym Brygady „Łupaszki” i mojej Książki „Nowogródzyczyna w walce 1939-1945”, pragnę nadmienić, iż w *Przeglądzie Kawalerii i Broni Pancernej* (nr 85) zostało umieszczone oświadczenie Koła 4 Pułku Ułanów dotyczące tej samej sprawy. Na to oświadczenie zareagowałem listem z 23 września 1978, skierowanym do płk. K. Zaorskiego, jako prezesa tego Koła.

Jednak list ten, który naświetla mój stosunek do mjr. „Łupaszki”, nie został umieszczony w *Przeglądzie Kawalerii i Broni Pancernej*. Byłbym wdzięczny, gdyby Pan Redaktor zechciał zamieścić część tego listu.

„Oświadczam, że nie oskarżam mjr. 'Łupaszki' o zdradę Ojczyzny, jedynie stwierdziłem fakty.

Warunki w czasie okupacji, specjalnie na Kresach, były bardzo specyficzne. Walczyliśmy nie tylko z Niemcami, ale musieliśmy bronić ludność miejscową przed rabunkami band partyzantki sowieckiej. Poza tym chodziło przecież o własne istnienie.

Niestety, taka była rzeczywistość. Tak mjr 'Łupaszko', jak i kpt. 'Do-

lina' (z moich oddziałów), zmuszeni byli postępować w ten sposób, a żaden z nich Ojczyzny nie zdradził, a tylko zasłużył się Sprawie Polskiej.

Dalsze losy mjr. Łupaszki' też są mi znane, ale to nie ma nic wspólnego z opisanym okresem.

Przykro mi, jeśli ktoś poczuł się urażony, ale widocznie nie przeczytał całości, jeśli wyciągnął tak mylne wnioski.

Uważam, że dyskusja na temat śp. mjr. Łupaszki' w związku z przytoczoną wzmianką w mojej książce jest wyczerpana”.

Pozostaję z szacunkiem,

płk Janusz PRAWDZIC-SZLASKI



Londyn, 12 września 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Prof. Janusz K. Zawodny zainteresował się relacją gen. Leopolda Okulickiego, która znalazła się we wspomnieniach Jana Nowaka i przytoczył ją dosłownie w swych uwagach, pt. „Jeszcze o 'Kurierze z Warszawy'” (*Zeszyty Historyczne* Nr 49). Gen. Okulicki opowiedział kurierowi Nowakowi przed jego ostatnią wyprawą z Polski okupowanej do Londynu o sobie jako inicjatorze Powstania Warszawskiego i o swoim gwałtownym domaganiu się natychmiastowego rozpoczęcia akcji na przedpołudniowej odprawie w dn. 31 lipca 1944 r. Generał wyraził przypuszczenie, że musiało to mieć jakiś wpływ na wydanie w tymże dniu popołudniu przez gen. Bora rozkazu do rozpoczęcia walki.

Sądzę, że prof. Zawodnego, i nie tylko jego, zainteresuje jeszcze jedna relacja, dotychczas nieopublikowana z tego incydentu. Działo się to w obecności płk. dypl. Janusza Bokszczanina, który mi o tym opowiedział podczas naszych rozmów w Paryżu, w dn. 29 lipca 1968 r., które nagrywałem na taśmę w związku z opracowywaną (wciąż jeszcze) przeze mnie książką biograficzną o gen. Borze-Komorowskim. Po przepisaniu z taśm, bez wygładzenia stylu, płk Bokszczanin teksty autoryzował. Oto odnośny fragment:

„... Natychmiast powstanie... rozkaz do powstania! (Okulickiemu) chodziło o wydanie tego rozkazu. Komorowski uważał, że sytuacja jeszcze nie dojrzała, zlecił Iranкови przedstawić sytuację i on wygłosił referat bardzo rzeczowy, bardzo dokładny, wszystkie przewidywania sprawdziły się jak Iranek mówił (...). Po tym referacie Okulicki zabrał głos w sposób bardzo nieprzyjemny. Tak że Komorowski siedział w ten sposób, zakrywając oczy (z głową podpartą ręką) przez cały czas (...). Okulicki dużo mówił, obalał wszelkie te hipotezy, że Niemcy jeszcze będą się bronili, że to jest już ostateczny szturm nadchodzi sowiecki, że Warszawa może być dziś-jutro zajęta, że nie wolno zwlekać... I tutaj powołał się na przykłady z 1831 roku, na kunktatorstwo, na opóźnianie, na brak decyzji, że to jest jak — i wyraźnie powiedział — tchórzostwo. To jest tchórzostwo!... Tak że w sposób bardzo nieprzyjemny to było powiedziane, i to z krzykiem, prawdopodobnie też mocno podpisał przedtem (moje podkreślenie — E.R.), bo pamiętam jak stojąc pięściami tam wygrażał (...). Komorowski odczuł bardzo — zdaje się — to przemówienie Okulickiego i nazwanie go tchórzem, ale bardzo spokojny był. Gdy odprawa się skończyła (decyzją dalszego wyczekiwania — E.R.) Komorowski mnie zatrzymał, bo ja właśnie wtedy odmeldowywałem się u Komorowskiego. Bardzo serdecznie rozmawialiśmy jeszcze z pół godziny chyba”.

Muszę tu wyjaśnić, że płk Bokszczanin już uprzednio w tych rozmowach

mówił mi o gaffach, jakie przydarzały się Okulickiemu w służbie pod wpływem alkoholu. Przeważnie świadkowie ze zrozumiałą pobłażliwością przeszlizgują się nad tą słabością wspaniałego żołnierza („pierwszy do wybitki i do wypitki”...) zapewniając, że nie wylewał za kolumny, ale miał mocną głowę. Jednakże dociekania historyczne nie mogą uchylać się od bardziej precyzyjnego ustalania, jaki mógł być tego wpływ na wydarzenie.

W omawianej wypowiedzi gen. Okulickiego zastanawia mnie anachronizm toku jego myśli. Brak w niej perspektywy świeżych straszliwych doświadczeń, nie ma śladu zastanowienia się nad własną rolą odegraną w tym dramacie, pobrzmiwa nawet jakby nutka zadowolenia, że rwał się do walki, kiedy inni jeszcze czekali. W swoich zwierzeniach przed kurierem ponawia napaść na gen. Bora zarzucając mu niezdecydowanie, kiedy już wokół mnożyły się oskarżenia o zbytnią pochopność i lekkomyślność. Nie czuje, że wbrew swoim zamiarom wystawia Borowi chlubne świadectwo, że nie działał pod wpływem ślepego zapału do walki, lecz łamał się w poczuciu odpowiedzialności za losy stolicy, życie tysięcy żołnierzy i ludności cywilnej.

Miałbym wątpliwości czy Jan Nowak możliwie wiernie przekazał te słowa gen. Okulickiego, gdybym już 10 lat przedtem nie usłyszał z ust płk. Bokszczanina następującej oceny:

„— Chwiejność (u Komorowskiego) mogła być i byłaby u każdego, i powiedzmy u Piłsudskiego, w wypadku wydania rozkazu do Powstania. Każdy by się łamał — oprócz Okulickiego...”.

Czy jego gwałtowne domaganie się uderzenia na Niemców w dn. 31 lipca mogło mieć jakiś wpływ na wydanie przez Bora w tymże dniu popołudniu rozkazu do rozpoczęcia Powstania? Oczywiście tego nie można wykluczyć, ale przy pewnej znajomości psychiki Bora można wnioskować, że chociaż absurdalny zarzut tchórzostwa dotknął go niewątpliwie, całe to wystąpienie Okulickiego potraktował jako nieważne, nierzeczowe i demagogiczne. Natomiast niewątpliwie zanepokoił go fakt, że Okulicki nie panuje nad nerwami, nie wytrzymuje zągęszczającej się atmosfery wyczekiwania i ulega skutkom przemęczenia, które nad wszystkimi ciążyły. Może też pomyślał podobnie jak Bokszczanin: „No, Okulicki znów sobie gołnał...”. Gdyby się to stało w normalnych warunkach służbowych, jestem przekonany zwróciłby mu cierpko uwagę, aby mówił do rzeczy. Sam Okulicki zdziwił się, że Bór nie wyrzucił go za drzwi. Ja również uważam, że powinien był to uczynić, bo są ludzie, którzy dopiero wtedy uznają autorytet dowódcy. Ale on był zawsze ponad „prestizówkami” i zbyt ważne sprawy tego dnia pochłaniały uwagę. Toteż po prostu w myśl zasady (jeszcze nie sformułowanej wtedy w Polsce) „nie dajmy się zwariować”, przeczekał spokojnie, aby Okulicki wyrzucił z siebie to co go gnębi, i przeszedł do dalszych rzeczowych obrad.

Tego krytycznego dnia nie zapał patriotyczny był potrzebny w dowództwach akowskich, lecz napływ wiadomości o sytuacji frontowej na przedpolach Warszawy i o zachowywaniu się Niemców w samym mieście. Nad dowódcą A.K. wisił jak miecz Damoklesa nakaz Delegata Rządu zajęcia stolicy co najmniej 12 godzin przed wkroczeniem wojsk sowieckich, by władze Rzeczypospolitej zdążyły zainstalować się i spotkać je w roli gospodarzy. Była to już ostatnia próba ratowania niepodległości czynem zbrojnym.

Natomiast nie wykluczam, że Okulicki mógł zrobić wrażenie na Montezrze. Dowódca Okręgu Warszawskiego A.K. płk dypl. Antoni Monter-Chruściel był bardzo dzielnym dowódcą, lecz człowiekiem nie pozbawionym urazów. Na przedpołudniowej odprawie wystąpił jako przeciwnik natychmiastowego rozpoczęcia akcji ostrzegając, że jego oddziały są licho uzbrojone i mają mało amunicji. A w tymże samym dniu po południu zaalarmował,

że już czołgi sowieckie są na przedmieściu Warszawy i czas zaczynać. I tak lawina się potoczyła.

Inna sprawa, czy losy walczącej stolicy różniłyby się znacznie, gdyby Powstanie wybuchło nie przy tym, a przy jakimś innym układzie sił na przedpolu? Osobiście uważam to za sprawę nieistotną, bo nie Niemcy ale Rosjanie na tym froncie byli panami sytuacji a Warszawa walczyła nie sześć lecz przeszło sześćdziesiąt dni.

W tym dniu 31 lipca 1944 r. nerwy wszystkich, nie tylko Okulickiego, napinały się do ostateczności. Nawet płk dypl. Kazimierz Iranek-Osmecki, tenże, który ostrzegał przedpołudniem, że Niemcy pchają wojska na wschód od Wisły a alarm Montera przyjął z wielkim sceptycyzmem, przyznaje się szczerze, że gdy padł rozkaz do walki, poczuł — ulgę, wielką ulgę, że się nareszcie zaczęło.

Zastanawiając się nad tymi dziejami należy stale pamiętać, że ludzie wpleceni w koło udręki mogą mieć inne reakcje niż siedzący bezpiecznie w wygodnych fotelach.

Proszę przyjąć wyrazy szczerego szacunku,

Eugeniusz ROMISZEWSKI



Evanston, Ill., 6 stycznia 1980.

Do

Redakcji *Zeszytów Historycznych*.

Z różnych przyczyn jestem trochę spóźniony ze swoimi uwagami co do ankiety o MSZ, jaką przeprowadził p. Piotr Wandycz jak i też bardzo słusznych stwierdzeń p. Domana Rogóyskiego (*Zeszyty Historyczne* Nr. 38 i 39). Dotąd bowiem spełniałem zasadnicze obowiązki, dla których MSZ wysłało mnie tutaj w roku 1933 i dlatego stale na bakier jestem z czasem.

Moim zdaniem, ankieta przeprowadzona przez p. P. Wandycza jest zupełnie cząstkowa i dlatego nie ilustruje przedwojennego MSZ, które składało się nie tylko z szefów departamentów w Warszawie i wyliczonych w niej siedzących placówek dyplomatycznych, ale z 530 urzędników etatowych oraz 756 kontraktowych (*vide: Rocznik MSZ z 1939 r.*)

Praca w Centrali MSZ oraz na zagranicznych placówkach spoczywała na mózgach i barkach 1.286 urzędników dobrze, lepiej lub gorzej wykonywujących swoje obowiązki w różnych dziedzinach służbowych.

W ankiecie p. P. Wandycza wzięło udział ośmiu (8) wysokiej względnie wyższej klasy urzędników dyplomatycznych, a w tym tylko jeden społecznik, polityk, wojskowy, znawca zagadnień konsularnych i polonijnych, Wacław Jędrzejewicz. Dlatego też wypowiedzi respondentów dotyczą spraw, osobistych, początków organizacyjnych MSZ-etu — to jest wąskiego odcinka szerokiej działalności MSZ-etu, stanowiącego 6 promile stanu osobowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych względnie 1,3 % tzw. urzędników etatowych.

Parę zdań o sobie: nie licząc Drużyn Strzeleckich oraz Legionu Wschodniego, Armii Polskiej we Francji a potem w Polsce do 1921 roku — zacząłem swoją służbę państwową w roku 1924 w Województwie Lwowskim (Wydział Pracy i Opieki Społecznej) a w październiku 1925 w Polskiej Służbie Zagranicznej — w Agencji Konsulatu w Koszycach do 1928 roku. Po krótkim stażu w MSZ pracowałem od 1928 do 1931 w Konsulacie Generalnym i Poselstwie R.P. w Meksyku. Powróciwszy do Centrali MSZ



pracowałem w latach 1931-33 w Biurze Personalnym pod Wiktorem T. Drymmerem jako referent najbardziej tajnych spraw i jako sekretarz Komisji Dyscyplinarnej I i II instancji. Jako taki mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że w tym czasie, a nawet i przedtem za Drymmerowskiego kierownictwa, nikt za błahostkę względnie za przekonania polityczne nie został zwolniony ze służby w MSZ.

Pozwolę sobie też uzupełnić uwagi kol. Domana Rogóyskiego tym, że Ukraińcem przyjętym do służby w MSZ (Konsulat Generalny R.P. New York) był Roman Oleśnicki, a drugim — o ile mi się zdaje — Bolesław Celiński, późniejszy sekretarz Ligi Narodów w Genewie.

Wspomniany przez kol. D. Rogóyskiego Niemiec podkarpacki w MSZ a późniejszy zdrajca, nazywał się Gustaw Hoepfing (a nie Hauptmann), ur. w 1899 roku (Ag. Konsul. Koszyce 1925-26 — Kolonia 1926-28, Essen 1928-32, MSZ D.S. 1933-34, Opole 1935-36, MSZ D.A. 1936-39).

Czytając osiem odpowiedzi na ankietę P. Wandycza uważam, że są one ciekawe i naświetlające początki MSZ-etu ale nie obrazujące ogółu prac i działań naszej służby zagranicznej: społecznej, handlowej, polonijnej, oświatowej, propagandowej, które były prowadzone przede wszystkim przez placówki konsularne. Placówkom dyplomatycznym przypadały sprawy polityczne, międzynarodowe, reprezentacyjne, propagandowe na wyższym szczeblu, finansowo-handlowe z władzami państw obcych i kulturalne.

Podział ról i zadań pomiędzy placówkami konsularnymi a dyplomatycznymi był logiczny i celowy a rzadko zdarzające się nieporozumienia kompetencyjne czy inne, wynikające ze zbytnej wybujałości charakterów szefów placówek, były przez Centralę MSZ umiejętnie rozwiązywane.

*Juliusz SZYGOWSKI*

## SPIS TREŚCI

Adam Ciołkosz: <i>Kartki z przeszłości</i> .....	3
Piotr Wandycz: <i>Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej</i> .....	57
Karol Kraczkiewicz: <i>Przyczyny drugiej wojny światowej i rola polityki polskiej w ostatnich latach przed jej wybuchem</i> .....	66
Andrzej Koraszewski: <i>Zapomniany rozdział sprawy katyńskiej</i> .....	84

## WSPOMNIENIA

Jan Erdman: <i>Wyrok na brata</i> .....	86
Ks. inf. Teofil Skalski: <i>Garstwa wspomnień z mego życia</i> (dok.) .....	126

## POLEMIKI

Marek Brzost: <i>Na marginesie pracy gen. W. Stachiewicza</i>	163
---	-----

## RECENZJE

Jan Ciechanowski: <i>Generał ostatniej nadziei</i> .....	172
--	-----

Piotr Wandycz: <i>Nowe książki</i> .....	191
Michał Heller: <i>Historia sowiecka w interpretacji amerykańskiej</i> .....	198
Tadeusz Heinrich: <i>Niewykorzystane doświadczenie sueskie</i>	201
Witold Babiński: <i>Polskie siły zbrojne w drugiej wojnie światowej</i> .....	205

## OKRUCHY HISTORII

<i>Polonica u Dżilasa</i> .....	208
<i>Tajemnice amerykańskich archiwów</i> .....	210
<i>Wspomnienia Salomona Zurilnikowa</i> .....	213

## LISTY DO REDAKCJI

H. Bachrach: <i>Polemika z art. Wł. Żeleńskiego (Zeszyty Historyczne Nr 46) i Odpowiedź Wł. Żeleńskiego</i> ..	215
Tadeusz Boguszewski: <i>Polemika z wspomnieniami B. Krzyżanowskiego pt. „Kampania wrześniowa w oczach d-cy plutonu (Zeszyty Historyczne Nr 48)</i> .....	219
Włodzimierz Brylewski: <i>Uwagi na marginesie art. Wiktora Sukiennickiego pt. „Wojna — nie, dialog” (Zeszyty Historyczne Nr 48)</i> .....	222
Dr Kazimierz Groszyński: <i>Sprostowania do listu Jerzego Stempowskiego dot. Liceum Krzemienieckiego (Zeszyty Historyczne Nr 45)</i> .....	223
Ks. Stanisław Kluz: <i>Wyjaśnienia w związku z recenzją T. Żenczykowskiego z książki ks. Kluza „W potrzasku dziejowym” (Zeszyty Historyczne Nr 48) i Odpowiedź Tadeusza Żenczykowskiego</i> .....	224
Stefan Korboński: <i>D.c. polemiki dot. tajemnicy radiostacji „Świt” (Zeszyty Historyczne Nr. 48 i 49)</i> .....	229
	239

Paweł Korzec: <i>Zastrzeżenia odnośnie listu Wł. Żeleńskiego na temat polskiej polityki narodowościowej (Zeszyty Historyczne Nr 48) i Odpowiedź Wł. Żeleńskiego ..</i>	230
Tadeusz Leser: <i>Sprostowanie dot. Listu Domana Rogoyskiego pt. „Na marginesie ankiety prof. P. Wandycza” (Zeszyty Historyczne Nr 49) .....</i>	233
Janusz Prawdzic-Szlaski, płk: <i>Wyjaśnienie w związku z listem Zygmunta Godynia (Sprawa „Brygady ‘Łupaszkii’”) (Zeszyty Historyczne Nr 49) .....</i>	233
Eugeniusz Romiszewski: <i>Wyjaśnienia dot. gen. Okulickiego w związku z uwagami J. K. Zawodnego w „Jeszcze o ‘Kurierze z Warszawy’” (Zeszyty Historyczne Nr 49)</i>	234
Juliusz Szygowski: <i>Wyjaśnienia do Ankiety przeprowadzonej przez Piotra Wandycza i uwag Domana Rogoyskiego (Zeszyty Historyczne Nr. 38 i 39) .....</i>	236

---

Achévé d'imprimer le 15 février 1980 sur les presses  
de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18<sup>e</sup>.  
Dépôt Légal : 1<sup>er</sup> Trimestre 1980.





**BIBLIOTEKA „KULTURY”  
KSIĄZKI O TEMATYCE HISTORYCZNEJ**

- S. Allilujewa, *Dwadzieścia listów do przyjaciela*.  
J. Grzędziński, *Maj 1926* (Seria „Dokumenty”).  
W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”).  
Fr. Kalinowski, *Lotnictwo polskie w Wielkiej Brytanii*  
(1940-1945).  
T. Katelbach, *Rok złych wróżb* (1943).  
A. Koestler, *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwum rewolucji”).  
St. Korboński, *Polskie Państwo Podziemne*.  
I. Koszeliwec, *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”).  
St. Kot, *Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej*.  
St. Mackiewicz, *Poltryka Becka*.  
M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*.  
E. Reale, *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”).  
St. Rembek, *W polu*.  
B. Singer, *Od Witosza do Ślawka*.  
W. Solski, *Moje wspomnienia*.  
W. Sukiennicki, *Legenda czy rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”).  
St. Swianiewicz, *W cieniu Katynia*.  
*Węgry* (Seria „Dokumenty”).  
W. Witos, *Moje wspomnienia*, t. I/III.  
J. Wołoszynowski, *Było tak*.  
P. Zaremba, *Historia Polski, cz. I*.  
A. Zawadzka-Wetz, *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”).

„ZESZYTY HISTORYCZNE” UKAZUJĄ SIĘ CO  
KWARTAŁ NA POCZĄTKU LUTEGO, MAJA,  
SIERPNI I LISTOPADA KAŻDEGO ROKU.

PRENUMERATA ROCZNA 1980 — F. 180,00.

PRENUMERATA ROCZNA DLA  
PRENUMERATORÓW „KULTURY” — F. 160,00.

CENA EGZEMPLARZA W ROKU 1980 — F. 45,00.

F. 45,00